

Karol Bunsch

Przekleństwo

Gwarry i rojny ongiś krakowski gród zdał się opustoszały, w chmurnym przedświcie nie widać było żadnego ruchu. Pustką ziały kościoły, nieliczne stráže drzemały na wałach, skulone w chłodzie wczesnego przedwiośnia.

Niepotrzebna była czujność od czasu, gdy książę Włodzisław z teściem swym, czeskim Wratysławem, stanął po stronie niemieckiego króla w jego walce z papieżem Grzegorzem, a pokonany i wygnany Bolesław przebywał na Węgrzech. Wieści, jakie stamtąd czasami dochodziły, świadczyły, że węgierski Władysław, mimo całego przywiązania do swego ongiś opiekuna i dobroczyńcy, nie może mu udzielić pomocy, by nie wywołać buntu własnych możnowładców, z którymi Sieciech nawiązał knowania. W kraju bezlitośnie tępił królewskich stronników, nawet wśród własnych rodowców, prześladowani musieli uchodzić lub kryć się po lasach. Gościńce stały się niepewne, mosty zaniedbane, ustał handel, bezbronna ludność cierpiała od nadużyć, przeklinając sprawców zamętu. Gdy jedni króla obwiniali, inni winowajcy dopatrywali się w biskupie.

Mogła jego pod ścianą kościółka Sw. Michała na Skałce już po raz drugi okrywała się wiosenną runią, ale rozruch nie ustawał. Coraz jaśniej jednak wychodziło na jaw, że zarówno biskup, jak i książę Włodzisław byli tylko narzędziami w rękę Sieciecha. Przeszał już się przytając.

Zamęt i rozdwojenie nie oszczędziły także polskiego Kościoła. Arcybiskup Bogumił ukrywać się musiał i słuch o nim zaginał, sędziwy gnieźnieński Pietrek Bróg, zniechęcony i zgorzkniały, nie mieszał się do niczego. Rzucony przez antypapę Klemensa interdykt pogłębił jeszcze rozłam wśród duchowieństwa, pozbawiając je zarazem dochodu z odpustów, posług duchownych, a nawet dóbr kościelnych.

W krakowskiej diecezji, od dwóch lat pozbawionej pasterza, zamęt był największy. Z braku środków stanęła odbudowa zrujnowanej w czasie najazdu Brzetysława katedry na Wawelu. Stronnicy prawowitego papieża, a tym samym królewscy, rozjechali się do swych rodowych majątności w obawie przed prześladowaniem, pozostali usiłowali wyjednać u antypapy zdjęcie interdyktu, ale palatyn Sieciech do tego się nie spieszył. Póki król Bolesław żyje, a papież Grzegorz z Rzymu wykłina cesarza Henryka, walka nie skończona. Sieciech rozpętał ją nie po to, by z kimkolwiek dzielić pochwyconą władzę, nieład w Kościele był mu tymczasem na rękę.

Na Wawelu z całej kapituły pozostał tylko jej dziekan, stary Mikołaj Bończa z Wścieklic, który nie dał się wciągnąć w walkę między królem a biskupem, z królewskiej zaś rodziny jedynie księżna wdowa po Kazimierzu — Dobronega. Ze swym szczupłym dworem zajmowała babiniec, gdy męska część zamku stała pustką.

Włodzisław bowiem, mimo że stronnicy Sieciecha okrzyknęli go panującym księciem, pozostał w swym Płocku. Prosił matkę, by się do niego przeniosła, Dobronega jednak odmówiła, wiedząc, że skłania go do tego nie synowskie przywiązanie, lecz obawa przed powrotem Bolesława. Z pięciorga dzieci, jakie Kazimierzowi urodziła, Otto i Mieszko. nie żyją, daleka Świętosława obca się stała, nawet imię odmieniła na Swatawę; najmilszy Bolko wygnany, pozostał ten najlichszy, który od pacholęcia zawidził pierworodnemu wszystkiego: urody, męstwa, powodzenia, władzy po to, by stać się kukłą w rękę swego palatyna. Matkę zaprasza jedynie ze strachu przed bratem, by w razie jego powrotu przed strasznym gniewem królewskim go zasłoniła.

Mimo nienawiści i zawiści, jakie budził Sieciech, tylko gasnąca już nadzieja powrotu Bolesława wstrzymywała stronników króla od uległości wobec wszechwładzy palatyna. On jeden może opanować zamęt, który dojadł już wszystkim.

Tej nadziei nie chciała się jednak wyzbyć Dobronega. Jeśli się nie spełni, czeka ją samotna i opuszczona starość. Ni«dy nie ujrzy umiłowanego wnuka, który wrócić może tylko wraz z ojcem; ostatni to pęd Piastowego rodu, który Polskę zbudował i z którym byt jej jest związany. Włodzisław niemłody już, lat czterdzieści skończył, a syna ma tylko z niemrawego łoża. Mimo trwającego od dwóch lat związku z Judytą Wratysławówną, nie doczekał się potomka. Cherlawy był zawsze.

Do córy księżna nie miała żalu. Przed osiemnastu laty wyjechała do Czech, dłużej już bawi na obczyźnie, niż przebywała w kraju swego dzieciństwa. Miała być zakładem przyjaźni między dziewierzami, nie jej wina, że znalazła się po stronie wroga. Od nieszczęsnej sprawy biskupa Stanisława Dobronega nie miała od niej wieści i nie czekała już na nią. Nie ma i tego dziecka. Myśl starej księżny zwróciła się ku tej, która jej córę zastąpiła: synowej Wyszlesławie. I jej nie ujrzy już nigdy, jeśli król nie wróci. Wpatrzona w dogasający na kominie żar oczy zapiekły Dobronegę. Ona sama przeżyła krótkie szczęście przy boku małżonka, a potem chwile radosnej dumy z powodu osiągnięć syna. Wyszlesławie małżonek pozwolił dzielić z sobą tylko upadek i wygnanie. Serce ofiarował innej, szczęścia nie dał żadnej.

Dobronedze nie chciało się nawet zawołać pachółka, by dREW dorzucił na palenisko. Panująca dokoła cisza i spokój przynosiły ulgę odretwienia. Chciałyby już tylko zgasnąć tak spokojnie, jak dogorywały głównie pokrywające się nalotem siwego popiołu.

Nie zbudziły jej z sennej zadumy odgłosy dochodzące z podwórca. Podniosła głowę dopiero gdy wszedł pachółek z naręczem dREW i cisnąwszy je z łoskotem przed paleniskiem powiedział:

— Poseł z Pragi. Pilnie domaga się widzieć z waszą miłością, bo jeno odpocząwszy rusza do Płocka.

Księżna gniewnie zmarszczyła brwi:

— Niechaj jedzie. Nie ciekawam, z czym.

— Prawi, że pismo ma do waszej miłości od księżnej Swatawy.

Dobronega niemal zapomniała o obecności pachółka, który stał czekając na odpowiedź. Odżyło w niej wspomnienie dnia, gdy zegnała płaczącą córę. Rozumiała jej niepokój i żal, bo i sama ongiś wyjeżdżała z rodzinnego domu, by dzielić los człowieka, którego ujrzeć miała dopiero na ślubnym kobiercu. Przemogła obudzona tęsknota i ciekawość, Dobronega otrząsnęła się ze wspomnień i rzekła:

— Niechaj pismo ostawi. Mówić nie mamy o czym. Pójdiesz do wielebnego kanonika Mikołaja i rzekniesz, że proszę, by zechciał zająć do mnie pismo mi odczytać.

Księżna niecierpliwiła się, gdy wezwany długo nie nadchodził. Nie mogła się domyśleć, czego od niej chce Świętosława, nie wątpiła jednak, że nieoczekiwane pismo jej ma związek z wypadkami. Przeciw małżonkowi Świętosława wystąpić nie może. Jeśli trzeba będzie rady, kanonik Mikołaj udzieli jej uczciwie i bezstronnie. Członkiem był jeszcze Aaronowej kapituły, stary jest i doświadczony.

Nadszedł wreszcie ze zwitkiem pergaminu i powitawszy księżnę dodał:

— Wybaczenie, miłościwa pani, że wam czekać dałem. Ofiarę odprawiałem u Sw. Jerzego.

— Jakoż? — zapytała księżna zdziwiona. — Wždy interdikt, na klątwę się wystawiacie.

— Za nic mi klątwa samozwańca. Ojcem Świętym jest i pozostanie Grzegorz. Nie biskupom niemieckim, którzy sami pod klątwą, sądzić go, jeno Bogu. I ja jeno Bożego sądu się lękam.

— Króla zasię sądzić jest władny jeno sam Ojciec Święty, który dawcą jest koron na ziemi, i jeno za odstępstwo od wiary. Nie biskupowi wyłączać go z chrześcijańskiej społeczności — rzekła księżna.

-- Ale król przed Bożym sądem sprawić się będzie jak najlichszy pachółek. Módlcie się, pani, by uznał swą winę.

- Winę! — zachnęła się gniewnie. — W prawie był, karę domierzając zdrajcy.

- Domierzył pomsty, grzech do grzechu dodając. Biskup Stanisław przed Bożym sądem już stoi. Przez moje niegodne usta Bóg mu winy odpuścił, bo się pokajał i podjął za nie odpowiedzialność.

- Odpowiedzialność! Za to, że prawowity władca tułać się musi, a kraj do upadku doszedł?! Skutki tego, co czynił, ostały i tych dotknęły, którzy niczemu nie winni.

Mikołaj westchnął i rzekł:

— Może mu Bóg zwoli nieszczęścia, których był przyczyną, odwrócić!... Ale pismo objaśnić wam miałem.

— Przywiózł je poseł Wratysława w drodze do Płocka. Zdrajcy nadal z wrogiem się znoszą. Czytajcie!

Kanonik złamał pieczęć i, rozwinąwszy pergamin, krótkowzrocznymi oczyma przez chwilę wpatrywał się w pismo.

— Pozdrowienia wam śle, miłościwa, Świętosława... Dobronega niecierpliwie machnęła ręką:

— Czego chce ode mnie? Czytajcie!

— „Wiercie, miła matko, iż nie zabyłam, że Bolko był mi bratem najlepszym i że po to przyszło mi porzucić wszystkich i wszystko, co miłe, by kres położyć nieprzyjaźni między nim a małżonkiem moim. Nie mnie winować, iż ofiara moja była daremna, wy mnie, miła matko, najlepiej zrozumieć

winniście, bo i wasz związek z rodzicem nie przyniósł pokoju między Polską a Rusią. Ale sercem ostałam z wami i ocalić bym chciała z dziedzictwa przodków naszych, co ocalić się jeszcze da..."

Kanonik urwał zmieszany. Księżna sądziła, że trudno przychodzi mu odczytanie, ale gdy milczenie przedłużało się, powtórzyła:

— Czytajcie! Nie czekam na dobre wieści. Kanonik odetchnął i dokończył jakby z wysiłkiem:

— „...po Bolkowej śmierci”.

Spojrzał na Dobronegę. Siedziała bez ruchu, przymknawszy oczy. Gdy milczała, zapytał:

— Słabo wam, miłościwa pani? Może służbę przywołać?

— Czytajcie dalej — odparła nieswoim głosem.

— „Boleję wraz z wami, ale inaczej skończyć się nie mogło. Bolko nie poddałby się nigdy, a nijakiej nadziei, by zwyciężył. Król Henryk z pomocą mego małżonka pobił zbuntowanych książąt saskich nad Elsterą, antykról Rudolf żywot tam położył. Pozbawieni przywódcy, skłonniejsi będą do układów i Henryk zjazd już zwołał, po czym wyprawę na Rzym gotuje, by Klemensa osadzić na papieskim tronie. Za pomoc mego małżonka i oddane usługi przyrzekł Polskę oddać mu w lenno”.

Znowu zapadło milczenie, I księżna, i kanonik pamiętali jeszcze skutki najazdu Brzetysława po śmierci nieszczęsnego Mieszka Bolesławica. Mikołaj podjął z westchnieniem :

— „Łacniej mi przyjdzie powstrzymać mego małżonka, by siłą tego nie dochodził, gdy skończy się w kraju rozdzielenie i zamęt, i skłonniejszy będzie z zięciem się ułożyć, ale jeno gdy Włodzisław powszechnie panem zostanie uznany. Rozumiem, że póki Bolko żył, nijak wam było stanąć przeciwko niemu po stronie młodszego. Ale wszak ci i on wasz syn, i z Piastowego pokolenia. Gdy wy go uznacie, skończy się rozdzielenie. Ninie jeno przetrzymać najgorsze, a i to rozważcie, że związek Włodzisława z moją pasierbicą bezpłodny jest, a żywię syn Bolkowy. Może Bóg da, że w nim odrodzi się odnowiciel, a Włodzisław zgodzi się na jego powrót, by wam samotną starość osłodził. Gdy się na książęcym stolcu upewni, nie będzie mu wadziło pahole. Piszę o tym do Włodzisława z wieścią o śmierci Bolka i Bogu was polecam”.

Kanonik skończył, zaległo milczenie. Oboje pograżyli się w niewesołych rozmyślaniach. Gdy Mikołaj ongiś włożył suknię duchowną, wszystko było jasne i proste: książę z arcybiskupem Aaronem zgodnie pracowali nad odbudową kraju i Kościoła. Nikt się nie głowił, która władza nad drugą góruje, nikt nie mógł wygrać jednej przeciw drugiej. Zło przywlekło się z zachodnimi nowinkami, jak zaraza ogarniając już całe chrześcijaństwo. Ze śmiercią Bolesława prawowity papież, pozbawiony najpotężniejszego ongi-i sprzymierzeńca, musi walkę przegrać. Zbuntowani przeciw Henrykowi książęta sascy bez poparcia polskiego króla już ponieśli klęskę, uzależniona od Henryka Polska i jej Kościół znajdują się po stronie wrogów prawowitego papieża. Ale Grzegorz, podobnie jak Bolesław, nie ustąpi ni na piędź. Póki on żyje, nie skończy się rozdarcie w Kościele. A jednocześnie kanonik rozumiał, że jeśli nie skończy się w Polsce, kraj stanie się łupem sąsiadów. Ruś już zrzuciła zależność, Rościszlawicze zajęli Grody Czerwieńskie, pomorscy książęta niepokoją północną granicę, od zachodu zagraża Wratysław. Znowu jak przed pół wiekiem ludzie po lasach żyć będą, a zwierz w osadach i kościołach. Świętosława życzliwie radzi, dalsza walka jeno dalszych nieszczęść może być przyczyną. Wiele zależy od postanowienia Dobronegi. Kanonik zapytał:

— Co uczynicie, miłościwa pani?

Drgnęła, ale jakby nie zrozumiała pytania i własną myśl dopowiadając szepnęła:

— Stanisławowe przekleństwo spełniać się zaczyna. Kanonik zmieszał się i po chwili odrzekł:

— Biskup za grzechy swe pokajał się...

— Ale przekleństwo swe w godzinie śmierci powtórzył. Mikołaj zrozumiał udrękę księżnej: do bólu z powodu śmierci syna dołącza się obawa o głowę wnuka. Zaczął niepewnie :

— Zbawione dusze pomsty nie żywią. Módlcie się, pani, by przekleństwo swe cofnął. Wždy nic mu nie zawiniło pacholę.

— Nie zawiniło. Rzekliście, że Bóg mu przez wasze usta wybaczył. Krew, co się połała, rozdarcie w kraju i w Kościele? Ja go przeklinam.

Świeży powiew od wezbranej jeszcze wiosennymi wodami Wisły wpadał przez otwarte okno, przy którym siedziała księżna Judyta, zadumana tak, że nie zauważyła, iż haftowany dla płockiej katedry ornat upadł na podłogę. Z wyniosłego brzegu, w przejrzystym powietrzu pogodnego dnia, tęsknym spojrzeniem leciała daleko za okrywające się dopiero nieśmiałą zielenią bory, ciągnące się od Radziwia aż po linię nieboskłonu. Ongiś piastunka księżny, a teraz jedyna jej powiernica, Bożeciecha, podnosząc ornat zapytała:

— Nad czym znowu dumasz?

— U nas sady już kwitną — odparła Judyta.

Stara zrozumiała: Judyta tęskni za krajem. Trzeci rok, jak hożą dziewczynę w kwiecie jej wieku wydano za starszego o lat osiemnaście Włodzisława, który nigdy nie był młody. Nie znalazła tu miłości. Książę wydalil wprawdzie z dworu swą miłośnicę wraz z nieprawym synem, tyle jednak, że jeździ do niej do Radzanowa, mimo że stary Miłosław Prawdzie boczy się na niego od czasu małżeństwa. Zapewne żywił nadzieję, że w braku innego potomstwa książę uzna Zbygniewa, do którego wyraźnie był przywiązany. Poza nim nie kochał nikogo. Małżeństwo księcia zdało się przekreślać te śmiałe rachuby, ale oto minęły dwa lata z górą, a związek pozostał bezdzietny.

Księżna tylekroć mówiła o tym z powiernicą, że Bożeciecha sama wiedziała, co najbardziej gnębi Judytę, choć nie brakło i innych przyczyn, i powiedziała:

— Gdybyś syna urodziła, miałabyś serce o co zaczepić i pan by się pewnikiem przywiązał do dziecka.

Księżna zarumieniła się:

- Prawda, że miłowałabym dziecię. I małzonek rad by miał następcę. Modlimy się o to oboje.

Stara parsknęła:

___ .jeszcze żadna niewiasta od tego nie zaszła, że mąż krzyżem leżał w kościele. Lubo w łożu z inną.

___, Cóż ja na to poradzę. Wždy mu nie odmawiam —

powiedziała Judyta z przykrością.

_ Stary jest i niemrawy. Albo to on jeden?

___ Nie praw byle czego — przerwała Judyta. — I pomyśleć grzech.

___ A nie grzech, że dzieli z miłośnicą, choć i nie ma czego?

— Ostaw. Rozgrzeszenia bym nie dostała.

Uwagę niewiast odwróciły odgłosy dochodzące z położonej głęboko w dole rzecznej przystani. Przewozem z Radziwia dobijała do niej tratwa. Na pomosty, niemal zrównane ze zwierciadłem wody, wyprowadzano konie, w promieniach wiosennego słońca iskrzyła się broń i zbroje. Ani chybi poselstwo. Przybyli dosiedli rumaków i krętą drogą po stromym zboczu piąć się jęli ku grodowi. Księżna powiedziała podniecona:

— Chyba nasi. Drohomila niechaj poskoczy wywiedzieć się.

— Nie trzeba — odparła Bożeciecha. — Wždy to stary Budimir na przedzie. Sama pójdę go powitać.

— Gdy spoczną i pożywią się, radam ich ujrzyć i posłyszeć, co doma. Słać trzeba po pana.

— O tym już Wojsław Powala pomyśli, a raniej pewnikiem pośle po Sieciecha.

W głosie Bożeciechy brzmiało lekceważenie. Judyta zmarszczyła się niechętnie. Stara powtarza, co szepczą wszyscy: bez palatyna książę nie przedsięwzię niczego, Sieciech bez niego, co mu się uwidzi. Księżna nieśmiało usiłowała nakłonić małżonka, by nie pozwolił palatynowi rządzić się ponad swą głową. Włodzisław wykręcał się twierdząc, że palatyn czyni to za jego wiedzą i zgodą, ale wiadomo było, że z obawy przed powrotem brata odciąć się chce od poczynań Sieciecha. Sam nie ważył się jeszcze bić własnej monety, ale pozwala na to palatynowi, Sieciech obsadza urzędy swymi ludźmi, układy zawiera z postronnymi. Jeno książęcej czapki mu brak. Gdyby książęta sascy górę wzięli nad Henrykiem, gotów sięgnąć i po nią. Z Pragi dawno nie było wieści i Judyta z niecierpliwością i niepokojem czekała na nadejście Budimira.

Zjawił się wkrótce, wprowadzony przez Bożeciechę. Stary był, ale krzepki, nie znać było po nim trudów dalekiej podróży. Przed pół wiekiem brał udział w Brzetysławowym najeździe, a Judytę znał od jej dziecięcych lat, toteż powitał ją z życzliwą poufałością, a gdy dopytywać ją o cel poselstwa i nowiny, odparł z uśmiechem:

— Pismo przywozłem od rodzica waszego i jego małżonki do miłościwego księżęcia, ale nie tajne mi, co piszą. Wieści są pomyślne, a dla was najważniejsze, że ów gwałtownik, który przyczyną był wszelkiego zła, żywota na Węgrzech zbył.

— Bolesław nie żywię — szepnęła Judyta. Rozumiała, że jest to korzystne. Stronnicy króla nie mogą już liczyć na jego powrót, a to oznacza kres zależności jej męża od Sieciecha. Zarazem jednak na myśl jej przyszła samotna stara Dobronega, dla której wieść ta będzie nowym ciosem.

Judyta westchnęła, a Budimir, który spodziewał się objawów radości, zapytał zdziwiony:

— Zali wam żal onego mężobójcy?

— Niechaj go Bóg sądzi — odparła. — Jego macierzy mi żal. Smutna być musi samotna starość bez nijakiej nadziei.

— Miłosierne macie serce, ale cóże wam o nią? Pismo przywiozłem od księżnej Swatawy, w którym prosi, by zgodę uczyniła z waszym małżonkiem. Ni gadać ze mną nie chciała. Wždy książe Włodzisław takóž jej synem, mogłaby zjechać do was. Sobie winna, jeśli sama ostanie.

Ostał jej jeszcze wnek po Bolesławie — powiedziała Judyta w zamyśleniu. Ninie mógłby wrócić...

— Nie moja rzecz radzić — przerwał Budimir. — Wyrostek to jeszcze, ale za lat niewiele mężem będzie. Łacnie mógłby przypomnieć, że jemu berło się należy po rodzicu.

Judyta zarumieniła się i z widoczną przykrością powiedziała :

— Wždy związek nasz bezdzietny jest. Gdy małżonek mój nie ostawi prawego potomka, komuż po nim objąć książęcy stolec?

Budimir zaśmiał się rubasznie i patrząc porozumiewawczo na Bożeclechę powiedział:

— Troskę o to waszemu rodzicowi ostawcie. Ale pono doświadczone niewiasty wiedzą, jak bezpłodności zaradzić. Ja mogę jeno rzec, że miłościwy pan nierad by widział w Polsce Bolesławowego potomka. Zadość było zadry z jego rodzicem, dlatego ł pomógł zegnać z tronu pyszałka. Własnego wnęka rad by mieć lennikiem, który poręką byłby pokoju. Mniemam, że i wasz małżonek na powrót bratańca nie przyzwoli, boby zachęte dał siewcom niepokoju.

— Ni jedno, ni drugie nie od mej woli zależy — wymijająco odparła Judyta. — Przyjedzie małżonek mój, sprawę z nim omówicie. Tymczasem bądźcie sobie radzi, jak my wam radzi jesteśmy.

Budimir skłoniwszy się wyszedł, a wraz z nim Bożecie-cha, by zająć się gośćmi. Gdy znaleźli się w wyznaczonej posłowi gospodzie, rzekła:

— Gadałam już księżnej, jaka na bezpłodność rada, gdy małżonek stary i niemrawy. Ani słyszeć o tym nie chce. Nabożna jest i lęka się swego spowiednika.

— Kto się tu iście rządzi: książęciem Sieciech, księżną klechy. Może im zda się, że dlatego zegnaliśmy okrutnika, bo zarznął biskupa, któremu się władza marzyła, i ninie łacniej ją będzie uchwycić. Marzy się i Słeciechowi, któremu pan nasz nie ufa. Nie doczeka z Judyty potomka, samym nam przyjdzie ład tu. zaprowadzić.

— Może by i doczekał, gdyby Włodzisław do swej miłośnicy nie zaglądał zbyt często. A to wiem, że syn go tani ciągnie, którego z nią spłodził. Każdy musi kogoś miłować, a najłacniej swoje potomstwo.

— Swoje! — zaśmiał się Budimir. — Jeno tak jak jest, widno ni swego, ni nie swego nie będzie.

— Gzas o tym gadać, póki żywię Włodzisław. Bywa, że i po dziesięci leciech coś się urodzi. Poznański biskup Franko doradzał książęciu, by do świętego Idziego o wstawiennictwo wysłał. Mocny ma być orędownik.

Budimir ramionami wzruszył:

— Iście cudu potrzeba, by po wałachu łoszaka doczekać. Niechby książęciu doradził, by częściej sypiał z małżonką. Ale spróbować można, tylko że święci darmo cudów nie czynią.

— Iście nie. Biskup radził, by podobiznę dziecka w złocie odlaną wysłać świętemu do jego opactwa. Ale wiadomo, w skarbie pustawo, a poselstwo też niemało kosztuje, bo daleko to, gdzieś ci aż nad Rodanem. Dlatego i waha się, choć księżna nalega.

— Widno Włodzisław jeszcze liczy na tańszy sposób — zakpił Budimir.

Po księcia niepotrzebnie wysłano, bo właśnie wracał z Radzanowa, skróciwszy pobyt, bo nie był przyjemny. Do miłośnicy swej nigdy nie żywił wielkiej namiętności, pod-s sunęli mu ją Prawdzice, by przez nią wpływ uzyskać, a gdy urodziła syna, powzięli nadzieję, że uprawni go, jeśli innego potomstwa mieć nie będzie. Przywiązał się do chłopca, toteż gdy pojał Judyte, by zyskać czeską pomoc przeciw bratu, i zmuszony był wydalić z dworu miłośnicę, zabrała z sobą syna jeszcze nie postrzyżonego, by przez niego nadal utrzymać związek. Obecnie chłopiec liczył już dziewięć lat ł winien był przejść pod męską opiekę. O ile jednak w dziecięctwie odwzajemniał przywiązanie ojca, teraz, zapewne d Wpływem matki i dziada, odnosić się zaczął do niego z wyraźną niechęcią, zapewne już rozumiejąc, że małżeństwo księcia przekreśliło jego widoki na przyszłość. By przywrócić dawny stosunek Włodzisław uznałby go za syna gdyby nie obawa zatargu z teściem, a także zerwania z Sieciechem, który nie zniósłby takiego wyniesienia Prawdziców ponad Toporczyków. Włodzisław zbyt dobrze znał rolę, jaką odegrał Sieciech w upadku Bolesława, by odważyć się na zerwanie z palatynem. Gdy Sieciech był nieobecny, książe burzył się przeciw niemu, zdając sobie jednak sprawę, że nie potrafi oprzeć się jego wpływowi. Czuł, że nie dorósł do władzy, której tak zazdrościł bratu. Bez Sieciecha nie wiedziałby, co z nią począć. Na dobitkę w razie powrotu Bolesława tylko w palatynie pokładał nadzieję, że się z królem rozprawić zdoła. Rozprawił się już z jego dawnymi stronnikami, ale milczenie, jakim prosty lud witał nowego pana, budziło obawę, że król znajdzie w

nim oparcie, gdyby nadszedł z węgierskimi posiłkami. Skutki bowiem buntu świeckich i duchownych możnowładców naj-ciężej odczuli bezbronni, pomni tak niedawnej świetności i pomyślności. A żyli też jeszcze tacy, którzy pamiętali reakcję pogańską i najazd Brzetysława. Udział duchowieństwa w buncie przeciw królowi i pomoc czeska w wygnaniu go budziły głuchą niechęć prostego ludu.

Nie był też Włodzisław pewny wielkopolskich i śląskich możnowładców. Potężne rody Nałęczów, Zarebów, Gryfitów, Awdańców, Rawitów, Grzymalitów i inne stały na uboczu. Tam nie sięgały wpływy Sieciecha, trudno było przewidzieć, co uczynią w razie powrotu króla. Jak długo żyje Bolesław, położenie wciąż będzie niepewne. Pozostaje siedzieć w Płocku i czekać, zdając resztę na Sieciecha.

Na nieboskłonnie rysowały się już wieże płockiego grodu i katedry, gdy na gościńcu ukazał się jezdny. Na widok nadciągającego orszaku pognął konia i gdy się zbliżył, Włodzisław poznał w nim komornika Jana Poboga. Coś musiało zajść na grodzie, skoro posyłają po księcia.

Włodzisław zaniepokoił się tak wyraźnie, że komornik dopadłszy zeskoczył z konia i nie czekając na zapytanie powiedział :

— Poselstwo od księcia Wratysława czeka na waszą miłość.

Włodzisław zmarszczył się niechętnie. Zapewne teść upomina się o daninę ze Śląska. Widząc to komornik dodał:

— Król nie żywie.

Zdziwił się, gdy książę nie rzekłszy słowa żgnął konia i wysforował się przed orszak. Wieść dla niego była niewątpliwie pomyślna, wyzbył się strachu przed bratem. Ale wszystkie skutki, jakie niosła z sobą śmierć króla, chciał przemyśleć w samotności.

Po raz pierwszy mógł je przemyśleć spokojnie. Skoro nie stało Bolesława, może bez obawy ująć władzę. Ale gdy rozważać zaczął położenie, zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Władzy, jaką miał Bolesław, nie osiągnie nigdy. On nie liczył się z nikim, ni w kraju, ni za granicą, z nim musiał' liczyć się każdy. Bunt, jaki podniesiono, skierowany był przeciw władzy króla, ceną jej obalenia było uzależnienie kraju od obcych, a księcia od możnowładców z Sieciechem na czele.

Włodzisław rozważał, jak pozbyć się tej zależności. Po chwilowej uldze ogarnęło go przygnębienie. O koronie ani mu nie marzyć, Henryk nigdy na koronację nie zezwoli. Czeskiemu teściowi za pomoc zobowiązał się płacić daninę ze Śląska. Jeśli jej odmówi, Wratysław sam zajmie tę dzielnicę. Gdyby próbował usunąć Sieciecha, przemożny pala-' tyn łatwiej jego usunie, niż to uczynił z Bolesławem. Uznania władzy Włodzisława odmówiła nawet własna jego matka. Nie wszyscy możnowładcy byli stronnikami Bolesława, ale dogodniej nikogo nie mieć nad sobą. Jak długo książę siedzieć będzie w Płocku, ni razu nie objechawszy kraju jako jego gospodarz, z nawyku uważać go będą nadal za dzielnicowego księcia. A do stołecznego Krakowa niespiesz-no mu było. Pogarda, z jaką powitała go tam matka, gdy czeskimi posiłkami zajął gród, tkwiła w nim jak cierń. Śmierć Bolesława zmieniała wprawdzie położenie, ale król pozostawił syna, do którego Dobronega była bardzo przywiązana. Gnębić ją musi tęsknota za wnukiem. Gdyby zezwolić na jego powrót, może dałaby się przejednać. Oporni straciliby pozór odmowy uznania nowego władcy.

Ale chłopcu brak już tylko dwu lat do wieku sprawnego. Jest synem koronowanego króla, jemu winno przyspaść następstwo. Jego obecność mogłaby stać się przyczyną nowego zamętu, nawet gdyby młody Mieszko sam nie upomniał się o dziedzictwo po ojcu. Wielmoże niechętni księciu, a zwłaszcza Sieciechowł, mogą nim zagrać, by umocnić swe wpływy, jak Sieciech zagrał Włodzisławem przeciw królowi.

Jeśli jednak Mieszko nie wróci, mogą nim zagrać obcy, jak ongiś Bezprymem przeciw dziadowi księcia. Węgierski Władysław, czyli, jak go zwią, Laszlo, u którego bawi Mieszko, jest wrogiem Henryka i Wratysława i ani chybi wołałby mieć na polskim tronie swego wychowanka.

Włodzisław w rozterce dotarł do Płocka i sam przed sobą przyznać nie chciał, że z ulgą dowiedział się, iż zjechał Sieciech. Jego zaradność i pewność siebie zawsze dodawała księciu otuchy. Nie myślał już o tym, jak się pozbyć pala-tyna. Komornikowi polecił wezwać go i gdy nadszedł, nie czekając na powitanie Włodzisław powiedział:

— Trzeba postanowić, co poczynać. Jedna troska ubyła, innych nie brak.

— Ostawcie je mnie. Ninie posła odprawić trzeba.

— Pewnikiem upominać się będzie o daninę ze Śląska — niechętnie mruknął Włodzisław. — Wždy jeszcześmy stamtąd ni denara nie widzieli.

— Teść wasz może na nią poczekać — kpiąco zauważył Sieciech — jeśli nie ze swojackiej życzliwości, to dlatego, że nijak mu samemu ją ściągnąć. Wesprzeć musi Henryka w jego rzymskiej wyprawie, a pod jego nieobecność na saskich ksiąząt i biskupów dawać baczenie. Gdyby indziej sił trzymać nie musiał, aniby mu pozór nie był potrzebny, żeby Śląsk zająć.

— Ale skończy Henryk z Grzegorzem i swego Klemensa na papieskim stolcu osadzi, skończy się i bunt saskich wielmożów.

—• Nie tak łatwo. Ten zawzięty staruch nie ustąpi, choćby sam ostał. Z bratem waszym w korcu maku się dobrali. Alić jego już nie masz i raniej my ład w kraju zaprowadzim.

—• Takóż nielacno. Z wielkopolskich wielmożów ni jeden na zjazd nie stanął ni hołdu nie złożył. A zechcemy ich przymusić, to znowu wojna domowa, od której sił ni powagi nie przybędzie.

— Starczy nam Awdańców kupić, reszta za nimi pójdzie.

— Kupić? Jeno czym? Więcej u nich w skrzyniach złota i srebra niżli u nas.

—• Ale łasi na godności i dostojęństwa. Od dwu lat krakowska stolica bez pasterza. Ustanowić Lamberta Awdańca biskupem, to sami zadbają o ład i bezpieczeństwo na drogach, bo i im korzyść z tego będzie.

— Jeno jakoże to uczynić, gdy kraj pod interdyktem — z powątpiewaniem powiedział ksiązę, ale Sieciech uśmiechnął się:

—' Słać nam jeno do Wigberta z Rawenny, czyli, jak go ninie zowią, Klemensa, by Awdańca na biskupim stolcu zatwierdził, a interdykt z kraju zdjął. Chciwie się tego uchwyci, bo to jakby uznanie go prawowitym papieżem.

— Iście tak — z ulgą powiedział ksiązę. — Dawno to należało uczynić.

— Wszystko czynić należy w porę. Póki sprawa niepewna była, kto się na papieskim stolcu utrzyma, dogodniej stać na uboczu. Ninie Grzegorz najważniejszego sprzymierzeńca utracił, węgierski Władysław sam na tronie niepewny, bo ani chybi Henryk poprze swego dziewierza Salomona. Jednakowoż czas nad tym uradzać, raniej wiedzieć «22»

trzeba, co pisze miłościwa siostra wasza. Wraz przyjdzie kapelan Otto, który nam pismo objaśni.

Palatyn nie zdał się przejmować zawiłym i trudnym położeniem, natomiast ksiązę, czekając na nadejście kapelana, zatopił się w niewesołych rozmyślaniach. Daleki był już od nadziei, że wobec śmierci Bolesława Sieciech przestanie być potrzebny. Bezradny się czuł i przygnębiony, a zarazem drażniło go i upokarzało, że palatyn wie o tym aż nadto dobrze.

Zamyślenie księcia przerwało wejście kapelana, ale pismo Świętosławy nie poprawiło nastroju księcia. Zaskoczyła go i niemal przeraziła wieść o przyrzeczeniu Henryka oddania Polski w lenno Wratysławowi. Sieciech natomiast mruknął uszczypliwie:

— Wrychle Henryk zabył, że gdybyśmy nie wytrącili Grzegorzowi najważniejszego sprzymierzeńca, nie on rozdawałby lenna. I praski Jaromir czy jak go zowią, Geb~ hard, też rad by krakowską diecezję do swojej przyłączył z wdzięczności za gościnę, jaką się u nas cieszył, gdy żarli się z bratem. Choćby przeto pilnie obsadzić ją trzeba. Jedną strzałą ubijem dwa ptaki, jeszcze i Awdaniec wydatków nam oszczędzi, bo własną kiesą potrzasać będzie musiał. Może go Klemens i kolektorem świętopietrza ustanowi, to sobie koszty odbije — zaśmiał się palatyn.

Włodzłław jednak nie rozchmurzył się. Rozmyślał nad radą Świętosławy, by dla przejednania matki zezwolił na powrót Mieszka. Gdy jeno mówić o tym zaczął, Sieciech przerwał:

— Przyrzec można. A pora będzie rozstrzygnąć, gdy się na stolcu umocnicie. Jedno pewne, że nam go ninie Władysław siłą nie wprowadzi, bo własnych trosk ma zadość.

Z cesarskiego poduszczenia dokonany przez Salomona zamach przeciw węgierskiemu Władysławowi nie udał się, ale zwolniony z więzienia Salomon zbiegł do Kumano w, nie mogąc liczyć na pomoc cesarskiego dziewierza, zajętego wyprawą na Rzym. Henryk jednak cel swój osiągnął, pozbawiając Grzegorza jeszcze jednego sprzymierzeńca. Władysław bowiem, zajęty zbieraniem sił dla odparcia pustoszącego najazdu pogańskiego, ledwo znalazł czas, by własną osobą donieść Wyszlesławie żalną wieść o śmierci jej małżonka.

Wyszlesława jednak otrzymała już wiadomości. Złamana siedziała twarz ukrywszy w dłoniach, a pochylone jej barki wstrząsały łkaniem. Mieszko stał nad nią milcząc i gładził jej jasne włosy. Gdy zdała się uspokajać, podjął:

— Już nie płaczcie, matko. Rodzic żyć nie chciał. Nie takiemu jak on znosić wygnanie i upokorzenia.

— Nie za nim płaczę, jeno nad nim, bo z dawna żyłam jak wdowa — odparła głosem jeszcze przerywanym przez szloch. — Nigdy nie był mój...

Urwała i dodała szeptem:

— Jeno ja jego... A ninie... Mieszko objął matkę mówiąc:

— Ninie jeno moja jesteś i jam twój.

Przytuliła syna do piersi i trzymała, jakby siła jej uścisku mogła go uchronić przed złą mocą, sięgającą po ostatnie, co miała. Nie chciała mówić, że nie tylko nieszczęsnego małżonka jej żal. Jego śmierć w kwiecie lat zdała się jej spełnieniem Stanisławowego przekleństwa. Przepowiadał, że Bóg zgładzi wyklętego wraz z jego pokoleniem. Broniła się przed przeczuciem, że i to się spełni, i zostać jej przyjdzie z pustką zupełną.

Puściła syna, gdy do komnaty wszedł Władysław i patrząc na zapłakaną powiedział ze współczuciem:

— Boleję wraz z wami nad tym, co się stało. Nie winujcie mnie, żem ustrzec nie wydolił małżonka waszego, sami wiecie, że jakoby zguby swej szukał. Ale nie zabyłem, żem mu wprowadzenie na tron dłużny. Jednakowoż sam, mało brakło, zbyłbym żywota przez zdradzieckiego Salomona, a ninie kraj mi pospołu z pogańskimi Kumanami pustoszy, - ściołów nawet nie szczędząc ni duchowieństwa. Salomona Klemens nie wyklął, bo to dziewierz cesarski, i przez niego z którym mógłbym wesprzeć prawowitego papieża, wytrącił mi z ręki. Kłatwy dla wrogów chowa. Ale przyjdzie ten czas, że się w kraju uładzę, a wonczas synowi waszemu odpłacę, com rodzicowi dłużny, i na ojcowy tron go wprowadzę.

___ NJe! — z widocznym przestachem krzyknęła Wyszesaława. Gdy patrzył na nią zaskoczony i zdziwiony, szepnęła:

_- Wybaczcie! Za samą chęć wdzięczna być muszę, jak i za wszystko, coście dla nas uczynili. Pod waszym dachem spokojniejsza mogę być o syna niżli tam...

Urwała, ale zrozumiał, czego się lęka, i rzekł:

— Iście, tu nic mu nie zagraża i rad bym go na zawždy ostawił przy sobie, bo wielce mi przypadł do serca. Sam rozstrzygnie, gdy wiek sprawny posięgnie, a przez ten czas wiele zmienić się może. Nawet tym, co króla zegnać pomogli, snadnie obrzydłą Sieciechowe rządy i zależność od wrogów. Ja nie przeczę, że wolałbym przyjaznego władcę widzieć na polskim tronie, ale uczynicie, jak zechcecie. Czas o tym myśleć.

Uścisnął Mieszka i wyszedł.

Wyszesaława patrzyła na syna, nad czymś głęboko zadumanego. Domyślała się, że tęskni za krajem i babką, do której był bardzo przywiązany, zdawała sobie sprawę, że dla swego spokoju skazać chce syna na los wygnańca bez ojczyzny. Gdy milczenie stało się nieznośne, przerwała je:

— Rzeknijże coś. Wždy o ciebie idzie.

— Ryksę z dziadem także wygnali, a wrócił — powiedział jakby do siebie.

Wyszesaława zrozumiała, o czym myślał, a Mieszko ciągnął:

— Nie o mnie jeno idzie. Ci najwierniejsi, co uszli wraz z nami, mogą powrócić. Czekają tam na nich. I na mnie czeka babka. Gdy rodzic nie żywię, już jeno do mnie ma serce.

— Ma jeszcze jednego syna. A ja jeno ciebie — stłumionym głosem rzekła Wyszesaława, ale odparł żywo:

. — Dziad wrócił bez macierzy, bo ona przyczyną była wygnania. Ty nie byłaś, matko, nie rozstaniemy się nigdy— Dziad twój wrócił, bo go wzywano, gdy kraj bez władcy łupem się stał sąsiadów. Dziedzinę uładził, ale nie przyniosła mu włość szczęśliwości, jako i nikomu. A ty cóż byś ojczyźnie przyniosła? Wojnę domową?

— Nie dla włości chcę wracać ni z obcą pomocą — odparł Mieszko w zadumie. — Wisłę chciałbym ujrzeć, nad którą z rodzicem siadywaliśmy, gdym pacholęciem był nie-postrzyżonym, z wawelskiego wzgórza patrzeć na kraj daleki, nad który nie masz piękniejszego...

Przymknął oczy, jakby przywołać chciał obrazy, do których nawykł w beztróskim dzieciństwie. Wyszesaława westchnęła. Rozumiała syna, sama nieraz myślą wracała nad błękitny Dniepr, na bezkresne stepy, kraj swej szczęśliwej młodości. Jeno on jej nie rozumiał. W nowej ojczyźnie nie zaznała ni chwili szczęścia, a nawet spokoju. I tam nie zazna go nigdy. Jeszcze próbowała przekonywać syna:

— Jakoż wrócisz bez obcej pomocy? Radziej bez oręża między zgłodniałe wilki. Nikto nie uwierzy, że nie po to wracasz, by pomsty szukać za rodzica i stryka z tronu zegnać.

— Dziad także jeno z setnią rycerstwa wrócił, ale że pomsty nie szukał, zbiegli się do niego wszyscy.

— A ty, jeśli pomoc Władysława odrzucisz, ani setni mieć nie będziesz dla własnej bezpieczeństwa. Nawet nie wszyscy, co z nami uszli, wracać będą mogli; ci najwierniejsi z wiernych, co się własnych rodów odrzekli, jako Żegota Toporczyk czy Przedśław Łabędź.

Mieszko zamyślił się i odparł po chwili:

— Może iście coś się odmieni, nim do lat dojdę. Stryk niemłody już i słabego zdrowia, a bezpotomny, komuż dziedzinę ostawi, jeśli nie mnie? Pomiar ku j e, że go z Własjawową pomocą zganiać nie zamyślam, może i sam we-7wie do powrotu.

Wyszesława odetchnęła z ulgą. Wezwania przez stryja Mieszko nie doczeka. Ale ulga nie trwała długo. Przekleństwo Stanisława dosięgło małżonka na Węgrzech. Objęła syna jakby tylko jej uścisk mógł go przed nim uchronić i rozplakała się znowu. Oddała jej pieszczotę i rzekł:

— Nie płacz, matko, oćcu tak lepiej. Ja też wolałbym śmierć, niżli wygnańcem ostać bez ojczyzny.

Wyszesława zagryzła wargi, by pohamować łkanie. Syn nie może zrozumieć, że ona wolałaby umrzeć, niż wracać tam, gdzie czeka ją tylko nieszczęście.

Na rychły powrót do kraju nie zanosilo się jednak. Węgierski król ruszył przeciw Salomonowi i zadał mu druzgocącą klęskę, po której buntownik z niedobitkami swej drużyny uszedł do Bułgarów. Na Węgrzech zapanował spokój, ale Władysław nie wspominał już o wprowadzeniu Mieszka do Polski siłą, której wiele na wyprawie wytracił. Ani mógł, ani chciał pozbywać się ulubieńca, a na zezwolenie stryja darmo Mieszko wyczekiwał.

Włodzisław siostrze odpowiedział, że nie może jeszcze zgodzić się na jego powrót, bo tylko nowy zamęt powstał-1 by w kraju, a gdyby się chłopcu coś złego przygodziło, snadnie jemu winę by przypisano. Przyrzekał jednak, że jeno się z trudnościami upora, sam go wezwać nie omieszka.

Najważniejsza teraz sprawa, obsadzenie krakowskiej stolicy biskupiej, natrafiła na nieoczekiwaną przeszkodę. Kanonik Lambert Awdaniec, wezwany przez Sieciecha do Krakowa, odpowiedział, że nie przyjedzie, bo żyć musi z rodowych majątności, gdy na skutek interdyktu i bezzrządu iura stolae i kapitulne dobra nic nie przynoszą. Może i domyślał się, po co wzywa go Sieciech, ale jak wielu innych wolał wyczekać, który z dwóch papieży weźmie górę.

Tymczasem jednak położenie Grzegorza stało się beznadziejne. Wratisław wraz z braćmi Konradem i Ottonem pobili pod Meilbergiem Leopolda austriackiego, Henryk z posiłkami czeskimi pod Wiprechtem z Grojczą zajął Rzym, znaczna część rzymskiego kleru, dotychczas wierna Grzegorzowi, sprzeciwiać się jęła dalszemu prowadzeniu wojny z kościelnych zasobów. Zdać się mogło, że nieugięty starzec zamierza się poddać, zgodził się bowiem na rozstrzygnięcie synodu, w którym Henryk miał zapewnioną większość, i wyrok nietrudno było przewidzieć.

Sieciech nie wierzył, by oznaczało to koniec walki. Póki Grzegorz żyje, pokoju nie będzie, ale wobec widocznej już przewagi Henryka chwiejniej jak piasek przesypią się na jego szalę. Jak długo zależy mu jeszcze na zjednywaniu sobie stronników, trzeba załadzić obsadzenie krakowskiej diecezji, a tym samym pozyskać Awdanów. Przez posły załatwienie mogło się przewlekać, sprawa była pilna, i Sieciech wyruszył własną osobą, zamierzając przy sposobności rozmówić się z poznańskim biskupem Frankiem w kościelnych sprawach.

Rad był, gdy po przybyciu do Poznania dowiedział się, że Lambert bawi w mieście, i jak stał udał się do dworca Awdanów na Tumskim Ostrowiu.

Lambert widokiem palatyna nie zdał się uradowany, ale gospodarzowi nie przystało wypytywać gościa, po co przyjechał. Sieciech udawał, że nie dostrzega chłodnego przyjęcia, a zaproszony na wieczerzę powiedział z uśmiechem:

— Mniemałem, że was raniej ugoszczę w mojej Mora-wicy. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, a ninie rad się pożywię po dalekiej drodze, choć prawdę rzec, nie na rękę mi była. Nie chcieliście wy do mnie, przyjechałem ja do was.

— Komu sprawa, temu droga — odparł oschle Lambert, ale Sieciech umiał powściągnąć się, gdy potrzebował. Nie dał znać po sobie, że dotknęło go zachowanie kanonika, i odparł:

— Gdyby iście tak było, ninie siedzielibyśmy pod moim dachem.

—]jje mi nie wiadomo, bym sprawę miał do was — niechętnie mruknął Lambert.

— Do mnie, nie do mnie. Jeno mniemam, że Awdanec nie po to suknię duchowną przybrał, by kanonikiem ostać do końca żywota.

— Moja sprawa — uciął Lambert, ale Sieciech podchwycił:

— Otóż to! Od śmierci świętobliwego Stanisława ze Szczepanowa krakowska stolica bez nijakiego rządu...

— Nie jeno tam zamęt i rozdrwanie, lecz w całym Koścjele — przerwał Lambert. — Króla nie masz, któremu od Chrobrego czasów służyło prawo wyznaczania biskupów. Nikt nie wie, któren papież praw, by wybór zatwierdził.

— Ninie już wiadomo. Ten papież praw, któren się w Rzymie utrzyma. Klemens siedzi w Lateranie, Grzegorz jeszcze się broni w zamku Sw. Anioła, ale trzynastu kardynałów już mu wypowiedziało posłuch, bo jeno mienie kościelne na wojnę trwoni, by pysze swjej dogodzić. Nie trzeba żyrce być, by przewidzieć, kto się na Piotrowej stolicy ostoi, a nowy papież łaskawszy będzie dla tych, co nie zwlekają z uznaniem. Jak prawią: kto późno przychodzi w gości, dla tego ostają gości.

— Czy aby pewna ta wieść?

— Gdyby pewna nie była, anibym siebie, ani was nie trudził — odparł Sieciech — ale mniemałem, że wam pierwszemu zależeć będzie, by w krakowskiej diecezji ład i spokój zapanował.

— Czemuż to mnie? Gadajmy otwarcie. Pierwsze, jakieś-cię to umyślili, bym ja biskupem ostał? Nie wiem, zali Hermanowi prawo stanowienia biskupów służy, skoro koronowany nie był, ani to pewne, zali się na tronie utrzyma, tedy przysięgi składać mu nie będę. Kapituła rozproszona.

wyboru, jaki indziej jej służy, dokonać nie ma kto, a choćby ją zebrał, nie włada, jak wynijdzie, bo jeszcze nie brak Grzegorzowych stronników. Wtóre, czego wzajem ode mnie czekacie, bom też nie dzisiejszy i wiem, że nie z przyjaźni ku mnie się trudzicie.

— Iście tak, jeno że od przyjaźni pewniejsza pospólna korzyść. Gdy wy będziecie pierwszym kościelnym dostojnikiem, ja zasię świeckim, nie wróci już to, co za Bolka bywało, że przed samowolą jednego człeka nikt mienia ni żywota pewny być nie mógł. Po tośmy króla zegnali, by Kościół swymi prawami mógł się rządzić i nam ich nie odmawiano.

— A Stanisław ze Szczepanowa żywot za to położył — powiedział Lambert w zamyśleniu, ale Sieciech odparł drwiąco:

— Warn taniej przyjdzie rządzić się, bo Herman to nie Bolesław. Byle w zgodzie z nami, to, co minęło, nie wróci.

— I wam taniej przyszło. A jeszcze arcybiskupem Bogumił, od czasu zasię chrztu Gniezno było metropolią.

— O Bogumiła się nie troszczcie, poręczam, że się nie najdzie. Gnieźnieński Pietrek Bróg paliusza nie ma, na kościelnych sprawach się nie wyznawa ni o nie nie dba. Krakowski zasię Aaron arcybiskupem był i jeno przez niedbalstwo mego krewniaka Suły metropolia nie ostała przy Krakowie, bo nawet Stanisław bullę miał na krakowskie arcybiskupstwo.

— Jeno że fałszywa była — wtrącił Lambert, ale Sieciech ramionami wzruszył:

— Lepsza fałszywa niżli żadna, a zatwierdzi ją wam Klemens, to będzie prawdziwa. Wasza rzecz o to zabiegać, skoro was ksiązę biskupem ustanowi, a chcecie wyboru, po-kojni bądźcie, że z gregoriańskich kanoników nie przybędzie ni jeden, a nowych się ustanowi. Mniemam, żeśmy się porozumieli, tedy zbierajcie się do Krakowa, bo zadość było przewłoki, a stamtąd już do Rzymu, kuć żelazo, póki gorące.

Juści zrozumiałem, czego ode mnie czekacie — odparł mbert — Jeno jeszcze nie pytaliście, czego ja wzajem od Nie będę jak byle pleban na kościółku Sw. Michała 'edział, bo to powagi nie dodaje, a katedra po dziś dzień nie odbudowana.

— O to nie będziem się tarzyć, choć gdy diecezję uładzicie, i wam nie braknie zasobów.

— Tym ci łacniej, gdy mi prawo bicia monety będzie przyznane.

Gdy Sieciech zmarszczył się, kanonik dodał: — Chyba nie dziwne, że domagam się tego, co i wam służy Sieciech dobrze rozumiał, że Lambertowi nie o zysk jeno chodzi. Ale chciał kupić Awdańców i odparł wymijająco:

— Mniemam, że ksiązę Włodzisław zgodzą się, gdy mu hołd złożycie.

— Ninie chciałbym waszej poręki, skoro się między sobą układamy.

— Niechaj będzie — powiedział Sieciech ukrywając złość.

Jeszcze się musi liczyć z możnymi rodami, dbać o przychyłność Wratysława i Henryka, zastłaniać się Włodzisławem w swych poczynaniach. Ale wiedział, że wielkiego celu nie osiągnie niecierpliwością. Króla, najważniejszą przeszkodę w drodze do niego, już usunął, Włodzisław, tymczasem jeszcze potrzebny, chorowity jest i bezdzietny, jeśli nieprawego syna nie liczyć. Dla wszelkiej pewności odda się Zbygniewa w mnichy.

Palatynowi przyszedł na myśl Mieszko. On też stać się może poważną przeszkodą. Trudno zgadnąć, co z niego wyrośnie, ale czas o tym myśleć. Rozważał jednak, czy lepiej, by siedział na Węgrzech, czy też mieć go pod ręką w kraju. Ale i to niepilne, węgierski Władysław zadość ma własnych trosk, by się rychło mógł wdać w polskie sprawy.

Rozmowa przy wieczerzy nie kleiła się, gospodarz i gość zajęci byli własnymi myślami. Dumę Sieciecha dotknęło, że Awdaniec chce mu być równym. Nie ma ni półtora wieku, gdy przodek jego rodu przyszedł tu jeno z mieczem a Starze władali u Wiślan, gdy o Piastach jeszcze nikt-nie słyszał. Teraz wędnie ostatnia ich, marna i jałowa la, torośl.

Po wieczerzy Sieciech pożegnał się rychło, upominając Lamberta, by nie zwlekał z przyjazdem do Krakowa, dokąd sam pospiesza, by sprawę wyboru przygotować. Nie spodziewał się większych trudności, postara się, by kanoników którzy wyborowi mogą być przeciwni, na kapitule nie by!0'

Zgorzkniały i ociążały Mikołaj Bończa ożywił się, gdy przybył posłaniec od bratanka, Dobiesława z Sulikowic z zaproszeniem na weselisko i prośbą o pobłogosławienie związku z Miłosława z domu Ostojów. Droga była daleka, ale Mikołaj ani mógł, ani chciał odmówić. Rzadko widywał jedyne go bratanka, który ł w domu nieczęsto poświecił, jak wielu innych towarzysząc królowi w ustawicznych wyprawach. Najlepiej pamiętał go wyrostkiem wesołym i rozhukanym. Ostatni był z rodu, z trzech synów starego Mierzba dwóch młodszych przywdziało suknie duchowne, najstarszy, Bogusław, zmarł, spłodziwszy jedyne go syna. Od powrotu z kijowskiej wyprawy kanonik nie miał o nim wieści i lękał się, że zginął w zamęcie bratobójczych walk lub tuła się gdzieś na obczyźnie. Toteż wieść, zwłaszcza o zamierzonym związku, uradowała go, wskrzeszając nadzieję, że odrodzi się pokolenie Mierzba. W ponurym Krakowie nie miał nic do czynienia, toteż wyruszył nie mieszkając i w pogodny zachód jesiennego już dnia ze wzruszeniem ujrzał znany od dziecięcych lat dworzec w Suliko-wicach. Niższy jeno zdał się niż ongiś, bo otaczające go drzewa, stare jak on, jeszcze się rozrosły, a dworzec jakby przysiadł.

Gdy wóz wjechał na obejście, pierwsze oznajmiły go ujadaniem psy, ale zaraz na, podcień wybiegł gospodarz, spiesząc powitać stryja i dopomóc mu wysiąść z wozu.

Wzrostu był średniego, ale zdał się wyższy, niż był, szczu-j " ieno w barach szeroki i ruchliwy, choć już nie pierw-j młodości. Gdy zasiedli w świetlicy, wołał na dziewczki o wieczerzę, a kanonik rozglądał się po znanych ongiś kątach i nachodziły go wspomnienia. Nic się nie zmieniło, czas jakby stanął, bo nawet Dobiesław tak przypominał ojca, że Mikołaj omal nie pomylił imienia, zwracając się do niego:

— Ani wiesz, Dobku, jak rad cię widzę. Zda się wczora, gdym rodzicowi twemu družbował. Uwierzyć trudno, że wszystko tu jak było i tyś się nalazł po onej zawierusze. Lękałem się, że na mnie skończy się Mierzbowe pokolenie. W tobie nadzieja rodu.

Dobiesław zaśmiał się beztrasko i rzekł: __. Ani wiecie, jakim rad ją spełnić. I wam, stryku, z serca rad jestem, nie jeno przeto, że mi do tego pomożecie. Widząc zdziwione spojrzenie Mikołaja dodał:

— Prawie mówię. Stary Scibor Ostoja z Radzimina nijak córy wydać nie chce bez kościelnego błogosławieństwa, bo jako nauczał biskup Stanisław, związek bez tego nieważny. Zasię płocki biskup udzielać go zabronił, że to interdikt nad krajem. Czekać przykazuje, aż wróci poselstwo, jakie słać mają do nowego papieża z prośbą, by go zdjął. A mnie czekać ni pora, ni ochota, nim poselstwo wyjedzie a wróci, ja bym chrzciny odprawić wydolił i tak pomyślałem, że wy się z płockim biskupem liczyć nie będziecie.

— Ni z nim, ni z onym samozwańczym papieżem — po-pędliwie odparł Mikołaj. — Ale ty praw, jakoś się uchował. W Bolesławowej drużynie byleś, że cię to Sieciech w pokoju ostawił.

— Byłem. Od wyrostka nawojowałem się zadość. Pokąd z wrogiem była sprawa, nawet po sercu mi wojaczka; i po kiesie, bo z łupów i nadań mienia przybywało. Ale w takowej wojnie, co się od swarów króla z biskupem zaczęła, ni zysku, ni sławy. Możem za głupi, by wiedzieć, któren był Praw. Ale dać się zabić, to wiedzieć, za co. Nie wiem, co *32*

3 — Przekleństwo «33»

robić, to nic nie robię. Przycupnąłem na uboczku, pokąd się burza nie przewali, i takem się uchował.

— Ja takoz nie wiem, któren był praw, zda mi się, żaden. Wszelki ład ninie zwywracano, bo się prawego papieża sądzić zbierają.

— Na tym ja się nie wyznawani, jeno wiem, że jakowaś właśc musi być, bo lepszy zły rząd niżli żaden. Z zamętu jeno łotrom korzyść i wrogom, toteż szarpia nas ninie ZQ wszech stron. Ale niechaj się w kraju uspokoi, przypomnimy, że tu nie rozgrodzone poletko, które każda świnią zbuchtuje.

— Właść musi być! — chmurnie powtórzył kanonik. •— A króla zegnali i za to biskup Stanisław żywot położył, by się Sieciech panoszył.

— Jam mu nie druh, ale co się stało, to się nie odstanie. Król nie żywie, Włodzisław niezdały jest, jak nie kaszle, to się modli, ale nawet prawego potomka wymodlić nie wydolił. Widno Piastom, na koniec przyjdzie. Tedy dobry i Sieciech, bo co by o nim nie rzec, mąż jest jak się patrzy.

— Jest jeszcze Mieszko po Bolesławie — powiedział Mikołaj w zamyśleniu. — Jeno mu Włodzisław wrócić nie zwala.

— Ba! Żeby wrócił! Wdałe chłopię jak rzadko. Ale nie-żrały jeszcze, a nam czekać nie pora, boby nas somsieđzi zjedli. Niczego nie uradzim. Nie masz króla, Włodzisławowi posłuch dłużnym. A że się Sieciechowi powodować niechał, też jego, nie moja sprawa. To jedno wiem, że ze swoimi bić się nie będę, choćby rni sam diabeł przykazawał.

Rozmowę przerwało wejście dziewczek z wieczerzą, a potem potoczyła się już tylko o zamierzonym związku, ale niedługo, bo kanonik zdrożony był, a nazajutrz ruszyć mieli do Radzimina na weselisko.

I niecha — tu: pozwala Uroczystości i obrzędy weselne przeciągnęły się przez ty-1 ień, po czym młodzi wraz ze stryjem ruszyli w powrotną, g., Miłosława przypadła Mikołajowi do serca, ale mimo 'e go oboje zatrzymywali w gościnie, wymówił się sprą? nii nie chcąc im przeszkadzać w pierwszym okresie po-• ia choć prócz samotności nic go nie czekało w Krakowie. Żegnał ich błogosławiąc, ale przyrzekał zawstydzonej Miłosławie, że przyjedzie na chrzciny, żywi przeto nadzieję, że się rychło znowu zobaczą.

Nie spiesząc się wracał w pogodniejszym nastroju; co z burzy ocalało, zbiera się do życia. Spotkany jednak w go-SDodzie u przeprawy w Czerwieńsku kanonik Mszczuj Jastrzębiec zburzył pogodę znowu. Zaledwie się powitawszy, powiedział zgryźliwie:

— Nie macie po co spieszyć do Krakowa. Już mamy nowego biskupa.

Zdziwiony i zaskoczony Mikołaj patrzył na Mszczuja pytająco, a ten ciągnął:

— Może i lepiej dla was. Gdy nie było biskupa, wam jako dziekanowi przystało kapitułę zwołać, a widzę, że nawet o tym nie wiecie. Mnie ni brata mego także nikt nie uwiadamił, że Włodzisław Lamberta Awdańca biskupem mianował i przez kapitułę zatwierdzić niechał. Z przypadku się zwiędziałem i zmiarkowałem, że się coś nieszczerego kroi. Tedy się zebrał, ale w porę nie pośpiałem.

W porywie gniewu pięścią wyciął w stół i niemal krzyknął:

— Nie dojechałem, bo mnie w drodze pojmano. Mniemałem, że zbóje dla okupu, ale gdym o tym gadać próbował, jeno się śmiali. Przetrzymani mnie w leśnej budzie przez niedzielę i puścili. Nie wiedziałem, co to znaczy, alem się dowiedział: z kanoników, co z królem trzymali, ni jednego na wyborze nie było. Lamberta Awdańca biskupem uznali i niechał — tu: polecił «34»

i zaraz do Rzymu ruszył po zatwierdzenie, a jako wiecie, ninie tam antypapa Klemens siedzi. Mikołaj, który słuchał zadumany, teraz odezwał się:

— Dziwne mi to. Wždy i Awdańce z królem trzymali. Za Lambertem sam bym głos oddał, bo człek jest rozsądny, na Zachodzie kształcony. Nic bym nie miał przeciwko niemu, gdyby go po prawie ustanowiono i prawowity Ojciec Święty zatwierdził.

— Trzymali z królem, pokąd był król — przerwał Mszczuj — a na godności zawždy byli łasi, radzi wynieść się nad innych. Ani chybi już się z Sieciechem zwąchali, jednej maści konie.

— Nie jednej — powiedział Mikołaj w zamyśleniu. — Może to i lepiej, że kaźden ciągnąć będzie w swoją stronę, boby już żadnej nie było tamy Sieciechowej samowoli. I nie to złe, że znowu pasterz będzie w osieroconej stolicy, jeno że się odstępstwa mnożą.

— Mniejsza mi troska o Rzym niżli o nas. Niechaj jeno Mieszko wróci, zegnamy Sieciecha wraz z jego kukłą i po-ciotkami.

Gdy Mikołaj nie odezwał się, Mszczuj zapytał gniewnie:

— A może wam i Sieciech po myśli, skoro się Lambert podoba?

— Nie mieszałem się do sporów króla z biskupem. Tyle z nich wyszło, że obydwa głowy dali, a kraj upadkiem przypłacił. Nie daj Bóg, by się to powtórzyło. Ninie nam ład i spokój najpotrzebniejsze, za jedno, kto go zaprowadzi. Nie wiem, zali Mieszko wróci, ale może i lepiej, by nie wracał, jeśli z tego zasię wojna domowa ma wyniknąć. Dopiero po jednej prości ludzie oddychać zaczęli. Oto ja wracam z weseliska mojego bratańca. Ostatni z rodu, dawno mu pora była małżonkę pojąć, a nie było jak, bo się ukrywać musiał, by do bratobójczej walki ręki nie przykładać.

— Dobrze wam tak gadać — opryskliwie przerwał Mszczuj — skoro wasz brataniec pokojnie o ród zadbać może. Ale moi wszyscy siedmiu wiary do końca królowi «36»
, *rzymali i wraz z nim na wygnanie iść musieli, mienia wyzbyci.

Mikołaj słuchał z widoczną przykrością i odparł niepewnie:

— Włodzisław ponoć siostrze przyrzekł, że na powrót Mieszka zwoli, gdy się w kraju uładzi. Tedy i wasi bra-ciankowie wrócić będą mogli. Książęciu też pokój potrzebny i pewnikiem mienie im przywróci, by go kupić. Może j Mieszka, jak jego dziada, wygnanie umiaru nauczy i cierpliwości, by do właści się nie rwać, skoro mu bez walki przypadnie, gdy Włodzisław zejdzie bez prawego potomka.

- Jeno że są tacy, co na to czekać nie mogą. Strzemień-czyki zawždy z Sieciechami koty darli, nie ostoją się, pokąd on się panoszy. A Mikołaj z Zębocina nawet małżonkę porzucić musiał. Któże o jego ród ma zadbać? Pachołkowie? A komu pokój potrzebniejszy niżli prawowity ład, na Bożej roli go najdzie, bo tu go nie będzie.

— Iście pora mi — powiedział Mikołaj przygnębiony. — Starym, nie takowe czasy pomnę i do nowych jam już nie-zdały.

Martwy spokój panujący na krakowskim grodzie zmaćił posłaniec z wieścią, że z dalekiego Rzymu nadciąga nowy pasterz diecezji.

Wieść zbudziła, z odrętwienia także kanonika Mikołaja. Jako dziekanowi kapituły przystało mu uroczyście powitać nowego biskupa. Jeśli to jednak uczyni, tym samym uzna ważność wyboru i zatwierdzenia godności przez antypapę Klemensa. Jeśli nie, podtrzyma rozdziwienie, które już tyle szkód przyniosło, a sam popadnie w zatarg z człowiekiem, dla którego wiedzy i rozumu żywił uznanie.

Gdy stał u wrót kościółka Sw. Michała na czele kanoników, w sumieniu nie był jeszcze pewny, czy nie ustąpił jeno dla własnego spokoju.

Bystry Lambert wyczuć musiał tę niepewność, wyszedł-

r szy bowiem po krótkiej modlitwie z tymczasowej katedry, zwrócił się do Mikołaja:

— Pójdźmy, bracie, przejść się przed wieczerzą. Zda się rozprostować kości po dalekiej drodze, a pogadać chciałbym z wami.

Skierowali się ku urwisku, skąd w pogodny wiosenny przedwieczerz rozpościerał się daleki widok ku lesistym wzgórzom za myślenicką broną. Biskup przez chwilę stał w milczeniu, jakby sycąc oczy pięknem. Po dłuższej chwili zaczął:

— Nie moja rzecz sprawiać się. Jeśli to uczynię, to dla spokoju waszego, a może i mojego sumienia.

Gdy Mikołaj nie odezwał się, ciągnął:

— Nie tajne mi, żeście mimo interdyktu nie poniechali służby Bożej ni udzielania świętych sakramentów. Nie czynię wam zarzutów, ale rozumiem, co to oznacza. Nie zaprzeczycie też swych wątpliwości, czy uznać we mnie prawowicie ustanowionego pasterza.

Gdy Mikołaj milczeniem zdał się potwierdzać, Lambert podjął:

— Wiem, człek z was czestny i sumienia jeno słuchacie. Nie byłem i ja wolny od wątpliwości, zali nie o godność mi jeno chodzi, a nie o dobro Kościoła i pospólne, zali mam przyjąć ją i o zatwierdzenie zabiegać u papieża Klemensa...

— Antypapy! — wtrącił Mikołaj. — Włodzisław także samozwańcem jest, nie jemu stanowić biskupów; a jeśli i z wyboru, czego u nas nie bywało, to może wiecie, że Sieciech pojmał tych, co wam mogli być przeciwni.

— A jakoż i kiedy osierocona diecezja winna być obsadzona? — zapytał Lambert.

— Gdy prawowity następca króla władę obejmie, a prawowity Ojciec Święty wskazanego przez niego biskupa zatwierdzi. Tak od Chrobrego czasów bywało —• odparł Mikołaj.

— Bogdaj się wróciły. Ale żyjem dziś, a nie wczora. Ni «38»

i ni Kościół dłużej bez jakowejś właści, prawej czy 'eprawej, ostawać nie mogą, boby do ostatniego przyszły upadku. Ja i ród mój dotrzymaliśmy wiary królowi, pokąd nie zbył żywota. Dotrzymalibyśmy jego dziedzicowi, jeno ze nieźrały i nie masz go w kraju. I wiecie, że vae regni, cuius rex puer *. A prawowity Ojciec Święty? Chrystus rzekł: „jedna ma być owczarnia i jeden pasterz”. Któże rozłam spowodował w chrześcijaństwie ł po co? Grzegorz, o władzę nad tym światem. Gdy niemieccy książęta po śmierci Rudolfa królem przeciw Henrykowi wybrali Hermana z Luksemburga, przysięgi posłuszeństwa od niego za-żacili. A wždy Pan nasz powiedział: „królestwo moje nie jest z tego świata”. Odrzucił pokusę, gdy Mu je ofiarował szatan. A Grzegorz o nie wszczął walkę.

— Ale Ojca Świętego jeno Bóg sądzić jest władny —
cicho powiedział Mikołaj.

— Czemuż tedy Grzegorz na sąd się zgodził synodu biskupów? A gdy pomiarkował, że nie wygra, pojmał w drodze tych, o których wiedział, że będą mu przeciwni. Sie-ciechowi za złe to macie, a jemu nie? Wždy wszyscy jedną miarką mierzeni być winni.

Gdy Mikołaj milczał, Lambert podjął:

— Nie taję jednakowoż, że jeszcze i w drodze do Rzymu sam miałem wątpliwości, alem sobie rzekł, niechaj rozstrzygnie Opatrzność; następcą św. Piotra jest biskup rzymski. Którego na stolicy zastanę, u tego zabiegać będę o zatwierdzenie. I rozstrzygnęła: w przeddzień mego przybycia ten sam lud rzymski, z którego poręki Grzegorz pasterzem ostał, bramy otwarł Klemensowi. W święto Michała Archanioła byłem w Lateranie przy jego koronacji. A cóże Grzegorz uczynił? Wezwał Roberta Guiskarda z jego nor-mańskimi zbójami. Tyle zdziałali, że złupili miasto i uszli przed Henrykiem do Salerno, a Grzegorz wraz z nimi. Nie l v a e regni, cuius rex którego królem jest chłopiec puer biada królestwu, wróci nigdy, bo odstąpili go już wszyscy. Nijaki to pasterz, co zgrają wściekłych psów na swe owieczki szczuje. Tedy uczynił, jak postanowiłem: zyskałem u papieża Klemensa zatwierdzenie godności i zdjęcie interdyktu. Czas wziąć się do pracy duszpasterskiej i mniemam, że was przy tyrji nie braknie.

— Mikołaj jednak powiedział:
l — Nie poniecham pracy ninie, jako i raniej nie poniechałem, bo za nic mi interdykt antypapy; a Mieszko może wrócić; cały kraj czeka na niego. (

— Nie łówmy ryb przed niewodem. Bóg da, że obędzie się bez nowego zamętu, bo Włodzisław nie ma prawego dziedzica.

— Nie ma i nie wiada, zali mieć będzie. Lata minęły od zawarcia onego związku z Judytą, a owoców jego nie widać. Ale Sieciech już ninie władzę pochwycił. Gdyby Włodzi-sława nie stało, nigdy Sieciech Mieszka nie dopuści.

— Wiem, że wysoko mierzy. Ale nie zwolimy, by się Starze nad wszystkich wynieśli. A i z tych, co króla zegnać pomogli, niejeden ninie żałuje, bo łacniej znieść królewską samowolę niżli równego sobie.

— Tedy wojna domowa. Wymóc należy na księżęciu zgodę na powrót bratańca. Gdy Mieszko będzie w kraju, łacniej znajdzie popleczników niżli Sieciech, nie zwoła już wygnąć prawego dziedzica.

— Przybędzie Włodzisław na moją konsekrację, zjadą Franko poznański, Marek płocki i Piotr wrocławski, wielu świeckich dostojników takóž. Pora będzie z książe-ciem o tym gadać. Ninie kościelne sprawy nam uładzić, a pirwe katedry odbudowę, której Bolesław poniechał przez one nieszczęsne spory ze Stanisławem. Czas odrobić ich skutki.

Na zjeździe konsekracyjnym nie było jednak sposobności, by sprawę powrotu Mieszka poruszyć. Domyślano się jedy«40»

•e stara księżna mówiła o tym z synem, ale daremnie "•dno bo Włodzisław, natychmiast po kościelnych uroczy-łoseiach zbierając się do wyjazdu, nie pożegnał się nawet 5 matką. Rozmowa z nią musiała nie być miła. 2 O sprawie tej natomiast wiele mówili między sobą przybyli na zjazd dostojnicy, zdziwieni, że książe jakby i przed imi uciekał, bo nawet nie skorzystał z obecności śląskich i wielkopolskich wielmożów, by od nich hołd i przysięgę wierności odebrać, zalecając im jedynie stawienie się w tym CP!U w Płocku. Podrwiwano nawet, że bez Sieciecha, którego na zjeździe nie było, nie waży się niczego postanowić, ale jawne się stało, że nawet dawni przeciwnicy Bolesława życzą sobie powrotu jego dziedzica w obawie, by w razie bezdzietnego zejścia Włodzisława Sieciech wprost nie sięgnął po berło.

Na takie zamiary zdał się wskazywać i dalszy krok, jaki uczynił w tym kierunku. Dwunastoletniego już Zbygniewa odebrał Prawdzicom i odesłał do szkoły diecezjalnej w Krakowie, jaką świeżo założył Lambert w trosce o wychowanie duchowieństwa, którego brak dał się dotkliwie odczuwać. Kanonik Mikołaj przyznać musiał, że prawnie czy nieprawnie ustanowiony, nowy pasterz umiejętnie i skutecznie usuwać jął zaniedbania. Ruszyła odbudowa katedry, na którą znaczne zasoby zdołał wydobyć od księcia, uzupełnił rozproszoną kapitułę, ściągając jął dziesięciny i uruchomił mennicę. Prawdę mówił Dobek, że lepsza zła władza niżli żadna, bo Sieciech powściągnąć potrafił niszczące najazdy pomorskie, ale twardą jego rękę czuć było i w kraju. Przeciwnicy palatyna, jeśli nie poszli na tułaczkę, przycichli w oczekiwaniu na odmianę, nadzieję jej wiążąc z powrotem Mieszka. Włodzisław jednak uporczywie odmawiał zezwolenia, mimo że liczył już lat czterdzieści cztery i często zapadał na zdrowiu, a związek jego nadal pozostawał bezdzietny. Gdyby zmarł, groziło to wznowieniem dopiero

wygasłego zamętu. Mieszko osiągnął już wiek sprawny, w razie śmierci stryja ani chybi sięgnąć zechce po należne mu dziedzictwo z pomocą węgierskiego krewniaka, a rówaje niechybnie napotka na opór Sieciechowego stronnictwa i zewnętrznych wrogów.

Z krakowskiego zjazdu wrócił Włodzisław zgorzkniały i przygnębiony. Matka nazwała go bratobójcą, wyrodkiem i przywłaścicielem. Do Radzanowa nie mia! po co jechać, czekały go tam tylko wyrzuty, że zezwolił Sieciechowi zabrać Zbygniewa i przeznaczył go do stanu duchownego. Władza przyniosła mu jeno troski, upokorzenia i zgryzotę. Czuł ogólną niechęć i lekceważenie, nawet wśród dawnych przeciwników Bolesława. Spodziewali się widno, że z chwilą jego śmierci książę usunie Sieciecha, a przynajmniej powściągnie jego nadużycia. Nie tylko tego nie uczynił, ale jakby śmierć króla zerwała ostatnią tamę chciwości i żądy władzy palatynia. Po wygnaniu Bolesława początkowo pokrzywdzeni próbowali szukać u księcia sprawiedliwości. Teraz i tego poniechano, nie wiedział nawet o sprawkach pa-latyna, natomiast świadomy był, że jego za nie obciążają odpowiedzialnością.

W poczuciu samotności szukać jął zbliżenia z małżonką. Łączył ich wspólny los, a ułatwiało je zerwanie z miłośnicą. Wspólną też była troska z powodu przedłużającej się bez-dzietności. Zjawienie się dziedzica nadałoby panowaniu Włodzisława cechę trwałości, wypełniło pustkę serca, a odsunęło groźbę ze strony Wratysława.

U pobożnej i uległej Judyty książę znalazł to, czego mu brakowało. Zdała się nie pamiętać jego wiarołomstwa, ale mimo woli i ona okazała, że jego wini za nadużycia Sieciecha. Gdy na wielkanocnym zjeździe Włodzisław wyprawił ucztę dla przybyłych dostojników, księżna zjawiała się na niej bez żadnych klejnotów. Książę, który, nie mogąc inaczej, wystawnością próbował podnosić swą powagę, patrzył na to z niechęcią, a gdy zostali sami, zapytał:

— Czemuż to ukazujecie się bez nijakich ozdób, jak mał-

«42»

hvle włodyczki? Nie przystoi to książęcej i proszę, or Lv się więcej nie powtórzyło. Judyta zmieszała się widocznie i odparła ze łzami Wybaczcie! Choćbym rada, nie mam już żadnych kanaków *•

- Jakoże? Wždy i w wianie były, i ja oprawę dałem, na co mnie wonzas stać było.

Przedałam — rzekła opuszczając oczy.

Gdy zdziwiony i zaskoczony patrzył pytająco na małżonkę, ciągnęła:

— Sieciech wolnych chrześcijan zaprzędaje /ydowmom. Na wykup za nich to poszło, bo lękam się, że ich to przekleństwa przyczyną, łże Bóg odmawia ubłogosławienia potomstwem naszego związku.

Teraz książę zmieszał się i rzekł niepewnie:

— Nie wiedziałem. Ninie wglądnę w tę sprawę, a wam każę wydać ze skarbcza, co księżnej mieć przystoi.

— Nie to najpilniejsze — odparła. — Jeśli ninie stać was na to, niechajcie2 zlecić dzieciątko odlać w złocie i świętemu Idziem posłać z prośbą o wstawiennictwo, jak z dawna radził biskup Franko.

— Obaczę, co się da zrobić, bo i poselstwo niemało kosztuje — powiedział książę i wyszedł, rad skończyć rozmowę. I własna małżonka daje mu odczuć zależność od palatyna. A skarb jeszcze chudy i nie brak pilnych wydatków.

Postanowienie księcia przyspieszyły wieści, jakie nadeszły z Zachodu. Na zjeździe z przeciwnikami w Moguncji cesarz Henryk dał Polskę w lenno Wratysławowi i zezwolił mu na koronację. Nawet wśród dawnych przeciwników króla wieść ta wywołała wzburzenie. Zachodziła obawa, że Wratysław zechce siłą swych rzekomych praw dochodzić. Owoce buntu, który wzmocnić miał wpływy możnowład*kanaków — klejnotów 2 niechajcie — tu: kaźcie ców, zbierze rzekomy sprzymierzeniec. Teraz Judyta nie musiała nawet przekonywać małżonka, że Wratysław nie zechce swego wnuka pozbawić dziedzictwa. Nie radząc się nawet nieobecnej palatyna i mimo zimowej pory książę wysłał kapelana Judyty, kanonika stobnickiego Piotra, z bogatymi darami i pismem do opata Odyłona w St. Gilles z prośbą, by modły zarządził do św. Idziego o orędownictwo u Boga dla zdjęcia z księżnej hańby bezpłodności *.

Sieciechowi natomiast bynajmniej nie był potrzebny następca Włodzisława, który mógł się jedynie stać nową przeszkodą w jego zamiarach. Miał przy tym dokładniejsze wieści o przebiegu spraw na Zachodzie i nie lękał się zbrojnego najścia Czechów.

Zjazd bowiem przeciwników w Moguncji nie tylko nie doprowadził do ugody, ale rozognił jeszcze przeciwieństwa. Przywódca gregoriańskich biskupów, Gebhard z Salzburga, zażądał od cesarza, by uzyskał od Grzegorza zwolnienie od klątwy, gwałtownie wystąpili przeciw temu Wernher mo-guncki i

Konrad z Utrechtu. Jednocześnie zmienni rzymianie wygnali z miasta Klemensa, który przeniósł się do swej Rawenny. Synod jego zwolenników w Moguncji wyklął gregoriańskich biskupów, przywracając w Niemczech nabożeństwa i nowymi ludźmi obsadzając ich diecezje, z których się biskupi na przemian wzajem wypędzali. Zamęt w Niemczech nie pozwolił cesarzowi ni Wratysławowi poświęcić sił i uwagi sprawom Polski.

Poselstwo Włodzisława jeszcze było w drodze do Prowansji, gdy u małżonka zjawiała się Judyta. Omawiał właśnie z palatynem położenie. Zachodziła obawa, że teraz, po śmierci papieża Grzegorza, cesarz opanuje położenie w Niemczech, a zwolniony od popierania go Wratysław może zacząć dochodzić swych rzekomych praw do Polski. Tymczasem jednak książęta sascy, którzy poddali się na wieść o śmierci papieża, jesienią zbuntowali się znoGali Anonim, Kronika polska, Ks. I, ust. 30. +44».

w Saksonii i Bawarii wybuchło powstanie i Henryk swym czeskim popiecznikiem zadość mieli innych wu, wraz Ujrzawszy palatyna, księżna chciała się cofnąć. Sieciech dzij w niej zawsze odrazę i lęk, których nie umiała ukryć. Wiedział o tym i odplacał jej lekceważeniem. Widząc jej ruch powiedział drwiąco:

Zechciejcie ostać, miłościwa pani. Pewnikiem to, co macie rzec małżonkowi, ważniejsze niżli sprawy, które omawiamy. Tedy wyjdę ja.

Judyta przybladła, ale odparła z godnością:

_ Nie wtajemniczacie mnie w te sprawy, tedy nie wiem, co ważniejsze. Jeno że to, co ja mam rzec małżonkowi, on pierwszy winien usłyszeć.

Zaczekała, aż za palatynem zamknęły się drzwi. Wyszedł z ociąganiem, dość bowiem bystry był, by się domyśleć nowiny, choć zdała mu się nieprawdopodobna, a dla jego zamierzeń niekorzystna. Wkrótce sprawa dla nikogo nie była tajemnicą. Księżna była w ciąży.

Włodzisław zarządził modły, zarazem dziękczynne, jafe i na intencję pomyślnego rozwiązania oraz by spodziewany potomek był chłopcem. Radość jego jednak mącić zaczynał niepokój. Księżna źle znosiła ciążę, doświadczona Bożeciecha nie tała, że obawia się poronienia, i książę nie ruszał się z Płocka, niecierpliwie licząc dni do rozwiązania.

Nadeszło pośrodku skwarne lato, które do reszty wyczerpało położnicę. Poród był ciężki, przez dwa dni i dwie noce cały dwór żył w napięciu między nadzieją a trwogą. Włodzisław z czerwonymi od bezsenności oczyma krążył między katedrą, w której bez przerwy zanoszono modły, a babiniec, gdzie jednak nie wpuszczano nikogo z mężów. Ślubował zbudować kościół w Krakowie ku czci świętego Idziego, jeśli tylko dopełni swego orędownictwa. Wreszcie trzeciego dnia o świcie w gwar budzących się ptaków Wmieszało się kwilenie niemowlęcia. Wyczerpany bezsennością książę zadrzemował leżąc krzyżem w kościele, gdy trącać go jęła Bożeciecha. Dźwignaj się patrząc na nią i nie mając odwagi zapytać. Zauważyła jego spłoszone spojrzenie i szepnęła:

— Pokojni bądźcie, miłosiwy panie. Małżonka powiła wam syna.

Zerwał się, chcąc biec do położnicy, Bożeciecha jednak uchwyciła go za rękę:

•—• Nie teraz. Judyta bardzo jest słaba. Radziej pomódlcie się za jej zdrowie, bo ninie cienko przedzie.

Znowu przez szereg dni Włodzisław żył między nadzieją a trwogą. Bezpośrednie niebezpieczeństwo wreszcie minęło, choć Judyta była cieniem hożej ongiś niewiasty. Księciu, który w ostatnich czasach zbliżył się do małżonki, mąciło to radość ojcowską. Szczęściem chłopczyk chował się zdrowo i czas było pomyśleć o dopełnieniu ślubu, a w tym celu o wyjeździe do Krakowa. Z pewnym niepokojem myślał o spotkaniu się z matką, żywił jednak nadzieję, że Dobro-nega da się nakłonić do przyjazdu do Płocka, by poznać i powitać nowego wnuka, który w ojcowych oczach nie miał sobie równego. Oznaczałoby to zgodę z synem, a starej księżnie pozwoliło zapomnieć o Mieszku, którego nie widziała od lat.

Włodzisława gnębiła pogardliwa niechęć matki, ale miał i ważniejszy powód, by starać się ją przejednać. Henryk niemal w tym samym czasie, gdy urodził się mały Bolesław, poniósł klęskę pod Pleichsfeld. Węgierski Władysław zyskał wolną rękę, której teraz może dołożyć, by się o prawa Mieszka upomnieć. Temu niebezpieczeństwu mogłaby zapobiec stara księżna, mając wpływ na wnuka, a także na węgierskiego krewniaka, który przez lata pod jej opieką chował się w Krakowie.

Chciał też książę spotkać się ze Zbygniewem. Ten dorastający już, a odsunięty syn nie ucieszył się zapewne urodzeniem przyrodniego brata. Zjednać go dla niego będzie trudno, Włodzisław jednak chciał przynajmniej wybadać zamysły pierwородnego. Często zapadał na zdrowiu, nie był «46»

v czy dożyje dojrzałości nowo narodzonego, a sam dał P wk}ad, jak można obalić prawowitego władcę, ^przyczyn do niepokoju było aż nadto; towarzyszyły księ- w drodze do Krakowa. Zaczęła się już słotna jesień, rłrogi rozmiękły, podróż wlokła się i czasu było zadość do niewesołych rozważań. Oddając Zbygniewa w mnichy Włodzisław zraził go sobie ostatecznie, a nie zabezpieczył przez to nowo urodzonego przed braterską nienawiścią. Nie brakło przykładów, że porzucano suknię duchowną, by sięgnąć po władzę, tym łacniej gdy przybrano ją z przymusu. Dojrzały już Mieszko też zawiśł groźbą, co gorsze, przyjazne zazwyczaj Węgry stały się wrogiem. Kraj otoczony jest wrogami ze wszystkich stron, a i w nim nie ma jedności. Tylko ciężka ręka Sieciecha trzyma w ryzach niechętnych.

W ponury, słotny wieczór orszak książęcy dotarł do Krakowa. Zziębnięty, przemokły i znużony książę z pewną ulgą zasiadł przed kominem, ale wesoły blask ognia też nie rozjaśniał jego myśli. Obcy się tu czuł, nie wiązało go z Krakowem żadne miłe wspomnienie, nie czekała go tu żadna życzliwa dusza. I synowi niespieszne było ojca powitać, choć przyjazd księcia wszystkim na grodzie był wiadomy. Gdy nie nadszedł i rankiem, Włodzisław posłał po niego do kapitulnej szkoły. Zbygniew przyszedłszy bez słowa ucałował rękę ojca i milczał. Książę, by zacząć, zapytał:

— Do babki często zachodzisz? Staraj się ją pozyskać. Zbygniew parsknął ze złością:

— Babki?! Gdy wy mnie za syna nie uznajecie, ona ma uznać za wnęka? Wiadomo, że na swojego Mieszka czeka, nie na mnie. Wy takó¿ macie już syna, a ja...

Machnął ręką i umilkł. Księcia ogarniał zarazem gniew, wstyd i rozżalenie. Nigdzie nie ma serca, które by biło dla niego. Chciałby przywrócić dawny stosunek ze Zbygniewem, ale musiałby wyjaśnić, że nie może uznać go z obawy Przed Wratysławem i że nie on kazał go odebrać matce, lecz Sieciech. Pominął zuchwałe odezwanie i rzekł:

«47»

— Za młodyś, by się wyznawać w tych sprawach. Ale to wiedz, że nikt się nie sprzeciwi, byś w duchownym stanie osiągnął najwyższe dostojęstwa...

— Z łaski Sieciecha, jak ninie biskup Lambert? Jużem nie tyle młody, by nie widzieć, kto iście tu rządzi.

Książę zagryzł wargi. Lekceważą go wszyscy, a ten wyrostek nawet tego nie ukrywa. Ale wspomniął, czego chciał od Zbygniewa, i powiedział:

— Z mojej łaski, bo jeno książęciu służy prawo stanowienia biskupów. Ale że ci jeszcze nie pora, a jam słabowity i nie wiem, zali dożyję, rozsądnie byś uczynił łaskę przyrodniego starając się pozyskać.

— Którego? Chyba Mieszka, bo na niańkę dla częda * takim zdały, jak i na biskupa.

— Dość! — uciał książę w rozdrażnieniu. — Przed tobą sprawiać się nie będę.

— Wždy nie ja was wzywałem do sprawy — odparł zuchwale Zbygniew, skłonił się i wyszedł.

Książę siedział przygnębiony. Sam wiedział, jak wygląda braterska miłość, nawet między rodzonymi. Zbygniew jeszcze nie osiągnął wieku sprawnego, a już się buntuje. Trzeba go z kraju usunąć, póki pora. Ale myślał o tym z ciężkim sercem. Ongiś kochał tego syna.

Czekała Włodzisława jeszcze rozmowa z matką, nie mógł i nie chciał z tym zwlekać. Wstał z ociąganiem i udał się do babłca.

Stara księżna również wiedzieć musiała o przyjeździe syna, ale nie czekała widocznie na niego. Strój miała niedbały, siwe włosy bez czepca, w nieładzie. Gdy pochylił się do jej wyschłej ręki, powiedziała obojętnie, jakby usprawiedliwiając swe zaniedbanie:

— Nie spodziewałam się, że przyjedziesz. Nie ciągnie cię obaczyć, jak żywię.

Zmieszany Włodzisław odparł:

l c z ę d a — dziecka __jakoż mógłbym was nie powitać! A jeśli brak wam czego, rzeknijcie, a każę wydać.

_ - Czego mi brak, wiesz. Kiedyś i ty ten brak poczujesz. Ani się obejrzysz, gdy nadejdzie starość i niczego człek już nie pragnie kromie serca bliskiego.

Wiedział, że księżna mówi o Mieszku, spodziewał się tego ale nie po to tu przyszedł. Jeszcze był pod wrażeniem rozmowy z synem i odparł z goryczą:

__, Wiem to i dzisiaj, choć nie takim jeszcze stary. Dlatego przychodzę. Wiecie, że Judyta urodziła mi syna, wždy i to wasz wnęk. Od nas obojga proszę nie jeno o błogosławieństwo dla niego, ale byście do nas zjechać raczyli, samej potomka swego powitać. Wierę, że was za serce ujmie, jako i wszystkich, gdy się światu uśmiecha.

— Nie odmawiam mu błogosławieństwa, jako i jego rodzicielce — łagodniej powiedziała księżna. — Niechaj szczęśliwi będą niżli ja. I niech Bóg ustrzeże małego przed takowym bratem jak ty — zakończyła twardo.

Włodzisław otarł pot z czoła i powiedział drżącym głosem:

—• Nie wiem, załim u własnej macierzy na taką zjadłość zasłużył. Jeno wiem, że nie miłowaliście mnie nigdy, tedym się i miłować nie nauczył. Ale za co mnie nienawidzicie? Nazwaliście mnie bratobójcą. Bogiem się świadczę, żem do śmierci Bolka ręki nie przyłożył.

— Wierę — odparła pogardliwie. — Ty byś się do oczu stanąć mu nie ważył. Nie takiemu jak on ginąć było z takowych rąk jak twoje. Jeno to pewne, żeś się z śmierci brata uradował i z niej korzyścisz, a wdowę po nim i sierotę tułaczami uczyniłeś. Jeśli nie chcesz, bym cię przeklęła na wieki w godzinie samotnej śmierci, niechaj im wracać.

Włodzisław raz po raz ocierał pot z czoła. Po dłuższej chwili odparł:

Gdybym się zgodził, kto mi zaręczy, że wróci nie po t^o by zasię o właść wojnę domową wzniecić? Wiem ja, a Pewnikiem wiecie i wy, co szepcą przytajeni wrogowie:

4 — Przekleństwo ""49>>

że Mieszko synem jest koronowanego króla i jemu się patrzy po nim następstwo.

— Ja poręcę. Mieszko wie, jakowe to szczęście daje właść. A dzisiaj wiesz i ty, choć ci jeno pozór jej ostawiono.

Widząc, że Włodzisław jeszcze się waha, dodała pogardliwie :

— Może się lękasz postanowić bez Sieciecha? Pono bawi ninie w Morawicy, ślij po niego, jeśli ci nie wstydno.

Książę poczerwieniał i odparł popędliwie:

—• Nie trzeba mi jego zgody. Ślijcie na Węgry, niechaj wygnance wracają i bogdaj mi żałować nie przyszło, żem waszej poręce zawierzył.

— Dziękuję ci. Póki żywię, nie będiesz żałował. A jeszcze ci radę dam: niechaj wracają i ci, co los wygnańców dzielili. Nijaka to ojczyzna, gdy jej synowie, chocia i krnąbrni, z dała od niej żyć muszą. Wrozumiałością łacniej ludzi pozyskać niżli zawziętością.

— Niechaj wracają •— odparł niechętnie i dodał: — Jeśli się nie lękają Sieciecha, bo za niego nie poręczam. — Ucałował dłoń Dobronegi i wyszedł z westchnieniem. Niemiłą rozmowę z matką miał za sobą, ale nie był pewny, co powie, a zwłaszcza co uczyni palatyn. Gdy ongiś o zgodę na powrót Mieszka prosiła Świętosława, Sieciech powiedział, że przyrzec można. Trudno wykręcić się od spełnienia, gdy w kraju spokój, a zewnętrzne niebezpieczeństwo na razie przestało zagrażać. Książę myślą wrócił do ślubowanej świętemu Idziemiu budowy kościółka ku jego czci. Mury katedry były na ukończeniu, zwolnionych rzemieślników zatrudnić można przy nowej budowlu. Książę posłał komornika do biskupa Lamberta, a gdy nadszedł, weszli razem do kościoła, gdzie pracowano jeszcze nad wykończeniem wnętrza. Biskup nie żałował trudu i własnych zasobów na uświetnienie swej siedziby i książę z ulgą myślał, że łatwiej mu będzie teraz łożyć na dopełnienie ślubu. Zwrócił się do Lamberta mówiąc:

— Rad jestem, że godną będziecie mieli katedrę. A takóž, i s?

• zwolnicie ludzi do budowy kościoła, jaki świętemu Idziemiu ślubowałem w podzięce za syna.

Chwały Bożej nigdy za wiele — odparł biskup. — T no że na grodzie kościołów już zadość. Gdzie tedy, miłościwy panie, budować zamyślacie?

jja Okolę miejsce byłoby stosowne. Przy trakcie leży, kupcom i pielgrzymom poręcznie byłoby i plebanowi korzyść.

_. jeno że Okól to własność Toporczyków z Morawicy, a Sieciech sam już tam kościół zbudować zamierzył. Magistra operae l od opata tynieckiego dostał, w zamian prawo prezenty2 klasztorowi jeno przyrzekając, kamieniarzy biegłych, których zwolniłem, już zabrał i kamień zwozi.

Biskup mówił z widoczną niechęcią. Wyszedłszy z kościoła skierował się ku północno-wschodnim wałom, skąd rozpościerał się widok na Okól. Z wysokości widać było pracujących tam ludzi i sterty budulca. Biskup podjął:

— Mój magister widział plany. Kościół ma być cały z litego kamienia, z trzema wieżami, nie mniejszy niż moja katedra. Widno samego Sieciecha stać na to, na co myśmy społem z miłościwym panem łożyć musieli. Jako rzekłem, chwały Bożej nigdy za wiele, jeno zda mi się, że Sieciech na własną buduje, a już pewnikiem obwarowania Bogu chwały nie przyczynią.

Miejsce warowne było istotnie, od wschodu i zachodu dostępu na wzniesienie broniły bagna oraz stawy Żabiego Kruka i świętego Sebastiana, od osad ku północy odcinał je wznoszony wał z częstokołem. Biskup patrzył badawczo na księcia i ciągnął:

— Od wieka tak bywało, że nie Iza było umocnień wznosić bez zezwolenia książęcego.

Księżu jednak widocznie nie miła była rozmowa, bo powiedział wymijająco:

I Magistra operae -Prawo prezenty -Wieństwem — kierownika budowy prawo obsadzania kościoła ducho— Skoro Sieciech buduje na Okole, ja zbuduję tam owo — wskazał miejsce u stóp wawelskiej skały, za strugą ciekącą od Żabiego Kruka ku Wiśle, i ciągnął:

— Prędzej tu do was dochodzą nowiny niżli do Płocka. Macie jakowe?

— To już pewnością wiecie, miłościwy panie, że w dniu św. Wacława arcybiskup trewirski Egilbert koronował Wra-tysława królem Czech i Polski.

— Iście wiem — niechętnie odparł książę — jeno że bez papieskiego przyzwolenia.

Lambert spojrzął na księcia z lekceważącym politowaniem i rzekł:

— Brat waszej miłości zasię koronował się królem bez cesarskiego przyzwolenia. Niechby sobie Wratysław królem był Czech, nie nasza sprawa. Nasza, czy królem ma być Polski. Ale moja, że cesarz Jaromirowi przywilej zatwierdził, którym nloją diecezję do praskiej przyłączył, po Bug i Styr. Nie wiem, co wy uczynicie, ale u mnie tu obca noga nie postanie, choćbym kości miał położyć.

Gdy książę milczał opuściwszy oczy, biskup ciągnął:

— Takowych oto macie sprzymierzeńców! A węgierskiego krewniaka, który zawżdy wiernie przy was stał, wrogiem sobie napytaliście. I o co? By swego bratańca z dala od kraju trzymać!

— Przyzwoliłem na jego powrót — uciął książę. Rad by już uciekł do swego Płocka, dość się w Krakowie nasłuchał zarzutów i wyrzutów, a czeka go jeszcze rozmowa z Siecie-cbem. Nie był pewny, co powie palatyn na wymuszone przyzwolenie, którego sam już żałował. Wzmianka bowiem biskupa o tej sprawie wzbudziła w księżu podejrzenie, że dawni stronnicy króla w Mieszku dopatrują się jego następcy i w razie walki gotowi stanąć po jego stronie. Dojrzały już, a Bolesław niemowłębem jest, nieprędka będzie zdolny o następstwo się upomnieć. Ale za późno zmienić postanowienie.

Książę chciał już skończyć z tą sprawą i postanowił ślać I Sieciecha do Morawicy, ale palatyn sam zjawił się na-P 'utrż by dopilnować pracy przy swej warowni. O tym f, • te nawet nie napomknął, z miejsca natomiast zawiado-7 palatyna, że zgodził się na powrót Mieszka, i z niepoko-•em czekał, co powie Sieciech. Odetchnął z ulgą, gdy ten rzekł lekko:

— Niechaj się macierz wasza tym wnętrzem nacieszy, jeno mu nijakiej dzielnicy nie wydzielajcie. Gdyby wam brat Mazowska nie oddał, może by po dziś dzień na krakowskim stolcu siedział. Uśmiechnął się złośliwie i ciągnął:

— Węgierskiego krewniaka załagodzić też nie wadzi, bo potrzebny może być, gdyby cieść wasz z cesarskiej łaski korzyścić próbował.

— Tedy wiecie, co zaszło w Pradze?

— Iście wiem. Po prawdzie tyle Wratysławowi z onej korony, że mu bracia zawidzą. Morawski Konrad raniej za równego się miał, ninie hold i przysięgę złożyć musiał'. Ja-romir zasię, którego Henryk kanclerzem cesarstwa uczynił, za najwyższego w Rzeszy ma się dostojnika i o to krzyw, że nie jemu zaszczyt przypadł koronować brata. Czechom zysk, choć niedarmo, bo im Henryk daninę odpuścił za one cztery tysiące grzywien, które od Wratysława pożyczyl na rzymską wyprawę. Pieniądza zawżdy mu brak, pożyczcie wy mu, to może wam na czeskiego króla koronować się zwoli. Iście panem jest świata, jeno Niemiec nie.

Sieciech zaśmiał się drwiąco, a książę spojrzął na niego z uznaniem i niemal z wdzięcznością. Pewność siebie palatyna udzielała się, może mu zostawić troskę o sprawy państwa, nie myślał już o tym, by się pozbyć przewagi samowolnego możnowładcy. Zadość miał domowej troski, która też mąciła mu spokój. Od urodzenia syna Judyta nie przyszła do zdrowia, lękał się, że może utracić jedyną istotę, która okazywała mu przywiązanie.

Ten z kolei niepokój towarzyszył księżu w powrotnej drodze do Płocka, a wzmógł się jeszcze po przybyciu. Księż-

na nie opuszczała już łoża. Zawiadomiony o tym Włodzi-sław jak stał pobiegł do babinca. U wejścia zastąpiła niu drogę Bożeciecha, szepcząc:

— Niechaj cię! Księżna śpi.

Niecierpliwie odsunął staruchę i cicho przystąpił do łoża, na którym spoczywała Judyta, i patrzył na jej wyciągniętą twarz. Nie spała jednak, bo po chwili podniosła zsiniałe powieki, spojrzała na małżonka i przymknęła je znowu. Wyszedł bez słowa, niepokój z powodu grożącej straty zamienił się w pewność.

W tym roku nie było przygotowań do hucznie zazwyczaj obchodzonych świąt Bożego Narodzenia. W samą wigilię, gdy na pogodnym nieboskłonie zabłyśła pierwsza gwiazda i zazwyczaj o tej porze zasiadano do wieczerzy, książę udał się do małżonki. Pod drzwiami stała zapłakana Bożeciecha. Nie śmiał zapytać, co się stało, i chciał wejść, ale szepnęła szlochając: — U Judyty bawi kapelan Piotr, by ją na śmierć gotować.

Długo stali pod drzwiami, aż otwarły się i ukazał się kanonik stobnicki mówiąc cicho:

— Możecie małżonkę pożegnać, miłościwy panie.

Gdy książę stanął nad łożem, zrazu myślał, że i na to za późno. W świetle płonącej gromnicy blada twarz Judyty lśniła od potu, zsiniałe powieki zakrywały wpadnięte oczy. Ale po chwili otwarła je i usta poruszyły się szeptem. Włodzisław nie rozumiał, ale Bożeciecha domyśliła się i rzekła cicho:

— Księżna pożegnać chce syna.

Wyszła i po chwili wróciła z niemowlęciem. Dziecko wyrwane ze snu zanosilo się płaczem. Włodzisław ze ściśniętym sercem patrzył, jak Judyta z wysiłkiem dźwignęła dłoń i położyła ją na głowie syna. Potem ręka opadła bezsilnie, oczy przymknęły się, a spod powiek wypłynęły dwie krople i z wolna stoczyły się po policzkach. Już tylko słaby i przerywany oddech świadczył, że księżna jeszcze żyje.

«54»-

Włodzisław usiadł przy łożu i głowę oparłszy na dłoniach, utopił się w ponurych myślach. Teraz, gdy zbliżył ich syn, zaniecał się przychodzi, a dziecku chować się bez matczynej opieki i miłości. Z sąsiedniej komnaty dochodził jego żałosny płacz, którego matka już nigdy nie utuli.

Długo w noc siedział książę nasłuchując oddechu chorej, który jakby się wyrównał i pogłębił. Zaświtała mu iskierka nadziei, że choroba się przesili. Znużony usnął wreszcie. Jak długo spał, nie wiedział. Zbudził go rozpaczliwy płacz Bożeciechy. Klęczała przy łożu, włosy rwąc z głowy. Przez błony w oknach przeświecać zaczynały dopiero pierwsze blaski wstającego dnia, postać leżącej ledwo była widoczna, ale książę nie potrzebował pytać. Przeżegnał się i wyszedł chwiejnym krokiem.

Żal Wszesławy za małżonkiem i obawa o syna z biegiem czasu przygasły, Stanisławowe przekleństwo przestało ją pozbawiać snu. Mieszko, choć od dwu lat osiągnął już wiek sprawny, nie mówił o powrocie do krafu. Z dumą patrzyła matka, jak rośnie i rozwija się ulubieniec wszystkich, a zwłaszcza króla, który również nie wspominał o wprowadzeniu krewniaka na polski tron. Przeciwnie, zdało się, że zamyśla zatrzymać go na Węgrzech, napomykał bowiem o wyborze dla młodzieńca małżonki. Myślała i o tym królowa widząc, jak niewiasty wodzą oczyma za jej synem, który wzrostem i jasnym włosem wyróżniał się wśród krępych przeważnie i czarnowłosych węgierskich towarzyszy jak sokół między wronami. Rada byłaby małżeństwu na zawsze wiążącemu Mieszka z Węgrami, gdzie po raz pierwszy od wyjazdu z ojczyznanego domu znalazła wreszcie spokój. Płaski, rozległy kraj przypominał jej rodzinne strony, a Mieszko również zdał się zadowolony z pobytu, zajęty rycerskimi ćwiczeniami i łowami z sokół, które wypełniały mu czas. Nie było jednak niemal dnia, by nie zaszedł do matki wieczorem, z ożywieniem opowiadając «55»

o swych przygodach. Gdy jednak wspominała, że pora by, łaby pomyśleć o jego małżeństwie, objął matkę z uśmiechem i odparł lekko:

— Nie brak tu pięknych niewiast, ale konie jeszcze piękniejsze. Ostawcie, matuś! Kiedyś, gdy trzeba będzie, pojme małżonkę, ninie nie pora.

Wszesława zaniepokoiła się. Podejrzewała, że syn ma na myśli małżeństwo dla uzyskania postronnego poparcia, jak jej własne. Miast tego stało się tylko źródłem wszelkiego zła. Widocznie Mieszko nie poniechał zamiaru po-wrotu do kraju. Na nowo ogarnął ją niepokój i przecucie nadchodzącej zmiany, gdy jednego dnia jesiennym wieczorem długo czekała na syna. Miniony dzień był słotny i mglisty, do łowów z sokół niezdatny, z zapadnięciem zmroku kończyły się też zazwyczaj ćwiczenia. Zrazu zamierzała posłać po syna, ale rozmyśliła się. Jeżeli zabawił się z towarzyszami, nie chciała mu przeszkadzać. Czuła jednak, że ludzi samą siebie, coś innego musiało go zatrzymać.

Mieszko, wyparzywszy się w łaźni, zbierał się jak zazwyczaj, by odwiedzić matkę, gdy gromadą w jego izbie na wieży zjawili się polscy rycerze. Ostatnio przestając z rówieśnikami nie zwrócił uwagi,

że jakby go unikali, toteż zdziwił się, gdy weszli bez zapowiedzenia, zwłaszcza że i pora była niezwykła. Patrzył na nich zdziwiony i zaskoczony, a Mikołaj Strzemińczyk z Zębocina skłoniwszy się zaczął:

— Wybaczenie, jeśli wam przeszkadzamy, ale nie zaba-wim długo. Jeno pożegnać was przyśliśmy.

Zanim zdołał zapytać, dokąd się zbierają, Mikołaj ciągnął; w słowach jego brzmiał wyrzut:

— Rodziny i mienie rzuciliśmy, by wiary dotrzymać rodzicowi waszemu i wraz z nim powrócić z węgierską pomocą samozwańca wygnąć. Nie stało miłościwego pana, ciężko czekać przyszło, aż wy do lat sprawnych dojdziecie, by o swoje się upomnieć. Posięgnęliście sprawne lata, znoczekać trzeba było, gdy wasz krewniak węgierski nie j nomocy udzielić. Ninie latem z;buntowani Sasi zbili niU5rza, zdało nam się, że czas nadszedł, byście się upomnieli CG dwdziękę, którą rodzicowi waszemu król węgierski był O OLA

„*«

dłużen.

Zima za pasem, widno nic z tego nie będzie, a nam zekać nie pora, gdy niejednemu już włos pobiełał na skroniach. Tedy żegnajcie, my wracamy do kraju.

Mieszko rumienił się i bladł na przemian. Istotnie nie myślał o tym, że tym ludziom nie tak łatwo czekać jak ienm Myślał o powrocie do kraju, ale takim jak ongiś dziad •jego, nie by wzniecić wojnę domową z obcą pomocą, lecz wezwany przez lud, a w końcu choćby przez chorowitego a pozbawionego następcy stryja. Teraz zrozumiał, że zmuszony jest natychmiast powziąć postanowienie, a nie był do tego przygotowany. Jeśli pozwoli odjechać tym najwierniejszym, utraci ich na zawsze, nawet gdyby głowy zdołali uchronić przed Słeciechem. Dzielili dolę króla i jego rodziny, on podzielił ich los. Odparł popędliwie:

— Wracam z wami.

Teraz oni z kolei zaskoczeni, milczeli. Po chwili odezwał się Borzywój:

— Co zaś prawicie! W górach już zima, droga ciężka i niebezpieczna.

— Zima była, gdy nas z kraju wygnano, a pacholeciem woncez byłem. Ninie żrały już jestem.

— Po lasach nam żyć przyjdzie niczym zwierz — wtrącił Zema — i nie wiem, zali i tak głowy uniesieni.

— Jednakowo każdemu droga jest jego głowa. Moja nie droższa niżli każdego z was.

Znowu zaległo milczenie, które przerwał Mikołaj:

— Wam nie droższa. Ale macierzy waszej !

Mieszko zbladł. O tym nie pomyślał w podnieceniu. Łamał się przez chwilę, ale odparł:

Wy także macie rodziny, które wyglądają waszego powrotu. Jedno mam słowo: wracam z wami. Kiedy?

Spoglądali po sobie, wreszcie głos zabrał Mikołaj:

— Nam choćby jutro na koń siadać. Warn przystoi i rna_ cierzyswe postanowienie oznajmić, i miłościwemu panu Tedy zaczekamy dzień alibo dwa, jak się obróci, bo i zgad-nać nietrudno, że takowemu przedsięwzięciu, prawdę rzec na przepadłe, będą się przeciwzić.

— Nie w niewoli jeśm, a będzie, co Bóg da. Jutro wam oznajmię, kiedy do drogi będę gotów.

Po raz pierwszy Mieszko wahał się, czy iść do matki. p0_ ra była późna, ale Wyszesała pewnie czeka na niego. Rozstanie się z nią, dla niego bolesne, dla niej będzie ciosem, który ją może złamać. Ale cofnąć danego słowa ani nie może, ani nie chce. Oznaczałoby to zerwanie ostatnich węzłów z jedynymi ludźmi, którzy los swój związali z jego losem. Rozumiał ich gorycz, bo i sam nie chce życia spędzić jako wygnaniec na łasce krewniaka. Rodzic wołał śmierć niż taki żywot. Pogarda i lekceważenie, których nie zniósł król, kiedyś staną się udziałem Mieszka, a nie będzie mógł zaprzeczyć, że wszystko, co posiada, począwszy od szat na grzbiecie, zawdzięcza łasce Władysława.

Musiał jednak matce oznajmić swe postanowienie i szedł z ociąganiem, starając się znaleźć wyjście z położenia. Jedyne, co mu na myśl przyszło, to powstrzymać druhow od wyjazdu. Ale rozumiał, że gdyby nawet zgodzili się czekać, to jeno odroczenie, które niczego nie zmieni.

Wyszesała zbyt dobrze znała syna, by natychmiast nie zauważyć, że coś go gnębi. Patrzyła na niego niespokojnie, a gdy się nie odzywał, nie wiedząc, jak zacząć, zapytała:

— Coś złego ci się przygodziło?

— Nie! — odparł. — Jeno rozstać się musimy.

— Nigdy! — krzyknęła. — Jeno śmierć moja nas rozłączy.

— Nie mów tak, matko! I mnie ciężko żegnać się z tobą. Ale nijak mi opuścić tych, którzy nas nie opuścili. Wracają do kraju, bo iście zadość cierpliwi byli.

Królowa zrozumiała rozterkę Mieszka. Opanowała się już i zapytała niemal spokojnie:

«58»

_ Kiedy jedziem?

trzy na matkę zaskoczony. Nie widział miejsca dla iasty nie pierwszej już młodości w takim życiu, jakie-ⁿⁱógł oczekiwać. Ale Wyszesała podjęła:

Niczego się nie lękam kromie rozstania z tobą; ni na dzień jeden. Tedy nie mówmy o pożegnaniu, jeno o wyjeździe-Mieszko rozumiał, że Królowa postanowienia nie zmieni, • zawahał się. Sam gotów był na trudy i niebezpieczeństwa związane z przedsięwzięciem, matki na nie narażać nie chciał. Gdy milczał przygnębiony, podjęła:

_ Nie myśl o mnie. Wiedziałam, że kiedyś wracać przyjdzie i tam moja dola, której się nikt nie wybiega. Ale nie Iza tobie swojej rzucać jako kamienia w wodę na przepadłe. Z królem omówić przystoi twe postanowienie, a choćby za gościnę podziękować. Twoim druhom także, tedy wstrzymać się winni.

— Jutro mam im oznajmić, kiedy do drogi będę gotów. Czekać nie będą, bo i nie ma na co.

Mieszko długo nie mógł usnąć tej nocy. Teraz dopiero rozważał, jakie mogą być skutki jego postanowienia. Wiedział, że stryj przyrzekł Dobronedze, iż zgodzi się na powrót bratańca, gdy zezwoli na to okoliczności. Może by nawet chciał tego, starzejący się i chorowity człowiek, nie mający prawego dziedzica, gdy przez to pojednać się mógł z matką, pozyskać dla siebie królewskich stronników i uniezależnić się od przemożnego palatyna. Ale to rozumie i Sie-ciech i nigdy się z powrotem Mieszka nie pogodzi ani nie uwierzy, że wraca nie po to, by mścić się za rodzica. I bez woli Mieszka jednak powrót jego poruszy te siły, które postrachem w karbach trzyma palatyn. To nie powrót do kraju beztróskiego dzieciństwa; tam nie ma powrotu. Wyjazd oznacza także kres młodzieńczej swobody, ale i ta nie może trwać wiecznie.

Mieszko przestał się wahać. Omówi z królem, jak wykonać przedsięwzięcie nie tylko po to, by dotrzymać rzu«59»

conego pochopnie słowa. Los kraju związany jest z losem.

Polscy rycerze nie kryli się z zamiarem wyjazdu, do póź, nej nocy przy kielichach żegnając węgierskich przyjaciół toteż Władysław, gdy rankiem Mieszko zjawił się u niego' wiedział o tym i sam zaczął:

— Domyślam się, z czym przychodzisz, i rozumiem ciebie, bo i sam ongiś na dworze twego rodzica czekać musiałem na powrót do kraju z jego pomocą. Ja tobie jestem ja dłużny i od niej się nie uchylam, ale sam wiesz, że nie pora, gdy ku zimie idzie. Z wiosną, gdy paszy dla koni brać nie trzeba ni dachu szukać nad głową, pomogę ci upomnieć się o dziedzictwo. Czekateś długo, miejże jeszcze cierpliwość.

— Dziękuję ci za wszystko, krewniaku — odparł Mieszko. — Za gotowość pomocy nie w ostatku. Ale jeśli osiąść chciałbym ojcowiznę, to nie siłą obcych rąk. Tak mniemam, że to Sieciech, którego rządy dojadły już wszystkim, rnemu powrotowi przeciwny, a nie stryk. Komuż ostawi dziedzictwo? Juści wiem, że zrazu kryć się przyjdzie przed Sieciechem, póki się w kraju nie zwiedzą, że wróciłem. Wówczas nie trzeba będzie twój pomocy.

— Może by i tak było — odparł król. — Jeno w jednym mylisz się. Mam pewną wieść, że Włodzisławowi urodził się syn. Tedy na to nie licz, by on w kraju rad widział współzawodnika, wolej mu z palatynem trzymać przeciw tobie. Rozważ i to.

Mieszko zamyślił się chmurnie. Urodzenie Włodzisławowe-go dziedzica zmieniało położenie. Jeżeli skorzysta z węgierskiej pomocy, wielu patrzeć będzie na niego jak na jednego więcej najeźdźcę; obcy wojak nie uszanuje niczyich praw. Nie chciał władzy wbrew woli poddanych. Jeśli do kraju wkroczy zbrojnie, stryj nigdy nie uwierzy, że nie zamierza pozbawić go berła. Mieszko gotów był je przyjąć, ale go nie pragnął. Powiedział przygnębiony:

— Rozważę. Pierw jednak rozmówić się muszę z druhaMaią moje słowo, że wracam z nimi. Może zgodzą się czekać.

- Ja zasię radzę, byś ich nie wstrzymywał. Miewam ja wieści, co się w Polsce dzieje, ale oni lepiej przepatrzeć wydolą, na kogo nam liczyć, gdy działać przyjdzie. Beziecznie to nie będzie, ale sami chcą. Ty zasię nie masz prawa swojej głowy stawić. Rodzicowi pomstę dłużnyś, macierzy spokój. Wiesz, jako się lęka o ciebie.

— Krajowi spokój potrzebny, a nie będzie kresu rozdarciu, gdybym pomsty szukał na winnych. Macierz zasłę z nami 'wracać postanowiła.

Król aż w ręce piasnął i zakrzyknął:

— Tyż się na to zgodził? Zguby szukasz dla siebie i dla niej? Wždy kłoda ci jeno będzie u nogi!

— Z nią pomów — rzekł Mieszko zmieszany. — Ni słyszeć nie chciała, by ostać tu beze mnie.

— Nie z nią pomówię, jeno z twymi druhami — odparł król. — Albo cię zwolnią od słowa, albo, jak myślę, zgodzą się czekać do wiosny, bo i im bezpieczniej będzie z moimi posiłkami wracać do kraju.

— Nie oni żądali mego słowa, nie oni mnie zwolnić mogą. Nie opuścili mnie i ja ich nie opuszczę. Uczynię to, co oni.

— Dobrze! — rzekł Władysław. — Choćby jednak wstrzymać się do wiosny nie chcieli, parę dni zaczekać muszą, bo zaopatrzyć was chcę na drogę i przystawów przygotować, byście choć do granicy bezpiecznie i bez braków dotarli. Ale jedno wiedz: Sieciech nie po to bunt wzniecił, by miast twego rodzica ciebie widzieć na stolcu książęcym. Bez walki nie ustąpi.

Mieszko odparł z westchnieniem:

— Nie dla siebie walki się lękam, jeno dla kraju. Tedy Ja Jej nie zacznę, jeśli mnie w pokoju ostawi. Sieciech nie wieczny, a Włodzisławowy dziedzic niemowlę, nie wiada, zali zrały będzie, gdy rodzicowi jego odejść przyjdzie. Ale I Jego wyganiać nie zamierzam, jeno jak z bratem do słusznej dojść zgody, jak już nieraz bywało, by u wrogów nje musiał szukać oparcia.

— Daj Bóg, by było, jak mówisz. Pierwsze bezpieczeństwo ci zapewnić, ale jeśli trzeba będzie, możesz liczyć na moją pomoc.

— Dziękuję ci, krewniaku. I ja nigdy nie zabędę, ile ci jesteśmy dłużni.

Wyszesława z rozbudzonym na nowo niepokojem czekała kiedy jej przyjdzie porzucić gościnę i wracać tam, dokąd nawet myślą wracać nie chciała. Ale wszystko wolała niż rozstanie się z synem. Gdy zjawił się u niej komornik z zapytaniem, czy zechce przyjąć króla, pewna była, że to Mieszko skłonił krewniaka, by namawiał ją do pozostania.

— Mile ujrzę miłościwego króla — rzekła — bo sama się zbierałam pożegnać go i podziękować za wszystko, co dla nas uczynił. Jeno jeszcze nie wiem, kiedy nam wyjechać przyjdzie.

Niemniej z przykrością myślała, że urazić może Władysława, z miejsca odzrucając życzliwą i rozsądną radę. Sama zdawała sobie sprawę, że jej obecność Mieszkowego położenia nie ułatwi, ale wiedziała, że nie potrafi się przemóc.

Królowa zdziwiła się, gdy Władysław zjawił się nie sam, lecz w towarzystwie młodego duchownego, który ją po polsku powitał, oznajmiając się posłańcem od księżnej Dobro-negi, po czym dodał:

— Księżna prosić niechała miłościwą panią, by nie zwlekała z przyjazdem. Słaba już się czuje, a chciałaby jeszcze wnekciem się nacieszyć.

Wyszesława z zaskoczeniem patrzyła na króla. Stara księżna nie mogła jeszcze wiedzieć o zamiarze Mieszkowym. Władysław zrozumiał widocznie jej wątpliwość, bo pokazując trzymany w ręku pergamin powiedział z uśmiechem:

>r wam wyjaśni sprawę: list żelazny dla Mieszka od ~~~A 'sława, który zgadza się na powrót i bezpieczeństwo * przyzwala też na powrót wygnańców, a nawet im zwróci, jeśli hołd mu złożą i przysięgę posłuszeństwa.

Wyszesława przybladła. Naszło ją uczucie, jakby zamiast neao niebezpieczeństwa jakieś nieznanne czekało na. sy-Król. który spodziewał się objawu radości, widząc jej zmieszanie sądził, że Wyszesława za niekorzystne uważa warunki, pod jakimi Włodzisław godzi się na powrót wygnańców, i powiedział:

°___. TLcje to, czego żąda Włodzisław, oznacza uznanie go panującym książęciem. Ale gdym. Mieszkowi pomoc ofiarował w odzyskaniu ojcowego tronu, rzekł mi, że nie chce wojny nieść do kraju ni pomsty szukać za rodzica, a włość obejmie, gdy go naród do niej powoła. Może i praw jest, bo nie mieczem dobywa się serca. Nie braknie mu ich w kraju, jako i tu nie brakło, a na mnie zawsze liczyć może jako na brata. Iście! Umiarem i cierpliwością więcej osiągnąć można niżli siłą. Bądźcie, pani, dobrej myśli.

Wyszesława nie była dobrej myśli, nie chciała jednak okazać tego synowi, który przybiegł podniecony, ponagłając przygotowania do wyjazdu. Ale radość jego przygasili polscy woje. Gdy im oznajmił, pod jakimi warunkami książę zezwala na ich powrót do kraju, Mikołaj Strzemieńczyk rzucił popędliwie:

— Wróciłbym i bez przyzwolenia, tedy ani mi w myśli wiarę zaprzysięgać wydziercy.

— Ja zasię zaprzysięgnę, jeno ani mi w myśli strzymać wiarołomcy — mruknął ponuro Czasław Strzemieńczyk.

~ Ze wszystkim mnie się widzi, że to Sieciechowy podstęp, by nas do kraju zwabić — rzekł Mroczo.
— Czemuż to Włodzisław teraz wrócić nam zwala, gdy mu się dziedzic urodził? By mu w porę usunąć współzawodnika, bo wie, że choćbyście go ninie nie zesadzili z książęcego stolca, nigdy go ów szczeniak po nim nie odzierży.

«62»

«63»

— Nawet wam nijakiej dzielnicy nie wydziela, by się nie dać do ręki. Czym będziecie tam, gdzie cała władza rodzicu wam się należy?

Gadali teraz jeden przez drugiego, jakby wylać chcieli nagromadzoną przez lata wyczekiwania gorycz. Mieszko słuchał chmurnie, opuściwszy oczy. Teraz i jego naszły wąć, pliwności, ale gdy przycichło, powiedział:

— Jedno wiem, że lepiej z przyzwoleniem wracać niżli bez niego. Nikomu na ostrożności mieć się nie wzbronno. O władzę się dla mnie nie zastawiajcie, bo nie wam o tym stanowić. W kraju się rozpatrzym, zali mu spokój i łagodność milszy niżli zmiana na książęcym stolcu. Nikomu też za złe nie wezmę, jeśli hołd złoży książęciu Włodzisławowi i przysięgę, a sumienia swego niechaj się pyta, zali mu złamać ją wolno.

Mówił stanowczo i z powagą, widocznie przekonał wielu bo wrzawa ucichła, i zakończył:

— Nie psujmyż sobie radości, że ojczyznę i swoich oba-czym. Będzie, co Bóg da. Tedy gotujcie się do drogi, bo zadość było czekania.

Wychodzili gromadnie, tylko Przedstaw Łabędź stał ponuro zamyślony. Mieszko zwrócił się do niego:

— Żegocie Toporczykowie zakarbowali odstępstwo, ale ty mógłbyś wracać.

— Rodzicowi waszemu wiarę ślubowałem, nie będę jej ślubił wydziercy ni ślubowanej nie złamię, bo nie mój obyczaj. Wracać nie mam do kogo, gdy się mnie rodowcy odrzekli, tedy ostanę. Wróć, gdy wam będę potrzebny. Tedy zwólcie się pożegnać.

— Nie zabędę, żeś wiary dochował memu rodzicowi, gdy wielu odstąpiło — powiedział Mieszko. — Ale sam tu osta aiesz między obcymi?

— Sam byłem między swojakami, nawykłem, — Tedy żegnaj i daj Bóg w zdrowiu się obaczyć.

Wawelskie wzgórze ożyło, gdy na biskupiej stolicy za nowy pasterz. Ale gdy przerwano prace nad odbudową katedry, długie jesienne wieczory znowu pogrążyły w ciszy, którą zakłócał jeno szmer deszczu, często niosący już śniegowe płatki, a wszystko, co żyło, szukało Chronienia przed wilgotnym chłodem. Wcześniej też gasły światła tylko otwory okiennic w komnacie Dobronegi dłuwo noc przeświecały niepewnym poblaskiem płonącego na kominie ognia.

Stara księżna posunęła się bardzo, a teraz odbiegała ją «en Nieraz do późnego brzasku przesiadła wpatrzona w płomień, zadrzemując chwilami, to znów nasłuchując czujnie odgłosów z dworu. Darmo niewiasty słuźebne usiłowały nakłonić ją, by się ułożyła na spoczynek; czekała na Mieszka, świadoma, że niedługo będzie jej dane cieszyć się obecnością wnuka, jedyną już i ostatnią miłością w jej długim życiu.

W samotności i ciszy zacierały się granice między rzeczywistością, sennym marzeniem i wspomnieniami. Myśl nie wracała już do pierwszej młodości w ojczystym domu; tam czekała tylko na los, który tu się dopełnia. Ale jak dziś pamięta śmierć małżonka, niemowlęcego Ottona, pacholęcego Mieszka, pożegnanie Świętosławy. Żal za nimi pozbawiony był jednak gryzącej goryczy. Oplakała ich stratę i pogodziła się z nią. Ale nie mogła się pogodzić ze śmiercią Bolesława w pełni sił męskich. Żal, który nie mógł spłynąć łzami na jego grobie, jątrzył się jak źle zagojona rana, podsycając bezsilny gniew na sprawców nieszczęścia. Wyobraźnią szukała grobu umiłowanego syna, wiedząc, że nigdy nie będzie jej dane skropić go łzami, które by jej ulgę przyniosły. Starość przykuła ją do miejsca, gdzie przybyła przed czterdziestu laty z górą. Wszystko, co w jej życiu zaszło ważnego, zdarzyło się tutaj: tu urodziła swych pięcioro dzieci, tu pochowała dwóch najmłodszych synów, tu po raz ostatni widziała Bolesława. Teraz czeka już tylko na powrót jego syna, spadkobiercy imienia wielkiego naddziada, który — Przekleństwo państwo zbudował, i jej własnego syna, po którym imię nie pozostało. Którego z nich los mu od Pisany?

Jaki jest? Nie widziała go od blisko siedmiu lat, zdały się jej długie jak wieczność. Miłość do wszystkich którzy odeszli, skupiła się teraz w nim. Jak wieczność te wlekły się chwile oczekiwania na jego powrót.

Po nie przespanej znowu nocy — Dobronega zmrużyła powieki, gdy wcześniej niż zwykle szklane gomółki w oknach rozjaśniły się blaskiem wstającego w śniegowej już bieli dnia — księżna usnęła twardo. Z pierwszego snu nie zbudził jej niezwykle ruch w podwórcach. Nawykła do samotności, poczuła jednak przez sen czyjąś obecność i z trudem podniosła powieki. Omal nie krzyknęła, ale przymknęła je znowu, myśląc, że śni. Patrzyły na nią jasne i lśniące oczy Bolesława. Do rzeczywistości przywołał ją głos:

— To ja, babko, Mieszko.

Jak ongiś na jej piersi spoczęła jasna głowa, a ona tuliła ją z całej mocy, jakby lękając się, że gdy podniesie powieki, spełnione ostatnie marzenie w życiu okaże się snem. Szepnęła:

— Mój mały skrzat!

Zaśmiał się radośnie i, wysuwając się z jej ramion wstał i powiedział:

— Tedy weź mnie na kolana, babuniu!

Podniosła powieki i patrząc na niego z zachwytem po raz pierwszy od lat uśmiechnęła się również; teraz on ją mógłby wziąć na kolana. Wstała i wyciągnęła ramiona, ale Mieszko podniósł ją i rzekł:

— Nosiłaś mnie na rękę, teraz ja ciebie nosił będę. Widząc, że spod przymkniętych znowu powiek Dobronegi łzy spływają po policzkach, doda — A płakać mi nie zwoliłaś, tedy i sama nie płacz. Nie rozstaniemy się już nigdy.

Zdziwił się, gdy nagle twarz jej stwardniała i zmierzchła. Zapytał niespokojnie:

— Co ci jest, babuniu?

TJ-e chciała mu wyjawić, że w tej chwili, jak chmura *' e radość jej zaćmiło przypomnienie Stanisławowego Przekleństwa. Siłąc się na spokój odparła: ~ Nic, synku, jeno gdzie macierz twoja? Odetchnął i rzekł:

Ja z konnymi skoczyłem przodem, byś dłużej nie mu-«ła czekać niżli trzeba. Skoro patrzeć, wozy winny tu być ". pacierzy pierwszy krok do ciebie będzie, babuniu.

— I ja rada ujrzę niewiastkę i, miła mi jak rodzona.

Odgłosy z dziedzińca znowu wzmogły się i Mieszko rzekł:

— już są pewnikiem. Pójdę ja pomóc macierzy.

— Wracaj wraz z nią, chcę ci się napatrzeć i pożywić się musicie z drogi.

— Śniadałem już, a przystoi mi nowego biskupa powitać, potem zasię z druhami się pożegnać, bo i im pilno będzie swoje kąty obaczyć. Zmieniło się wiele, katedra, widzę, niemal odbudowana. Ale naprzykrzę ci się jeszcze więcej, niżbyś chciała.

— Nie wydolisz, bobyś ani na sen czasu nie znalazł — uśmiechnęła się. — Ale idź, a powitaj i starego Mikołaja Bończę. On jeden mej samotności towarzyszył... i wspomnieniom, bo z nowym biskupem, nowy ład i nowi ludzie. Iście zmieniło się wiele — zakończyła smutno.

Mieszko ucałował wyschlą dłoń babki i wyszedł. Została sama w zamyśleniu. Ale przerwały je głosy przy wejściu, wśród których rozpoznała głos Wysesławy; dawne dworki witały powracającą królową. Dobronega postąpiła ku wejściu i bez słowa objęła synową. Długo stały w niemym, uścisku, trudno było o pierwsze słowa po wszystkim, co zaszło od chwili, gdy się rozstały. Wreszcie usiadły naprzeciw siebie i pierwsza zaczęła Dobronega:

— Ani wypowiedzieć, jakem ci rada. Jakby mi córa wróciła.

niewiastkę — synową Gdy Wysesława i teraz nie odezwała się, księżna zanv tała:

— Nie radujesz się, niewiastko, że kres będzie twoje! I syna twego tułacze?

— Wybaczcie, matko — szepnęła królowa. — Wdzięcz, nam za serce wasze dla nas, ale nie ono tylko na nas czeka jeno przekleństwo i nienawiść.

— Przystań! — porywczo przerwała księżna. — Rozumiem ciebie lepiej, niżli mniemasz, ale nie o przeszłości nam myśleć. I tobie włos bieleje na skroniach — ciągnęła łagodniej. — Mieszko żrały już jest. Ja trzech synów straciłam a we wnętrzu żywię nadzieja, że nie zaginie królewski ród Bołkowy. I ty, gdybyś wnętrza doczekała, przestałabyś się lękać Stanisławowego przekleństwa. Stary Bończa prawi, że wyznał on swe winy i zbawiony jest, tedy nie wróci upiorem, by krwi żądać za krew.

— On nie wróci— przygnębionym głosem rzekła Wysesława. — Ale przekleństwo ostało i ci, co z jego krwi po-siew buntu uczynili.

— Ostaw! — niecierpliwie przerwała księżna. — Włodzi-sław macierzyńskiego przekleństwa się lęka i przeto na wasz powrót przyzwolił, a ja wzajem poręczyłam, że pokąd żywię, Mieszko po włość nie sięgnie. I lepiej, by w zbyt młodych leciech jej nie odzierzył, jak Bolko, gdy umiaru jeszcze brak i doświadczenia.

— Mieszko ni własci, ni pomsty nie żądny — odparła Wyszesaława. — Jeno że ci, co małżonka mego do zguby przywiedli, nie dadzą temu wiary.

— Przed żywymy ustrzec się można — odparła Dobronega i urwała. Sama też z myśli wygnać nie może przekleństwa. Jej wkrótce odejść przyjdzie, ale z tą zmorą będzie żyć Wyszesaława, Zelżałaby jej, gdyby wnuka po Mieszku doczekała, a w synowej córy; najlepiej rodaczki z Rusi, bo i zrozumieć się łatwiej, i żyć. Dobronega podjęła:

— Wiem ci, że się lękasz Sieciecha, alić nie jeno ty. Ma i on wrogów, i takich, co niechętnie patrzą na jego wynie«68»

rowBiskup tutejszy Awdaniec jest, z rodu, co się U' niema Sieciechowemu, a Bolkowi wiary dochował. Już nf. T ambert krzywo patrzy, że Sieciech warownię sobie 11 1 wił na Okolę, a kościół tynieckiemu opatowi nadał. jeno brak tym, co by się palatyna pozbyć radzi, wc • o nie pora, pokąd Włodzisław żywie. Żądny Mieszko własci lubo nie, kiedyś objąć mu ją przyjdzie. Zawczasu oarcia poszukać należy u postronnych, a najlaciej przez małżeński związek.

— Nie chcę dla niego takowego związku jak mój — gwałtownie przerwała Wyszesaława. — Z niego zrodziło się nieszczęście.

— I ja nie, choć mnie takoz dla sojuszu za Kazimierza wydano, a miłowanie przeżyło poza jego grób — • odparła Dobronega. — Nie chcę Mieszka do związku nakłaniać z niewiastą, do której serca mieć nie będzie. Inak to umyśliłam: jest u kijowskiego Swiatopełka siostra jego Eudok-sja, wdzięczna pono dziewczka i urodna. Prosić go zamierzyłam, by do mnie ją przysłał, o swatach nie wspominając, bo i czas jej jeszcze pod czepiec. Przyjdzie na Mieszka pora za małżonką się obejrzyć, wonczas sam postanowi, zali mu po sercu będzie ona.

— Jeno czy Swiatopełk przyzwoli — z powątpiewaniem rzekła Wyszesaława — bo takoz w dziewierzu 1 sprzymierzeńca zyskać zechce, zwłaszcza po klęsce, jaką łońskiego roku od Połowców poniósł. A Mieszko nawet dzielnicy nie ma, cöße Swiatopełkowi po takim sprzymierzeńcu?

— Nie chciałam ja na Włodzisława nalegać, bo podejrziwy jest i nieufny. Ale gdy się przekona, że Mieszko na zdradzie mu nie stoi, sam zrozumie, że nijak księżęciu z piastowego rodu niczym byle komesowi na jednym grodzie siedzieć. I to, że przez ów związek i on pokój będzie miał od Rusi. A choćby z niego i nic nie wyszło, tobie milej cędzie swojczkę mieć przy sobie, gdy mnie odejść przyjdzie.

w dziewierzu — w szwagrze — Nie mówcie, matko — szepnęła Wyszesaława, ale bronega odparła:

— Zadość żyłam i przeżyłam, chcę już jeno zejść w -0 koju, Bogu dziękując, zem was w zdrowiu ujrzała. Nie o t mówmy, jeno o Mieszku. Nad czym dumasz, rzeknijże coś*!

— Ślijcie, matko, po Eudoksję. Może Bóg będzie dla łaskawszy niżli dla mnie.

— Nie myśl już o tym, niewiastko. Wierzaj mi, iż każda rana się zagoi, byle jej nie rozdrapywać. A doła jako pies łąsi się temu, co mu dowierza, ukąsi tego, co się lęka. Raduj' się dniem dzisiejszym, a nie zwól, by Mieszko pomiarkował że się o niego trwożysz. Jeno byś mu radość zatruła z powrotu — Wiem, matko. Jeno mi tym ciężej, że przed nim kryć muszę, iż mi nijak zapomnieć, com przeżyła w tym miejscu przeklętym. On zasię ufny jest, jakby nie pomniał, co się tu przydarzyło, ni o tym nie myślał, przecz mu stryk ninie wrócić zwolił, włascie teraz, gdy mu się dziedzic urodził.

— I o tym nie myśl — rzekła Dobronega. — Włodzisław na wasz powrót przysłał, bo przekleństwem mu zagroziłam/ Jeśli ci to ulży, ze mną mów o tym, co ci dolega, bo ja ciebie rozumiem. Człek jeno lichu budzi, gdy się go lęka — zakończyła w zadumie.

Biskup Lambert powitał Mieszka z powściągliwą życzliwością. Młodociany książę podobał mu się, urodziwy i ujmujący w obejściu, ale tymczasem nie liczył się jako sprzymierzeniec, a przyszłość była niepewna i biskup unikał wszelkiej o tym wzmianki. Samowola i nadużycia Sieciecha powodowały w kraju, głuche wrzenie, zarówno wśród ludu, jak i rycerstwa, i palatyn wiedział o tym, dlatego starał się pozyskać kościelnych dostojników nadaniami i przywilejami. Natomiast z Lambertem stosunek nie układał się. Sie-ciech nie tylko nie dotrzymał przyrzeczenia dzielenia się władzą, ale nawet powagę krakowskiej stolicy w polskim kościele obniżył, niewątpliwie bowiem z jego poręki Włozwolnionego po zaginionym Bogumile stanowiska ^Zia a olity Lambertowi odmówił, a na dobitkę Siecieeh me r°żnił dumę Awdañca, dając mu odczuć, że z jego łaski ?° tał krakowskim biskupem. Jako wyraźne już wyzwanie Z°S ^ł Lambert budowę warowni na Okolę i oddanie wznie-° CZg^o tam kościoła tynieckiemu klasztorowi, wyłączonemu ° H "władzy biskupa. Widocznie w opacie Siecieeh szukał °rzeciw niemu sprzymierzeńca. Przeworny i doświadczony Lambert nie chciał wciągać młodzieńca w te sprawy, lęka-71 c się; by nie wziął tego za zachętę do podjęcia z bezwzględny i chytrym

palatynem walki, która mogłaby jedynie wywołać ponowny zamęt w kraju, a zakończyć się klęską. Biskup postanowił czekać na rozwój wypadków, zwłaszcza że nie tylko w Polsce, ale w całym chrześcijaństwie położenie nadal było niejasne. Mimo śmierci Grzegorza stronnicy jego nadal nie uznawali Klemensa III, a lud rzymski wygnał go ze stolicy domagając się osadzenia na tronie papieskim cieszącego się wzięciem opata z Monte Cassino. Gdyby szala przechyliła się na stronę prawowitego papieża, Włodzisław, a z nim Sieciech stracą oparcie w antypapie i cesarzu, układ sił zmieni się i w Polsce, a tymczasem Mieszko dojrzałszy będzie i lepiej z nim obznajomiony. Toteż Lambert unikał jakiegokolwiek wzmianki, którą Mieszko mógłby uważać za zachętę do upomnienia się o swe prawa i poparcie dla nich ze strony biskupa i jego rodu. Rozmowę skierował na sprawy obojętne, dopytywał o pobyt na Węgrzech i podróż, a jedynie, i to niezbyt wyraźnie, przestrzegł Mieszka radząc mu, by obsadzoną ludźmi Sieciecha załogę grodu zmienił na takich, którym mógłby zaufać. Mieszko jednak, nawykły do powszechnej życzliwości, jaką umiał pozyskać nawet wśród obcych, zdał się nie rozumieć tej przestrogi. Sam uradowany z powrotu do ojczyznanego domu, przekonany był, że wszyscy podzielają tę radość, i odparł, że gdy się tylko w kraju rozejrzy, dobierze sobie z rycerskiej młodzieży towarzyszy do ćwiczeń i łowów, -ymczasem spieszył pożegnać tych, którzy dzielili z nim «70»

wygnanie, a teraz i im pilno było obejrzeć własne próg! Czekali na królewicza, zebrani w obszernej świetlicy na przyziomiu, przed rozstaniem po blisko siedmiu latach wygnania gęsto przepijając strzemiennego. Gdy Mieszko wszedł, rzucili się do niego z kubkami w dłoniach. Zaczerwienione twarze i świecące oczy zdradzały, że wielu zdążyło już przebrać miarę. Nie nawykły do picia Mieszko z uśmiechem opędał się przed pijacką poufałością. Gdy wmusili jednak w niego jeden i drugi kubek, a następni pchali się z napitkiem, wymknął się napierającym na niego i, wyskoczywszy na ławę, ręką dał znać, że chce przemówić. Nie zaraz ucichło, aż trzeźwiejszy od innych Mikołaj z Zębocina wrzasnął:

— Stulcie pyski, gdy królewicz do was gada!

Gwar przycichł, a Mieszko ujmując wręczony mu kubek zaczął:

— Nie żegnam was, bo jeno na dworcach swych osiadziecie, żadnego nie poniecham odwiedzić, a już ninie wszystkim na gody do swego zapraszam i wonczas nie będziem sobie odmierzać. Podziękować jeno chcę, iżście rodzicowi memu wiary dochowali, dołę swą z naszą związali i to wam przyrzekam, jako więzy te nigdy zerwane nie będą, a może Bóg zwoli, że lepiej niżli słowem wdzięczność swą wydole okazać. Ninie jeno z serca wam życzę, byście wraz ze mną z odzyskanej ojcowizny w pokoju radować się mogli, by po siedmiu latach chudych siedem tłustych nastąpiło. Na pomyślność!

Wychylił kubek i zszedł z ławy. Niektórzy pokrzykiwać zaczęli, ale umilkli znowu, gdy na ławę wstąpił Mikołaj Strzemięńczyk. Zwykli na niego się oglądać i czekali, co powie. On jednak zwrócił się do służebnych pacholców i rozkazał:

— Pośledni raz nalać w korczaiki, a potem precz! Zaczekał, aż pacholcowie wyszli, a gdy za ostatnim drzwiami się zamknęły, zaczął:

— Gdyby nam jeno o nasze ojcowizny szło, starczyłoby siedmiu laty hołd złożyć wydziercy, jak tego ninie od p'Ze • domaga. Co doma zastaniem, jeszcze nie wiada, ale o datego radować się nie pora. I wam. miłościwy nlfVwicu, nie pora, bo ojcowizna wasza to nie ten gród, kr°ei stóleczny, jeno kraj cały. Nie po to wróciliśmy, by Cb° wczasować z Włodzisławowej, a prawdę rzec, z Siecie-Się i łaski, jeno dopomóc wam odzyskać, co się dziedzico-°koronowanego króla wedle praw boskich i ludzkich na-leżv Wonczas pora będzie radować się, winnych karać, a zasłużonych nagradzać. Na takową pomyślność wypijmy!

Gwar wybuchł, jakby gniazdo os poruszył. Nagromadzona latami wygnania gorycz, wzburzona napitkiem, teraz szukała ujścia w pogróżkach i wyzwiskach. Królewicz, zaskoczony, zbierał myśli. Tego, co usłyszał, nie może zostawić bez odpowiedzi; ale gdyby nieopatrznie wszczęli walkę, ani nie może, ani nie chce, jak Włodzisław, pozostać na uboczu, zrywając te więzy, o których sam mówił przed chwilą. Stał pobladły czekając, by uspokoiło się wzburzenie, a gdy przycichło, zwrócił się do Mikołaja:

— Słusznie uczyniłeś pacholców stąd wyganając, bo gdyby się rozniosło, o czym tu mowa, nie doma wracać, jeno w las. Jako rzekłem, wy ze mną, ja z wami, ale sami zważcie, że jeśli kraj cały nie będzie z nami, jeno zamęt. w nim zdziałamy, niczego nie osiągając kromie zguby własnej. Odkazywaniem zasię wroga przestrzec można, ale nie pokonać. Gdy się w kraju rozejrzym, sposobną porą na trzeźwo rozważym, co czynić należy. Ale jedno wiedzcie, i od tego nie odstępaję: księżna Dobronega porękę

dała Włodzisławowi, że po włość nie sięgnę, pokąd ona żywie, i przeto na nasz powrót przyzwolił. Na zbawienie duszy klnę się, że choćby mnie kraj cały jednym głosem o to prosił, słowu jej ujmę uczynić nie dam. Jeśli wy go nie uszanujecie, sobie winę przypiszcie zerwania owych więzów, które póki życia chciałbym zachować.

Nie wszystkich przekonał, bo wszczęły się spory. Zema mruknął półgłosem:

— Słowo zdzierzyć wiarołomcy!

Najbardziej pijany Ustek Strzemięńczyk parsknął głośno— Kamień wosku ślubie, by nam rychło ręce więzax przestała ona starucha.

Mieszkowi ze wzburzenia aż mowę odjęło, krew uderzyło mu do twarzy, ale Mikołaj uprzedził zajście i krzyknął:

— Ninie pysk ci zawiążę, jeśli go sam nie zawrzesz głupcze!

— Spróbuj! — Ustek zerwał się, ale bracia pochycili go i posadzili na ławie. Przestał się szamotać, ale z pijacką zawziętością powiedział:

— Choćbyś mi zawiązał, każdy wie, iż bez czci jest syn, co nie pomści rodzica.

Mimo podniecenia nastąpiła cisza, ale Mieszko opanował się już i rzekł:

— Nie mścić się będę, jeno wedle prawa i obyczaju winnych karać. Ciebie nie ukarzę, bo tak mniemam, że gdy ci miód wywietrzeje, o wybaczenie będziesz prosił.

Przez chwilę Ustek patrzył na królewicza, jakby się nad czymś namyślał. Niespodziewanie rzucił się do kolan Mieszkowych, wołając:

— Bogdaj mi mowę odjęło! Leb mi utnijcie!

— Ja ci łba nie zetnę — odparł Mieszko -dsuwając go,— Ale języka pilnuj, bo nie swoją jeno głowę możesz zań zapłacić. — Zwracając się do wszystkich dodał:

— Wiem, czego wy ode mnie czekacie, wiecie, czego ja od was: księżnej powrót do kraju zawdzięczamy, zwólcie jej w pokoju dokonać żywota, nacięła się zadość. Żegnam was, w zdrowiu ostajcie!

Wyszedszy ze świetlicy Mieszko skierował kroki ku urwisku nad Wisłą. Niebo wyczyściło się, słońce schodziło już z południa, w przejrzystym powietrzu wzrok lecieć mógł aż ku dalekim góróm. Widok ten nieraz śnił się Mieszkowi w latach wygnania, ale teraz w zamyśleniu oczy utkwiał w czarnej na tle zaśnieżonych brzegów rzecze. Nie wracały wspomnienia pacholecych lat. Beztroską młodość i po«74» hna życzliwość zostawił na obczyźnie. Zajście z towa-WSZ -mi uprzytomniło mu, że powrót nie oznacza tylko i 'nię tęsknoty za krajem dzieciństwa i pieszczotami Uki ale odpowiedzialność i trudy męskiego wieku. Zara-nachodziła go wątpliwość, czy tylko chęć zapewnienia steranej nieszczęściami niewieście spokojnego schyłku żyta jest przyczyną, że nie pomyślał o tym, iż wielu w nim będzie widzieć przywódcę i od niego oczekiwać przywrócenia. Ojczyźnie tak niedawnej jeszcze świetności i znaczenia. Mieszko długo stał w zadumie, nie mogąc się z sobą policzyć, a jak natrętny owad brzęczały mu w uszach słowa pijanego Ustka. Krótko trwała radość powrotu, krócej niż kończący się już dzień grudniowy. Nie zauważył, że słońce pochyliło się i zczzerwieniało, do rzeczywistości przywołał go mroźny powiew, który pociągnął od rzeki. Przypomniawszy sobie, że księżna prosiła, by powitał także starego kanonika Bończę, i wyszedłszy z grodu, skierował kroki do dworku nad strugą biegnącą od Żabiego Kruka ku Wiśle.

Kanonika pamiętał starcem, wiedział, że za młodu brał udział w walkach z Masławem, a święcenia kapłańskie otrzymał jeszcze z rąk Aarona. Sędziwy już musi być, bogaty doświadczeniem dwóch pokoleń, zna przyczyny i przebieg wypadków od pół wieku z górą, jego przychylności i doświadczeniu może zaufać. Jeżeli nawet nie zechce mieszać się do spraw, od których zawsze trzymał się z daleka, pomoże bezstronnie i trzeźwo rozważyć, czy słusznie powstrzymał towarzyszy wygnania od rozpoczęcia walki, czy wiąże go słowo Dobronegi dane Włodzisławowi. Władza zdała mu się ciężarem, do dźwigania którego nie czuł jeszcze sił ni chęci, tym mniej do walki o nią. Zbyt boleśnie doświadczył, jakie są jej skutki.

Kanonik Mikołaj wiedział już o przyjeździe Mieszka i powitał go ze wzruszeniem. Gdy królewicz pochylił się do .lego ręki, poufale pogładził go po jasnych włosach i rzekł: Wróciłeś! Jakby z tobą wróciła nadzieja. Jako kania na deszcz księżna na ciebie czekała, ciesząc się jej radością.

Niechże ci się przyjrzę! Pięknie wyrosłeś, w dziada się wdałeś, daj Bóg, by nie jeno z urody.

— Na dziada kraj cały czekał — rzekł Mieszko w zamyśleniu. — Ład i spokój mu przyniósł. A ja? Jeno bym spokój zburzył sięgając po ojcowe dziedzictwo. Nie wiem zali go nie zburzę przez to jeno, iżem wrócił. Krótka była radość.

— Cóż się stało? — niespokojnie zapytał Mikołaj. — Wzdys się jeszcze ani po grodzie rozejrzeć nie pośpiał. Czemu ci to ninie na myśl przyszło?

— Żegnałem towarzyszy, którzy społem ze mną wrócili. Mniemałem, że i im radość swoich powitać i własne progi! Rzekli mi, że co doma zastaną, jeszcze nie wiada, tedy cieszyć się nie pora ni wczasować...

Mieszko zaciął się i zarumienił. Kanonik patrzył na niego pytająco, czując, że coś mu przez usta przejść nie chce. Jakby coś gorzkiego chciał wypłuć, rzucił:

— I że hańba synowi, któren nie pomści rodzica. Czekał widocznie, co na to powie Mikołaj, który zadumał się. Zaczął po chwili.

— „Pomstę ostaw mnie”, mówi Pan. Ani karać nie Iza, gdy winnych zbyt wielu. Cóżes odrzekł druhom?

— Iże słowu księżnej, która poręczyła, że po włość nie sięgnę, ujmy uczynić nie zwoję, by w pokoju mogła dokonać żywota. Ale raniej rzekłem, że ich nigdy nie opuszczę, jako i oni nas nie opuścili. Ani chybi, Sieciech im to zakar-bował, iście nie wiada, co doma zastaną. Co mi czynić, gdy o swoje dopominać się będą i zaczną się walka?

— Jeśli w tobie chcą widzieć przywódcę, posłuch ci dłużni i nie Iza swego dochodzić z powszechną szkodą. Praw jeś, że ci do włości niespieszne, bo nie jeno ciałem żrałym być trzeba. Zbyt wczesnie osiągnięta jeno posiewem jest pychy i samowoli, ni granic, ni umiaru nie zna, a u kresu Jej upadek.

Przez chwilę obydwaj milczeli. Mieszko zapytał z wahaniem:

— Zali o rodzicu mym mówicie?

— Wolalbym z synem nie mówić o rodzicu. Ale skoro T z odpowiem. Rodzic twój pradziada, Chrobrego, na-M dować umyślił, niepomny, że od onego czasu zmieniło a wiele. Ale nawet Chrobry wojewodów swych rady za-zwykł. Rodzic twój niczyich nie słuchał, sędzią co gorzej oprawcą, sięgać chciał być we własnych sprawach, a umiaru nie znał ni miłosierdzia.

— j/[niemacie. iże niesłusznie biskupa Stanisława po'__ Obydwo już Bóg sędzi i niechaj im będzie miłosierny. Ni- mnie sędzić swego pasterza, aleć i nie króla sąd był nad kapłanem, jeno kościelny. Wezwał był Stanisława metropolita Bogumił na sąd synodalny, a gdy posłuchu odmówił i nie stanął, w zaoczności go zasądził. Gdyby król władać sobą umiał i zaczekał, by ze Stanisława zdjęto święcenia, buntownikom odjąłby zarzut, iże bezprawnie i niesłusznie biskupa pokarał. A nikomu tajne nie było, że nie za to, o co go oskarżał, bo biskup Stanisław od roku w boru się ukrywał, tedy nie on wroga naprowadził, jeno ci, co go przeciw królowi judzili i na czoło wysuwali, korzystając, że zbyt wiele mniemał o sobie. Kozły za wzdys mniemają, że są szczególnie powołane do pracy w Winnicy Pańskiej. Mikołaj umilkł i zamyślił się. Po chwili podjął:

— Zło jako woda, z góry w dół ciecze i dociera wszędy. Oto dwie najwyższe władze w chrześcijaństwie, miast zgodnie pracować, wzajem się zwalczają. Nie będzie Państwa Bożego bez księżęcia pokoju, pycha zgubiła aniołów. Pomnij o tym, gdy ci kiedyś brzemię włości dźwigać przyjdzie; i to, iże dźwigać lżej, gdy je podzielić. Nie masz ładu bez prawa, ale nijakie to prawo, które wola lubo samowola jednego człeka stanowi.

Mieszko odetchnął z ulgą i wstając rzekł:

— Dzięki wam, iżeście mnie w postanowieniu utwierdzili: nie będę pomsty szukał ni wojny wszczynął ze strykiem. A pokąd babka żywie, włości nie podejmę.

«77»

Uśmiechnął się i zakończył:

— Daj jej Bóg długi żywot, a mnie jeszcze swobodą nacieszyć.

Wiść o powrocie wygnańców dotarła do Płocka w chwili gdy księżę przybity śmiercią małzonki i znużony uroczystościami pogrzebowymi łaknął tylko spokoju. Rozjechali się dostojnicy, rozeszły tłumy prostego ludu, z nieklamany żalem żegnając panią, która jak mogła, łagodząc się starała skutki samowoli Sieciecha. Nie było uczt ni zjazdu na dzień Bożego Narodzenia, cisza jednak, jaka zapanowała na grodzie, nie niosła księciu ukojenia, a wzmagala poczucie samotności. Nie było żywej duszy, przed którą mógłby swoją otworzyć, na dobitkę nie dopisywało mu zdrowie. Uporczywy kaszel pozbawiał go nocnego wypoczynku, w bezsenne noce legły się ponure myśli. Odeszła małżonka, darząca go nie zasłużonym przywiązaniem, matka nie kryje swej pogardy i niechęci. By ją przejednać, zgodził się na powrót wygnańców, a teraz wzmagala to jego niepokój.

Jedyną istotą, do której ciągnęło go serce, był niemowlęcy syn. Tęgi i zdrowy, rozwijał się nad wiek, zaczynał już siadać i uśmiechać się do ojca, gdy ten pochylał się nad jego kołyską. Ale Włodzisław nie potrafił zapomnieć, że ongiś uśmiechał się do niego i Zbygniew, a ostatnie spotkanie z nim pozostawiło w księciu osad żalu i goryczy. W zachowaniu jego wyczuł lekceważenie i niechęć, jeśli nie wrogość. Czy i nowo narodzony kiedyś tak samo za serce mu odpłaci? Dla niego chciał zachować władzę, zrażając sobie tym pierworodnego, a w chwili słabości zgodził się na powrót Mieszka, który te rachuby może przekreślić. Dobro-nega poręczyła, że póki ona żyje, Mieszko nie sięgnie po władzę. Ale minęło jej już trzy ćwierci wieku, dojrzałości niemowlęcia nie doczeka. Mieszko tymczasem mężem się stanie, sama jego obecność poruszy niechętnie księcia siły, którym tylko przywódcy brak, by rozpocząć walkę.

• 'ne przymierze z teściem przez śmierć Judyty jesz-CnWie rozdzieliło, koronacja na polskiego króla wyraźnie cze S na jego zamiary, zamęt w kraju stworzyłby spo/- • , nbność ich urzeczywistnienia.

Książę niecierpliwie czekał na palatyna. Bawił w swym c-eciechowie, ale na pogrzeb Judyty przyjechać nie zdążył, l że i rozmyślnie, wiedząc o niechęci, jaką do niego żywiła •ła księżna. Niemniej sam musi rozumieć, że naradzić te trzeba w położeniu, jakie stworzyła śmierć Judyty i po-Slrót Mieszka. Zaradność i pewność siebie Sieciecha podnosiły księcia na duchu, toteż gdy wkrótce nadjechał, Wło-dzibaw powitał go z ulgą, nie ukrywając jednak swego niepokoju i przygnębienia:

— Pod złym znakiem zaczął się nowy god — powiełał. — Miał wesela, w dniu Pańskiego Narodzenia smutek i żałoba. Na dobitkę słaby się czuję, ni po kraju się ruszyć, ni choćby na łowy, by nie myśleć o stracie.

Sieciech słuchał z wyrazem lekceważącego politowania i odparł:

— Strata iście jest, szczęściem syn wasz ani o niej nie wie. Jeśli zasię myślicie o przymierzu z Wratysławem, to nigdy pewne nie było. Ale w Niemczech nadal wrzenie i rozłam, nie pora im w nasze sprawy się mieszać i czas będzie za nowym związkiem dla was obejrzeć się, by postronne oparcie pozyskać.

— Ani mi o tym myśleć — • powiedział książę. — Jeszcze i dwóch niedziel nie ma, jak Judyta odeszła.

Urażony był widocznie, ale Sieciech, jakby tego nie zauważył, ciągnął :

— Odeszła, to jej nie ma. Nie mnie prawić, jakoby ten związek skojarzyło miłowanie, i nowy nie przeto zawrzeć należy. Ale że nie dziś ni jutro, rozważyć czas będzie, a ni-nie pilniejsze są sprawy. Że Mieszko ze swymi wrócił, już wiecie?

• Iście wiem, jeno nie wiem, co zamierza. Pokojni bądźcie, że dowiem się w porę. Ninie zda mi «79» się, że księżna Dobronega żenić go umyśliła, bo słała cło kijowskiego Swiatopelka, by siostrze swej przyjechać (J0 niej zwoił w odwiedziny).

— Może iście jeno w odwiedziny — powiedział książę ale Sieciech odparł:

— Czemuż raniej nie słała, gdy nikogo nie miała koło siebie? Ninie ma i Wyszesaławę, z którą zawsze blisko były i swego Mieszka. Ani chybi, nie dla siebie, jeno dla niego p0 Eudoksję słała.

— Sprzymierzeńca dla niego szuka — mruknął książę. • — Może i tak — przytwierdził Sieciech.

— Ale że to ani pewne, ani bliskie, czas o tym myśleć, a my raniej mocniejszego najdziem niżli Swiatopelk, który córę połowieckiego księcia pojąć musiał, by się od najazdów opędzić. Ninie nam radziej baczenie dawać na tych, co z Mieszkiem wrócili. Na święto Zmartwychwstania Pańskiego zjazd zwołać trzeba, by hołd złożyli i przysięgę, a kóten nie stanie, o głowę skrócić. Źle się stało, żeście i od Mieszka tego nie zażądali, bo poręka waszej macierzy zda się nie na długo. Słyszę, że cienko już przędzie.

— Ani go widzieć nie chcę — powiedział książę niechętnie.

Sieciech drwiąco pokiwał głową:

— To źle. Jeszcze mniemać gotów, że się go lękacie. Urodny ma być, sposobną porą przyjrzeć mu się nie zawadzi. Ja bo nie zamyślam go unikać, choć pewnikiem za mną mniej jeszcze tezy niżli za wami —• zakończył.

Zdać się mogło istotnie, że tylko nadzieja ujrzenia wnuka trzymała Dobronegę przy życiu, od dnia jego powrotu bowiem wyraźnie opadała z sił, nieraz całymi dniami nie opuszczała łóża. Wyszesaława doglądała świekry jak rodzonej matki, z żalem myśląc, że wkrótce pożegnać ją przyjdzie i straci jedyną istotę, która rozumiała jej niepokój 0 Mieszka, a własny umiała ukrywać. Obydwie czekały je• zora, gdy zwykł przychodzić i z ożywieniem opo-n° Tć o swych wrażeniach i przygodach. Widząc,

jak bar-'fia ależy babce na jego obecności, nie ruszał się jednak GZ° T,oWa, poniechał nawet przyrzeczonych druhom od-Z • dzin, natomiast gdy po Godach dni stały się dłuższe Wie goda ustaliła się, wyruszał na łowy do pobliskich borów, r?oć w przetrzebionych przez osadników rzadko grubszego wierzą spotkać można było, stęsknił się na bezleśnych Zrzewaźnie Węgrzech za ich uroczystą ciszą, w której kryć się zdały jakieś tajemnice. Gdy pogoda nie sprzyjała ło--"m kręcił się po podgrodziach i osadach służebnych, i tu dr "'dując Wspomnienia sprzed lat i stwierdzając z radością, że prości ludzie nie zapomnieli go. Z młodzieńczą, beztroską spełniał każdą prośbę o ograniczenie nałożonych przez Sieciecha nadmiernych świadczeń i danin, nie dostrzegając, że wkrótce nadużywać zaczęto jego łatwowierności. Nie wiedział też, że wieść o tym rozlewała się po kraju jak woda, budząc nadzieje, o których spełnieniu jeszcze nie myślał, ani też że Sieciech przez swych ludzi bacznie śledzi każdy jego krok. Mimo bowiem przestrogi biskupa, której celu nie rozumiał, nie zmienił dotychczas załogi grodu ani nie zatroszczył się o dochody z przewozu, ceł i targowego, wciąż jeszcze upojony powrotem do kraju, w swej prostoduszności mniemając, że wszyscy się cieszą wraz z nim.

Od dnia przyjazdu nie rozmawiał więcej z Lambertem,, zamieniając jedynie pozdrowienia, gdy spotkali się w katedrze przy sposobności świątecznych nabożeństw. Zaciekawiony był, o czym biskup chce mówić, gdy jednego dnia powitawszy go powiedział:

— Zechciejcie, miłośnicy królewicu, zaczekać na mnie PO mszy.

Mieszko skinął głową i, wyszedłszy po nabożeństwie, przechadzał się patrząc, jak biskup rozdzielał jałmużny czekającym na nie ubogim. Gdy skończył, Mieszko przystąpił o niego i razem skierowali się do kapitulnego budynku.

«80»

1 ~ Przekleństwo Lambert milczał jeszcze przez chwilę, jakby się namyślaj od czego zacząć. Mieszko zdziwił się, gdy biskup zapytał!

— Widzieliście, jak wsparcia udzielałem potrzebujący^?

— Wždy czynicie to każdej niedzieli •— odparł Mieszko'

— Iście tak. Biedota czeka, by choć w dzień Pański no jeść do sytości. Niejednemu do wtorej niedzieli starczyć to musi. Jak mniemacie, co by rzekli, gdybym jednego razu wsparcia im nie dał lubo jednych obdarzył, a innych pominał?

Gdy Mieszko patrzył na biskupa pytajaco, nie wiedząc do czego zmierza, Lambert ciągnął:

— Rzekliby, iżem ich ukrzywdził. I po prawdzie tak by było. Widzieliście także, żem nie szczędził zasobów na odbudowę domu Pańskiego, bo takie są obowiązki pasterza. A jakoż mógłbym ich dopełnić, gdybym się rzekł dziesięcin, danin i świadczeń z majątności kościelnych? Wždy z pustego nie; naleje. I mnie, i kapitule aniołowie chleba nie przyniosą, ni krucy, jako świętemu Benedyktowi, a kto ołtarzowi służy, z ołtarza żyć musi.

— Rozumiem, wielebny panie, że do mnie pijecie — odparł Mieszko. — Jeno że ja nijakich powinności nie mam. Macierzy na wsparcie dla niemocnych na długo starczy zasobów, jakich nam węgierski krewniak udzielił, a czego nam potrzeba, zadość w spichrzach i lamusach. Po cóż mi głodnym chleb odbierać?

Lambert przez chwilę znowu się namyślał. Nie chciał wyraźnie mówić, czego nie tylko on sam po Mieszku się spodziewa. Gdyby kiedyś objął władzę, współpraca z tym młodzieńcem, nie żadnym jej i szczodrobliwym, byłaby łatwa i korzystna zarówno dla kraju, jak i dla Kościoła. Zaczął:

— Kto nie zbiera, rozprasza. Są powinności, które z urodzenia ciążą na człeku. Ale i ninie za ten gród z ujazdemJ wasza odpowiedzialność. Nie daj Bóg nieurodzaju, głodnych żywić trzeba, miast daniny ściągać. I rodzic wasz hojnością lz ujazdem — z obszarem należącym do grodu aż wł iże Szczodrym go nazwano, ale i on od powin-a rzeSZdej'anych nie zwalniał, co mu i biskup Stanisław n°ści P° Aie słusznie prawią, że król bez pieniądza jest wyty a głabym_ Brzemie każdy rad zrzucić, a nierad je pod-kr° gotów, gdy mu je nakładać.

^l-l Jeno że ja nijakim królem nie jestem — wtrącił Mieszko w zamyśleniu, ale biskup ciągnął:

— Przyszłości nikto nie zna, ale są sprawy, które prze-vidzieć można. Wždy po wiek nie będziecie na jednym gro•e siedzieć. Rychło nastanie czas, gdy wam małżonkę po-iać przyjdzie, jaka królewskiemu synowi przystoi, oprawę iei z.upewnić stanowi odpowiednią. Stryk dzielnicę wydzielić wam winien, dwór, urzędy i drużynę zaopatrzyć trzeba, a z czego, jeśli kto jeno poprosi, zwolnienie od danin i powinności uzyska? Zwolnicie zasię jednych, a nie zwolnicie drugich, za krzywdę to mieć będą. Czas wam młodzieńczych igrów poniechać, a do rządów się zaprawiać, po kraju się ruszyć. Sami pomiarkujecie, czego się od was spodziewa, a zawiedzione nadzieje nie jedną przyjaciół.

Mieszko pożegnał biskupa i odszedł zamyślony. Zawiedzione nadzieje nie jedną przyjaciół! Wiedział, czego się po nim spodziewali towarzysze wygnania; co w domach zastali i co teraz zamyślają, nie wiedział. Od dwóch miesięcy nie miał od nich żadnych wieści, nawet od Mikołaja osiadłego jeno o dzień drogi. Dotychczas nie spełnił przyrzeczenia, że ich odwiedzi, trudno będzie im wyjaśnić, że trzymają go niewiasty, niespokojne, gdy się oddali. Musi po-skoczyć choć do Zębocina, Mikołaj zapewne będzie miał wieści o druhach i krewniakach.

Powziąwszy postanowienie, Mieszko skierował się do ba-bińca, by je oznajmić matce i babce. Przeczuwał, że Wy-szesława będzie wyjazdowi przeciwna, widział jej niepokój, gay czasem później niż zazwyczaj przyszedł je odwiedzić, ^ay zapowiedział swój wyjazd, Dobronega chcąc uprzedzić synową powiedziała:

— Dawno włnienes był to uczynić. I pies odwyknie od «83»

człeka, gdy o niego nie dba. Wiem, co cię tu trzyma, ale: wydzierzyłam bez ciebie siedem godów, wydzierzę i siedem dni. Nie młodemu cupić przy starym.

Uradowany Mieszko ucałował babkę i wyszedł, by przygotować się do drogi. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Do-bronega rzekła:

— Widziałam, że chcesz go powstrzymać. Ale cędo poty matczyne jest, póki w jej łonie. Urodzone swoją dolę ma l nikto za drugiego żywota nie przeżywie.

— Jeno gdy go widzę, spokojna jestem o niego —• rzekła Wysesława. Dobronega odparła:

— Ja ciebie rozumiem, niewiastko. Ale mężem już jest, nie jego miejsce pod matczyną kiecką i nie utrzymasz go tam do końca żywota. Niechaj jedna sobie przyjaciół, bezpieczniej mu będzie, niż gdyby sam ostał. Łacno ich sobie jedna, nie przeszkadzaj mu. Przyrzekłaś, że nie dasz poznać, iż się o. niego lękasz. Strach, jak chorość, zaraźliwy jest, a nijak z nim żyć.

— A ja muszę — szepnęła Wysesława.

Mieszkiowi podniecenie długo nie pozwalało usnąć, ale zerwał się przed świtem. Dzień zapowiadał się świetlisty, choć mroźny, wstająca z oparzelisk mgiełka szronem osiadła na bezlistnych drzewach. Nie pośniadawszy nawet Mieszko udał się do sta jen, gdzie koniuchowie właśnie poili i obroczyli konie, i zapytał:

— Znali któren z was drogę do Zębocina?

— Ja — odparł młody pacholek. — Wždy to koło Proszo-włc, gdzie rodziciele moi żywią.

— Pojedziesz ze mną, osiodłaj dwa podjezdki. Jako cię zowią?

— Brodzik. Jeno że na Proszowice droga kopna będzie, koni szkoda.

— Lubisz konie? — zapytał Mieszko. Pacholek podobał mu się, mowny był widocznie i wesoły, bo odparł śmiejąc się:

— Konie mnie lubią, to jakoż ich nie lubić? Jeśli radzić wolno, jedźmy sandomierskim gościńcem, bo przetarty. Na południe staniem w osadzie złotników pożywić się i koniom dać oddech, a stamtąd jeno miła z okładem do Zębocina, przed wieczorem będziemy.

Mieszko skinął głową i odszedł pożywić się. Gdy po chwili wyszedł na dziedziniec, Brodzik już stał trzymając konie przy pysku.

— Cóż mi przywiódł? — zapytał książę. — Wždy to nie moje.

— Jeno czyje? Te, coście z Węgier przywiedli, zmamić by się mogły, bo mróz, jakiego tam pono nie ma. Tedy po co je brać, kiedy innych zadość.

Wesoła twarz pacholka zmierzchła. Obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nie słucha, i ciągnął:

— Tyle zostało z królewskiej stadniny. Co lepsze komes Sieciech łupem pobrał, gdy miłościwego pana wygnali. Przyjdzie czas, to je odbierzem. Jedziem, bo słońeczko już wzeszło, a dzień jeszcze krótki.

Dosiedli koni. Zjechawszy ze wzgórza minęli osady, a dotarwszy na gościniec puścili konie w cwał. Gdy się zagrzały, Mieszko przeszedł w stępa i jakiś czas jechał zamyślony. Brodzik zrównał się z nim. Wyraźnie miał ochotę porozmawiać z księciem i jeno czekał, by go Mieszko zagadnął. Po chwili królewicz zapytał:

— Ty pomnisz mojego rodzica?

— Jakoż by nie! Nikto jak on na koniu nie siedział. Wraz poznać, że król. Nie to co książę Włodzisław, któren wozem zwykł jeździć jak baba lubo kaleka, bo na koniu nie siedzi, jeno wisi. Ino patrzeć, jak zleci. Nie takiemu rządzić ludźmi, co ni koniem nie władnie.

Mieszko milczał przez chwilę. Zapytał z wahaniem:

— A komes Sieciech?

— On? Zajeździć potrafi i konia, i człeka. Serca nie ma do nikogo, małżonki nawet nie pojął, choć nie mnich, a dawno mu pora. Prawią, że na królewską córę czeka, bo «85» nie masz w kraju białki godnej wnijsć do jego łoża, chyba dla rozpusty.

Mieszko nie pytał więcej i ruszył kłusem. Dłuższy czas jechali w milczeniu, nie zatrzymując się minęli kilka osad i słońce zbliżało się już do południa, gdy ukazała się większa od innych, a Brodzik oznajmił:

— Złotnik!! Konie trzeba przetrzeć, bo się zagrzały, i popręgów im popuścić, a nam nogi rozprostować.

Zatrzymali się przed znaczniejszym od innych obejściem. Gdy Brodzik zsiadł, by potrzymać konie, z domu wyszedł stary człowiek, patrząc spode łba na przybyłych z tak wyraźną niechęcią, że Mieszko już chciał ruszyć dalej, ale pacholek poskoczył do starego i coś rzekł, czego Mieszko nie dosłyszał, ale ze zdziwieniem patrzył, jak zmienił się wyraz jego twarzy. Żywo przystąpił i przytrzymując strzemię pocałował Mieszka w kolano, mówiąc ze wzruszeniem:

— Witajże nam, miły gospodynie. Anim się spodziewać śmiał takowych odwiedzin, myślałem, że Sieciechowi oprycznicy, bo jakoże królewicowi bez przystojnego orszaku? Zwólcie do izby, jeśli prosicie wolno, niewiasty wraz posiłek zgotują.

— Pożywię się chętnie, ale jeno konie wydechają, dalej nam do Zębocina — rzeki Mieszko. — Dajcie, co tam mają gotowego.

— Na przednówku niebogata u nas strawa, ale nie co dzień takowe święto. Pośpiejecie, bo niedaleko. Stary wyszedł do przyległej komory, a Mieszko rozglądał się po izbie, widocznie służącej zarazem za świetlicę jak i pracownię, bo prócz stołu pośrodku stał drugi z imadłem i narzędziami. Stary wrócił, a widząc, że królewicz przygląda się im, powiedział:

— Zardzewiały. I ja. takóž. Za miłościwego rodzica wa- : szego złota było, że nie przerobić, od wszelkich innych powinności wolni my byli. Do Pragi na naukę mnie wysłał, gdy siostrę swą za czeskiego księcia wydawał, potem ja czeladź przyuczyłem, bo sam nie wydoliłbym sporządzać wszelakich kanaków i sprzętów dla domów Bożych. Nie stało miłościwego pana, nie stało złota, co jeszcze było, pobrał oalatyn, a z nas przypisańców uczynił. Gdy słuch poszedł, iżeście wrócili, jakby wróciła nadzieja. Jeno że was nikaai widać nie było, poniek który i wierzyć przestał.

Do izby weszła stara niewiasta z naczyniem. Zaścieliła stół białym ręcznikiem, postawiła przed królewiczem misę i kubek, podjęła go pod nogi i wyszła, by wrócić po chwilę z polewką z kury i kamionką miodu. Mieszko uśmiechnął się do niej mówiąc:

— A gdzieże statki dla małżonka waszego?

— Anibym śmiał obiadować z wami — wtrącił stary. — Zjem później ze swoimi. Pożywajcie na zdrowie, a wybaczcie, że nic lepszego dać nie możemy.

— Ale napić się ze mną możesz, bym nie myślał, że trucizna — zaśmiał się Mieszko, a stary odparł poważnie:

— I truciznę bym wypił, gdybyście kazali. Przynieś drugi kubek — zwrócił się do starej. Nalał i przypił do królewicza mówiąc:

— Niechaj was Bóg ma w swej pieczy i w długie lata zachowa, bo w was nadzieja nasza, że uczynicie sprawiedliwość, Poszedł w kąt izby i długo za czymś grzebał, po czym przystąpił do królewicza i kładąc przed nim złoty pierścień z szafirem i czółko kamieniami sadzone powiedział:

— Tyle ukryć wydoliłem przed wydziercą. Weźcie! Mieszko, zaskoczony, odparł żywo:

— 'Gdzież bym od ciebie przyjmował takowy gościniec, gdy jako rzekłeś, niebogato u was.

— Wždy to nie moje. Przysięgę skarbnikowi składałem, jako niczego dla siebie nie zachowam, tedy nie dla siebie chowałem, jeno dla prawowitego pana. Nie stało miłościwego króla, wyście dziedzicem i wasze to jest.

Mieszko zawahał się i rzekł:

— • Pierścień wezmę, ale cóże mi po czółku? Macierz moja nijakich kanaków nie nosi.

«86«-

«87*»

— Weźcie — powiedział stary złotnik. — Pojmiecie jakową księżniczkę, wiano jej dać przystoi. A może Bóg zwoli mi doczekać, że koronę dla niej sporządzę królewską, a wy rodzicową Czechowi odbierzecie.

Mieszko w zamyśleniu schował klejnoty i pożywił się, gdy wszedł Brodzik oznajmiając, że konie czekają. Królewicz pożegnał gospodarza dziękując za gościnę i wyszedł na pole. Przed obejściem

ujrzał gromadę ludzi, którzy na jego widok podnieśli radosny gwar i cisnąć się jęli do niego, całując jego ręce. Gdy wreszcie dosiadł konia i ruszyli, biegło za nimi stado wyrostków, a niewiasty podnosiły dzieci w górę, by jak najdłużej mogły go widzieć, póki z gościńca nie | skręcili w drożynę między wzgórzami.

Królewicz wzruszony był i zmieszany. Zamyślił się tak głęboko, że nie słyszał, jak Brodzik kilkakrotnie próbował go zagadnąć. Zbyt dobrze pamiętał, że w czasie buntu prosty lud po niczyjej nie stanął stronie. Teraz w królewiczu pokłada nadzieję odmiany. Nie miał żalu o to. Choć pacholęciem był w dniu koronacji ojca, pamiętał każde słowo przemówienia metropolity Bogumiła i koronacyjnej przysięgi. Lud prawo ma oczekiwać od władcy ochrony i sprawiedliwości. Ale rozproszony i bezbronny nie stanowi siły. na której oprzeć by się można. A gdy rozpocznie się walka o władzę, na bezbronnym spada jej ciężar. Biskup Lambert mówił, że są obowiązki, które z urodzenia ciążyą na człeku. Czy podjąć walkę jest Mieszkowym obowiązkiem? Ze słabym i bezwolnym stryjem może by ją wygrał, ale nie wygra bez obcej pomocy z Sieciechem, który obalić zdołał potężnego Bolesława, a od tego czasu jeszcze się umocnił.

Rozterka była nieznośna, Mieszko żałować zaczynał, że wrócił. Zburzył tym spokój matki i własny, a może zburzyć i spokój kraju, który z nim wiąże nadzieję odmiany, on zaś bezsilny jest.

Próbował otrząsnąć się z przygnębienia wspominając swe przyrzeczenie, że nie sięgnie po władzę, póki żyje Dobro-nega, ale czuł, że tylko odsunąć chce powzięcie postanowienia. I na jak długo? Stara księżna gaśnie już, z żalem myślał, że wkrótce pożegnać ją przyjdzie.

Niewesołą zadumę królewicza przerwał pacholek mówiąc:

— Owo już Zębocin.

Wskazywał na wylaniającą się na nieboskłonnie wieżę 2 białego kamienia, teraz zaróżowioną od promieni zachodzącego już słońca. Ruszyli raźniej, by dotrzeć na miejsce przed zachodem, bo mroź biał siarczysty i rąbek słonecznej tarczy chował się właśnie za wzgórzami, gdy przed nimi ukazała się osada z drewnianym kościółkiem na zbocz schodzącym ku rzeczulce, nad którą położony był dworzec, a raczej grodek, bo obejście opasane było wałem i częstokołem., z zamkniętą bramą od zachodniej strony. Na dziedzińcu nie widać było nikogo, furta natomiast otwarta i Brodzik wszedłszy odwalił kłodę z bramy. Wjechali na podwórzec. Z obu stron stały gospodarcze budynki, widocznie zaniedbane, w głębi zaś obszerny dwór kryty gontami. Jedynym objawem ludzkiej obecności był unoszący się nad nim, niemal biały w mroźnym powietrzu dym.

Zsiedli z koni, które Mieszko kazał odprowadzić do stajni, sam zaś skierował się do dworca. Drzwi były otwarte, pchnął je i znalazł się w obszernej sieni. Mrok 'w niej panował, ale przez szparę pod drzwiami przeświecał lekki poblask. Mieszko otworzył je i wszedł do świetlicy. Przed płonącym na kominie ogniem siedział Mikołaj Strzemińczyk i nie odwracając się mruknął:

— Gdzie się wałęsasz, Wojka? Wieczerzę zgotuj.

— Nie Wojka, jeno ja — rzekł Mieszko przystępując do Mikołaja, który zerwał się zaskoczony i patrzył na królewicza, jakby go nie poznawał. Mieszko uśmiechnął się i powtórzył: :

— To ja. Wždy przyrzekłem was odwiedzić. Nie radziście mi?

— Witajcie! Jużem się was spodziewać przestał. Wróci dziewczka, coś ta na wieczerzę przysposobi, ale co ludziom •waszym dam, a już koniom...

«89»

Machnął ręką ze złością, ale Mieszko odparł:

— Nie sumujcie się, nie zabawię długo, a ino jednego mam pacholka. Ninie rad przed kominem posiedzę, bo zmarłem.

— •Jednego pacholka! — powtórzył Mikołaj. — Ani to przystoi królewicowi, jak byle włodyczce, ani bezpiecznie.

Zaśmiał się gorzko i ciągnął:

— Dobrze, że ja ni jednego pacholka nie mam, bo-byśmy społem jednego konia dosiadać musieli, na którym z Węgier wróciłem. Tak owo miłościwy książę słowo strzy-mał, że nam mienie odda. Bez mała gołą ziemię. Sieciech na mnie szczególnie zawzięty, ni psa nie zastałem, gdym wrócił.

— A gdzie małżonka wasza? — zapytał Mieszko. Głos Mikołaja był stłumiony, jakby go coś za gardło dusiło, gdy odparł:

— Niedaleko. Pod kościołem. Cały żywot jeno czekała i nie doczekała. Ani się potomstwa było kiedy dochować... Gospodarzyć nie ma komu ani dla kogo.

Zapatrzył się w ogień. Mieszko po chwili podjął:

— Czas ninie spokojniejszy, z was w sile jeszcze mąż. Pojmijcie niewiastę, potomstwa doczekacie...

— Nie będzie spokojnie, pokąd Sieciech się panoszy — wybuchnął Mikołaj. — Nie pojme małżonki. Po co? By jak Małgocha jeno czekała, gdy mnie do lasa uchodzić przyjdzie? Ale na obczyznę już nie pójde. Poszedłem z waszym rodzicem, bo mniemałem, że skoro wrócimy z węgierską pomocą. Nie stało go, czekałem, aż wy do lat dojdziecie, by się o swoje i nasze upomnieć. Ninie na co mam czekać? Na starość, gdy sil zbęde? Co mam do stracenia, żywot? Nic mi po nim.

Mieszko zasumował się. W słowach Mikołaja wyczuwał nie tylko gorycz, ale wyrzut i zapowiedź poczynań, które niczego nie obiecywały prócz zamętu. Mikołaj zuchwały był i niebojaźliwy, jak wszystkie Strzemieńczyki, znajdzie takich, którzy z nim pójda. Gdy sił nie policzywszy zaczną walkę, Mieszko nie może pozostać na uboczu, a wynik nietrudno przewidzieć: jeśli głowy uniosą, na wygnanie znowu iść przyjdzie, by nigdy nie wrócić. Powstrzymać trzeba niewczesne poczynania, przynajmniej, by się rozejrzeć, na kogo można liczyć. Zamiast tego zabawiał się jak wyrostek, nie rozumiał nawet, co rzekł biskup Lambert o ciężących z urodzenia obowiązkach. A nie dopełnił nawet danego towarzyszom przyrzeczenia, że ich odwiedzi. Nie dziwne byłoby, gdyby przestali na niego się oglądać. Skoro już wyruszył z Krakowa, trzeba teraz obietnicy dopełnić, choćby po to, by rozpatrzeć się w kraju i policzyć z siłami. Niewielkie przedstawiają Strzemieńczycy, zuchwali i zadzie-rzyści, nie cieszyli się mirem wśród rycerstwa. Natomiast rozrodzeni Jastrzębce swojaków mają wśród najmożniej-szych rodów, ale samo ich gniazdo teje nazwy odległe jest o dobre dwa dni drogi, a dalej jeszcze do ich większego skupiska koło Rytwian. By tych odwiedzić, nie starczy jednej niedzieli ani nawet dwóch. Dobrze rozumiał niepokój matki, z jakim przyjęła wiadomość, że wyjeżdża do Zębocłna, wiedział, jaki będzie, gdy nie wróci w zapowiedzianym czasie. Ale jej spokój i jego beztraska młodość pozostały na Węgrzech. Tu nie należy ani do matki, ani do siebie.

Mieszko i Mikołaj niewiele mówili przy wieczery, każdy zajęty własnymi myślami. Dopiero gdy zbierali się już do spoczynku, Mieszko rzekł:

— Jutro wyjeżdżam. Nie będę was z resztek objadał.

— Nie zatrzymuję, bo taka u mnie gościna, jak u rataja na przednówku — odparł Mikołaj. — Do Krakowa wracacie?

— Jeszcze nie wiem — odparł Mieszko z wahaniem. Nieznośną była mu myśl o matce, która jak na węglach czeka na jego powrót. Mikołaj spojrział spod oka na królewicza i powiedział:

— Jeśli postanowicie i innych odwiedzić, pojedź z wami.

I tak jechać miałem, bo nic tu po mnie, a naradzić się trzeba, co poczynać.

W tej chwili Mieszko już powziął postanowienie: nie wolno -mu dopuścić, by bez niego uradzano o sprawach, które zaważyć mogą na losach kraju i jego własnych. Jeżeli troska o nie jest jego obowiązkiem, nie może pozwolić, by powodował nim ktoś inny, a on ponosił odpowiedzialność. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że brak mu doświadczenia, a od porywczych i rozdrażnionych ludzi, z którymi miał się spotkać, nie mógł się spodziewać bezstronnej rady. Wypadki czy los pchają go na drogę, której ani przebiegu, ani kresu przewidzieć nie umie.

Długo w noc szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w gasnący na kominie żar, aż zapanowała ciemność i usnął znużony. Gdy się obudził, był już jasny dzień. Do świetlicy zajrzał Mikołaj i widząc, że Mieszko nie śpi, oznajmił:

— Polewka na stole. Zwłoczcie pośniadać. Gdy się pożywili, powtórzyl pytanie:

— Do Krakowa wracacie?

— Nie! — odparł królewicz. — Jadę do Jastrzębca.

— Tedy pójde przykazać waszemu pacholkowi, by i mo--" jego konia okulbaczył. Samotrzeć bezpieczniej. Odwiedźcie i Sreniawitów, bo niewiele z drogi, a i tak przez ich ziemie jechać przyjdzie. Mieszko skinął głową. Na rękę mu było spotkać się z ludźmi zasiedzianymi w kraju. Do Krakowa i tak nie wróci w zapowiedzianym czasie, musi tylko zawiadomić matkę o zmianie postanowienia, by darmo nie czekała.

Gdy zbierali się już do wyjazdu, Mikołaj zawołał Wojkę i rzekł:

— Domu pilnuj i radź sobie, jak umiesz.

— Kiedy wróćcie, panie? — zapytała.

— Za dwie niedziele, za rok albo nigdy — odparł, Gdy ruszyli, Mikołaj nawet się nie obejrzał za domem, ale gdy zjechali na drożynę wiodącą wzdłuż rzeczki, kilkaćroć zerknął na górującą nad osadą

wieżę kościółka. Miesz-JEO rozumiał, co tam ciągnie jego wzrok, i żal mu się uczyniło człowieka, któremu nieszczęsne wypadki złamały życie. Ale nie jemu tylko, a szukanie pomsty jeno ich pomnoży. Gdy własnej się wyrzekł, nie pozwoli cudzą się powodować; ze słów zaś, jakimi Mikołaj pożegnał Wojkę, podejrzewał, że Strzemięńczyk spodziewa się lub nawet zamierza poszukiwać swej krzywdy.

Nie był rozmownym towarzyszem, zresztą jadąc wąską, miejscami kopną drożyną wzdłuż Sreniawy, do gadania nie mieli sposobności. Dopiero gdy ujechali z milę i skęcili ku północnemu wschodowi, by ominąć oparzeliska, w jakie rozlewała się rzeczka, Mikołaj przerwał milczenie:

— Tu już ziemia Wojsława Sreniawity, nie z drogi nam będzie wstąpić do niego. Jeśli go doma zastaniem, może sberze się z nami do brata, Dobiesława, gdzie nam na południowy popas stanąć. Niechaj ludzie wiedzą, żeście się x Krakowa ruszyli.

Mieszko skinął głową. Wybrał się po to właśnie, by się w kraju rozejrzeć. Sreniawici byli możni i rozrodzeni, a i w innych rodach nie brakło im swojaków. Zda się wiedzieć, co zamyślają.

Ruszyli raźniej i wkrótce nad zavianym śniegiem strumykiem ukazała się osada, a na schodzącym ku niemu zboczu obszerny dworzec. Mikołaj zamierzał skęcić ku podjazdowi, ale Mieszko wstrzymał konia mówiąc:

— Zajedziem, to zatrzymywać będą, a chciałbym dziś jeszcze do Wiślicy dotrzeć. Skoccie sami zapytać, jestli Wojsław doma. Ja z wolna ruszę przodem, zechce jechać z nami, dognacie.

— Jak wasza wola — odparł Mikołaj i skierował się do dworca, a Mieszko z pachołkiem ruszył dalej: Po chwili rzekł do Brodzika:

— Wrócisz do Krakowa i rzekniesz królowej, że jadę do Jastrzębca, a może i do Rytwian, tedy nie wiem, jak długo sabawię.

«93»

— Będziecie to sami konia obrządzać? — zapytał pacho, łęk, ale królewicz odparł:

— Nie bez tego, bym u Dobiesława pachołka jakowego nie dostał, jeśli nawet sam z nami nie ruszy. Ty zaś możesz po drodze rodzicieli odwiedzić, byłeś nie później niż w niedzielę stanął w Krakowie.

— Rad bych ujrzał rodzicieli, ale obcy pachołek dbały to będzie o konie i o was? Ma zaś pan Dobiesław dać wazrs pachołka, niechaj on do Krakowa jędzie.

Mieszko uśmiechnął się:

— Na miejscu obaczym. I konie wolą znanego człeka, i ja też.

Jechali stępa, czekając na Mikołaja. Po dłuższej chwili Brodzik obejrzał się i rzekł:

— Toli nadjeżdżają.

Zatrzymali się. Z dala widać było trzech jeźdźców, którzy pognali konie. Z Mikołajem jechało dwóch wyrostków, a gdy dopadli, rycerz powiedział:

— Wojsław właśnie do brata pojechał, a to są jego syny: Zbylut i Przybysław. Cni się doma ostrokom, tedy się wyprosil, by im z wami jechać nie było wzbronno.

Mieszko spojrział na przybyłych, których oczy świeciły ciekawością i podnieceniem. Starszemu już wąs się sypać zaczynał, ale obydwaj rośli byli i tędy. Uśmiechnął się i zapytał:

— Cóż się tak na mnie gapicie, jakbyście człeka nie widzieli ?

— Człeka my widzieli, jeno nie królewica — śmiało odparł Zbylut.

— No i cóż? Inszy niż wszyscy?

— Może nie inszy. Ale pięknie wam będzie w koronie.

Mieszko nic nie odrzekł i popędził konia. Skąd młodzikowi, który ledwo mógł pamiętać czasy świetności i potęgi Bolesława, uwieńczone koronacją, przyszła myśl o koronie dla jego dziedzica? Mieszko zadumał się. Ojciec nie zostawił mu w spadku swego dzieła, sam legł pod gruzami wszystkiego, co zbudował i on, i dziad Kazimierz. Zamyślenie Mieszka przerwał Zbylut mówiąc:

— Przodem skoczmy uwiadomić stryka, kogo mu gościć przyjdzie. Chłopcy ruszyli cwałem, a Mikołaj rzekł:

— Wdałe ostroki. Wzięlibyście ich z sobą do Krakowa. I pies się najlaciej przywiąże, gdy go od szczeniaka chować. Huf przyboczny mieć wam przystało i na urzędy ludzi sposobić. Zawždy tak bywało, że się rycerska młodź przy dworze zaprawiała i do dworskiej, i do wojackiej służby. I wam się nie będzie cniło bez nijakich rówieśników, czy na łowy jechać, czy w objazd.

— Taki to u mnie dwór! — powiedział Mieszko, ale Mikołaj podchwycił:

— Przeto właśnie! Byle komes z orszakiem jeździ, jeno ścierciałki z jednym pachołkiem. Nawet biskupi hufce przyboczne trzymają — i dla powagi, i dla bezpieczeństwa.

— Jeny że ninie dwór w Płocku jest i tam się rozdaje urzędy i godności, młodym radziej tam się dosługiwać — odparł Mieszko, ale Mikołaj rzucił ze złością:

— Jeny Sieciechowym pociotkom lubo zgoła ludziom niepewnego stanu, bo Sieciech urzędy obsadza takimi, co jeno na nim wiszą, w rodach oparcia nie mając.

— Zobaczmy, zali Sobiesław synom do Krakowa jechać zwoli — odparł Mieszko. Chętnie by widział młodych w swym otoczeniu, wiedział jednak, że przywiezione z Węgier zasoby nie starczą na utrzymanie dworu i drużyny. Trzeba się będzie troszczyć o dochody, a temu sam nie podola. Pozyskać musi pewnych i doświadczonych ludzi i samemu przy nich nabyć doświadczenia. Potrzebne będzie, gdyby kiedyś rządzić przyszło.

Nie czas było jednak nad tym rozmyślać, bo droga spomiędzy pagórków zbiegła w dolinę Nidzicy, a na jej białej płaszczyźnie ujrzeli zabudowania, z których właśnie wy-Padło kilku jezdnych i zbliżali się szybko. Podjechawszy na pół stajania zeskoczyli z koni i szli dalej pieszo. Gdy się zrównali, rosty mąż w sile wieku skłonił się i rzekł:

— Jam jest Dobiesław Sreniawita, a to mój brat, Woj. sław. Bratańców już znacie, rozsądne ostroki znać dały, bym was jak przystoi na mej ziemi powitał i gościńcę przysposobił.

— Wdzięcznie dziękuję — odrzekł Mieszko. — Rad się pożywię, ale jeno konie wydychają, dalej mi ruszać, bo chciałbym dziś do Wiślicy dotrzeć.

— Nie pora ninie o pożegnaniu mówić — powiedział Dobiesław — ale tak mniemam, że nie będę musiał waszemu koniowi podcinać pęcín, byście choć parę dzionków u mnie zabawili. Ninie ruszajmy, bo już tam niewiasty z posiłkiem czekają.

— Z serca rad bym — rzekł Mieszko — jeno druhów odwiedzić przyrzekłem, którzy ze mną wygnanie dzielili, a macierzy wracać co rychlej, bo zawsze niespokojna jest, gdy mnie nie widzi. I tak mi dłużej zabawić przyjdzie, niż zapowiedziałem, bo do Jastrzębca nie wiem, zali za dwa dni zajadę, a może i do Rytwian jechać przyjdzie.

— Gdybyście wszystkich odwiedzać chcieli, co was radzi ujrzą, ni goda nie starczy, ale najdziem na to radę. Zaraz dziś gońców pchnę do miłościwej pani, że swoją głową za waszą bezpieczeńność poręczam, a do somsiadów, by się na świętego Walentego w Jastrzębcu jawił, kto wani rad się pokłonić. Tymczasem u mnie łowami możecie się zabawić, bo i pora najlepsza.

— Widzę, że w jeństwo popadł — uśmiechnął się Mieszko. — Bogu dziękować, że niesroga niewola.

Popędzili konie i za chwilę wjeżdżali na obszerny dziedziniec. Wieść o przyjeździe królewicza już się rozejść mu-] siała w pobliskich osadach, bo przed bramą witały go gromady radosnymi okrzykami, które brzmiały jeszcze, gdy zasiedli do przygotowanej już uczty.

Wzruszały królewicza objawy powszechnej życzliwości, zdawał sobie jednak sprawę, że zawdzięcza ją pokładanej ^ nim zarówno przez prosty lud, jak i rycerstwo nadziei na jakąś odmianę. W gwarze i ruchu dni uciekały szybko, ale gdy wieczorami pozostawał sam, ogarniała go rozterka, gzuł się jak pływak, który ze stojącej łachy wypłynął na nurt, nie chciał jednak bezwolnie dać się ponieść prądowi. Nie wątpił, że naród widzi w nim przywódcę, który kres położy panoszeniu się Sieciecha. Cokolwiek jednak przyjdzie poczynać, trzeba na to czasu. Jednego był pewien: że skończył się okres beczynnego pobytu w Krakowie.

Z myślą jednak o czekającej na niego Wyszlesławie skrócił miłą gościńcę. Z porady Dobiesława postanowił ominąć Wiślicę, gdzie gród dzierzył zauszniak Sieciecha, ślepo mu. posłuszny Ziemięta. Dobiesław nie wątpił, że podróż Mieszka dojdzie do wiadomości palatyna, im później jednak, tym . lepiej. Królewicz sądził, że Dobiesław jest zbyt ostrożny, niemniej wolał nadłożyć drogi, by odwiedzić w Korczynie Chwaliboga Strzemieńczyka, najstarszego z rodu, który wojował jeszcze pod Kazimierzem. Z powodu podeszłego wieku dawno się z domu nie ruszał, a Mieszko chciał się spotkać z człowiekiem, który wiele już zmian przeżył i mógł służyć doświadczoną radą, a powagą powstrzymać krewniaków od niewczesnych poczynań.

Teraz orszak liczył kilkanaście koni, posuwał się też wolno wąską, a miejscami, kopną drożyną. Dopiero gdy dotarli do gościńca nad Wisłą, ruszyli raźniej, a Mikołaj pognał przodem, by uprzedzić starego o przyjeździe królewicza.

Słońce niewiele jeszcze zeszło z południa, gdy dotarli do gródka nad Nidą, gdzie przy bramie oczekiwał ich włodarz, zapraszając na posiłek i usprawiedliwiając gospodarza, że witać nie wyszedł, ale rana w nodze mu się odnowiła i leżeć musi. Prosi jednak, by królewicz, gdy się pożywi i spocznie, zechciał go odwiedzić. Mieszko nie czekając kazał się do niego prowadzić. W pamięci miał roślego

nad miarę męża, którego ongiś widywał w Krakowie, z kruczoczarnym zarostem, lekko przyprószonym na skroniach.

7 — Przekleństwo «97»

Toteż patrzył zaskoczony na leżącego w łożu niemal łysogo starca, jakby go pierwszy raz widział. Stary uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Witajcie, miły panie! Nie poznajecie mnie, nie dziwota. Sam bym siebie nie poznał. Ale was poznałem, jenoście na mnie spojrzeli, choć pośledni raz widziałem was pacholeciem. Oćce się w synach odradzają. Jeno moich już nie masz, spróchnieje pień, gdy mu świeże pędy odrąbać.

— Nie wiedziałem — powiedział Mieszko. — Niedawnom w kraju, pierwszy raz z Krakowa ruszyłem, by się rozejrzeć. Wybaczcie, żem wam spokój zakłócił.

—• Co tam! Skoro już spokój mieć będę, którego nic nie zakłóci. Ale pókim żyw, rzeknijcie, czego czekacie od takowego próchna jak ja.

— Mniemałem, że z nami do Jastrzębca wyruszycie, gdzie się nieco rycerstwa ma stawić i wasi bratankowie takż. Już na Węgrzech Sieciechowi odkazywali...

— Wiem — przerwał Chwalibóg. — Byli u mnie, takż się rozglądają, kto z nimi. Krewcy byli za wždy i zadzier-żyści i tacy ostali, choć niemłodzi już. Wspomogłem ich, bo iście na gołą ziemię wrócili, po co mają czekać na spuściznę po mnie, a radę dołożyłem, choć i o nią nie prosili: żąda od nich książę hołdu i przysięgi, niechaj je złożą. Nikto i nic wieczne nie jest, lżej doma na odmianę czekać niżli na obczyźnie. Pośledni im czas małżonki pojąć i potomstwo spłodzić, by ród nie zaginął, a z Sieciechem igrów nie ma. Ni siłą, ni chytrością mu nie dostoją.

— A ja? Z kim jeno gadam, każden zda się po mnie wyglądać, że kres położę uciskowi wydziery. A cóże ja mogę? Prawda, że ode mnie stryk hołdu nie żądał, ale też do ręki nie dał niczego. Sam nie wiem, kim tu jestem.

— Dziedzicem królestwa. Dziad wasz je odnowił siłami tych samych, co go ongiś wygnali. Jeno czasy się zmieniły, a tego — wybaczcie — rodzic wasz zrozumieć nie chciał. Od zadry z Toporczykami władanie rozpoczął, nigdy i niczyjej rady nie posłuchał, umiaru w karaniu nie znał. Zdało mu się, że wszystko mieczem zdziałać można, nie baczył, że niecz ma i wróg. A gdy już z nim jeno ostał, sami wiecie, jak ostatniego sprzymierzeńca sobie zraził...

— Wiem! Po co mi to mówicie? — z wyraźną przykrością przerwał Mieszko.

Stary powtórzył:

— Wybaczcie! Służyłem wiernie dziadowi waszemu, służyłem i rodzicowi. Nie pytałem, dokąd wiodą i po co, wierzyłem, że lepiej wiedzą, co jest z pospólnym pożytkiem, nie żałowałem trudu ni krwi. Na marne poszła i moja, i synów moich, którzy w domowej wojnie legli i nawet nie wiem, gdzie ich mogiły. Ale nie po to mówię, by rodzicowi waszemu przyganiać, jeno byście z błędów jego wyciągnęli naukę. Kto siłę ma, umiar mieć winien, kto nie ma siły — cierpliwość. Cóż król zyskał, że Stanisława ze Szczepanowa własną ręką zgładził? Ani tym gniewu swego nie nasycił, a wrogom pozór dał, że go nie za bunt i przeniwersstwo pokarał, ale zniewagi mścił swej miłośnicy. Mało kto wie, że raniej metropolita biskupa zasądził, bo zamęt już był, i Bogumił jako kamień w wodę. Sieciecha by zapytać, co się z nim stało. Ninie głosi, że to kłątwa świątobliwego biskupa karę Bożą na króla ściągnęła... Co wam jest? — zapytał widząc, że Mieszko drgnął i pobladł.

— Macierz moja takż wierzy, że to Stanisławowe przekleństwo pościgło rodzica — odparł Mieszko zmienionym głosem.

orzej jeszcze, bo biskup zagładę mu prorokował wraz z pokoleniem, przeto i o mnie się lęka i jako na ścieście do kraju wracała. A jakoż mi było na obczyźnie pozostać, gdy stryk na powrót przyzwolił, a towarzysze i bez tego wracać chcieli. Nie Iza ich było opuścić, skoro oni nas nie opuścili.

— Źle lubo dobrze, stało się. Nie przekleństwa Stanisławowego bym się lękał, jeno Sieciechowych obierzy. Książęcia ze wszystkim osiodłał i stryk na wasz powrót się zgodził nie bez jego przyzwolenia, jeno co w tym ma?

— Może obawiał się, że bez przyzwolenia wrócę z węgierskimi posiłkami — powiedział Mieszko z namysłem.

— Może i tak, jeno to pewne, że wysoko on mierzy, podstępny jest i cofać się nie zwykł przed niczym. Onże siewcą był buntu, a w cieniu się chował, biskupa na przód wysuwając, choć znał króla i wiedział, czym to grozi. Ale na rękę mu było, co król uczynił, bo Stanisław wielu miał stronników wśród duchowieństwa, któremu nie w smak były Grzegorza nowinki. Ninie i śmierć króla na biskupa zgania, choć nie wiada, zali sam do niej ręki nie przyłożył.

— Cóże mi tedy czynić? — zapytał Mieszko. Ghwalibóg odparł:

— Rozejrzeć się, kto z wami, a kto przeciw wam, ludzi sobie jednać, sprzymierzeńców szukać, z zamierzeniami się przytając i czekać. I to miejcie na pamięci, że Sieciech oko na was mieć będzie i że w Jastrzębcu nie samych wrogów jego potkacie, choć mu ich nie brak nawet między tymi, co mu króla zegnać pomogli, bo nie po to, by miast królewskiej, Sieciechową samowolę znosić. A miłościwej pani rzeknijcie, że sam papież po czterykroć cesarza wyklinał i nic mu. Henryk na wierzchu pozostał, a Grzegorz na wygnaniu zmarł, także nie przeto, że go antypapa wyklął, jeno że siły nie miał, poparcia waszego rodzica zbawiony. Nie martwych wam się strzec, jeno żywych. I pomnijcie, że najłacniej wroga zwalić, gdy się mu koń potknie, a nie masz takowego konia, żeby się nigdy nie potknął.

Gdy Mieszko wstał żegnając starca, Chwalibóg sięgnął po wiszący nad łożeni miecz i wręczając go królewiczowi powiedział :

— Weźcie go. Mnie już na nic, niechaj on wam służy, gdy ja już nie mogę.

Zawiadomiony o przyjeździe królewicza Dzierżysław z Jastrzębca gotował się na przyjęcie go z niewielkim orszakiem, toteż zaskoczony był, gdy wcześniej, z dalszych nawet okolic, zjeżdżać się zaczęło rycerstwo, i dworzec, choć obszerny, nie mógł już ich pomieścić, a wciąż jeszcze nadjeżdżali następni. Nie widząc innej rady, Dzierżysław kazał zgotować dla nich gospody w osadach służebnych żerdników, szczytników i kucharów, a sam na czele gości wyruszył do odległej o niespełna milę Stopnicy, tam zamierzając powitać królewicza. I tu wiedziano już o przyjeździe dostojnego gościa i gdy pod wieczór nadciągnął, na jego spotkanie z grodu i podgrodzi wyległy tłumy, witając go radosnymi okrzykami niczym powracającego z wyprawy zwycięskiego wodza. Mieszko dziękował ręką i uśmiechem, ale zmieszany był i zaskoczony. Tak licznego zjazdu nie spodziewał się ani nie pragnął, chciał się jedynie spotkać ze starymi towarzyszami i pomówić z paru zasiedziałyymi ludźmi, którym mógł zaufać. Tymczasem wśród zebranych widział przeważnie nieznane twarze, a choć przywykł jednać sobie ludzi samym wyglądem i obejściem, nie ludził się, by temu mógł przypisać powszechny zapal, z jakim go witano. Zarówno prosty lud, jak i rycerstwo widzi w nim prawowitego następcę zmarłego króla i w nim pokłada nadzieję odmiany. Nie inaczej zrozumieją to na dworze w Płocku, gdzie niewątpliwie dojdzie wieść o wypadkach, budząc podejrzenia co do jego zamiarów.

Po uczcie powitalnej w Jastrzębcu Mieszko długo w noc rozmyślał, jak temu zapobiec. Jeśli nawet władza była jego przeznaczeniem, nie zamierzał jej objąć przez wojnę domową i nie pozwolił się do niej wciągnąć wbrew swej woli. Choćby nawet większość stanęła po jego stronie, wynik walki niepewny, pewne natomiast oplakane skutki. Cokolwiek zresztą miałyby przedsięwziąć, potrzebny jest czas.

Po nocnych rozmyślaniach Mieszko obudził się późno. Spokojniejszy był, ale zdało mu się, że się postarzał o lata. To, czego doświadczył w podróży, uświadomiło mu, że wywołane bezprawiem palatyna wrzenie za lada powiewem rozgorzeć może buntem, nad którym nie zdoła zapanować. Musi go przygasić w zarodku. Wracając do kraju nie przypuszczał, że stanie wobec zagadnień, do których rozwiązania nie był przygotowany. Znał swą aż nadmierną ufność do ludzi i nigdy dotychczas nie musiał się przytając. Rada starego Chwaliboga była rozsądna i życzliwa, ale trudna do wykonania. Postanowił skrócić swój pobyt i wracać do Krakowa, a na pożegnanie wyjaśnić przybyłym, czego się po nim mogą spodziewać.

Dzierżysław zdziwiony był, a nawet jakby urażony, gdy Mieszko oznajmił mu swe postanowienie, prosząc zarazem, by zawiadomił rycerstwo, że po niedzielnym nabożeństwie w Stopnicy zamierza im podziękować za ofiarowane mu dary, a zarazem pożegnać się. Dzierżysław próbował skłonić królewicza, by zmienił postanowienie, przyrzekając łowy urządzić w okolicznych borach, ale choć pokusa była wielka, Mieszko oparł się jej, z żalem myśląc, że minął czas, który mógł poświęcić tylko swym zamiłowaniem, Dzierżysławowi zaś wyjaśnił, że przyrzekł matce jak najszybszy powrót.

Nie o łowach jednak myślał jadąc do Stopnicy, choć dzień zdał się jakby do nich stworzony. Po lekkiej ponowię wysokie już słońce roziskrzyło świat, najłżejszy powiew nie strącał osiadłego na drzewach szronu i okiści. Rozważał, co mu powiedziec wypadnie, by nie zrazić sobie przychylnych ludzi, a zarazem, upewnić stryja, że praw swych nie zamierza siłą dochodzić. Po raz pierwszy przemawiać miał do tak licznego zgromadzenia, a to, co chce i musi powiedziec, nie będzie po myśli większości zebranych.

Niewielki kościół wypełniony już był po brzegi i przed nim zgromadził się tłum, tak że królewicz z Dzierżysławem przepychać się musieli do wnętrza. Radosne okrzyki, jakimi powitano Mieszka, zmieszaly go jeszcze bardziej. Z żalem myślał, że nie tak żegnać go będą po tym, co powie. Nie mógł

się skupić w czasie nabożeństwa, wolałby pożegnanie mieć już za sobą. Gdy tylko pleban, pobłogosła«102»

wiwszy go, skierował się do zakrystii, Mieszko wstał i podszedłszy do otwartej bramy kościoła zatrzymał się. Niespodzianie naszło go wspomnienie ojca, gdy po koronacji w złocie i purpurze ukazał się w bramie gnieźnieńskiej katedry wobec morza zgromadzonych tłumów. A w nim chcą widzieć następcę tego mocarza, który wznosił i obalał trony, gdy tak stoi w drzwiach parafialnego kościoła w podróżnym kozuchu, przeczuwając, że nigdy tych nadziei spełnić nie zdoła. Tym siłom, które powaliły Bolesława, nie sprosta. Najchętniej dosiadłby konia i ruszył w powrotną drogę, ale tłum umilkł w widocznym oczekiwaniu na jego słowa.

W ciszy, zrazu niepewny, rozległ się głos Mieszka. Pa-m^ętał przestrogę starego Chwaliboga, że słuchać go będą nie sami wrogowie Sieciecha, i zaczął:

f- Pacholęciem musiałem z kraju uchodzić. Wielkoduszności naszego węgierskiego krewniaka dziękować, niczego m} nie brakło na obczyźnie kromie swego nieba nad głową i swojackiej życzliwości. Za nią wam dziękuję tym goręcej, że niczym jeszcze na nią nie zasłużyłem. Siedem godów kęs czasu, zmieniło się wiele, zarosły trawą mogiły po nieszczęsnym bratniej krwi rozlaniu, obeschły słozy, zagoiły się rany. Bogdaj tego nigdy więcej nie było. Wiedzą ci, którzy wygnanie z nami dzielili, że miłościwy stryk mój na powrót nasz przyzwolił za poręczeniem księżnej Dobro-negi, że spokój naruszony nie będzie, a ja słowom jej nie zwolę uchybić. Ale nie jeno przeto, bo gdybym go naruszyć zamierzał, wrócić mogłem i bez przyzwolenia ze zbrojną pomocą węgierskiego krewniaka, którą mi ofiarował. Bo wrogom, a nie krajowi oddałbym przysługę, obcym mieczem do właści się dobijając...

— Jak książę Włodzisław — na cały głos wpadł Mikołaj Strzemieńczyk. Mieszko zmieszał się i urwał, wśród zebranych zaczął się pomruk, ale roztropany Dzierżysław Jastrzębiec, widząc, na co się zanosi, wtrącił:

— Nikomu nie wzbronno myśleć, co się mu uwidzi, ale «103»

gadać jeno do tych, co chcą słuchać. Ninie wysłuchać chce-/ my, co nam ma rzec miłościwy królewic, bo rozsądnie mówi nad wiek — a nie to, co wszystkim wiadomo, choć i nie) gadać o tym.

/

Mieszko spojrział z wdzięcznością na Dzierżysława i ciągnął:

—• Ni zła złem nie wyleczy, ni przeszłości nie odmieni. Gdy Chrobry nie pierworodnego, jeno pradziada mego następcą po sobie wyznaczył, Bezprym u obcych poparcia szp-kał i zburzyli wszystko, co przez pokolenia budowali przoji-kowle. Dziad mój pierworodnemu przekazał odbudowane królestwo, a i to zacyzn był rozdwojenia, gdy możni tefeo kraju głos chcą mieć, który z potomków Piastowego rodu zasiąść ma na opróżnionym książęcym stolcu. Ale że ninle opróżniony nie jest, pora będzie uradzać o następstwie, giy Bóg księżęcia Włodzisława do siebie powoła. A że obdarzył go synem, brata w nim chcą widzieć, gdy mi Opatrzność rodzonego odmówiła, i jakkolwiek się sprawy obróca, po bratersku z nim się ułożyć, bo ze swarów jeno wrogom tyo- , rzyść. Tym, którzy rodzicowi memu zaprzysiężonej wiary dochowali, poniesione krzywdy i straty, ile wydołę, starać się będę wynagrodzić...

— Jeno martwych nie wskresiecie, to wydolił jeno Stanisław ze Szczepanowa — znowu wpadł w słowo Mikołaj i ciągnął z gryzącą drwiną:

— Jeszcze i po śmierci cuda czynił, skoro patrzeć, świętym go mianują, rodzicowi waszemu na hańbę.

Odwrócił się i roztrącając tłum dosiadł konia i odjechał. Mieszko stał zmieszany, żal mu było nieszczęśliwego człowieka, a zarazem jakby wstyd wobec ludzi, którzy życie i mienie stawili, opowiadając się przy prawowitym władcy, on zaś zbywa ich niepewnymi obietnicami, nie własnej tylko pomsty się wyrzekając. Nijak wyjaśnić, że czyni to nie z obawy o własne bezpieczeństwo, a nawet nie tylko dla dobra kraju. Nie łudził sam siebie, ręce mu wiąże matka. I w nim tkwiło wspomnienie najgorszej w życiu «104»

chwili, gdy spotkał ojca w nędznej checzy * na, barłogu, złamanego i bliskiego szaleństwa, i przysypiając ze znużenia, świadkiem był jego rozmowy z Wysesławą. Dla niej Stanisław pozostał żądnym krwi upiorem, a jego przekleństwo zmorą ciąży na jej życiu i nijak go od niej uwolnić.

Kłopotliwe milczenie przerwał znowu Dzierżysław, zwracając się do Mieszka:

—. Prawie mówicie, miłościwy królewicu, że nie o tym. co było, nam myśleć, jeno o tym, co jest. Co będzie, Bogu jednemu wiadomo, ale człek nie zwierz, jen o jutrze nie myśli. Z wiesny siać trzeba, by

zbierać jesienią, choć bywa, że burza lubo powódź plon zniszczy i nie zawždy ten zbiera, co siał, bo starzy odchodzą, a młodzi przychodzą. Nastanie pora, możni całego kraju uradzać będą, kto następcą być ma książęcia Włodzisława. Ale ninie to nam rzec wolno, iżeście nam do serca przypadli...

Zrazu pojedyncze okrzyki, a potem jeden wielki głos potwierdził słowa Dzierżysława, który jednak podniósł rękę na znak, że nie skończył, a gdy ucichło, podjął:

—• Radzi byśmy jak najdłużej zatrzymać was, ale skoro miłościwa królowa pilnie czeka na wasz powrót, niechaj naszej młodzi wolno będzie wam towarzyszyć. Młodemu najlepiej z rówieśnikami, królewskiemu synowi drużynę mieć przystoi, poznać zda mu się ludzi, z którymi może i rządzić przyjdzie, irn zasię do tej służby się zaprawiać. Bo kto konia chce mieć sprawnego, od łoszaka sam go ujeżdżać winien. Młodemu z młodymi drużby szukać. Dwóch mam otroków prawie w waszych leciech, zechciejcie mi tę cześć wyrządzić i do drużyny swej ich przyjąć.

— Moich takoz! — wtrącił Wojśław Sreniawita, a za nim inni. Mieszko uśmiechał się z zakłopotaniem, a gdy przycichło, powiedział:

—• Każdemu rad będę, ale zważcie, zem się jeszcze ani w checzy — w chacie rozejrzeć po kraju nie wydolił, nie to zagospodarzyć, by drużynę utrzymać. Ani wiem, co moje, a co nie moje...

— Całe królestwo! — krzyknął ktoś, ale Dzierżysław podniósł rękę i podjął:

— Nie my i nie tu będziemy o tym stanowić. Ale królewskiemu synowi nie komesem być na jednym grodzie i stryk dzielnicę wydzielić wam winien, jak zawždy u Słowian bywało. Żeście się zagospodarzyć nie pościeli, wiemy, bo zima nie pora po temu. Nie stać was na utrzymanie drużyny, ale stać nas. Kto chce zbierać, musi siać. Że nie odmawiacie, dziękujemy, a zem się tego spodziewała, moim otrokom jeno na koń siadać.

Nie oni jedni gotowi byli do drogi, bo gdy żegnany okrzykami Mieszko wyjeżdżał ze Stopnicy, człapała za nim spora gromadka rycerskiej młodzieży, a nie mniejsza pachołków z jucznymi końmi. Beztroska wesołość i przekomarzania młodzików nie pozwałały Mieszkowi na rozmyślanie, ale gdy na noclegach pozostawał sam, wracała rozterka. Smutne doświadczenie i rozsądek mówiły mu, że nie powinien i nie może wszczynać walki o władzę. Dość wyraźnie oświadczył to na zjeździe, ale wiedział, że nie wszystkich przekonał. Odjazd Mikołaja Strzemieńczyka nie tylko go zabolął. Świadczył o tym, że pokrzywdzeni przez Sieciecha nie chcą czekać, a gdy raz rozpocznie się walka, nie od Mieszka zależeć będzie bieg wypadków.

Nie ludził się też, że gdyby nie panoszył się wszechwładny palatyn, możnowładcy nic nie mieliby przeciw panowaniu słabego Włodzisława. Wielu z nich dlatego wzięło udział w buncie przeciw Bolesławowi, że nie dopuszczał ich do rządów. Chcą mieć w nich udział i tylko dlatego stanęliby po stronie Mieszka, ale nie takiej odmiany oczekuje od niego prosty lud i drobne rycerstwo. Gdyby od władzy usunąć Sieciecha, Mieszko mógłby spokojnie oczekiwać, by naturalnym porządkiem rzeczy opróżnił, się stolec książęcy. Ale palatyn nie pozwoli się usunąć, a jak długo Włodzisław jest od niego zależny, walka z nim oznacza wojnę «106»

z księciem. Wbrew swej woli Mieszko zostanie wciągnięty w sprawy, do których prowadzenia nie był przygotowany, a czuł, że kryją niebezpieczeństwo nie tylko dla kraju, ale i dla niego. Tego widocznie lękała się Wyszesaława, z taką niechęcią porzucając spokojny pobyt na Węgrzech. Czuł się winny wobec matki, ale nie widział sposobu, by jej przywrócić spokój. Jedno, co jeszcze może dla niej uczynić, to wracać teraz jak najrychlej, a wyjeżdżać rzadko i na krótko. Przyspieszał też pochód i trzeciego dnia stanął w Krakowie. Matka witała go tak, jakby się już nigdy ujrzyć go nie spodziewała. Rozterka Mieszka jeszcze się pogłębiła.

Mikołaj Strzemieńczyk wyjeżdżał ze Stopnicy rozgoryczony i zły. Przebieg zjazdu dowodnie wskazywał, że gdyby Mieszko chciał upomnieć się o dziedzictwo, znalazłby w kraju dość stronników. Z możniejszych rodów tylko Prawdzi-ce, Lisy i Turzynowie trzymali stronę Sieciecha. Wiele innych, jak Pałuki, Nagodzice, Odroważe i Bończe, które w czasie buntu nie wzięły udziału w walce po żadnej stronie i Sieciech pozostawił je w spokoju, teraz zapewne niechętnie patrzą, jak palatyn obsadza urzędy nowymi ludźmi lub pociotkami, którzy, pewni jego poparcia, szerzą bezprawie i dopuszczają się nadużyć. Nie brakło zaś palatynowi i możnych wrogów, z wrocławskim komesem Magnusem Zarębą na czele. Wywyższenie Toporczyków kłuje w oczy przemożnych w Wielkiej Polsce Awdańców i Nałęczów, a nawet z dawnych stronników Sieciecha mógłby Mieszko wielu pozyskać dla siebie, gdy jawne stało się, że celem Sieciecha nie było ograniczenie władzy króla, lecz pochwycenie jej w własne ręce. Z tego jednak, co mówił królewicz na zjeździe, wynika, że zamierza ugodę zawrzeć

z wydziercą. Jeżeli otrzyma dzielnicę, będzie musiał złożyć hołd i przysięgę posłuszeństwa. Sobie zwiąże ręce i zniechęci zawiedzionych.

Mimo przywiązania do królewicza Mikołaj burzył się przeciw niemu. Nie po to on sam i wielu innych stawilo mienie i życie, przez siedem lat znosiło gorycz wygnania, by do śmierci patrzeć, jak rozpiera się wróg. Sieciech nie zwykł zapominać, co komu jest dłużny; z nim nie ma ugody. Jeśli Mieszko w nią uwierzy, drogo może za łatwowierność zapłacić.

Wyjeżdżając w gniewie Mikołaj nie zastanawiał się, dokąd i po co. Nadchodzący wieczór zmusił go jednak do myślenia o tym, gdzie spędzi noc. U Dzierżysława stanąć nie chciał, urazę powziąwszy do niego, że królewicza umacnia w postanowieniu, by z objęciem władzy czekał na śmierć stryja. Mikołaj włos miał już szpakowaty, prócz pomsty innego celu nie widział teraz w życiu, czekać mu na nią nie pora.

Gdy przybierający jednak mróz ochłodził mu głowę, myśleć zaczął spokojniej. Sam niczego nie wskóra, trzeba się porozumieć przynajmniej z braćmi. Na zjazd nie przybyli, choć musieli mieć o nim wiadomość. Widocznie przybyć nie mogli lub nie chcieli. Trzeba się dowiedzieć, co zamieci rzają i pospołu uradzić, co poczynać.

Skierował konia na zachód i noc już zapadła, gdy zmarznięty i głodny dotarł do Radzanowa.

Czasław zbierał się właśnie do wypoczynku po wieczery; na widok brata uradował się widocznie i sadzając go za stołem kazał służebnej dziewczce przynieść poczęstunek, a zwracając się do Mikołaja powiedział:

— Rad cię widzę, bom się właśnie do ciebie jechać gotowałem.

— Nie zastałbyś mnie doma, bo na zjeździe byłem z królewicem w Stopnicy. Nie wiedziałeś, że się tam rycerstwo zbiera?

— Nie wiedziałem, bom też nie był doma. Ale prawdę rzec, gdybym i wiedział, nie byłbym jechał. Książę mniemać mogą, że się knowania jakoweś gotują.

— Odkąd takiś przeczorny? — ze złością sarknął Mikołaj. — A bez potrzeby, bo królewic wszem wobec wyjawiał, «108»

ze włści nie obejmie, pokąd Włodzisława Bóg lubo diabli nie wezmą. Coś ci się odmieniło, bo raniej walnie odkazy-waleś Sieciechowi.

— Sieciech musi poczekać, ja zasię nie mogę, bo niewiastę pojąć umyśliłem i ciebie w swaty prosić — odparł Czasław. — Tedy na rękę mi, że królewic zadry z księżęciem nie szuka, takóž pewnikiem przeto, że małżonkę pojmie. Słyszałem, że stara księżna Światopełkową siostrę do Krakowa zaprosiła i ani chybi swatać go z nią będzie.

— Widzę ci, że gniazdo wijesz, jeno moje już wiatry rozwiały — chmurnie mruknął Mikołaj. — Bacz, by i tobie się to nie przygodziło, bo jeśli mniemasz, że Sieciech nam zapomni, cośmy mu dłużni, to go nie znasz.

Zasepiony rozglądał się po świetlicy i dorzucił:

— Zasobnyś. U mnie jeno puste ściany ostały.

— Wždy mi nie zawidzisz. To stryk Chwałbóg mnie wspomógł i Ustka takóž. Ostawić nie ma komu, gdy obaj jego synowie jako kamień w wodę.

— I onże cię do onego małżeństwa nakłonił?

— Iście tak, bo pry, nam zadbać, by ród nie zaginął, gdy on po synach wnęków już nie doczeka, a my jeno wojujem lubo włóczym się po świecie.

— Tedy ci rzekę, com i jemu rzekł: wolej niech zaginie, niżliby potomstwo na rabów zeszło. Ja pomsty nie poniecham. Nie najdę sprzymierzeńców wśród plemienników, najdę u wywołańców. Na Węgrzech gotów byłeś wracać choćby do lasa, ninie dworca ci się zachciało, choćby nogi lizać wydziercy, by cię w pokoju ostawił.

Mikołaj patrzył na brata rozognionymi oczyma. Doznany zawód rozdrażnił go. Gotów był do kłótni z popędliwym zazwyczaj Czasławem, ale ten milczał posmutniały. Po chwili zaczął:

— Czego ty ode mnie chcesz? Bym zmarnił resztę żywota za nic? Cóże my samowtór zdziałamy? Jedno wiem, że na obczyznę już nie pójdę. Zadość było.

«109»

— Nie samowtór. Więcej jest takich, co im dojadły Sieciechowce rządy. Niechby się zaczęło, powstaną i oni.

— Niechby się skończyło, sojuszników najdziesz, ile strzyma. Jeno z czym zaczynać? U ciebie, jako rzekłeś, puste ściany, ja takim zasobny, że łechów i nie ma kim wy-karczować, co

samosiewem bez siedem godów zarastały. U takich jak my nie lepiej. Sieciech zasię zasobów ma zadość, by najemników i ścierciałków opłacać, grody nimi poobsadzał, a nas, ani chybi, ma na oku. Nim się zmówim, wiedzieć będzie i jako raki z kobielei powybiera. Tedy krótko ci rzekę: zawoła królewic — pójdę, bo bez przywództwa jeno zamęt zdziałać mozem, na własną zgubę.

— Gardzina2 z ciebie, bo wiesz, że nie zawoła. Nie taki raniej bywałeś.

— Iście nie. I cōżeśmy zwojowali? Ni sobie, ni komu. Młodzi byliśmy, ninie i mnie już głowę przyprószyło. Czas się ustatkować.

— Widzę ci, iżeś zmadrzał, jeno ja pozostałem głupi. Tedy się nie dogadamy.

Umilkł i wziął się do jedzenia. Gdy skończył, dodał:

— Nie będę ci druzbował, nie do wesela mi, jeno ci życzę, by twoja małżonka nie musiała cały żywot jeno czekać na ciebie jak moja Małgocha. Spać idę, pokąd spokój, bo nie wiada, jak długo będzie.

Zima była porą napaści północnych pogan, gdy skute mrozem bagna i rzeki nie stanowiły naturalnej obrony niespokojnej granicy. Zawsze nietęgę jednak zdrowie księcia Włodzisława zmusiło go i tym razem do beczynnego siedzenia w Płocku, a ciężar obrony spadł na Sieciecha, który zaraz po Godach z hufcem nadwornym ruszył na północ w objazd pogranicznych grodów. W nudzie beczynno1 łąchów — pół ornych wśród lasu 2gardzina — bohater ści ksiązę większość czasu spędzał w babińcu, patrząc, jak szybko rozwija się mały Bolko. Malec próbował już wstawać, na widok ojca z widoczną radością wyciągał rączki. Rosnące przywiązanie do synka wypełniało pustkę serca Włodzisława, ale i to mąciła zakorzeniona nieufność i obawa przed przyszłością. Zbygniew nie taił niechęci do ojca, ni zawiści wobec przyrodniego brata. Ksiązę wysłał go do klasztoru w Niemczech, ale nie był pewny, czy przez to usunął groźbę, natomiast nie wątpił, że wzbudził nienawiść. Pamiętał też, że pradziad Chrobry również wydalil Bezpryma po to jeno, by wrogom dać do ręki narzędzie.

Zima przesiliła się już, stoki grodowego wzgórza ku Wiśle poczerniały, na skutej lodem rzece ukazały się plamy występującej wody, gdy Wojsław Powoła zjawił się z wiadomością o zjeździe w Stopnicy. Wieść zaniepokoiła księcia. Tu leżała bliższa groźba. Włodzisław nie dowierzał oświadczeniu Mieszka, że nie sięgnie po władzę, póki żyje stryj. Ale nawet nie taił, że po nim ją objąć zamierza, a zachowanie rycerstwa świadczyło, że w nim widzą prawowitego następcę. Ksiązę nie miał nadziei, by dożyć mógł dojrzałości niemowlęcego syna. Jaki będzie jego los, zdany na łaskę krewniaka, który nie może zapomnieć, komu ojciec jego zawdzięczał upadek, a on sam wieloletnie wygnanie. Stara księżna wpływ ma na wnuka. Ale ten skończy się wraz z nią, a i ona niewątpliwie w nim widzi następcę Włodzisława. Zapewne z myślą o tym zamierza mu zaswa-tać Swiatopelkową siostrę, by dla niego zyskać poparcie kijowskiego księcia. A Swiatopelk nie wyda dziewczki bez rachuby na własną korzyść, której nie obiecuje związek z człowiekiem bez władzy i znaczenia.

Ksiązę niecierpliwie czekał na powrót Sieciecha. Wiosenne roztopy same obejmą ochronę granicy, ale też mogą odwlec jego przyjazd. Wezbrane wody lada dzień dźwigną lodową skorupę rzeki, na dłuższy czas uniemożliwiając przeprawę. A wiosna zapowiadała się wczesna i wcześniej też przypadała Wielkanoc oraz z dawna zapowiadany zjazd rycerstwa, nad którego przebiegiem naradzać się chciał ze swym palatynem. Sam czuł się bezradny i zagubiony. Wiedział już, że nie dorósł do władzy, której zawsze zazwidił bratu. Ale dzięki Sieciechowi pozbył się jego wyniosłej pogardy, która od najmłodszych lat stanowiła zmoreę jego życia. Za nic nie chciał zostawić jej w spadku małemu Bolkowi. Dla niego usunął pierwotnego syna nie po to, by zdać go na łaskę bratańca. Nie znał go, ale nie wątpił, jakie uczucia żywić może do stryja, gdy własna matka nie zapomiała mu, że z wrogami sprzymierzył się przeciw bratu. Od chwili powrotu bratanka dręczył go ustawiczny niepokój, który wzmogły jeszcze otrzymane wiadomości o zjeździe. Jak na węglach też czekał na powrót Sieciecha, by się nimi podzielić. Gdyby Mieszko kiedyś objął władzę, głowa Sieciecha spadnie przed wszystkimi. Musi zdawać sobie z tego sprawę i sam pomyśleć, jak temu zapobiec.

Wiosna uderzyła nagle z południa, wyzwalając Wisłę w jej średnim biegu z lodowej skorupy, na północy jednak lód skuwał ją jeszcze i spływająca kra spiętrzyła się w olbrzymi zator, zmuszając wody do szukania drogi ku morzu poza rzeczonym korytem. Dolina Wisły zmieniła się w olbrzymie jezioro i ksiązę Włodzisław wiedział, że Sieclech z drużyną nie wcześniej nadciągnie, aż wysokie już słońce dokończy swego dzieła i wypije wilgoć z rozmiękłych dróg. Żegluga na Wiśle jednak ruszyła i niespodzianie na przystani wylądował Sieciech.

Ksiązę, który niepokoił się już o palatyna, odetchnął z ulgą, zdziwiony jednak, że przybywa z południa i sam. Niecierpliwie chodził po komnacie, czekając na Sieciecha, który widno i teraz nie spieszył się. Wreszcie ksiązę zaklaskał na pacholka i polecił:

— Skocz do komesa Sieciecha i rzeknij, że czekam na niego.

O tym Sieciech, znając księcia, sam musiał wiedzieć, jak również, że drażni go swą nieporuszoną obojętnością. Włodzisław hamował się, by samemu nie udać się do niego, gdy po chwili pacholek wrócił z oznajmieniem, że palatyn pożywia się i przyjdzie, gdy skończy.

Gdy zjawił się wreszcie, Włodzisław nie czekając na powitanie zaczął niecierpliwie:

— Na granicy dawno spokój. Gdzieżeś bawił, że nie stamtąd wracasz? Gdzie drużyna?

Sieciech, jakby nie zauważył zniecierpliwienia księcia, odparł obojętnie:

— Drużynę do dom rozpuściłem, bo sterali się ludzie i konie. Ale na zjazd wielkanocny pośpieją. Po nim jednak nie widać było trudów zimowej wyprawy, tylko Stacha jego twarz pociemniała od mroźnych wichrów, uwydatniając jaśniejszą sieć zaczynających się zmarszczek. Nie proszony rozsiadł się na wyścielanej kobiercem ławie i ciągnął:

— Gdzie bywałem? U siebie. Brańców osadzałem. Co mi zbyło, przedąc musiałem na targowisku, a kupce nie jeżdżą, pokąd gościńce rozkisłe.

Książę pominął, jakby go to nie obeszło, że palatyn porządził się wojenną zdobyczą jak własną, i rzekł:

— Mogłeś z tym poczekać, bo tu pilniejsze są sprawy. Mieszko zjazd zwołał w Stopnicy, a i nad wielkanocnym naradzić się trzeba.

— Mam ja i swoje sprawy — odparł Sieciech. — Wielkanocny — jeszcze nie jutro, a o Mieszkowym nie jeno wiem, ale i kto był i co gadał.

— I cóże o tym mniemasz? Mieszko zda się czeka, bym mu dzielnicę przyznał.

— Zda się nie czeka, bo sam w Krakowskim rządzić się zaczyna —• przerwał Sieciech. — Ściągnął takich jak sam młokosów, drużynę i dwór sobie sposobi. Doradców też mu nie brak, co się w jego łaski, póki tanie, wkupić radzi.

Włodzisław nie pomiarkował, że Sieciech pokpiwa. Bruzdy na jego czole pogłębiły się, gdy rzucił zgryźliwie:

— Sam sobie lichu ściągnąłem, na głowę, macierzy mej dziękować. A poręczała, że Mieszko po władę nie sięgnie.

8 — Przekleństwo «113»

Ninie słała po siostrę kijowskiego Swiatopelka, ani chybi Mieszkowi ją zaswatać zamierzyła, by dla niego sprzymierzeńca przeciw mnie przysposobić. Własnej macierzy nie lza zawierzyć.

— Nikomu! — przytwierdził Sieciech. — Ale zamysła Mieszko o władę lubo nie, nijaki to ninie dla Swiatopelka sprzymierzeniec i nie takiego mu trzeba. Gdybyście nie byli więcej niż trzykroć od Eudoksji starsi, wam doradziłbym swaty słać do Swiatopelka, by spokój mieć choć na jednej granicy. Wratysław gorzej niż niepewny, ceearz własnych trosk ma zadość, za jakowymś sprzymierzeńcem rozejrzeć się należy.

— Może by iście o rękę Eudoksji dla siebie uderzyć — powiedział Włodzisław z namysłem.

— By wam zasię macierz zlorzeczyła, że jej zamysły psowacie? I cóż byście z takową niewypierzoną młódką działali? Bez tego słać możemy do Swiatopelka przymierze mu ofiarowując, a Mieszko niechaj się młódką małżonką zabawia. Gdy głuszec tokuje, ani świata nie widzi. Swiatopelk zasię wiedzieć nie musi, jako się z bratańcem miłujecie. Mniemać będzie, że ów związek z waszej poręki w zakład przymierza.

Włodzisław zamyslił się chmurnie i po chwili odparł:

— To ninie, jeno co potem? Mieszko żrały już, Bolko czę-do to jeszcze. Gdy mnie nie stanie, Swiatopelk dziewierza wspierać będzie, nie mojego syna. A ja słabuję, jako wiesz.

— Iście wiem. Jeno ja nie słabuję, a poręczyć wam mogę, że pókim żyw, Mieszko władę nie osiągnie.

— Wierę, bo niedługo byś pod nim żyw był. Wie, komu dziękować, że rodzic jego z kraju uchodzić musiał.

— Jam rad, że wy wiecie. Nie pora się troskać, co będzie po waszej śmierci, gdy nie wiada, ani kiedy, ani jak się wonczas sprawy ułożą. Wratysław takóž nie wieczny. Cesarz na wierzchu się ostał, Jaromira by nam kupić, któ-ren od młodości koty drze z Wratysławem, a ninie kanclerzem jest Rzeszy, to i bratu szkodzić wydoli.

— I nam takóž. Wždy mu Henryk krakowską diecezję do praskiej przyłączył.

— Na pergamin jeszczeć stać cesarza, jeno że i w Niemczech ustanowionych przez niego biskupów Sasi i Bawarzy powyganiali. Niechaj się Lambert troska o swoją diecezję, miększy będzie. Wratysław

Jaromirowi nie pomoże siłą jej objąć, boby mu brat wyrósł ponad głowę. Ale i nad tym uradzać nie pilne, jeno ślemy do Swiatopełka lubo nie.

— A jeśli Mieszko Eudoksji pojąć nie zechce? Wždy go przymusić nie mogę.

— Przymierze przymierzem, a nie zechce go Mieszko związkiem utrwalić, tym lepiej. Nie on będzie miał w Swia-topelku sprzymierzeńca. Ale pewnikiem zechce, a jak nie on, to macierz wasza, bo po cóż by Eudoksję zapraszała?

— Możesz praw. Tedy zlecę kanclerzowi Marcinowi pismo wygotować do Swiatopełka, a skarbnikowi gościńce przysposobić. Posłów się na zjeździe wyznaczę, nlnie praw, coś zdziałał na Pomorzu. Niepokojny już byłem, iż cię jako-was przygoda pościgła!

— Wielcem wdzięczny, że się o mnie troskacie — Sieciech uśmiechnął się drwiąco — i wybaczenie, iżem wraz nie doniósł, com działał, byście się pokojnie wczasowali. Grody nad Notecią pobrałem i rządców w nich ustanowiłem takowych, że wrychle bunt obrzydzą poganom.

Włodzisław skrzywił się. Dotychczas Sieciech obsadzając urzędy swymi ludźmi zachowywał przynajmniej pozór, księciu pozostawiając zatwierdzenie, którego Włodzisław nigdy nie odmówił. Jakby rozmyślnie palatyn chciał dać mu odczuć, że skoro on ponosi trudy i niebezpieczeństwa wyprawy, do niego należą wszelkie z niej korzyści. Co gorsze, nowi ludzie Sieciecha wzmagają niechęć rodowego rycerstwa, a pozbawieni majątkości, chciwością i zdzierstwem drażnić tylko będą nawykłych do wolności pogan.

Miał jednak przeciw Sieciechowi, niechęć i rozdrażnienie Włodzisława zwróciły się przeciw zmarłemu bratu. Skoro chciał naśladować Chrobrego, winien był zhołdować i ponowiiie ochrzcić Pomorze, miał siły wytracać, by schizmę usunąć na Rusi. A doraźne łupy niczym są wobec zysków, jakie niósłby handel, gdyby ujście Odry dla siebie zabezpieczyć. Sieciech jakby odgadywał, o czym myśli książę, bo podjął:

— Dobrze i to, co zdziałałem, gdy na więcej sił nie było, bo się przynajmniej napaści powściągnie. Ale całe Pomorze zając należy. Nie zajmę my, to weźmie kto inny, choćby Niemce, niech się jeno u siebie uładzą.

— Rychło Henryk zabył, że to myśmy mu najgroźniejszego wroga usunęli — mruknął Włodzisław.

— By zaś Pomorze zając, od innych granic spokój potrzebny, by całą siłą uderzyć.

— Nie jeno od granic, ale i w kraju. A na niczyją wdzięczność iście nam nie liczyć, jeno na pospólne korzyści. Ninie Henryk wielce o to stoi, by powszechne uznanie zyskać dla swego papieża.

— Jeno że nie brak Wigbertowi i u nas przeciwników wśród kleru i tylko nowy zamęt z tego. Musiałby to synod całego kraju uchwalić, a ni zwołać go nie ma komu, gdy nie wiada, gdzie się metropolita Bogumił najduje. A choćby się i znalazł, nigdy on nie uzna Wigberta.

— Jeno że się nie najdzie. A ktoże wam zabroni nowego metropolitę ustanowić? Że go Wigbert zatwierdzi, rękę sobie dam uciąć, jako i Lamberta zatwierdził.

— Jeno że wonczas w Rzymie siedział, a ninie znowu wygnany. Niechaj się raniej sprawa wyjaśni i Wigbert do Rzymu powróci, a jeszcze nie wiada, zali wróci.

— Iście bezpieczniej trzymać z tym, co wygra, jeno że drożej płacić niecha za swą przychylność. Ale poczekać mogę, wieści skoro nadejść winny, bo mi je tyniecki opat przesyłać zwykł, a on je miewa najrychlej.

Na wieści z Rzymu jednak dość długo czekać przyszło, a tymczasem uwagę poświęcić krajowym sprawom, z których najbliższą był wielkanocny zjazd. Błonia pod Radzi-wiem, zamulone przez niedawną powódź, dopiero zielenić się zaczynały świeżą runią, gdy pobiegały od namiotów, pod którymi stawało ciągnące zewsząd rycerstwo. Najliczniej przybyło mazowieckie i kujawskie, przynosząc wieść o śmierci kruszwickiego biskupa Jędrzeja, co więcej, przed samymi świętami zachorował obłożnie także biskup płocki Marek Sreniawita i liczyć się należało z osieroceniem i tej stolicy, gdy trzecia, poznańska, jeszcze nie była obsadzona po śmierci pasterza. Chętnych do objęcia dostojęństwa nie brakło i już się zaczęły zabiegi, którym książę opędzał się, jak mógł, by doczekać rozstrzygnięcia rzymskich spraw. Do przewidzenia bowiem było, że jeśli Wigbert nie wróci do Rzymu, wybrany nowy papież zatwierdzonych przez niego biskupów nie uzna i pogłębi się jeszcze i tak istniejące rozdwojenie w polskim Kościele.

Nie brakło Włodzisławowi i innych trosk. Z Krakowa przywieziono wieść o chorobie księżnej Dobronegi, która wzywa syna do siebie. Książę z równą niechęcią myślał, by żądaniu odmówić, jak i o wyjeździe. Do matki nie był przywiązany, lękał się natomiast jej przekleństwa, a zarazem, że znowu wymoże na nim przyrzeczenia, których mu przyjdzie żałować. Daleki też był od radości ze spotkania z

Wy-szesławą i bratankiem, a tego się uniknąć nie da. Z Krakowem nie wiązało się żadne miłe wspomnienie i to było przyczyną, że nie osiadł w stolicy, mimo iż zdawał sobie sprawę, że stałe przebywanie poza nią, z dala od zachodnich dzielnic państwa, prócz wielu niedogodności obniża jego powagę. Odległość Płocka była też zapewne jedną z przyczyn, dla których na zjazd nie zjawili się wielu możnowładców ze Śląska i Wielkiej Polski, nie trudząc się nawet usprawiedliwieniem swej nieobecności.

Przebieg zjazdu też nie dał powodów do zadowolenia. Kościelne uroczystości odprawił proboszcz katedralny Stefan Pobóg w zastępstwie chorego biskupa i on odebrał od wygnańców przysięgę wierności. Ale i ci nie wszyscy się stawili i książę z niechęcią myślał, co począć z nieposłusznymi. Bezkarność tylko uzuchwali innych, kary mogą spotkać się z oporem i stać się zaczynem buntu, gdyby Mieszko ujął się za druhami. Toteż książę wolałby sprawę załagodzić i gdy na wiecu do złożenia hołdu z kolei przystąpili Strzemieńczycy, zapytał Czasława, dlaczego nie przybył Mikołaj. Gotów był przyjąć byle jakie usprawiedliwienie, ale zuchwalec rąbnął:

— Ja wam hołduję, bo małżonkę mam pojąć i chcę po-kojnie dokonać żywota. Żeby nie to, aniby mi w myśli nie powstało dotrzymać warunku, gdy wyście swoich nie dotrzymali.

Gdy książę zmieszany patrzył pytająco, Czasław podniósł głos i ciągnął:

— Mieliśmy przyrzeczony zwrot mienia, a mienie to nie jeno zapuszczona ziemia, gołe ściany i puste chlewy. Mikołajowi małżonka w nędzy zmarła. Za to miał się wam pokłonić?!

Siedzący obok księcia Sieciech, widząc jego nieporadność, ze złością kręcił brodę. Gdy wśród obecnych rozległ się pomruk jak echo słów Strzemieńczyka, wstał i zwracając się do niego rzekł groźnie:

— Ty pilnuj gęby i dziękuj za to, coś z łaski księżęcia otrzymał. Takie jest prawo, że mienie wywołańców przepada i sami niechaj się troszczyć, z czego ich małżonki czy kto tam żyć będą.

Sieciecha lękano się powszechnie i pomruk umilkł, ale nie Czasław. Patrząc zuchwale na palatyna wygarnął:

— Da Bóg doczekać, przypomnimy wam owe prawo. Lżej wam będzie iść na wygnanie, gdy małżonka nie czeka, bo nie masz w kraju godnej wejść do waszego łoża.

Znowu pomruk poszedł po zgromadzeniu. Sieciech po-miarkował, że rozjuszonemu śmiałkowi gęby nie zamknie, s. wiedział, że zuchwalstwo jest równie zaraźliwe jak tchórzostwo. Nie tu pora je ukarać. Powściągnął gniew i pogardliwie machnąwszy ręką powiedział:

— Im dłuższy język, tym krótsze ramię.

Zły był jednak na księcia za jego słabość i gdy ku uldze Włodzisława uroczystość dobiegła końca i przeprawiali się przez Wisłę, powiedział:

— Popuszczajcie jeno wodzy czelności, snadnie by wam na głowę wyleźli, żebym ja ich nie dzierzył w rękę.

Książę zmieszał się i odparł niechętnie:

— Nie popuszczam wodzy, jeno nie chcę zamętu. Czasław by się na zuchwalstwo nie ważył, gdyby nie czuł, że za nim stoją inni. Niechby się Mieszko za druhami ujął, to rozruch gotowy.

— Stoją, pokąd on stoi — mruknął Sieciech przez zęby i ciągnął: — Jadę z wami do Krakowa, by zasię macierz od was nie wymogła, czego sami pośle żalujecie.

—• Jeszcze nie wiem, zali do Krakowa pojedę — powiedział książę niepewnie, ale Sieciech odparł z drwiną:

— Ale ja wiem. Gdzież byście się ważyli nie posłuchać matusi, choć się z Mieszkiem spotkać lękacie. A już poniektórzy szepcą, że ten jest panem, jen na stolicy siedzi.

Włodzisław milczał opuściwszy oczy. Sieciech aż za dobrze znał jego słabość.

Wyjazd musiał ulec zwłoce, naprzód z powodu śmierci biskupa Marka, a potem sam książę zaniemógł na nogi i lato już było w pełni, gdy wreszcie wyruszył.

Wracające ze zjazdu w Płocku rycerstwo przywiozło wieść o zajściu z Czasławem i Mieszko zaniepokoił się. Bez tego Strzemieńczycy mieli dawne porachunki z Sieciechem. Starczy mu za pozór, że Mikołaj i kilku innych wygnańców nie złożyło hołdu, by się z nimi rozprawić. Króliewicz postanowił raz jeszcze przemówić opornym do rozsądku, by nie stawiali go przed wyborem albo poniechania wiernych ludzi, albo wdania się z potężnym palatynem w walkę, której jedynie pewnym wynikiem byłby ponowny zamęt i zniszczenie. Spodziewany przyjazd księcia do Krakowa stwarzał sposobność załagodzenia sprawy. Włodzisławowi również zależeć musi na spokoju i przyjmie jakiegokolwiek usprawiedliwienie zwłoki, jeśli uda się nakłonić wygnańców, by tutaj hołd złożyli. Przy

sposobności Mieszko dopełni przyrzeczenia i odwiedzi starych druhów, a nie mógł sam przed sobą zaprzeczyć, że rad się oderwie od jednostajnego życia, gdy czas dzielił między sprawy zarządu a wieczory spędzane nieodmiennie przy chorej babce i smutnej, milczącej matce. Lękał się tylko, że Wyszestawa sprzeciwić się będzie jego wyjazdowi, ale gdy oznajmił swe postanowienie, królowa nie odezwała się, Dobronega natomiast rzekła:

— Druhów weźmij z sobą, z młodymi weselej i bezpieczniej. Jeno znać dawaj, gdzie cię szukać, gdyby Włodzisław nadciągnął, ale że widno nieskoro, tedy spieszyć się nie musisz.

Nie spieszył się, bo istotnie wesoło było w rozruchanej gromadzie beztroskich młodzików, niczym sfora gończych, gdy wyrwawszy się z cuchnącej psiarni, trop zwierza w kniei poczuje. Pogoda sprzyjała podróży, we dnie zabawiali się łowami z sokołem, na noclegi stawali najczęściej obozem, nie szukając dachu nad głową, do późnej nocy gwarząc przy ognisku, przekomarzając się lub śpiewając. Mieszko omal zapomniał o celu swego wyjazdu, na równi z innymi ciesząc się swobodą. Ale beztroska skończyła się, gdy dotarli do Radzanowa, dokąd naprzód skierował się, by pogadać z Czaśławem.

Gospodarz przyjął ich radośnie, ale chmurny był i nie rozpogodził się nawet przy wieczerzy. Gdy przypijano do niego, odparł, że nie zwykł pić cudzego pod swoim dachem, a po powrocie loszek zastał pusty, świeżego młodu zaś nasycić nie zdążył. Gdy rozbawiona młodzież odeszła wreszcie na nocleg do stodoły, bo w dworcu miejsca brakło dla gromady, Mieszko zagadnął:

— Nierad mi jeś lubo coś cię trapi?

Gdy Gzaśław milczał, jakby się wahał, co rzec, Mieszko — Jeśli do mnie urazę żywisz, że się do właści nie kwapię, to niesłusznie, bo już na Węgrzech wiedziałeś, że nie po to wracam. I wam stary Chwalibóg ze swojackiej życzliwości doradzał, byście pokojnie siedzieli, a słyszę, żeś w Płocku zadarł z Sieciechem, a książęciu przygadał.

— Nie w Płocku zadarliśmy z Sieciechem — gwałtownie wybuchnął Czaśław — jeno jeszcze za waszego rodzica. Gom książęciu rzekł, prawda jest, a w Płocku nie ja z Sieciechem zadry szukałem, jeno on ze mną. Rzekł mi, że jęzor dłuższy mam niż ramię. Miałem zmilczeć, by mniemał, że się go lękam?! Niechaj nie próbuje, nie ja jeno zadość mam jego pychy i samowoli.

Mieszko słuchał strokany. Trudno do rozsądku przemawiać ludziom, którzy nim się kierować nie zwykli. Odparł:

— Lękasz się go lubo nie, ale mu sam nie dostolsz. Pożogę wzniecić łatwo, jeno na czym się skończy, nie wiada. Krajowi spokój potrzebny, a tobie nie?

— Temu spokój potrzebny, co wygrał, tedy nie nam. Niespodzianie posmutniał i ciągnął zgaszonym głosem:

— Chciałem pokojnie dokonać żywota. Zadość było wojowania i wygnania. Małżonkę zamierzałem pojąć, nie młodzik jeśm, pośledni mi czas. Mikołaja w swaty prosiłem. Odmówił.

— • I przeto się rozmyślił?

— Nie przeto. Jeno że on pomsty nie poniecha za swoją Małgochę, a zacnie się, to jakoż brata nie wesprzeć? Miałaby zasię i moja sezeznać w nędzy, to lepiej się nie żenić.

Mieszka ogarniał zarazem gniew i rozżalenie. Niesforni ludzie nie chcą pamiętać, że nie ich tylko krzywda spotkała, Powiedział gwałtownie :

— Jeśli na mnie liczycie, dłużniście mi posłuch. Sieciech przez dwadzieścia godów bunt gotował sposobności czekając, by uderzyć. Bez przygotowania tyle zdziałacie, że znowu na wygnanie iść przyjdzie, jeśli nie gorzej. Ja takż nie zamierzam bez kary ostawić przeniwiercy, ale pokąd stryk Włodzisław żywię, Sieciech górą będzie, nie pora poczynać, a wždy nie wieczny.

— Nikto nie wieczny — mruknął Czaśław. — Nie jeno wołu, ale i ciołka wiodą do rzeźnika. Nie byłem w Stopnicy, ale wiem, co tam gadano. Jeno że wie i Sieciech, ale on czekać nie będzie, aż wy weźmiecie górę. Ja hołd złożyłem i rad bym spokojnie siedział, alem przemyślał sprawę. Gdyby was nie stało, on zawždy już górą ostanie.

Mieszko drgnął. Obawy matki rozumiał, ale ich nie podzielał. Nieszczęśliwe życie uczyniło ją nieufną i lękliwą. Zdrowy i tęgi, nigdy nie myślał o śmierci, tym mniej, czym byłaby dla matki. Teraz uprzytomniły mu to słowa Czaśła-wa, a ten ciągnął:

—• Rzekliście, że Sieciech dwadzieścia godów czekał, by uderzyć. Jeno że przytając się umiał, biskupa do przodu wysuwając. A jakoż wam się przytając? Wždy wiecie, co w Stopnicy gadano, a może nie wiecie, co gada pospółstwo. Mniemacie, że Sieciech równie cierpliwy będzie, by stracić to, co zyskał? Doświadczenia mu nie brak, którego wam nie dostaje, ł wie, że ten najczęściej wygra, kto

pierwszy uderzy. Nie z pobożności kościół na Okole wystawił, warownię ma pod waszym bokiem. On już się gotuje, a wy?

Mieszko długo w noc rozmyślał nad tym, co rzekł Czasław. Sani walki nie zacznie, ale gotować się do niej trzeba. Przede wszystkim jednak mieć się na baczności. Śmierć jego byłaby nie tylko ostateczną klęską matki, z której się nie dźwignie; bez przywódcy walka z Sieciechem musiałaby się skończyć przegraną i nikt już nie położyłby tamy jego samowoli.

Mieszko leżąc bezsennie w ciemności długo rozmyślał. Ale gdy w prześwietlony ranek wiosenny konia poczuł pod sobą, a dokoła siebie gromadę beztroskich druhów, z którymi zdążył się już żyć, śmierć zdała mu się czymś tak odległym jak księżyc. Żal mu było dawnych towarzyszy ojca, przegrali swoje życie, dlatego podejrzliwi są i zgryźliwi.

«122»

Ale on swoje dopiero zaczyna, a choć doświadczyło już i jego; odsuwał od siebie myśl o przeszłości. Rady, by się strzegł, zdały mu się przesadne, nic mu grozić nie może wśród oddanych ludzi, a objawy życzliwości spotykał wszędzie, gdzie tylko się pokazał. Jeżeli Sieciech istotnie wie wszystko, o czym mówią w kraju, walki nie zacznie. Mógł on dwadzieścia lat czekać na swoją godzinę, Mieszko to również potrafi. Tymczasem okrzepnie, zbierze siły i doświadczenie.

Orszak Mieszka powiększył się o paru ludzi, gdy odwiedziwszy dawnych towarzyszy wygnania ruszył z powrotem. Zdołał niektórych nakłonić do złożenia hołdu Włodzisławowi, obiecując, że użyje wpływu Dobronegi na księżniczkę, by dotrzymała przyrzeczeń. Ze swej strony dopełnił obietnicy odwiedzenia starych druhów, ale zajęło to parę niedziel i spieszał teraz wiedząc, że matka jak na węglach czeka na jego powrót.

Sprawę wygnañców wolał zawierzyć babce, nie tylko dlatego, że Włodzisław bardziej z nią liczyć się będzie. Nie czuł nienawiści do bezwolnego człowieka, a nie chciał doprowadzić do starcia ze stryjem, gdyby zwrotu mienia wygnañcom odmówił. Nie był natomiast pewny, czy zdoła się opanować na wypadek spotkania się z Sieciechem, który zapewne nadciągnie z księciem. Jemu nie zapomni, że był przyczyną wszystkich nieszczęść.

Ostatni nocleg przed Krakowem wypadł w Proszowicach i Mieszko postanowił raz jeszcze pomówić z Mikołajem, choć niezbyt wierzył, by odniosło to skutek. Z tego jednak, co mówił Czasław, pewny był, że bracia staną za Mikołajem, cokolwiek by począł. Mieszko zboczył przeto do Zębo-cłna, ale dojeżdżając pomiarkował, że nadłożył drogi daremnie. Brama na zarosły dziedziniec otwarta, opadnięte wrota pustej stodoły zdradzały zupełne zaniebdanie. Gdy Mieszko zajechał nad podcień, z dworca wyszła znana mu już niewiasta i nie czekając na zapytanie rzekła:

— Gospodzina nie masz doma.

«123»

— Dawno wyjechał? — zapytał Mieszko nie zsiadając z konia.

— Wždy razem z wami, zimą. Nie wiem, co mi poczynać.

— Ostań jeszcze. Uwiadomię braci gospodzina, niechaj zarządzą, co im się zda.

Zawrócił konia i jechał rozmyślając, co mogło się stać z Mikołajem. Pozbył się tej myśli dopiero, gdy na nieboskłonie rozróżnić można było zarysy krakowskiego grodu, baszty mieszkalnej na wschodnim stoku wzgórza i wież katedry, których namiotowe hełmy z nie poczerńiałej jeszcze miedzianej blachy zdały się żarzyć w promieniach zachodzącego słońca. Mieszko nie bacząc na druhów skinął na Brodzika, by mu towarzyszył, i puścił konia w cwał, by przed zapadnięciem ciemności stanąć na miejscu i bez zwłoki odwiedzić Dobronegę, u której spodziewał się też zastać matkę. Przy bramie rzucił wodze pacholcowi i jak stał skierował się do babinca.

Biegąc po schodach na wyżkę posłyszał dochodzący stamtąd śpiew. Mimo że spieszo mu było, przystanął pod drzwiami i słuchał z dziwnym uczuciem, jakby wysoki i dźwięczny głos odzywał się echem w jego własnej piersi. Za pacholęcych lat tę samą pieśń śpiewała mu czasem Wy-szesława, ale głos śpiewającej był młodzieńczy, niemal dziecienny. Mieszko pewny był, że to śpiewa z dawna wygląda-na przez Dobronegę Eudoksja; czekał nasłuchując. Śpiewała jak ptak, który upaja się własnym pieniem, nie chciał jej płoszyć. Gdy pieśń zamilkła, stał jeszcze przez chwilę czekając, czy nie posłyszycy jej znowu. Z westchnieniem pchnął drzwi i wszedł.

Na jego widok siedząca przy łożu Wyszlesława zerwała się, bez słowa biorąc go w ramiona. Oddał jej uścisk i pochylił się do ręki babki, która rzekła:

— W porę wróciłeś. Jak widzisz, gościa mamy. Kto ona, wiesz pewnikiem, tyżeś tu gospodzin, powitajże ją.

Zwrócił się ku stojącej u wezłowania dziewczynie, która «124» wielkimi, niemal czarnymi oczyma patrzyła na niego z ciekawością. Pod jej spojrzeniem zmieszał się i opuścił oczy podając jej rękę. Dłoń miała drobną, giętką i ciepłą, od jej dotknięcia przeniknął go dreszcz. By coś powiedzieć, zapytał:

— Jakże widzi ci się u nas?

Roześmiała się i odparła:

— Wždy tylko co przybyłam, jeszcze się rozejrzeć nie pośpiałam.

— Jeszczeście się wzajem sobie nie przyjrzeni — uśmiechając się rzekła Dobronega. — Ale wydążycie, bo Donia ostaje z nami, a bojarzy z jej orszaku wracać mają i jeno na ciebie czekali. Przystoi ci powieczerać z nimi, za gościńce, które przywieźli, podziękować i wzajem je przesłać Swiatopełkowi.

Mylila się jednak Dobronega mówiąc, że młodzi nie zdążyli wzajem się sobie przypatrzeć. Mieszko wprawdzie jeno okiem rzucił, ale nic nie uszło jego spostrzeżeniu: ciemne bystre oczy pod łukiem wąskich brwi, gładkie białe czoło okolone kruczym włosiem, dwoma grubymi warkoczami splewającymi na piersi, mały nosek z różowymi, ruchliwymi nozdrzami nad wiśniowymi ustami, w których w uśmiechu błyskały równe, drobne zęby. Sam się dziwił, iż obraz dziewczyny tak dokładnie wraził mu się w pamięć, że poznałby ją i za rok wśród stu innych, na które dotychczas nigdy nie zwracał uwagi. Dziewczyna zaś przyjrzała się Mieszkowi dokładnie, a w spojrzeniu jej było coś więcej niż ciekawość. Gdy jednak po wyjściu Mieszka Dobronega zapytała:

— Jakże ci się udał królewic? — dziewczyna zarumieniała się z lekka, ale odparła z uśmiechem:

— Jutro wam rzekę, gdy go przy dniu obejrzę. Dobronega uśmiechnęła się również mówiąc:

— Obejrzyj go dobrze. Domyślasz się pewnikiem, że nie PO to cię zaprosiłam, byś cupiła przy chorej babce. Od tego są stare niewiasty.

«125»

Odpowiedzią był tylko silniejszy rumieniec, a Dobronega ciągnęła:

— Idźże tedy spocząć, byś się mu udała. Sen płuży* urodzie.

Gdy dziewczyna wyszła, księżna zwróciła się do synowej:

— Zda mi się, że nie trzeba ich będzie wzajem k'sobie popychać.

Wyszła odparła z westchnieniem:

— Daj to Bóg. Rada bym w niej córę widziała. I da Boże szczęśliwiej niżli mnie lubo wam.

— A ty wciąż o jednym — surowo odparła Dobronega. — Wierzysz we wróżby, tedy ja ci powrózę: wneków po niej będziesz piastowała. Zawždy nie może być źle.

Wyszła tylko westchnęła. Nie śmiała uwierzyć.

Ktokolwiek wiedział o przyjeździe Eudoksji, nie wątpił, po co ją stara księżna zaprosiła. Jedynie Mieszko nie domyślał się. Jeżeli nie zaprzętały go bieżące sprawy, zajmował się końmi i łowami z sokołem, a jeśli myślał o małżeństwie, to kiedyś w przyszłości, gdy wyjaśni się położenie w kraju. Mimo jednak że z ruskimi bojarami zasiedziało się do późnej nocy, a nie nawykły do picia, zaproszył nieco głowę, rano zerwał się wcześniej, wmawiając w siebie, że tylko z obowiązku gościnności zadbać musi, by dziewczynie skazanej na towarzystwo chorej Dobronegi oraz smutnej i milczącej Wyszławy nie cniło się w Krakowie. Dworki starej księżny same stare, parę młodych było na dworze królowej, ale te nie znały ruskiego języka. Zanim Eudoksja nauczy się rozumieć polski, na niego spada ciężar zajęcia się dziewczyną, ale nie zdał mu się przykry ni nad siły. Sam dobrze znał ojczysty język matki i babki, którego się osłuchał od dzieciństwa, będzie dziewczynę uczył pol i płuży — sprzyja skiego, bystra się zda, a mowy są podobne, nauczy się rychło.

Wałęsał się po wewnętrznym dziedzińcu koło stajen i kuchni, czekając na którąś z dworskich niewiast, by się dowiedzieć, czy królowa już wstała. O tej porze nie zwykł odwiedzać matki, lecz z młodzieżą udawał się na błonia nad Rudawą na harce lub wyjeżdżał z sokołem na rozlewiska Wisły z pacholkiem Brodzikiem i sokolniczym. I teraz, gdy przechodził koło stajen, pacholek zagadnął, czy siodłać już konie, ale Mieszko odparł:

— Jeszcze nie wiem, ale bądź w gotowości. Niecierpliwił się już, gdy wreszcie dostrzegł idącą do kuchni niewiastę, a dowiedziawszy się, że królowa już wstała, niemal pobiegł do babińca.

Wyszława z Eudoksją zabierały się właśnie do rannego posiłku. Mieszko przypomniał sobie, że jeszcze nie śniadał, i wziął się z ochotą do jedzenia, raz po raz zerkając na dziewczynę. Przy dziennym świetle zdała mu się jeszcze ładniejsza, ale ilekroć spojrzenia ich spotkały się, uciekał z oczyma. Rozmowa nie kleiła się i gdy skończyli się pożywiać, królowa rzekła:

— Ja idę do świekry zajrzeć, czy jej czego nie trzeba. Pódzi z Donią pokazać jej gród. Samej będzie się tu cniło.

Mieszko z dziewczyną zeszli do długiej sieni, która ciągnęła się wzdłuż całego budynku zajmującego wschodni kraniec wzgórza, i skierował się ku narożnej wieży nad pół-nocno-wschodnim urwiskiem, skąd najlepszy był wgląd na gród i okolice. Poranna mgielka pogodnego dnia ustąpiła już, otwierając daleki widok. Piękny był w wiosennym słońcu i Eudoksja z ciekawością rozglądała się po okolicy, Mieszko natomiast, korzystając, że dziewczyna nie zwraca na niego uwagi, przypatrywał jej się z bliska. Podobała mu się coraz bardziej. Przypominała trochę dziecko, trochę ptaka. Mniejsza była, niż zdała mu się wczoraj, i oczy musiała podnieść w górę, gdy zagadnęła:

— Co zaś takowe białe? Chmury, nie chmury.

«127»

Wskazywała na ledwo widoczny za błękitnawymi pasmami lesistych wzgórz poszarpany zarys południowego niebosłonu.

— Śnieg leży na górach — odparł Mieszko.

— Śnieg o tej porze? Nigdy nie byłam w górach. Jedźmy tam.

Mieszko zaśmiał się:

— I bitym gościńcem we dwa dni nie zajechałby. A za myślenicką broną bór nieprzejrany, bezdroże, zebra i tura częściej napotkać można niżli człeka. Sam bym rad na łowy tam jechał, ale ze dwie niedziele zbawić by trzeba, a macierz zawsze się niepokoi, gdy mnie nie widzi.

— Czemuż to? Wždy mężowie nie jeno na łowy, ale i na wojnę chadzają.

Pominał pytanie i rzekł:

— Nie pora ninie. Zimą najlepiej, gdy zwierza po śniegu wysładować łącno. Psiarni takż jeszcze się nie dochowałem do takowych łowów sposobnej. Dostałem parę szczeniaków z dobrego gniazda, ale głupie to jeszcze, zmamić by się mogły.

—• Będiesz zimą na łowy jechał, weźmij mnie z sobą. Chcę zwierza obaczyć, jakowego u nas nie uświadczy.

Uradował się, że dziewczyna zamierza pozostać do zimy, ale odparł:

— Nie ze wszystkim bezpieczne to łowy, nie wiem, zali babka ci zwoli. Ninie łowami z sokoły się zabawiam, jeno do nich trzeba umieć koni zażywać. Wydoliłabyś?

— Spróbuj! — zaśmiała się.

— Każę pachółkowi osiodłać dwa podjezdki, a raniej obejdźmy gród.

Przez most zwodzony na fosie, częściowo wykutej w skale, częściowo naturalnej rozpadlinie oddzielającej zamk-wą część wzgórza od kościelnej, wyszli na zewnętrzny dziedziniec i skierowali się do katedry. Mury już wzniesiono, ale w chłodnym i półmrocznym wnętrzu cieśle pracowali «128» przy stropie. Choć daleko było jeszcze do konsekracji katedry, Mieszko z nawyku przyciszył głos:

— Gdy naddziad mój, pierwy tego co ja imienia, kraj ochrzcił, pośrodku wzgórza, w miejscu gdzie stała pogańska kącina, kościół Św. Michała wystawił, jen ninie jeszcze biskupowi za katedrę służy, gdy ta nie gotowa. Raniej tu, gdzie stoim, była już katedra Sw. Spasa, którą Chrobry zbudował, gdy tu biskupstwo założył. Ale po śmierci mego pradziada, takż Mieszka, zburzył ją Brzetysław i tyle z niej ostało, co ninie zamkową kaplicę stanowi pod wezwaniem gw. Gereona. Tę dziad mój jeszcze wznosić zaczął, ale zmarło mu się i nie dokończył.

— Czemuż rodzic twój tego nie dokonał? Wždy i czasu miał zadość, i pono z Rusi skarbów wszelkich nawiózł co niemiara.

Widząc jednak, że Mieszkowi niemiłe jest zapytanie, odwróciła :

—• Mój pradziad takż cerkiew Sw. Spasa na Berestowem zbudował przekrasną. Dwakroć większa od tej, a zdobna, że oczy rwie.

— Wiem. Ci z naszych, co w Kijowie bywali, cuda o niej prawili. Rad bych ją obejrzał.

— I my będziem ci radzi, gdy nas wzajem odwiedzisz. Jeno nie tak, jak rodzic twój — zaśmiała się, ale Mieszko spochmurniał. Zdało mu się, że dziewczyna rozmyślnie kolnąć go chciała. Milcząc skierował się ku wyjściu. Pamięć ojca przechowywał jak skarb, takiego, jakim go widział w dniu koronacji w gnieźnieńskiej katedrze, pięknego i wielkiego w majestacie królewskim. Nie chciał słyszeć żadnej przygany.

Koło kościołów Sw. Michała i Św. Jerzego skierował się ku furcie na południowy stok, łagodnie spadający ku Wiśle. Na zapytania dziewczyny odpowiadał półsłówkami; umilkła i posmutniała. Gdy

doszli do rzeki, usiadła na przybrzeżnej skałce i zapatrzyła się w wodę. Po chwili powiedziała jak do siebie:

9 — Przekleństwo «129»

— Dniepr mało dwakroć szerszy. Piękny...

Mieszko ujrzał, że oczy szklą się dziewczynie. Żał mu się jej uczyniło:

— Piękny i u nas kraj. Wracajmy, konie każę osiodłać i pojedziem; choć co obaczysz.

— Nie dziś — odparła. — Księżna mnie tu zaprosiła, bo smutno musi być starej niewieście, gdy wie, że już nigdy nie ujrzy swojej strony, gdzie była szczęśliwa. Rada słucha, gdy jej o niej prawie.

— Wždy zejść mogę po wieczery. Zawždy o tej porze chadzam do niej.

— Tedy ujrzym się po wieczery — odparła wymijająco. Ninie druhy na ciebie czekają.

W milczeniu wrócili do zamku. Dziewczyna bez słowa skierowała się do babińca, a Mieszko do stajen, gdzie jeszcze czekał na niego Brodzik, i kazał sobie osiodłać konia. Gdy pacholek jak zwykle osiodłać chciał drugiego dla siebie, królówiczył rzekł:

— Ostaw! Sam pojedę.

Nie mógł przed sobą zaprzeczyć, że cieszył się na przejażdżkę z Donią i przykro odczuwał zawód. Nie miał ochoty na harce z towarzyszami i zadumany ruszył, gdzie koń poniesie. Wrócił o dobrym już zmierzchu. Gdy oddał konia Brodzikowi, pacholek rzekł:

— Miłościwa pani pytała o was.

—• Skocz do babińca i rzeknij królowej, iżem wrócił i zajdę, gdy powieczęrzam.

Zgłodniały był istotnie, ale dał czekać matce, bo nie chciał spotkać się z Donią przy niej. Pomiarkuje, że się poróżnili, a dziewczyna widocznie i matce, i babce przypadła do serca. Teraz przyszło mu na myśl, że Dobronega z jej przybyciem wiązać musiała jakieś nadzieje, bo czemuż nie zaprosiła jej, gdy była samotna. Nie chciał przyznać przed sobą, że przykro mu nie tylko dlatego, że babce sprawi zawód.

Obie niewiasty jednak już pomiarkowały, że między młodymi coś zejść musiało, skoro dziewczyna pod pozorem zmęczenia sama wkrótce wróciła i pod tym samym pozorem wyszła od Dobronegi, zanim Mieszko później niż zazwyczaj wrócił z samotnej przejażdżki. Królowa niespokojna już była, ale Dobronega rzekła:

— O niego się nie lękaj. Poróżnili się z Donią, dlatego nie chcą się spotkać.

— I to niedobrze — westchnęła Wysesława, ale księżna odparła:

— O to się nie trap. Stara jeśm, ale jeszcze pamiętam, jak między młodymi bywa: po to dziewczka ucieka, by ją młody ściagał; bo wie, że nie ceni, gdy mu tanio przyjdzie.

— Ale uciekają oboje.

— Po to młodzi się swarzą, by się przeproszać. Zaś oczu nie mieć trzeba, by nie zmiarkować, że się wzajem sobie udali. Ty dziewczkę wybadaj, o co poszło, ja zasię Mieszka, —• I mnie się tak zdało — powiedziała Wysesława w zadumie. — Jeno wiem, że różnie bywa. Popychać ich k'sobie nie będę, bo miałoby między nimi być jak mnie, wolej niechaj nie będzie wcale.

— Ostaw wspominki. Nie żywię się wczorajszym dniem, bo każdy jest jak żywot osobny. Jeśli nie jest zły, to jest dobry. Ty zasię złe wspominasz i złych się spodziewasz, miast cieszyć się tym, co dziś. Wiem, że niewiele miałaś radości — ciągnęła łagodniej — tym bardziej raduj się, gdy jest z czego.

— Żadnej nie miałam — szepnęła Wysesława. — Przeto i nie umiem się radować.

Gdy Wysesława odeszła, Dobronega zadumała się. Rozumiała niepokój synowej, bo sama w sobie go tłumiała, by nie dać jej poznać, że go podziela, choć nie tylko jak ona z powodu Stanisławowego przekleństwa: Sieciech nie po to obalił Bolesława, by ustąpić jego synowi. Związek z Eudoksją dałby Mieszkowi w dziewierzu sprzymierzeńca, którego rychło może potrzebować, a zarazem sposobność zażądania od Włodzisława, by bratankowi wyznaczył dzieł-

«130»

nić, tym samym osłabiając palatyna. Zapewne to jest przyczyną, że książę zwleka z przyjazdem. Dobronega niepokoiła się; przez posły sprawa załadzić się nie da, w Płocku wpływ Sieciecha jest nieograniczony, tutaj ona potrafi wymusić na synu ustępstwo, jak już wymusiła zezwolenie na powrót Mieszka. Czula jednak ubytek sił, spokojniej będzie mogła odejść, gdy spełni się to, co zamierzyła. Pewna była natomiast, że sprawę między młodymi załadzi.

Mieszko przyszedł wkrótce, widocznie przygnębiony, bo zamiast opowiadać, co czynił w ciągu dnia, usiadł i milczał.

— Coś ci niesporo gadać ze mną — odezwała się. —• Jeśliś i z Donią taki był niemowny, nie dziw, że ci uciekła.

Mieszko zaczerwienił się, miarkując, że babka odgadła, co go dręczy, a ona ciągnęła:

— Śpiewać może sama, choć też dziś nie miała ochoty. Ale gwarzyć jeno we dwoje. Ja takż sama gadać nie będę. Nie chcesz ty, łdzi spać. Ale spałoby ci się lepiej, gdybyś w sobie nie dusił, co cię trapi. Zasię nie udała ci się dziewczka, nikto cię zmuszać nie będzie, byś dla niej żywot odmieniał. Zabawi jeszcze parę dzionków i do Kijowa ją odeślę. Szczęście to jeno, iżem Swiatopełkowi nie rzekła, po co ją zapraszam. Nie będzie mu ujmy...

—• Nie to — bąknął Mieszko zapłoniony jak dziewczyna, gdy pierwszy raz ma wyznać, co czuje, ale księżna wpadła mu w słowo:

— Nie to, to co? Namysłisz się gadać, przychodź choćby 0 północku, a ninie idzi do macierzy, bo niepokojna była, że się samotnie wałasasz, ani nie wie, gdzie.

Gdy jednak Mieszko się nie ruszył, ciągnęła z rozmyślną przekorą:

— Czemuż nie idziesz? Z Donią nie chcesz się spotkać? Jeśli tak, gadaj mi zaraz, dlaczego.

Mieszko zmieszany zaczął mówić nieskładnie, ale domyśliła się łatwo i gdy skończył, rzekła:

— Po to związek rodzicieli twych skojarzyłam, by pokój i somszedzka życzliwość były między Polską a Rusią, bo «132»

jednym i drugim potrzebne. Nikto nie jest bez winy, że mi chybiło. Ale to rozumiesz, że gościa każden rad widzi, nikto zasię najeżdżcę. Wždy i Donią Rusinka, a żywię tam pamięć, jak sobie nasi woje poczynali, zaś Bolko ich powściagnąć nie umiał lubo nie chciał. Prawdę rzec, ninie wasz związek skojarzyć zamierzyłam, byś życzliwych swojaków miał na Rusi. Ale nie chcesz, rzeknij zaraz. Żal by mi było milej dziewczki, by się w tobie darmo zadurzyła. A chcesz, to nie daj się prosić. Nieczęsto książetom się szczęści po sercu związki zawierają.

— Jeno nie wiem, zali jej po sercu — bąknął zmieszany. Dobronega rzekła:

— Nie wiesz, to się dowiedz. Ja za nią gadać nie będę, samej zapytaj.

Mieszko nic nie odrzekł, ucałował rękę babki i wyszedł, ale odpowiedzi nie potrzebowała.

Nie potrzebowała jej też Wysesława, by wybadać dziewczynę. Gdy zapytała, co zaszło między nią a Mieszkiem, zamiast odpowiedzieć, dziewczyna rozplakała się. Królowa patrzyła na nią ze współczuciem, zbyt dobrze pamiętała własną nie odwzajemnioną miłość i nieszczęścia, jakie z tego wyniknęły. Za nic nie chciała dopuścić, by się w drugim pokoleniu powtórzyło to, co stało się przyczyną wszelkiego zła. Gładząc dziewczynę po ciemnych włosach czekała, by się uspokoiła. Gdy przestała szlochać, przygarnęła ją i rzekła:

— Rada bym w tobie ujrzała synową. Zdało mi się, że i Mieszko się k'tobie nakłaniał. Ale jeśli nie, to wyrzuc go z serca, pokład nie za późno. Przebolejesz i zapomnisz.

Gdy dziewczyna na nowo szlochać zaczęła, Wysesława po chwili podjęła:

— Wierzaj mi, iżem ci życzliwa, a wiem, co mówię. Drogo za to zapłaciłam. Taka już dola księżniczkek, że najczęściej pojąć muszą człeka, którego raniej i na oczy nie widziały, na niepewny los. Tego i ja, i Dobronega chciałyśmy wam oszczędzić i przeto cię zaprosiła, byście sami o sobie postanowić mogli. Ale doświadczenia wam brak. Dlatego «133»

nie taj przede mną, co między wami zaszło. Może to jeno chmurka, co się rozejdzie, gdy słońko przygrzeje.

Gdy dziewczyna znowu zaczęła płakać, Wysesława ciągnęła:

— Bacz, by ci słoz nie brakło, gdy będzie o co. Nie wiesz, jak ciężko, gdy człek już i płakać nie wydoli. Uspokójże się i praw.

— Mieszko ani gadać ze mną nie chciał — szepnęła dziewczyna.

— Wždy widziałam, jakeście gwarzyli. Nawet zwyczajnych harców z druhami poniechał, co mu się dla żadnej białej głowy nie przydarzyło. Raniej z sobą się policz, zali iście o niego stoisz lubo żal ci jeno, że igrać nim nie możesz. Ani chybi, coś go ubodło, że się zbiesił.

Dziewczyna zarumieniła się i odparła z wahaniem:

— Zda mi się przeto, iżem mu rzekła, że rada bym go w Kijowie ujrzała, jeno nie tak, jak bywał rodzic jego. Cóżem takiego rzekła, że się ode mnie odwrócił?

Królowa z westchnieniem odparła:

—• Za przyganę to wziął. Nie żywię rodzic jego, kto chce, sławę jego szarpie, wszelkie wszeteczeństwa mu przypisując. Któż go bronić ma, jeśli nie syn? Miłował go bardzo i małżonek mój sercem mu płacił, jemu jednemu...

Urwała i oczy jej załśniły. Po chwili podjęła:

— Dziad jego z Rusi pojął małżonkę i mnie z Rusi Bolkowi zaswatano, po to, by pokój i przyjaźń była między narodami. A jakoż ma być, gdy rodny brat bratu na zdradzie stoi, jako tu było. Na Rusi nie lepiej, choćby i wrogów wzajem przeciw sobie wzywają: i jeno wrogom korzyść.

Donia ze zdziwieniem patrzyła na wzruszoną Wyszesaławę i odparła żywo:

— Wždy i ja jeno to miałam na myśli, by pokój był między swojakami. Nietrudno było odgadnąć, po co mnie księżna zaprasza. Nie będę przed wami, miłościwa pani, tała, że syn wasz udał mi się jako nikt — ciągnęła zarumieniona. — Ale miałoby być między nami tak jako wam, wolej «134» mi do dom wracać, mniej będzie bolało. Wybaczcie, że to mówię, vždy nikomu nie tajne.

— Nie tajne. I • z mej niedoli jeno broń przeciw memu małżonkowi wykuto i przeciw mnie takż. Jako rzekłam, rada bym w tobie synową powitała, ale z postanowieniem się nie spiesz. Kwiaty są jeno z wiosną, ciernie cały god. Wždyście się jeno dopiero poznali, a już płakałaś przez niego. Młoda jeś i urodna, może ci się jeszcze serce odmieni.

— Nie! — żywo zaprzeczyła dziewczyna. — Ale nie pojmem go, gdyby jeno dla sojuszu z mym bratem chciał związku.

Królowa westchnęła:

— Tego się nie lękaj. Nie umie on się przytając, co w sercu, to na dłoni. Dowierza każdemu, zda mu się, że wszyscy są jak on. A ja wszędy zdradę widzę i podstęp. Drzę o niego, jeno czekam, skąd na mnie spadnie nieszczęście, bo nic innego tu nie zagnałam.

Opanowała się i podjęła:

— Może źle, że ci to mówię. Przed nim ukrywam, co czuję, by nie dzielić się jadem, co mnie zżera. Jeśliś i zła dzielić z nim nie gotowa, uciekaj, bo wszystkich nas ściga przekleństwo biskupa, którego ubił mój małżonek.

Dziewczyna porywcz objęła królową, mówiąc:

— Co Bóg da, podzielę z wami; jeno jeśli on zechce!

Odskoczyła zmieszana, bo w tej chwili rozległo się pukanie i wszedł Mieszko. Kłopotliwe milczenie przerwała królowa:

— Długo dajesz czekać na siebie. Pójdę ja do pani matki powiedzieć, iż się wrócił.

—• Od niej idę — odparł, ale Wyszesaława rzekła: —• Tedy zajrzę jeno, czy jej czego nie trzeba. Zaczekaj na mnie.

Gdy za królową zamknęły się drzwi, młodzi spojrzeli po sobie i oboje uciekli z oczyma. Pierwsza z wyrzutem odezwała się Eudoksja:

— Złe czynisz, że dajesz macierzy czekać na siebie.

«135»

— Nie policzyłem się z czasem — odparł zmieszany. — Z powrotem zasię koń był zegnany, nie chciałem, by siej zmamił.

— O konia zadbałeś! Trzeba ci było z kimś rozsądnym jechać, co by ci przypomniał, że pora wracać, a konia nie gnać na skwarze.

— Wždy chciałem, jeno tyś nie chciała — bąknął zawstydzony, a dziewczyna odparła przekornie:

— Mało masz druhów, a choćby koniarów? I macierz spokojniejsza by była. Albo to i ja jedna?

— Właśnie że jedna —• odparł porywcz, zaczerwienił się i umilkł. Dziewczyna również milczała.

Mieszko po chwili odezwał się nieśmiało:

— Może jutro społem pojedziem? Będziesz baczyła, byśmy w porę wrócili.

— Wždy po to możesz wziąć pacholka — powiedziała, ale tak, że zrozumiał, iż się tylko przekomarza, i uśmiechając się powiedział:

— Wiesz! Nawet lepiej. Weźmiem pacholka, to nam na konie da baczenie. Nie wszędy zajedzie, gdzie bym chciał być.

Gdy królowa wróciła, oboje rozmawiali z ożywieniem o jutrzejszej wyprawie. Mieszko pożegnał się z ociąganiem, a gdy drzwi się za nim zamknęły, Wyszesaława rzekła:

— Jako dwoje podrostków jeście, co się przy igrach po-swarzą, a nazajutrz żadne nie pomni, o co poszło.

— Ja będę pamiętała — powiedziała dziewczyna, całując rękę Wyszesaławy.

Oboje młodzi wiedzieli już, że są dla siebie przeznaczeni, ale jeszcze o tym nie mówili, zbyt zajęci dniem dzisiejszym, by myśleć o przyszłości. Nie wiedzieli, że już za nich postanowiono, z Kijowa bowiem wróciło poselstwo Włodzi-sława, przywożąc pomyślną odpowiedź Swiatopełka, ale zarazem

wieści, że nowy sprzymierzeniec niewielką przedstawił. Po klęskach dwukrotnie zadanych mu przez Po-jowców zmuszony był pojąć córę połowieckiego Tuhortkana, by się przez ten związek od ich napaści zabezpieczyć.

Włodzisław zamyślił się. Przymierze ze Swiatopełkiem małą przedstawiało wartość, ale i Mieszko niezbyt mógł liczyć na przyszłego dziewierza. Łatwo natomiast mógł znaleźć potężniejszego. Książę postanowił więc, czując się nł-nie zdrowszym, ruszyć do Krakowa, by sprawę małżeństwa bratanka ostatecznie załatwić. Niemniej chciał przedtem naradzić się z Sieciechem, który tymczasem wyjechał doglądać budowy gródka swego imienia na południowym krańcu Kozienickiej Puszczy, ciągnącej się wzdłuż lewego brzegu Wisły, od ujścia Pilicy po Dęblin. Drogi należało nadłożyć, ale książę nie chciał bez Sieciecha powziąć ostatecznego postanowienia, a także zamierzał zabrać go z sobą do Krakowa, nie był bowiem pewny, czego znowu będzie domagać się od niego matka i co jej należy odpowiedzieć.

Podróż przez niemal całkowicie bezdrożną puszcza wlekała się, ale lato podsuszyło bagna, a skwar nie dokuczał ludziom i koniom. Wreszcie bór przeszedł w chaszczę, uczęszczana już widno drożyna przez bagna wiślanych rozlewisk wybiegła na otwartą równinę, na której krańcu, na niewielkiej wyznice, ukazały się świeże zabudowania Siecie-chowego gródka, gdzie palatyn postanowił obrać sobie siedzibę, bo stąd bliżej było do Płocka niż z odległej rodowej Morawicy.

Miejsce było wybrane umiejętnie, od północy i zachodu dostępu broniła puszcza i jej bagna, od południa i wschodu półkole Czaplego Jeziora, odnogą połączonego z Wisłą.

Zawiadomiony wcześniej o przyjeździe księcia, Sieciech witał go przy bramie, prosząc o wybaczenie, jeśli nie wszystko jest gotowe na przyjęcie, ale gdy po wieczery, odprawivszy współbiedników, pozostał z Włodzisławem sam na sam, z lekceważącym zniecierpliwieniem słuchał przywiezionych przez niego wieści, a gdy książę skończył, rzekł:

— Pokąd Swiatopełk na Kijowie siedzi, rychło należy «137»

zaswatać waszego bratańca, a nam lepszego sprzymierzeńca poszukać.

— Jeno gdzie go należeć?

— Wieści mam z Rzymu i Węgier — odparł Sieciech. — Byłbym sam do Płocka z nimi jechał, bo pilnie naradzić się trzeba. Gregoriańscy biskupi obrali papieżem opata z Monte Cassino i już konsekrowany został pod imieniem Wiktora III. Pierwsze, co uczynił, Italczyka Dionizego nam tu wysłał na poznańskiego biskupa.

Włodzisław zachnął się:

— Nie trzeba mi tu Italczyka ni gregoriańskiego biskupa, by jeno rozbrat był większy, ani bez mego przyzwolenia żaden papież biskupów przysyłać mi nie będzie. Po Marku zasię płockim biskupem ustanowię Stefana Poboga, za jedno, zatwierdzi go kto lubo nie.

Sieciech machnął ręką:

— Nie nam się o to troszczyć, bo już Wigbert Wiktora z Rzymu wygnał i sam zajął Piotrową stolicę. A że jest dwóch papieży, to jeno dla nas korzyść.

Widząc pytające spojrzenie księcia, ciągnął:

— Cesarz ma kłopot, bo o uznanie dla swego zabiegać musi, a jeszcze mu dziewierz poległ pod Kule i węgierski Władysław na tronie się umocnił.

— Cóżże nam z tego? — zapytał książę, nie rozumiejąc, do czego Sieciech zmierza. Śmierć Salomona dawała węgierskiemu królowi wolną rękę, którą będzie mógł do Mieszkowej sprawy przyłożyć. Ale Sieciech odparł:

— Judyta wdową jest, ninie wy możecie cesarskim dzie-wierzem ostać.

Książę milczał zaskoczony. Po chwili rzekł niechętnie:

— Niemka. Będzie się lud krzywił. I leciwa, ze czterdzieści godów liczy.

Sieciech uśmiechnął się drwiąco:

— Cóż byście z młódką działali? A trzeba wam będzie miłośnicy, należeć łącniej niż takowego jak Henryk sprzymierzeńca. Judyta, czy jak Niemce ją zowią •— Maria, wda«138»

ła jest; z nabożności nie słynie, tedy do klasztoru nie wstąpi i brat się za małżonkiem dla niej obzierać będzie.

— Jeno czy ją za mnie wydać zechce — powiedział książę z powątpiewaniem, ale Sieciech odparł:

— Mniemam, że się zgodzi, bo ani chybi nie na rękę mu jeno od Wratysławowego poparcia zależeć. A jego przeciw nam popierać przestanie, gdy będzie się mógł potomka siostry na polskim stolcu książęcym spodziewać, a uznania dla swego papieża.

— Wždy Judyta z Salomonem bezdzietna była — powiedział Włodzisław niechętnie. — Ja zaś Bolkowi ostawić chcę dziedzictwo.

— Bezdzietna była, bo Salomon, jeśli w wieży nie siedział, to wojował, aż i zwojował. Komu ostawicie dziedzictwo, czas myśleć. Nie w tym rzecz, by wam Judyta urodziła dziedzica, jeno by cesarz mógł na to liczyć.

— Rozważyć muszę —• powiedział książę z ociąganiem, ale Sieciech rzucił niecierpliwie:

— Będziecie rozważać, aż Henryk innego dziewierza sobie najdzie. Bez zwłoki należy śłać swaty, pokąd w Italii dwóch papieży, a dwóch królów w Niemczech. Gdy się pewny poczuje, nie będziem mu potrzebni. Rozważać możecie w drodze do Krakowa, nie będzie się wam dłużyła.

Książę rozmyślał długo w noc. Judyta Maria jeno z imienia przypominała jego zmarłą małżonkę, nie cieszyła się najlepszą sławą. Lękał się takiej macochy dla Bolka, jedynej istoty darzącej go nie podejrzanym przywiązaniem. Gdyby urodziła syna, uczyni wszystko, by pasierba odsunąć od dziedzictwa. Za związkiem zaś przemawiało istotnie, że zabezpieczyłby się przed roszczeniami Wratysława do polskiego tronu. Gdyby chociaż pewne było, że Henryk utrzyma się na cesarskim, a Wigbert na papieskim tronie, łatwiej byłoby powziąć postanowienie. Odłoży je do Krakowa, gdzie Sieciech zapewne otrzyma od tynieckiego opata nowe wieści z Rzymu.

Myślą wrócił do bliższych. Matka nie z tęsknoty za nim «139»

weszała go do Krakowa, spotkanie z Mieszkiem, którego trudno będzie uniknąć, też nie cieszyło księcia, sama jego obecność w kraju była przyczyną niepokoju. Groźniejszy to współzawodnik Bolka niż przyszły potomek nie poślubionej jeszcze siostry cesarskiej. Już po śmierci Kazimierza wielmoże domagali się głosu w sprawie następcy po zmarłym władcy, jawnie po to, by go od siebie uzależnić. Nie miał wątpliwości, na kogo w razie jego śmierci padłby wybór, a lękał się, że rychło może osierocić syna. Dziad Mieszko zmarł w wieku czterdziestu czterech lat, rodzic tylko czterdziestu dwóch. Włodzisław dożył już czterdziestu siedmiu, chorował jednak znowu przez całą zimę, gdyby zmarł, zostawił bezbronny malca na łasce wrogów.

Myśli te towarzyszyły księciu w drodze, ale zanim ujrzał wieże wawelskiej katedry, powziął postanowienie: pojmie wdowę po Salomonie, bo cesarz będzie najpewniejszym poręczycielem, że Mieszko, choćby go powołał kraj cały, nigdy nie zasiądzie na książęcym stolcu. Zbyt wiele upokorzeń doznał Henryk od Bolesława, by się zgodzić na objęcie tronu przez jego syna.

Włodzisław dobrze pamiętał własne upokorzenia i czego prócz nich nie przypominał mu widok krakowskiego grodu, do którego dotarł pod wieczór skwarne go dnia. Zanościło się na burzę, spopieliałe niebo zaciągało się ołowianymi chmurami. Włodzisława chwytła zadyszka, mimo jednak że chwilami czarne płaty skakały mu przed oczyma, kazał podać sobie konia, by na wozie nie wjeżdżał do grodu.

Zanim jednak orszak dotarł do niego, rozpętała się burza, pochlodziło i lżej było oddychać, a potokom ulewy mógł książę przypisać, że przy bramie witał go tylko setnik straży, który się Bogumiłem Niesobią oznajmił, a zarazem że Mieszko przeniósł się na czas pobytu stryja do drużyny na podgrodzie, ustępując mu swe pomieszczenia na zamku, ale gdy książę odpocznie, przyjdzie go powitać.

Włodzisław nigdy nie czuł się tu u siebie, niepilno mu «140»

też było spotkać się z bratańcem, natomiast gdy tylko z pomocą szatnego przebrał przemoczone szaty, wysłał komornika do babinca, by Dobronedze oznajmił jego przybycie i zapytał, kiedy może się stawić. Nie cieszył się i na spotkanie z matką, ale chciał przynajmniej wiedzieć, czego żądać będzie od niego, by się nad tym naradzić z Sieciechem, który z drogi zboczył do swej Morawicy, przyrzekł jednak stawić się nazajutrz w Krakowie.

Komornik wrócił po chwili z oznajmieniem, że księżna czeka na syna. Przez długą i mroczną sień książę skierował się do babinca. Gdy dochodził do komnaty Dobronegi, wyszła z niej niewiasta, w której przy świetle wiszącego przy wejściu kaganka poznał Wyszesaławę. Ona również poznać go musiała, ale przeszła obok niego jakby go nie widząc i zniknęła za sąsiednimi drzwiami. Mimo że wołał się nie spotkać z bratową, dotknięty się poczuł. Da jej odczuć, że los jej i syna od jego woli zależy.

Z tym postanowieniem wszedł do komnaty Dobronegi. Na widok matki jednak poruszyło się w nim wspomnienie dziecięcych lat, zanim zawiść do starszego brata nie wykrzywiła z nią stosunku. Leżała z przymkniętymi powiekami na wpadniętych oczach, w żółtym świetle płonących w żelaznym

świeczniku świec, twarz jej miała barwę starego pergaminu. Ale iskierka uczucia zgasła, jak Dobronega podniosła powieki. Spojrzenie jej było twarde i głos szorstki, gdy rzekła:

— Niespieszne ci było, by mnie choć pożegnać. Zmieszany odparł:

— Chorowałem.

— Nigdy ci do mnie nie było spieszo, a ja, jako widzisz, już jeno stąd na Bożą rolę. Gadamy z sobą pośledni raz, ale ja nie po to cię wzywałam, by pożegnać.

— Wiem! — powiedział chmurnie. — Nigdy nie cieszyłem się waszą łaską.

— Mylisz się, ale nie będę się sprawiać. Nie odstanie się nic, ale choć odejść chcę spokojna o Mieszka.

— Wiem — powtórzył. — Przyzwoliłem mu na powrót, czegoż więcej chcecie?

— Pora mu małżonkę pojąć. Bawi tu Eudoksja Izasła-wówna, ją mu zaswatać umyśliłam.

— Wiem! — rzekł po raz trzeci. — Słałem już do Swia-topelka. Godzi się siostrę wydać za Mieszka.

Na Włodzisławie spoczęło spojrzenie Dobronegi, zarazem zdziwione i podejrzliwe, gdy rzekła:

— Pospieszyles się nie pytając, zali Mieszko się zgodzi.

— Nie zechce, niechaj odmówi — odparł szorstko. — Jemu, nie mnie Światopelk uczynioną sobie ujmę przypisze.

— To tak! Ale może i lepiej się stało, bo Mieszko się godzi, a ja chcę, pókim żywa, pobłogosławić ten związek. Sam rozumiesz jednak, że dziewce oprawę zapewnić należy, a i Mieszko nie ściertiałka, jakimi twój palatyn co ważniejsze grody obsadza, jeno królewski syn. Nie będzie na jednym grodzie, choćby stołecznym, siedział.

— Wždy rządzi się w całym ujeździe, nawet mnie o przyzwolenie nie pytając. Stać go, by dwór utrzymać, a nawet drużynę. Nie przeciwilem się, bo z wami zadry nie chcę, ale nie żądajcie, bym wrogów swych umacniał.

— Dotrzyma mej poręki, że pomsty szukać nie będzie. W rodzica twego się wdał, jen wybaczać umiał.

— Za nic mi jego wybaczenie, bo nie on, to ci, co nie w smak im moje rządy, pomsty szukać będą, i to wiem, że w nim widzą przywódcę.

— Twoje rządy! Wszak i Bolko dzielnicę ci nadał, choć i wonzas takich nie brakło, co im jego rządy nie w smak były. Włodzisław milczał zachmurzony. Nie chciał powiedzieć, że właśnie dlatego dzielnicy bratankowi nie wydzielili, by się podobnie nie skończyło, ani wprost odmówić, choć wiedział, że Sieciech podrwiwać gotów, że jak wyrostek lęka się matczynego gniewu. Odparł wymijająco:

— O tym sam stanowić nie mogę. Naradzić się muszę ze swymi dostojnikami.

— Pono starczy z jednym. Ale to wiedz, że nie odjedziesz, pokąd mi nie odpowiesz. Ninie już idź. Zdrożonyś, a i mnie spocząć pora.

Sieciech przybył nazajutrz i zatrzymał się na Okole, zawiadamiając o tym księcia. Włodzisław wolał naradzić się z nim bez świadków. Żądaniu Dobronegi postanowił odmówić, ale długo w noc głowił się, czym to upozorować, by nie usłyszeć matczynego przekleństwa, przed którym czuł przesądny lęk. Rad by sprawę mieć już za sobą i jak najprędzej wyjechać z Krakowa, gdzie wszystko zdało się go odpychać. Pod pozorem obejrzenia wykończonego już kościoła Sw. Andrzeja z jednym tylko zaufanym komornikiem udał się na Okół.

Jak przewidywał, Sieciech słuchał jego opowiadania o rozmowie z Dobronegą uśmiechając się chwilami drwiąco. Włodzisława drażniło to i zakończył gniewnie:

— Dobrze ci się śmiać, bo nie ciebie macierz moja przeklnie, gdy odmówię. Kończy się już i zadzierać z nią nie chcę, a Mieszkowi nijakich rządów zlecić nie mogę.

— Iście, skoro księżna się kończy, zadzierać nie warto — odparł Sieciech.

— Wždyś sam radził, by go do rządów nie dopuścić. Raz ustąpiłem macierzy, gdy przyrzekła, że pokąd ona żywię, Mieszko się o wlaść zwodzić nie będzie. Ninie sama tego żąda, a ustąpię, to jeno pochop do buntu.

— Ale przyrzec można, a jako rzekliście, księżna się kończy, przeto i jej poręka.

— Jeno że mi nie ufa. Zaprzysięć niecna pod klątwą l cóże wonzas rzekę?

Sieciech niecierpliwie wrzusił ramionami:

— Wždyście i bratu posłuch i wiarę ślubili. Ale lękacie się macierzyńskiej klątwy, inak jej rzec należy: rządy sprawować to nie jeno ciągnąć targowe, mostowe, przewoźne i co tam jeszcze, ale i do obrony ręki dołożyć. Pierwsza to księżęcia powinność i zawždy tak bywało, że kto w wojnie przewodził, ten i w kraju.

Włodzisława kolnęło powiedzenie Sieciecha, ale nie mógł zaprzeczyć; domyślał się już, do czego zmierza palatyn, a ten ciągnął:

— Brataniec wasz żrały już, tęgi i zaprawę ma wojacką. Na Pomorzu sposobności nie brak, by pokazał, że i na wojnie przewodzić wydoli, a nie jeno w igrach z drużyna Wonzas mu rządy zlecicie w dzielnicy.

— A jeśli iście wydoli? Z rodu jest wojenników, jer doświadczenia mu brak.

— W wodzie człek uczy się pływać, choć bywa, że ut nie, na wojnie wojować, choć takóž nie wszyscy z wypr wy wracają. Kto po cudzą głowę sięga, swoją przynie musi.

Włodzisław nie chciał rozumieć, co Sieciech ma na myśl: ale gdy wieczorem udał się do matki, na jej zapytanie, postanowił, odparł:

— Jeno wody staną, pójdzie wyprawa na Pomorze. Spc sobność Mieszkowi do wojny się zaprawić, zanim mu rządy zlecę w krakowskiej dzielnicy.

Księżna patrzyła na syna zaskoczona. Nie mogła zaprzeczyć, że obrona kraju obowiązkiem jest księcia, ale nie wierzyła w szczeróść Włodzisława. Zapytała podejrzliwie:

— Czemuż to raniej nie zlecisz mu rządów w dzielnicy? Wždy nie pośledni raz pójdzie wyprawa, niejeden raz sposobność będzie, by się do wojny zaprawiał.

— Bo mu nie wierę, jako wy mnie — odparł podrażniony. — Wiedzieć chcę, zali w nim pomoc najde i wyрекę, gdy mnie samemu chorość prowadzić nie zwala, lubo wrogowi siłę mam dać przeciwko sobie.

— Kto tedy przewodzić będzie wyprawie? — zapytała księżna.

— Gdy ja nie wydolę, powiedzie ją Sieciech.

«144»

I Nie czekając na gniewną odpowiedź matki, dodał:

— Wojennik to przedni i przy nim Mieszko rychło doświadczenia by nabył. Ale wiem, że i jemu nie dowierzacie. Tedy niechaj sam Mieszko przewodzi.

Księżna milczała. Dobrze pamiętała, że Bolesław przez młodzieńczą zapalczywość sam omal życia nie zbył w walce z Pomorzani, a wygubił więcej niż połowę swej drużyny, niechęć budząc rodów, które bez potrzeby synów swych straciły. Po namyśle odparła:

— Niechaj Mieszko raniej małżonkę pojmie i potomka spłodzi, nim wojować zacznie. Ale jedno wiedz — dodała groźnie — jeśli mnie jeno zwodzisz lubo z twej poręki krzywda by go spotkała, i z za grobu dosięże cię moje przekleństwo, byś ze swego potomstwa takowej doczekał pociechy, jaką ja z ciebie miałam. Pomnij o tym, gdy mnie nie stanie.

— Mile mnie żegnacie, matko — powiedział przygnębiony. Ucałował wyschłą dłoń Dobronegi i wyszedł szybko, jakby uciekał.

Choć rad byłby jak najprędzej wracać do swego Płocka, zatrzymywała go w Krakowie sprawa poselstwa do cesarza i w tym celu wyjechał do Tyńca. Opat doradził wyznaczyć posłem Ottona z Mistelbachu, który ongiś prowadził diecezjalną szkołę w Gnieźnie i znał zarówno polską, jak i niemiecką mowę. Sieciech dodać miał mu orszak oraz dostarczyć zasoby na podróż i gościńce. Ruszyła już wprawdzie mennica na Okolę, w której sprowadzeni z Pragi mincerze bili srebro z podobizną Włodzisława, ale gotowy zapas pieniądza musiał ksiązę przeznaczyć na wystrojenie katedry, po niezbyt miłej rozmowie z biskupem Lambertem, który dopominał się o spełnienie przyrzeczenia.

Mniej miłe jeszcze było spotkanie z Mieszkiem. Ksiązę nie mógł go uniknąć, bratanek bowiem przysłał komornika z zapytaniem, kiedy będzie mógł się pokłonić. Włodzisław przeczuwał, że Mieszko przyjdzie nie tylko po to, i najchętniej byłby odmówił. Bratanek dość miał przyczyn, by 18 _ przekleństwo «145»

stryja nienawidzić. Przemogła jednak ciekawość poznania młodzieńca, o którym biskup Lambert wyrażał się z najwyższymi pochwałami, choć wiedzieć musiał, że ksiązę niezbyt chętnie ich słucha. Mieszko widocznie umiał jednać sobie ludzi i Włodzisław widział w tym niebezpieczeństwo.

Sam jego widok wzbudził w Włodzisławie niemiłe uczucie, nie tylko nieuświadomionej zazdrości przedwcześnie postarzałego, cheralawego człowieka wobec kwitnącej młodości i siły. Choć dopiero pierwszy jasny zarost okrywać zaczynał gładką jak u dziewczyny twarz młodzieńca, rysy wyostrzyły się już, a postawą, ruchami, a zwłaszcza głosem tak przypominał Bolesława, że w księciu wstały wspomnienia wszystkich upokorzeń, jakich doznał od brata.

Mieszko natomiast zgoła nie zmieszany skłonił się i zaczął:

— Dostojna macierz wasza, miłościwy panie, mówiła mi, że życzeniem waszym jest, bym się do wojny zaprawiał. Wiem, że jest takowa powinność nawet prostych wojów, ziemię dzierżących na prawie rycerskim. Zechciejcie, miłościwy panie, uwierzyć, że nie serca mi brak ni wojackiej zaprawy, bo od małości świadom jestem, że przykład męstwa dawać winien ten, kto innym chce przywozдить.

Włodzisława ubodło odezwanie się Mieszka i biorąc to za umyślny przytyk odparł oschle:

— Wierę, że trzymać się musisz matczynej zapaski. Ale że i moja macierz wymogła, bym tej powinności od ciebie nie żądał, tedy niepotrzebnie się sprawiasz. I to wiedzieć winieneś, że drugimi rządzić nie może, kim rządzi niewiasty.

Ugryzł się w język i by skończyć zapytał szorstko: — Zali chcesz jeszcze czego?

— Przyrzekliście prawa i mienie przywrócić wypowiednikom — zaczął Mieszko, ale książe przerwał:

— Jeno tym, co posłuch i wiarę zaprzysięgną. Wolałbym nie słyszeć, że za uporczywymi buntownikami obstajesz i z nimi się znosisz.

Mieszko przybladł, ale odparł spokojnie:

— Iście są to sprawy, o których lepiej nie mówić. Wiem, że mienie wygnańców ksiązęciu przypada. Ale nie łupem, komu się zda. Tedy jeszcze jedno: rodzic mój stadninę tu hodował bojowych koni. Pobrał je wasz palatyn. Przykażcie mu, by mi zwrócił.

Włodzisław odparł zarazem zły i zmieszany:

— Jemu potrzebniejsze niżli tobie, bo on kraju broni, gdy ty się wczasujesz. Ale jest ninie na Okole, sam się o nią upomnij.

Mieszkowi krew do głowy uderzyła i bez namysłu rzucił:

— Jeśli z nim gadać będę, to nie jeno o koniach. — Skłonił się i wyszedł.

Książę zaniepokoił się. Jeśli Mieszko waży się otwarcie grozić przemożnemu palatynowi, pewny musi być poparcia jego wrogów. Gdyby udało im się usunąć go, sam Włodzisław niedługo utrzymałby się przy władzy. Gdy jednak rozmowę z Mieszkiem powtórzył palatynowi, Sieciech na widok jego zaniepokojenia uśmiechnął się z politowaniem:

— Wždy niedziwne, że was nie miłuje brataniec. Ja zasię koni mu nie oddam, choćbym za nie przychylność jego mógł kupić, bo mi niepotrzebna. Nawet rad jestem, że mi wróżdę zapowiada, nie będę brał względu, że młodzik to niedoświadczony, zda mu się, że chęci za możność stoją. Ninie nie będę sobie głowy nim zaprzętał, bo i jemu nie pora poczynać, gdy małżonkę pojąć zamierzył. Niechaj się nią zabawia, a pośle obaczym.

Księcia jednak nie uspokoiło lekceważenie sprawy przez Sieciecha i rzekł:

— Sam mówiłeś, że z wyprawy nie wszyscy wracają —

1 tobie się to przytrafić może.

— Iście tak — odparł Sieciech. — I w łożu śmierć najdzie człeka. Chcecie być pewni, że Mieszko nigdy właści nie posiędzie, co rychlej związek zawrzeć z Henrykową siostrą. Cesarz już dopilnuje, by Bolesławowego syna do berła nie dopuścić. A i śmierć lat nie domierza, młodzi także umierają. Czas o tym myśleć, ninie pilniejsze są sprawy.

Książę mylił się jednak sądząc, że Sieciech lekceważy Mieszka. Palatyn nie zwykł zdradzać swych zamysłów, trafnie natomiast przypuszczał, że królewicz, zajęty zamierzonym związkiem o niczym więcej teraz nie myśli.

Mieszko istotnie pochłonięty był całkowicie nastąpić mającą w jego życiu zmianą. Zapadły w cień wspomnienia ciężkich przeżyć pierwszej młodości, przy żywej dziewczynie odnalazł dziecięcą radość życia, jakiej nie zaznał pr smutnej i przygnębionej matce. Donia nauczyła go dostrze gać piękno tam, gdzie go dotychczas nie widział. Wraz z nią zbierał kwiaty na wianki, jak dwoje dzieci uganiiali za motylami, słuchali śpiewu ptaków lub wieczorną porą trzymając się za ręce patrzyli ze stolbu, jak zorze zachodu barwią świat, aż znikwały i srebrny księżyc ospale dźwigał się na niebo gasząc gwiazdy, wstająca z oparzelisk i wiślanych zalewów mgła rozlewała się jak powódź, wzbierała i pnać się w górę dochodziła do stóp wawelskiej skały, a gród zdał się odrywać od ziemi i jak korab płynąć po cichym, bezkresnym, mlecznym morzu.

Zbliżający się dzień wesela zakłócił jednak beztrioskie bytowanie. Biskup domagał się przystąpienia oblubienicy do rzymskiego Kościoła, zanim udzieli związkowi błogosławieństwa kościelnego, a przedtem oświecenia jej w wierze, czego podjął się sędziwy kanonik Mikołaj. Niemniej dopełnić należało i obyczajowych obrzędów. Toteż gdy przybyli posłowie Swiatopełka, którzy przy swadźbie zastąpić mieli brata oblubienicy, przeniosła się do nich na podgrodzie, gdzie stanęli gospodą i gdzie

nastąpić miały zdawiny, a po błogosławieństwie w kościele Sw. Michała przenosiny do domu nowożeńca.

Na starostę weselnego uprosił Mieszko Dzierżysława Jastrzębca, jakkolwiek wedle obyczaju winien nim być ktoś z rodu oblubieńca. Królewicz jednak ani nie chciał, ani nie mógł prosić o to stryja, tym bardziej że wiadomo już było, iż zajęty jest przygotowaniami do własnego wesela, «148»

cesarz bowiem wyraził zgodę i oczekiwano przybycia wdowy po Salomonie z Węgier, gdzie dotychczas przebywała.

Dla Dzierżysława był to zaszczyt niemały i zjechawszy do Krakowa gorliwie zajął się przygotowywaniem uroczystości i uczyły weselnej. Mimo że wiedział, iż udział w nich nie będzie mile widziany w Płocku, spodziewał się licznych gości i rozesłał Mieszkowych druhów na sprosiny. Zjazd jednak, jaki się rozpoczął już przed wyznaczonym dniem, zaskoczył go. Przybywali i nie proszeni, a zwłaszcza gromady prostego ludu, z dalekich nieraz stron, niosąc swe ubogie dary w miodzie, drobiu, dziczyźnie czy domowych wyrobach. Tak licznych tłumów nie widział Kraków nawet wówczas, gdy Bolesław u szczytu swych osiągnięć wracał na stolicę ze zwycięskich wypraw. Podgrodzia i miejska osada biskupa nie mieściły już przybyłych i dokoła grodu, jak w czasie oblężenia, bieleły namioty, wznosiły się szałas, tylko miast wojennych brzmiały weselne pieśni, miast bojowej wrzawy wesół gwar, który do późna w noc dochodził na gród, a setki ognisk gasiły księżycową poświatę.

Mieszka zarazem radowały i niepokoili objawy powszechnej życzliwości. Nie wątpił, że u źródła jej leży nadzieja powrotu niedawnej świetności i pomyślności, a nic jeszcze nie zapowiadało, by mógł ją spełnić. Kiedyś podejmie ten ciężar, teraz jednak nie chciał myśleć o przyszłości, by nie mącić uczucia szczęścia, jakie przepełniało go na myśl o bliskim już połączeniu z dziewczyną. Z niecierpliwością czekał dnia, gdy obrzędy się skończą, tłumy rozjadą i w spokoju będzie mógł wraz z nią cieszyć się wiosną uczucia.

Nie uszło uwagi Mieszka, że wśród gości przybywających z darami nie zjawił się Mikołaj Strzemienieczyk, o którym dawno nie było słuchu, a nawet żaden z jego braci. Zajęty przygotowaniami królewicz nie co dzień i na krótko widywał się z matką, stale niemal przesiadującą przy świekrze, która nie opuszczała już łoża. Nie zmiarkował też, że Wy-szesława nie podziela jego radości. Ostatniego wieczora przed dniem weselnym nie przyszedł, do późna biesiadu«149»

jąc z druhami. Dobronega natomiast domyślała się, co gnębi synową, która siedziała smutno zadumana. Gdy zbliżała się północ, powiedziała:

— Wszak ci już dziesięć godów bez mała minęło od onych nieszczęsnych wydarzeń. Odstoi się wszystko. Radowałabyś się, że Donia ci córę zastąpi, jako ty mnie, i skoro wnąka po niej doczekasz, którego pociechą będzie twej starości. Zawždy nie może być źle.

— Nie umiem się radować, matko, bo nie umiem zapominać — głucho odparła Wyszesaława. — Ziemia nie odda krwi, którą wypila...

Przed oczyma miała kaźń Stanisława, a w uszach jej jeszcze brzmiało przekleństwo, jakie w godzinie śmierci rzucił na swego zabójcę i jego pokolenie. A jutro tam, gdzie cios Bolesława położył kres jego życiu, między kościołami Sw. Michała i Sw. Jerzego, stać będzie Mieszko z młodą małżonką, i pierwsze jego kroki przez krew, która żąda odpłaty.

Dobronega z pewnym zniecierpliwieniem przerwała synowej :

— Ostaw! Nie umiesz się radować, nie mąć młodym radości. Niechaj się cieszą dniem dzisiejszym, a przyszłość w Bożym ręku.

Sama nie była spokojna, ale nie tylko z powodu ciężącego nad nimi przekleństwa. Włodzisław lęka się matki, dlatego zostawił Mieszka w spokoju, ale nawet nie taił swej nieufności do niego. Dobronega wiedziała, że dni jej są policzone. Gdy jej nie stanie, nie będzie nikogo, kto mógłby tamę położyć wpływowi Sieciecha. Weselny zjazd, okazywana królewiczowi powszechna życzliwość, o której wiedzieć będą w Płocku, może się obrócić przeciw niemu.

Księżna niepokoiliaby się jeszcze bardziej, gdyby знаła przebieg Włodzisławowego wesela, które wkrótce potem odprawił. Nie przybyło na nie wielu zaproszonych dostojników, niektórzy nie trudzili się nawet usprawiedliwieniem swej nieobecności. Nieco prostego ludu ściągnęła ciekawość j przyrzeczona mu uczta, ale gdy po pobłogosławieniu związku przez biskupa Stefana Poboga para książecka, ukazała się przed katedrą, jeno tu i ówdzie rozległy się powitalne okrzyki. Książe dziękował za nie ręką i wymuszonym uśmiechem, nowa pani pogardliwym spojrzeniem ogarniała zgromadzonych, czując, że nie przybyli ją witać, jeno obejrzeć. Piękna była jeszcze, mimo że lata pozostawiły już swój ślad na jej twarzy. Z dala można ją było wziąć za młodą niewiastę, rosła i

smukła w opiętej, powłóczystej sukni z błękitnego jedwabiu z narzuconą na nią drugą ze złotogłowiu, sięgającą poniżej kolan, z niezmiernie długimi i szerokimi u dołu rękawami. Głowę jej zdobiła aksamitna okrągła czapeczka z otokiem haftowanym złotem i perłami, szczupłe dłonie lśniły od klejnotów. Czowała utkwione w siebie wszystkie spojrzenia i niecierpliwiło ją to. Po chwili zwróciła się do stojącego obok Sieciecha, z którym poznała się już, gdy na granicy odbierał ją od posłów węgierskiego króla:

—• Rzeknijcie panu, że zadość już tego stania, jakoby pod pręgierzem.

Nie знаła ni słowa po polsku, Włodzisław nie znał niemieckiego, od chwili jej przybycia mówili z sobą przez tłumacza, za którego służył scholastyk Otto. Gdyby nie to, że przywiodła własny dwór, nie miałyby niemal ust do kogo otworzyć. Z Sieciechem mogła się dogadać po niemiecku, ale nie znała go na tyle, by z nim mówić otwarcie. Zdołała dotychczas pomiarkować, że jest nie tylko pierwszym dostojnikiem księcia. Wszystko tu było dla niej obce, jeśli nie wrogie. Już po raz drugi brat, nie pytając o jej zgodę, porządził jej losem dla swoich celów. Gdyby nie wielkodusz-noć węgierskiego króla, który wdowę po stryjecznym bracie, ale zarazem podstępny wrogu wyposażył jak własną córę, musiałaby się tu wstydzić swego ubóstwa. A celów swych Henryk i tak nie osiągnął, dłużej była żoną więźnia, a potem wygnańca, niż królową. Śmierć Salomona odczuła jak ulgę, po to, by znowu pójść na obczyznę jako żona podstarzałego cherlaka, o którym również nie wiadomo, jak długo się na tronie utrzyma. Żyje i znajduje się w kraju dojrzały już spadkobierca koronowanego króla, ulubieniec węgierskiego krewniaka, świeżo spowinowacony z kijowskim księciem. Poparcia ich dla swych roszczeń może być pewny, podczas gdy cesarz, zajęty nieustającym wrzeniem w Niemczech i walką z papieżem, sam zależny od czeskiego sprzymierzeńca, niczego nie uczyni dla poparcia nowego dziedzica, jak poprzednio nie udzielił go Salomonowi.

Siedząc przy uczcie weselnej między małżonkiem a Się ciechem, Judyta mimo woli porównywać musiała tych dwóch ludzi. Gdyby jej wolno było wybierać, nie wahałaby się ni chwili, wolałaby miast niepewnego tronu wyżyć wreszcie kończącą się już młodość i urodę. Dość miała pustego łoża w swym związku z Salomonem. Teraz dzielić je przyjdzie z podstarzałym, schorowanym człowiekiem, do którego czuła tylko niechęć graniczącą z obrzydzeniem. Raziła ją obca mowa, której nie rozumiała, drażnił gwar wzrastający w miarę, jak miód i wino rozgrzewały głowy. Siedziała sztywna i milcząca czekając, kiedy skończy się uczta i zrzuciwszy ciężkie od złota szaty znajdzie się choć przez chwilę wśród swych dworak, by wylać wzbierającą w niej żołąć.

Ale nie zanosilo się na rychłe zakończenie uczty. Podchmieleni biesiadnicy przypijali do księcia, który ocierał pot z czoła, widocznie również zmęczony trwającymi od rana uroczystościami. Judyta czuła, że dłużej nie wytrzyma, i hamując zniecierpliwienie zapytała Sieciecha:

—• Długo będzie jeszcze tego ucztowania?

— Pokąd się z nóg nie zwałą — odparł z uśmiechem.

Pił również, ale nie znać było po nim ni podpicia, ni znużenia. Zmiarkował jednak widocznie, że księżna zadość ma pijackiej wrzawy, bo dodał:

— Widzę, że jego przewielebność pan biskup zbiera się odejść. Chcecie spocząć, miłościwa pani, pójdźmy i my.

«152»

Skinęła głową, a palatyn zwracając się do księcia powiedział :

— Wróć skoro, jeno odprowadzę małżonkę waszą do jej komnat.

Włodzisław nic nie odrzekł. I on najchętniej udałby się na spoczynek i pozostał sam. Już teraz morzył go sen. Z biskupem wyszło też kilku duchownych, porządku już nikt nie pilnował, przesiadając się, jak kto chciał, tylko książę tkwił na swym podwyższeniu, przysypiając i budząc się, gdy wzmógł się gwar. Nie zauważył, że miejsce Sieciecha długo pozostało puste.

W przejściu przez dziedziniec do niewieściego budynku księżna zatrzymała się. Noc już zapadła, po zaduchu w świetlicy lżej było oddychać w chłodnym powiewie ciągnącym od rzeki. Tu już panował spokój, tylko kilku pachółków zbierało naczynia po uczcie zgotowanej dla prostego rycerstwa i ludu, jedynym głosem było warczenie psów, które żarły się o resztki biesiady. Wysoki już księżyc przygaszał czerwone poblaski dopalającej się w beczkach smoły. Po chwili księżna rzekła:

— Rychło tu skończyli ucztować. Niehojne musiało być przyjęcie.

— Tyle, by zadość uczynić obyczajowi — odparł Sieciech.

— Nie znam waszych obyczajów ni mowy. Nielacno wtóry raz odmieniać — powiedziała w zamyśleniu. — Jako między wrogami się czuję.

— Do wszystkiego można nawyknąć, do wrogów takż. Łacniej o nich niżli o przyjaciół.
Spojrzała na niego badawczo. Po raz pierwszy rozmawiali bez świadków. Przy świetle księżycy widziała utkwione w siebie jego jasne oczy, surowe i przenikliwe. Czego chce? Powiedziała z wahaniem:
— Iście o wrogów łacno, ni szukać ich nie trzeba. Jeno gdzie należć przyjaciół?
— Tam, gdzie pospólna korzyść.
—• Pospólna! — Księżna uśmiechnęła się z przymusem. —
«153»

Cóż za korzyść z mej przyjaźni, bym za nią kogoś kupić mogła? Nie wam muszę to mówić.
— Mnie możecie mówić wszystko. Gdy przyjdzie pora, ja rzekę, za co mnie kupić można.
Patrzyli wzajem na siebie, Sieciech zuchwale, księżna pytająco. Co więcej osiągnąć chce palatyn prócz tego, co już posiada? Ważniejsze jednak, co w zamian może ofiarować. Podobał jej się, nie tylko z męskiej urody, nieźle byłoby mieć po swej stronie najmożniejszego w państwie człowieka, ale nie chciała być tylko środkiem do jego celów, których nie zna. Powiedziała wprost:
— To ja chciałabym raz przedać się lepiej, niż mnie dotąd sprzedawano.
Na surowej twarzy Sieciecha zjawił się uśmiech:
— Wždy wiem, że za błyskotki nie kupi cesarskiej córny i siostry. Gdy do tego dołożyć urodę, iście można żądać wysokiej ceny.
Zrozumiała i odparła oschle:
— Urody sprzedawać nie nawykłam...
—• Ja zacie jeszcze nie potrzebuje kupować — przerwał, Sieciech nie przestając się uśmiechać. — Ale gdy dobijem targu, uroda za litkup stanie.
Mierzyl się oczyma. Po chwili księżna rzekła:
— Za wcześniej o tym mówić.
— Ale dobrze wiedzieć, że można mówić i że jest o czym — zakończył palatyn.
Zdać się mogło, że tylko chęć doczekania związku Mieszka z Eudoksją trzymała Dobronegę przy życiu. Po raz ostatni dźwignęła się z łoża, by powitać nowożeńców. Zajęci sobą, nie zdawali sobie sprawy, że to zarazem pożegnanie, Wyszelsława natomiast niemal nie opuszczała świekry, z żalem patrząc, jak gaśnie jedyna istota, która rozumiała jej niepokój i jak mogła, podtrzymywała w niej nadzieję.
O wczesnym zmroku jesiennego już dnia królowa widząc, «154»

Le Dobronega leży cicho z przymkniętymi powiekami, wstała zamierzając przywołać jedną z dworskich niewiast, by posiedziała przy księżnej, póki się ta nie zbudzi. Dobronega nie spała jednak, bo słysząc, że synowa zbiera się do wyjścia, szepnęła:
— Proś kanonika Mikołaja, by zaszedł do mnie. Trzeba się na śmierć sposobić.
— Nie mówcie, matko! —• odparła Wyszelsława przez ściśnięte gardło. Wiedziała, ku czemu idzie, ale gdy chwila nadeszła, ogarniała ją niemal rozpacz. Sama zostanie ze swym przeczuciem i niepokojem, którego nawet nie będzie miała z kim podzielić, a ukrywać musi przed młodymi. Dobronega patrzyła na synową ze współczuciem i ciągnęła wysilonym szeptem:
— Żal i mnie was żegnać, ale zadość żyłam i przeżyłam. Tak ci jest, że jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Żeś mi była jako córny, uproszę Boga, by i tobie kiedyś zamknęła oczy miłująca dłoń. Lżej umierać.
Wyszelsława wstała, by spełnić życzenie świekry, po czym' usiadła przy łożu, twarz ukrywszy w dłoniach. Dobronega bliższa jej była niż matka, którą ledwo już pamiętała. Wszystko, co ważnego zaszło w jej życiu, przeżyły wspólnie; wszystko prócz szczęścia, które los, choć skąpo, pozwolił przeżyć Dobronedze i odejść z nadzieją, że nie zaginie pokolenie umiłowanego, a nieszczęsnego syna. Wyszelsławie zdało się, że wraz z nią zgaśnie ta nadzieja.
Gdy nadszedł kanonik Mikołaj, królowa wyszła i siedziała w swej komnacie, nasłuchując, kiedy wrócić będzie mogła do konającej. Ale noc uczyniła się późna, gdy wreszcie posłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Wstała, by wyjść do świekry, gdy wszedł kanonik i powiedział ze współczuciem:
— Spocznijcie, miłościwa pani. Księżna już nie potrzebuje niczego kromie modlitwy.
Wyszelsława zrozumiała. Usiadła ciężko i po dłuższej chwili powiedziała nieswoim głosem:
— Umyć ją trzeba i przybrać do truchły.

«155»

— Niewiasty to rano uczynią. Spocznijcie, zadość było czuwania.

— Nie zasnę — szepnęła królowa. — Mieszka muszę uwiadomić i do księcia ślać co rychlej, by pośpiał na pogrzeb.

— Niepilne. Księżna zleciła nie czekać na syna z pogrzebem. Bez wszelkiej okazałości pochować się kazała przy małżonku, a co po niej zostało, ubogim rozdać.

— Nie wybaczyła przemieszki — szepnęła Wyszesaława do siebie.

Kanonik westchnął:

— Plenne jest zło! Komuż z nas nie trzeba wybaczenia? I komuż wybaczać łatwiej niż macierzy synowi?

Na wynędzniałej twarzy Wyszesaławy zjawił się rumieńce. Odparła wzburzona:

— Własne krzywdy! Ale nie najbliższych, za które nie masz zadośćuczynienia. Niechaj Bóg jej nagrodzi, że z za grobu jeszcze chroni mego syna, przekleństwem grożąc wyrodkowi, gdyby go ukrzywdził.

Kanonik pokiwał siwą głową:

— 'Straszne jest macierzyńskie przekleństwo. Gniew i pomsta tu ostać winny, gdzie się zrodziły. Nie żyć ich tam, gdzie wieki szczęśliwość.

— A biskup Stanisław w godzinę śmierci małżonka mego przeklął wraz z jego pokoleniem — szepnęła królowa przybladła.

— Człkiem był jeno. To ludzie na synach pomsty szukają za ojców winy. Bóg samych tylko winowajców karze.

— Ale upiory mszczą swe urazy na tym, co człeku najdroższe — powiedziała cicho Wyszesaława.

Kanonik westchnął bezradnie. Wiara w upiory, strzygi i zmory powszechna była na Rusi, nijak księżnę przekonywać. Powiedział jednak:

— Wybaczy, miłościwa pani, ale to pogaństwem trąci. Z tamtego świata Bóg nie zwala powrotu, jeno na swój sąd.

— A Stanisław Pietrka z grobu wywołał na królewski.

«156»

— Nie wierę. Nawet Syn Boży Łazarza czy córę Jaira po paru dniach z martwych wskrzesił, nie po leciech i nie jlla pieniądza. Nie byłem przy tym, ale skarbnik Nawój greniawita, człek roztropny i nielekliwy, podejrzewał, że to szalbierstwo było kanonika Wolkmara, którego człek był be-2ecny i tu go już dosięgła kara Boża.

— Nie wiem; nic nie wiem! — szepnęła królowa pobladłymi wargami. — Jeno i we śnie zapomnieć nie mogę przekleństwa, które już pościgło mego małżonka.

Nie było co odrzec. Sam kanonik nie był spokojny o Mieszka, ale nie przekleństwa lękał się dla niego, jeno Sieciecha. Palatyn lepiej niż kto inny wie, że gdyby Włodzisław zmarł, cały kraj, z wyjątkiem jego pociotków i zauszników, stanie za Mieszkiem, który nie czyni nawet tajemnicy, że jednemu Sieciechowi nie wybaczy zła, jakiego był sprawcą. Powiedział:

— Cóż wam zalecić mogę, miłościwa pani, kromie modlitwy i zdania się na Opatrzność, a królewicowi przezorność. A jeśli wam to ulży, ze mną mówić możecie o wszystkim, co was boli. Ninie pożegnam was, bo i mnie spocząć trzeba, i rano biskupa uwiadomić, by co należy zarządził.

I wam radzę spocząć, niewiasty służebne przywołam, by czuwały przy księżnej.

— Sama będę przy niej czuwała. Jako macierz mi była... — urwała suchym szlochem.

Siedziała przy zwłokach, aż jesienny świt wy dobył z mroku twarz zmarłej. Wyszesaława wstała, ucałowała zimne już czoło, pogładziła siwy włos i wyszła przywołać niewiasty, by przybrały Dobronegę na ostatnią drogę. Zgodnie z dawno wyrażonym życzeniem spocząć miała przy mężu w poznańskiej katedrze.

Wieść o zgonie Dobronegi otrzymał Włodzisław dość wcześniej, by zdążyć do Poznania, zanim dotrze tam orszak żałobny ze znacznie odleglejszego Krakowa. Książę wahał «157»

się jednak, nie tylko dlatego, że nie ciągnęło go serce, by oddać matce ostatnią posługę. Nie wybaczyła mu i nie tała swej pogardy, śmierć jej odczułby nawet jak ulgę, gdyby nie tkwił w nim przesądny lęk przekleństwa, jakim zagroziła. Pamiętał zarazem, że wymuszając zgodę na powrót wnuka poręczyła, że póki jej życia, Mieszko po władzę nie sięgnie. Teraz wolny jest od jej słowa, w Poznaniu spotka się niewątpliwie z wrocławskim komesem Magnusem Zaręba, u którego znajdowali ochronę wszyscy przeciwnicy Sieciecha, zmuszeni uchodzić przed jego prześladowaniem. Gdyby

nawet Mieszko szczerze głosił, że stryja nie zamierza pozbawić tronu, mogą go do tego zmusić wypadki, tak jak samego Włodzisława wciągnęły do buntu przeciw bratu. Pewne było natomiast, że w razie śmierci Włodzisława Mieszko pozbawi małego Bolesława dziedzictwa, które książę chciał synowi zabezpieczyć. Jediną nadzieję zapobieżenia takiemu obrotowi wypadków pokładał książę w Sieciechu. Objęcie władzy przez Mieszka groziło palatynowi co najmniej wygnaniem, jeżeli nie wprost jego głowie, musi o tym myśleć.

Przyczyn rozterki i wahania księcia było więcej. Obrzędy pogrzebowe w Poznaniu odprawi biskup Dionizy, mianowany mimo sprzeciwu księcia przez papieża Wiktora III. Wzięcie w nich udziału mogło uchodzić za uznanie jego władzy, jeszcze jedna przyczyna nieporozumienia z cesarzem. Starczyło już przeciągające się rozdwojenie w polskim Kościele, gdy antypapy nie uznali dotychczas ani Piotr Ogończyk wrocławski, ani Pietrek Bróg gnieźnieński. Włodzisław zaś nie chciał ani nie mógł ich do tego zmusić lubo usunąć, gdy w rodach mieli oparcie.

Sprawę wyjazdu rozstrzygnęła przyroda. Okres słonecznej pogody skończył się nagle, północne wichry zdarły jesienną krasę z drzew, przeganiając listowie jak stada złotych i purpurowych motyli, a nisko ciągnące ołowiane chmury stłumiły ich lot, przesycając wilgocią gwałtownych zlew. Świat poszarzał i szerniał, Wisła wezbrała, drogi ro2-

«158»

miękły, a książę, jak często o tej porze, zaniemógł na nogi. Wymimo cierpienia niemal rad był, że choroba rozstrzygnęła za niego, zwalniając go od towarzyszenia matce w jej ostatniej drodze.

Sieciech znał swego suwerena i wiedział, że nie lubi za nic ponosić odpowiedzialności. Sam również wolał osiągać własne cele cudzymi rękami, jednak nie jak Włodzisław przez lekliwość i niedołęstwo. Śmiałości mu nie brakło, ale droga do ziszczenia jego zamiarów kryła zwykle zbyt wiele niebezpieczeństw, by samemu się narażać, gdy można było wysłużyć się kim innym. Kolejną przeszkodą, którą usunąć należało, był dojrzały już Mieszko, ale Sieciech więcej z księciem nie mówił o tym wiedząc, że nie przedsięwzięmie niczego. Lęka się zarówno wywołania burzy w kraju, jak matczynego przekleństwa, i gotów się nawet sprzeciwić, by przed sobą samym usprawiedliwić, że stało się to wbrew jego woli. Sprawa zaczynała być nagłą. W Poznaniu Mieszko spotka się z wrogami palatyna, którzy mogą królewicza nakłonić, by uderzył, zanim cesarz myśli i siły będzie mógł polskim sprawom poświęcić; należy go wyprzedzić. Wykonawcę swych zamiarów znalazł już w księżnej.

Judyta bystro rozglądała się w nowym położeniu. Dwór, który przywiozła z sobą, składał się wyłącznie z Niemców, potrzebni jej byli miejscowi ludzie. By ich pozyskać, uczyć się nawet zaczęła polskiego języka. Wiedziała, w jakim celu brat wydał ją za podstarzałego wdowca z małym synem, i sama nie chciała po raz wtóry być małżonką władcy, który jak Salomon skończy żywot na wygnaniu. Cesarzowi potrzebny był sprzymierzeniec w jego walce z papieżem. Ale władza w rzeczywistości spoczywała w ręku Sieciecha i on najlepiej nadaje się na narzędzie, jakkolwiek Judyta dość była doświadczona, by zrozumieć, że własne cele ma na oku. Tymczasem były wspólne, a co dalej, przyszłość pokaże. Z nim mogła mówić o sprawach, które darmo było poruszać z księciem. Mimo to, gdy wieść o śmierci Dobronegi dotarła do Płoc«159»

ka, a jasne się stało, że Włodzisław na pogrzeb nie ruszy Judyta udała się do małżonka. Od przybycia do Polski drażniło ją, że miast w stolicy państwa, skąd łatwiej mogłaby porozumieć się z bratem i wcześniej otrzymywać wieści z Zachodu i z Węgier, książę siedzibę obrał w odległym Płocku, stolicę zostawiając w ręku współzawodnika. Judyta nie wierzyła, by Mieszko z objęciem władzy czekał na śmierć stryja, ale nawet gdyby tak, cel jej małżeństwa byłby chybiony. Wiedziała, co małżonka trzymało z dala od Krakowa. Śmierć Dobronegi usunęła tę przyczynę, pora skłonić księcia do przeniesienia siedziby dworu do Krakowa. Gdy jednak zaczęła o tym mówić, książę wystękał:

— Wždy widzicie, że nawet na pogrzeb macierzy ruszyć nie mogę.

Patrzyła z pogardliwym politowaniem na leżącego w łóżu małżonka, z nogami obłożonymi gorącym piaskiem, i zachnęła się niecierpliwie:

— Nie żądam, byście się przenieśli dziś czy jutro. Gdy drogi stwardnieją, pora będzie, choć lepiej byłoby, zanim Mieszko powróci z Poznania. Zadość długo stolica była w jego ręku, by mu knowania ułatwić, z czym wróci, nie wiada.

— Ostawcie mnie! Do Płocka nawykłem i tu się czuję najlepiej. Sieciech będzie wiedział, o czym gadano, i co trzeba, zarządzi.

— Widzę ci, jak się dobrze czujecie — odparła hamując gniew. — Jeny nie wiem, jak i dokąd będziecie uchodzić, gdy was wygna brataniec. Nie liczcie na to, by brat mój pomocy czy gościny wam udzielił, bo nie po to na nasz związek przyzwolił, zadość ma własnych trosk, ja zaś nie chcę po raz wtóry ostać na niczyjej łasce ni potomka naszego na niej ostawić. — dodała znacząco.

Myślała, że ta wzmianka poruszy Włodzisława. Patrzył na nią zaskoczony i bąknął:

— Naszego potomka?

Zagryzła wargi ze złością:

— Cóż się dziwujecie? Nie zawżdy na to cudu świętego Idziego potrzeba.

Postanowiła rozmówić się z Sieciechem. Dla własnego bezpieczeństwa powinien być skłonny do działania, Włodzisława nie poruszy nawet strach.

Księżę istotnie zdziwiony był i zaskoczony. Z pierwsza hożą i młodą małżonką latami doczekać nie mógł potomka, choć i sam młodszy był i mniej schorowany. Po drugiej, niemłodej już i z Salomonem bezpłodnej, potomstwa się nie spodziewał ani go nie pragnął. Gdyby urodziła syna, małemu Bolkowi przybędzie jeszcze jeden współzawodnik, nie-bezpieczniejszy niż Mieszko, bo z tym poradzić sobie winien Sieciech. Zanim Bolko dojrzeje, i on, i sam księżę będą starcami, jeśli jeszcze przy życiu, zostanie osamotniony przeciw macosze i cesarskiemu siostrzanowi. W trosce swej Włodzisław szukał pocieszenia w nadziei, że być może urodzi się córka. Niemowlęta zresztą często umierają. Księżę pomyślał, że jednak bezpieczniej usunąć małego Bolka z dworu wraz z jego mleczną matką. Zdrow był i tęg, ale umierają nie tylko niemowlęta.

O tym myślała także księżna. Współzawodników spodziewanego potomka lepiej usunąć w porę. Gdy jednali napomknęła o tym w rozmowie z Sieciechem, odparł niechętnie:

— Z wyrostkami nie wojuję. Obaczym, co wyrośnie po takim rodzicu.

Zmarszczyła się. Palatyn nie do wszyskiego da się użyć. Powiedziała skrywając złość:

— Jeny że nigdy nie wiada, kto rodzicem. Sieciech uśmiechnął się drwiąco:

— A wy wiecie, miłościwa pani?

Zagryzła wargi. Musi znosić zuchwałą poufałość człowieka, który jest jej potrzebny. Ucięła:

— Tedy gadajmy o tym, co pilniejsze, a wy czekajcie, aż wam nowy wróg wyrośnie.

Palatyn odparł lekceważąco:

11 — Przekleństwo «1 fil»

— Wrogów nie ma jeny ów, którego się nikt nie lęka. Od młodości do nich nawykłem i nie z takowymi wydoiłem sobie poradzić. O mnie bądźcie spokojni.

— Chcę być spokojna o siebie. Wygrywa, kto pierwszy uderzy.

— Nie zawżdy. Przed spodziewanym ciosem osłonić się łacno. Nie zaczynam walki, pokąd sił nie policzę.

— Zali nie nadmiar tej przezorności? Cesarz nie po to na mój związek przyzwolił, bym zaś małżonką była wygnańca. Nie takowy sprzymierzeniec jest mu potrzebny.

Wydeła pogardliwie wargi, ale Sieciech ramionami wzruszył:

— Wżdy wiem, że nie miłowanie was tu przywiodło. Sojusz każdy zawiera dla własnej korzyści.

— Dla pospólnej. Warn korzyść, że Wratysław praw swych do polskiego lenna siłą nie dochodzi. A wy coście zdziałali? Nawet biskupów zmusić nie chcecie, by prawego papieża uznali. Mało tego, Wiktor wam swego człeka na poznańskiego biskupa narzucił. Nietrudno odgadnąć, że koronę przyrzekać będzie Mieszkowi, jak Grzegorz jego rodzicowi, by sprzymierzeńca zyskać.

— Nic nam do kościelnych spraw, tedy z biskupami zadzierać nie będziem, gdy zadość innych wrogów. Dla nas ten papieżem, kto się w Rzymie ostoja, ale to cesarska sprawa. Wielceśmy mu wdzięczni, że nam Wratysława nie narzucił, choć mu na koronację przyzwolił, bo nie po tośmy swego króla zegnali, by cudzego znosić. Ale i nie po to rodzica, by syn nim ostał, i w tym pospólna korzyść. Księżnę niecierpliwiło już, że palatyn nie pozwala się przycisnąć, ni zdradzić, co przedsięwziąć zamierza. Powiedziała wyniośle:

— Ten papieżem, którego cesarz zatwierdzi. Takie jest prawo, które jeszcze Hildebrandl rodzicowi memu2 zaprzysiągł.

1 Hildebrand — papież Grzegorz VII 2 rodziców i memu — cesarzowi Henrykowi III «162»

— Wżdy nie uznaliśmy papieżem Wiktora, Małżonek wasz sprzeciwił się ustanowieniu Dionizego, Lamberta Wigbertowi zatwierdzi niechał, a Stefana Poboga płockim biskupem uczynił, nikogo o zatwierdzenie nie prosząc.

— Do mego małżonka to podobne, czekać, kto wygra — rzekła księżna gniewnie — jenom nie mniemała, że was zachęcać trzeba, by pospólnego wroga usunąć.

— Zachęcać mnie nie trzeba. Pokąd bagna nie staną, a na granicy spokój, pojedę do Krakowa. Tam się rozpatrzę, co poczynąć i kiedy.

— Pojadę z wami. Chcę wiedzieć, co poczniecie, cesarzowi donieść i od niego wieści otrzymać. Obecność Judyty w Krakowie na rękę była palatynowi. Miał i tam swoich ludzi, ale znani być mogli. Z jej dworem może nowych wprowadzić. Mimo to z pozorną troskliwością zapytał:

— Zali wam pora w takowym stanie? Drogi ciężkie.

— Do złogów daleko — odparła. — Pokąd żyła stara księżna, nijak mi było świekrę z grodu wyświecić. Ninie chcę okazać, żem w stołecznym grodzie u siebie.

— Jak wasza wola. Tedy gotujcie się do drogi, bo ja wyruszyć mogę choćby dziś. Pospieszać trudno będzie, a lepiej, byśmy zjechali, nim Mieszko wróci z Poznania.

Mieszkowi również trudno było pospieszać, choć rad byłby wracać co rychlej. Eudoksja słabowała, nijak było chłodną i słotną porą zabierać ją w daleką drogę. Niespokojny był o małżonkę, choć została pod troskliwą opieką matki.

Wieść o śmierci Dobronegi rozeszła się już i do szczupłego orszaku pogrzebowego, jaki wyruszył z Krakowa, coraz to przyłączał się ktoś z dostojników, rycerstwa, a nawet prostego ludu, a od Wrocławia towarzyszył mu już tłum z biskupem Piotrem i wojewodą Magnusem na czele.

Mieszko dziwił się, że pogrzeb starej księżny, od lat żyjącej w osamotnieniu i zapomnieniu, wywołał poruszenie w kraju, tak że wbrew jej życzeniu w poznańskiej katedrze nabożeństwo żałobne celebrowało dwóch biskupów w asyście licznych duchowieństwa, a kościół nie mógł pomieścić zgromadzonej cizby.

Przygnębiony śmiercią babki i zatroskany o żonę, Mieszko niecierpliwie czekał na zakończenie pogrzebowych uroczystości, rad choćby zaraz na koń siadać. Gdy jednak zwłoki Dobronegi spoczęły obok małżonka, do królewicza przy wyjściu z katedry przystąpił wojewoda Michał Awdaniec, prosząc na stypę i ofiarując gościnę. Odmówić było trudno wbrew obyczajowi, zresztą słotny dzień mroczniał już i nie pora było wyruszać. Znużony i smutny Mieszko rad by pozostał sam, ale w obszernej świetlicy dworca wojewody roіło się od biesiadników, których z kolei gospodarz oznajmiał królewiczowi. Teraz Mieszko zrozumiał, że nie pogrzeb księżnej, lecz jego przybycie było przyczyną tak licznych zjazdów. Wśród obecnych nie brakło żadnego ze starszyny rodów wrogich Sieciechowi. Mieszko zasiadł na podwyższeniu między wojewodami Magnusem i Michałem i pożywał się od niechcienia, czekając, by gospodarz wygłosił obyczajowe wspominki o zmarłej.

Jakoż gdy pacholkiwie skończyli obnosić potrawy, wstał sędziwy wojewoda Michał i rozpoczął przemówienie. Pamiętał księżnę od chwili jej przybycia do Polski, poznać było, że mówi nie tylko dla uczynienia zadość obyczajowi. Sławił cnoty zmarłej, mądrość, skromność, nabożność, miłosierdzie, rozsądek, stałość w nieszczęściach. Głos mu zdrzął wzruszeniem, gdy ciągnął:

— Nie szczenił ich los miłościwej pani. W młodym wieku pogrzebała umiłowanego małżonka, sama ostała z nieletnimi sierotami. Dzięki mądrej przezorności błogosławionej pamięci biskupa Aarona i naszemu — nie chlubiąc się — poparci uniknąć się udało zamieszek, jakimi pozbawionemu władcy krajowi groziła pycha Toporczyków. Dwóch synków zabrał jej Bóg w zaraniu ich żywota, ale zwoilił doczekać radosnej dumy z osiągnięć pierworodnego, którymi «164»

Chrobremu dorównał i jak on uwieńczył królewską koroną. Ale ludzka zawiść, pycha i złość zburzyły wszystko, co zbudował, najpotężniejszy ongi w chrześcijaństwie kraj nasz podały w obcą zależność, a prawowitego władcę przyprawiły o przedwczesny zgon, ku tym większej boleści matczynego serca, że w własnym gnieździe znalazł się wyrodek, który za narzędzie zwoilił się użyć zdrajcom i buntownikom. Mieszko, który dotychczas w smutnej zadumie słuchał przemówienia wojewody, teraz ocknął się. To, co mówił Awdaniec, brzmiało jak wezwanie do buntu i tak zrozumieć musieli to obecni, bo podniósł się szmer; ucichł jednak, gdy wojewoda podjął:

— Ale jak po burzliwym dniu słonko nieraz uśmiechnie się światu, nim się pograży, zmienny los zwoilił miłościwej pani u schyłku jej żywota cieszyć się potomkiem umiłowanego syna i odejść z nadzieją, że nie szczeni królewski ród, a prawy jego dziedzic, jak ongi sławny jej małżonek, odbuduje, co zniszczyła zdrada, głupota i niedołęstwo.

Mimo że Mieszko rozumiał już, do czego zmierza wojewoda, zaskoczyło go wprost do siebie zwrócone wezwanie. Michał chciał mówić dalej, ale tym razem nie szmer mu przerwał, lecz gwar, który przeszedł w burzę. Biesiadnicy zrywali się z miejsc i podchodząc do królewicza przypijali do

niego, ściskali i zapewniali o gotowości całego kraju do walki i ofiar. Mieszko zmieszany oddawał uściski, starając się zebrać myśli. Jednego był pewien: że wezwania bez odpowiedzi zostawić nie może; ale nie był do niej gotów.

Gwar uspokajał się z wolna i gdy wreszcie ucichł, Mieszko wstał. Czuł na sobie rozgorzałe spojrzenia biesiadników i w napiętej ciszy zaczął:

— Z serca wam wdzięczny jestem, mości wojewodo, nie jeno za to, żeście pamięć księżnej pochwalnie uczcili, bo godna jest tego. Wiem i nie zabędę, iżeście ją i za żywota w trudnych chwilach po przedwczesnej śmierci mego dziada radą i powagą swą wspierali. Wszystkim zasię tu obecnym dziękuję za oddaną zmarłej cześć i ostatnią posługę. «165»

a życzliwość i ufność, którą mnie obdarzyliście. Ale o sprawach, które o losach całego kraju rozstrzygać mają, nie pora przy kielichach stanowić. Tedy choć pilno mi wracać do Krakowa, bo małżonka moja słabuje, ostanę dzień lub dwa, by doświadczonej rady wysłuchać i rozważywszy wszystko, postanowić, co przedsięwziąć należy. Ninie niczego wam przyrzec nie mogę, bo nie Iza ryb łowić przed niewodem, a rozsądkowi i przychylności waszej zalecam, by to, co tu mówiono, między nami ostało, bo i dla mnie, i dla sprawy zła byłaby przysługa, gdyby się rozniosło.

Przez chwilę zaległo milczenie. Po chwili ktoś rzucił:

— Wždy to samo gadają wszędy. Zadość bezprawia i ucisku.

Rozległy się liczne potakiwania, ale ucichło, gdy wojewoda Michał podjął:

— Gadaniem jeno przestrzec można wroga i praw jest królewic, że rozważyć chce, nim postanowi. To już wie, iżeśmy go w jego poczynaniach wspierać gotowi, a co i kiedy poczynać, uradzimy, gdy spocznie, bo człek stroskany i znużony nie patrzy jasno na sprawy.

Mieszko skwapliwie skorzystał z wzmianki o wypoczynku. Pożegnał biesiadników, ale mimo że istotnie znużony, długo nie mógł usnąć tej nocy. Od chwili powrotu do kraju zdawał sobie sprawę, że zarówno prosty lud, jak i rodowe rycerstwo w nim widzą prawowitego następcę Bolesława. Śmierć Dobronegi zwolniła go od jej poręczenia, że po władzę nie sięgnie. Jeżeli teraz da się do tego nakłonić, rzuci na szalę los nie tylko swój i młodej małżonki, ale i nieszczęśliwej matki. Co zyska ojczyzna, jeżeli podejmie walkę? Zapaleńcy łudzą siebie lub jego, że Sieciech pozostanie osamotniony. Jak żywe wstało w Mieszku wspomnienie zimowej nocy, gdy zastał ojca w nędznej checzy na barłogu, opuszczonego przez wszystkich z wyjątkiem gromadki ludzi również uchodzących przed wrogiem i małżonki, której wolno było dzielić z nim tylko nieszczęścia. Zwycięzonego ojca opuścili ci, którzy teraz zapewniają syna, że kraj cały stanie przeciw wydziercy. Pamiętał la-wawy trud zimowej ucieczki przez góry. Czy wolno jnu steraną życiem i niemłoda już matkę po raz wtóry na to narazić?

Mimo rozgoryczenia Mieszko nie zapominał, że wojewodzie Michałowi nie można zarzucić, iż w potrzebie opuścił króla. Zajęty był odpieraniem pomorskich napaści, do których zamęt w kraju stwarzał zachętę. Mimo mianowania bratańca krakowskim biskupem nie złożył Włodzisławowi hołdu i przysięgi, choć jak wszyscy Awdańce czuły był na zaszczyty i dbały o wyniesienie swego rodu. Jego wierności i doświadczeniu można zaufać. Mieszko postanowił wysłuchać wojewody, nim poweźmie postanowienie, i znużony usnął wreszcie.

Obudził się późno w słotny i mglisty poranek. Wojewoda czekał na to widocznie, bo nadszedł po chwili, prosząc na posiłek i naradę. Nie chciał jej nadawać rozgłosu, za stołem siedzieli bowiem tylko wojewoda Magnus Zaręba wrocławski i komesi Gniewomir Natęcz czarnkowski oraz Dobro-gost Grzymała wieleński. Gdy skończyli się pożywiać, wojewoda polecił służebnym zebrać naczynia, a gdy drzwi się za nimi zamknęły, zaczął:

— Nie jeno przyjaciele, ale i wrogci świadomi są, że miłościwy królewic prawowitym jest następcą swego rodzica. Wstydno i żal przypomnieć, że nie wszyscy zaprzysiężonej królowi wiary dotrzymali i nie miała to być przyczyną nieszczęsnych wypadków. Ale jako za żywota miłościwego pana w oczy mu przyganiałem, gdy w postępku swych ku własnej i powszechnej szkodzie okiełzać się nie umiał, wolno mi i ninie rzec, że i po stronie króla nie miała być przyczyna tego, co się stało.

Mieszko słuchał z opuszczonymi oczyma. Nie był już wyrostkiem zapatrzonym w ojca jak w słońce, na którym nie masz skazy. Niechętnie słuchał przygany, zdając sobie jednak sprawę, że wojewoda nie po to mówi o błędach króla, by je wypominać. Jeśli to czyni teraz, to niewątpliwie zamierzą skłonić Mieszka, by sięgnął po władzę. Istotnie wojewoda ciągnął:

— Wybaczcie, miły królewicu, że wspominam o wadach rodzica przy synu, który miłość i cześć mu dłużny. Nie ujmuję mu chwały, ale w niczym nie znał umiaru, zarówno w męstwie i szczodrobliwości, w zamierzeniach nad własne i kraju siły, w gniewie i karaniu, z nikim nęrad dzielił trudu rządu. Jeżeli o tym mówię, to nie po to, by usprawiedliwić zdradę i wiarołomstwo, jeno by was przestrzec, byście objawwszy dziedzictwo błędów swego rodzica uniknęli.

Gdy wojewoda skończył, wszystkie oczy skierowały się na Mieszka, który siedział głęboko zamyślony. Postanowił mówić otwarcie i zaczął:

— Nie mnie sądzić rodzica, ale i nie biskupa sąd był nad nim. Choć pacholęciem wówczas byłem, pomnę jak dziś, że gdy metropolita Bogumił koroną wieńczył rodzica, wszem wobec zapowiedział, że jeno za odstępstwo od wiary może być sądzony i jeno przez Ojca Świętego. Aliści wielu starczył pozór, by danin i świadczeń odmówić i złamanie ślubowanej królowi wiary usprawiedliwić. Na obczyznę ucho dzić musiał, w własnym królestwie żywota nawet niepewny. Nikto lepiej niż ja nie rozumie tych, którym, jak wówczas i mnie, na wygnanie iść przyszło wyzbytym z ojczyzny i mienia i z dala od rodzin wyczekiwać, by się los odmienił. Jeno ilu jest takich, a ilu tych, którym gorzkie są owoce własnego czynu, czy choćby tych, co od walki się uchyli, by wyczekać, kto weźmie górę?

— Nas między zdrajcami nie było — wtrącił popędliwi Magnus. — Nie daliśmy pomocy królowi, bo napaści Po-morców trzeba było odpierać.

— Wiem, i nie o was mówię. I wiem nie od wczora, że po mnie wyczekują, bym ład i prawo przywrócił, nawet ci, którzy się do ich złamania przyczynili. Nie uchylam się jednakowoż od obowiązku ani nie równam się z wami doświadczeniem, choć i ja niejedno już zebrałem i czas miałem przemyśleć. Zanim stryk na mój powrót się zgodził, węgierski krewniak nasz pomoc mi ofiarował w odzyskaniu ojcowego dziedzictwa. Odmówiłem, bo zadość nieszczęść przyniosła krajowi walka o tron i nie chciałem jak on przeniewierca obcymi go posiąść siłami. Zali ninie posiąść go mógłbym bez walki? Kto zasię poręczy jej wynik? I dziś wielu się od niej uchyli, jedni przez trwożliwość, inni wiary dotrzymując wydziercy, któremu ją zaprzysięgli. Aniby im tego za złe wziąć można, bo lata minęły od wygnania króla i kraj bez władcy jeno by łupem ostał wroga. Ja wiem, a wy pomnicie, wojewodo, ile nieszczęść przyniósł bezrząd po śmierci mego pradziada. Wszystko rozważwszy postanowiłem czekać, by się opróżnił stolec książęcy. Stryk mój niemłody już, na zdrowiu często zapada, jak widno i iinine, skoro nawet na pogrzeb swej macierzy nie przybył. Won-czas ci, co mu wiarę ślubili, wolni od niej będą, a gdy, jak dziad mój odstępcom, kromie jeno tego, który przyczyną był buntu, wybaczenie zapewnię, włość obejmę nie skalaną bratniej krwi rozlewem. Zwracając się do wojewody Michała dodał:

— Wždy i brataniec wasz inwestyturę na krakowskie biskupstwo z rąk księcia przyjął. Choć i mnie przychylny, jakoż mu będzie przeciw niemu wystąpić?

— Wybaczcie — wtrącił sędziwi Gniewomir. — Od stu lat z górą chrześcijaństwa w naszym kraju zawždy Kościół radą i pomocą służył księżęciu, wzajem mirem się ciesząc i poparciem, ku obopólnemu dobru, że wspomnę jeno biskupa Jordana, opata Tuniego czy za naszej już pamięci arcybiskupa Aarona lubo metropolitę Bogumiła. Pierwszy to i jedyny Stanisław ze Szczepanowa z kościelnego i należnego królowi posłuszeństwa wyszedłszy, do spraw, które do Kościoła nie należą, mieszać się począł, buntu się stając przyczyną, a rozdwojenia w Kościele. Może zbyt srodze król go pokarał, ale niejednemu to za przestrożę stanie, że nie jego rzecz władców wznosić i usuwać, jako nie nasza, kóten papież praw. Tedy i nic w tym złego, jeśli kościelni dostojnicy na uboczu pozostaną, gdy my sprawy państwa uładzać będziemy.

Skończył i czekał, co odpowie królewicz, który milczą! przez chwilę, widocznie wahając się. Zaczął:

— Wolejby o tym nie wspominał, ale nie tajne nikomu, że macierz moja ni szczęścia, ni spokoju nie zaznała w tym kraju i nijak wracać nie chciała. Może to jeno trwożliwość niewieścia, ale od śmierci małżonka w trwodze żywię, że spełni się przekleństwo Stanisława ze Szczepanowa, który królowi ztratę wraz z pokoleniem przepowiedział.

Zarumienił się i ciągnął:

— Może by w ona wróżbę wierzyć przestała, gdybym ja potomka doczekał, a choć pewności jeszcze nie mam, na to się pono zanosi. Przeto i macierz moja na pogrzeb świekry nie przybyła, choć miłowały się wzajem, a i mnie nierada spuścić z oka, bo się o mnie lęka. Jedno zasię postanowiłem — rzucił podniecony — że wtóry raz nie pójdę na tułaczkę, choćbym i żywot miał położyć. Rozumiecie przeto, wasze czeście, że trudny mi wybór. Żałuję tych, co wygnanie, ucisk i bezprawie znosić muszą,

ale nie od wczora to, jeno od czasu, gdy przeniewierce króla zmusili, by z kraju uchodził. Zanim przeto postanowie, usłyszeć chcę, przecz teraz poczynać mamy.

Obecni spojrzeli po sobie, jakby wzajem do odpowiedzi się wzywając. Wreszcie głos zabrał wojewoda Michał:

—• Wiemy, coście dostojnej macierzy waszej dłużni, i rozumiemy jej niepokój o jedyne go syna. Jeśli się jednak spełni wasza nadzieja, radość i nam, nie jeno z życzliwości, jaką ku wam żywimy, ale znak widomy, że urok rzucony przez biskupa Stanisława płony jest. Prawda i to, że wynik walki niepewny, bo gdyby się przewidzieć dał, nijakiej by nie było. Tym, którzy jej przywodzić mają, nie Iza poczynać, własnych i wrażeń sił nie policzywszy, bo ciężką na się biorą odpowiedzialność. Ja i ród mój sarni się przed krzywdą i uciskiem bronić wydolimy — ciągnął dumnie — tedy nie siebie mam na względzie, gdy wam od-

«170 powiem: widzę ci, żeście właści niechciwi i nie chcecie jej posiąść swojackiej krwi przelaniem ni cudzymi rękami. Ale nie zawahał się przed tym wydzierca i nie zawahałby się dziś, by się przy właści utrzymać. Jeśli nam zda się, że pora poczynać, to właśnie przeto, że ninie na obcą pomoc liczyć nie może. Wratysław w sporze z braćmi zamęt ma we własnym kraju, cesarz nie po to siostrzycę Włodzisławowi zaswatał, by mu pomoc świadczyć, lecz by od niego ją otrzymać przeciw zbuntowanym Sasom i Hermanowi z Luksemburga, którego królem obrali. I ważniejsza mu w Rzymie niżli u nas sprawa, bo pokąd prawowity papież tam siedzi, nigdy sascy biskupi nie uznają Wigberta. Jednakowoż choć starczy nam własnych sił, by usunąć samo-zwańca wraz z jego palatynem, prędzej i pewniej to uczynimy z węgierską pomocą, a krewniak wasz nie jeno ją dłużny, ale i własna jego korzyść w Polsce sprzymierzeńca mieć miast wroga.

Gdy wojewoda skończył, wszyscy jęli potakiwać, Mieszko jednak nie zdał się przekonany, bo odparł:

— Przesławnej pamięci przodek mój Chrobry, choć samowładnie rządził państwem, dwunastu wojewodów zwykł wzywać na radę, której w ważnych sprawach zasięgał. Wiem, że po śmierci mego dziada nie jeno Toporczycy domagali się wpływu na nie, i wy sami, wojewodo, przyganiacie memu rodzicowi, że właści z nikim dzielić nie chciał. Iście jednemu nad siłę trud rządzenia tak wielkim państwem i rodzic mój siły swe, choć niespożyte się zdały, na tym sterał przedwcześnie. Stryk zda się niemocny, nie jeno na zdrowiu, i w tym największa przyczyna jest zła, iż nie on, jeno Sieciech rządzi. Przeto wymóc na nim można, by radę starszyny rodów ustanowił, która władna będzie kres położyć bezprawiu i samowoli Sieciecha.

—• Iście tak — popędliwie rzucił Magnus — jeno nie księżę Sieciechem, jeno Sieciech księżciem władnie. Nawet małżonki wedle własnej, a nie Włodzisławowej woli mu dobierał.

«171»

— Choćby księżę chcieli — wtrącił Dobrogost — Sieciech bez oporu nie ustąpi. Ale nie zechcą, bo każdemu wiadi mo, że wyście dziedzicem królestwa, które synowi zabezpieczyć chce i jeno w Sieciechu pokładać może nadzieje, że was do tronu nie dopuści, by własną głowę ocalić.

—• Zda się, że nie jeno przeto — wtrącił z namysłem Gniewomir. — Sieciech nieraz się chępił, że Starze księżętami byli Wiślan, zanim Piasty do Polski ich przyłączyli. Jeśli mu się tron marzy, ni ciastoch Włodzisław, ni dwuletnie pacholę przeszkodą, jeno wy. Cesarz zasię nawet Sieciecha radziej by widział na księżęcym stolcu niżli Bo-lesławowego syna. Tedy nie czekać nam, aż Henryk swoje sprawy uładzi, a do naszych mieszać się weźmie, bo może być za późno. Sieciechowi zasię wszystko zarzucić można, jeno nie brak po równi zuchwalstwa, jak przezorności.

Gniewomir skończył i czekali, co odpowie królewicz. Widocznie wahał się jeszcze, bo milczał przez chwilę, nim zaczął:

— Wiem, czego się lękacie. Ale dwa gody bawię już w kraju, na bacności się mam, a nie będę tał, że chcę by małżonka w pokoju rozwiązania doczekała, jeśli iście przy nadziei jest.

— Wždy jeśli poczynać, to nie dziś ni jutro — odparł wojewoda Michał. — Sieciech swymi ludźmi co ważniejsze grody poobsadzał. Z nagła i wszędy naraz uderzyć należy, by sił skupić nie wydolił, bo wodzem jest przednim i ciężka mogłaby być sprawa. Przygotowanie sporo czasu zbawi, a mniemam, że dla pospólnego dobra węgierskiego krewniaka pomocy wezwać winniście, on zasię nie wcześniej jej udzielić może, aż z wiosną, gdy koniom trawa za paszę stanie. Tymczasem, da Bóg, małżonka wasza szczęśliwego rozwiązania doczeka.

— Jeno Sieciech gotów nie czekać — wtrącił Magnus. Ma 011 wszędy swych zauszników i ani chybi doniosą mu o czym wczora gadano, a i domyśleć się nietrudno, nad czym radzimy.

«172»

— Jenó wiedzieć nie będzie, cośmy uradzili — wtrącił Michał, ale Magnus głową kręcił:
— Nie bez tego, by nie pomiarkował, że coś ci się gotuje. W grodku na Okolę załoga jego stoi, na samym Wawelu w kapitule swojaków ma, nie ślepi ni głusi, by niczego nie zmiarkowali, a całe dzieło na nic, gdyby królewicowi coś się przygodziło. Niechaj się do mnie przeniesie, we Wrocławiu wszelaką bezpieczeńność poręczam.
— Wždy każdemu wiadomo, żeście z Sieciechem otwarte wrogi — powiedział Gniewomir. — To by go jeno przestrzegło, że się coś przeciw niemu knowa. Niechaj królewic niczego nie odmienia, ucztami i łowami się zabawia. Co trzeba, sami załadzim, gdy sprawy dojrzeją, w porę wiadomość damy.
— Ostanę w Krakowie — stanowczo powiedział Mieszko. — Jako rzekłem, na bacności się mam, a w słotną porę, gdy i dla męża drogi ciężkie, nijak mi niemocną małżonkę na trudy narażać ni samą w takowym stanie osta-wić.
— Tedy i gadać nie ma o czym — zakończył wojewoda Michał. — Na otwarty gwałt Sieciech się nie waży, bo wie, że by rozruch w kraju wywołał.
— Nie wiem, na co się nie waży — rzekł Magnus — a łacniej mu rozruch stłumić niżli powszechny bunt. Ja bym zaczynał nie mieszkając, bo jak dziś sprawy stoją, wiemy, a co będzie do wiosny — nie wiada.
Zwracając się do Mieszka dodał:
— Odprowadzę was do Wrocławia. W drodze rozważycie, zali nie zmienić postanowienia. Kiedy wracać zamierzacie?
— Nie mieszkając — odparł Mieszko — spieszno mi, droga daleka.
Pożegnali się i wyszli. Wojewoda Michał zwrócił się do pozostałych:
— Magnus niecierpliwy jest, bo młody, Sieciecha rad by «173»

choć zębami grzyźł, nie bacząc, że je połamać może. Dobrze, że królewic nad wiek rozważny jest, widno wygnanie, jak ongiś jego dziada, umiaru go nauczyło. Ninie naradzić się nam wypada, jak przygotowania podzielić. Poselstwo do węgierskiego króla ja wyślę, przed Godami wrócić winno, będziem wiedzieć, co i kiedy poczynać.

Nie trzeba było czekać wiosny, by jak się obawiał wojewoda Magnus, położenie na Zachodzie już było inne, niż je przedstawił Michał Awdaniec. Sieciech otrzymał świeższe wiadomości, gdy w drodze do Krakowa zatrzymał się w swej Morawicy, by jak zwykle zasięgnąć ich w tynieckim opactwie.

Położony na południowym krańcu lesistych wzgórz grodek, spalony przez Bolesława w czasie buntu, odbudowany już był i księżna Judyta chętnie skorzystała z wypoczynku po dalekiej drodze, wysyłając do Krakowa komornika z rozkazem przygotowania na Wawelu pomieszczeń dla jej dworu. Sieciech natomiast noc spędziwszy pod swoim dachem, w mglisty poranek, z jednym tylko pachółkiem, wyruszył do Tyńca. Droga wiodąca przez rozkisle w jesiennej słocie bagna, ku przewozowi pod klasztorem wymoszczona była okrągłakami i faszyną. Sieciech pospieszał w obawie, że wzbierająca rzeka udaremnić może przewóz.

Istotnie, gdy dotarli do Wisły, występowała już z brzegów, a mgła zgęstniała tak, że przeciwległy brzeg ledwo był widoczny. Promu nie było, buda przewoźników opustoszała, a mleczny tuman głużył głos i długo wołać musieli, zanim ukazało się dwóch ludzi z wiosłami. Zepchnęli łódź, popychając ją pod prąd, po czym przecinając bystry nurt szybko dobili do brzegu. Poznawszy palatyna, który częstym gościem bywał w klasztorze, jęli usprawiedliwiać swą opieszałość: nie wiedzieli, że już wrócił, a pod jego nieobecność słotną porą rzadko trafia się kogoś przewozić, i tylko łodzią, konie przeto muszą pozostać.

Mimo to Sieciech dałby im odczuć swe zniecierpliwienie, gdyby jeden z przewoźników nie dodał:

— Dobrze się złożyło, że wasza miłość przyjeżdża, bo w klasztorze bawi cesarskie poselstwo i mieliśmy je Wisłą odstawić do Płocka. Radzi będą, jeśli im tej podróży oszczędzicie.

Sam zapewne rad był, że oszczędzony mu będzie mozolny powrót w górę rzeki, a palatyna udobruchał, bo ten jedynie mruknął:

— Pospieszajcie!

Gorliwie przyłożyli się do wiosł, a gdy znaleźli się na tynieckim brzegu, Sieciech rzucił im kilka denarów i rzekł:

— Skoro będę wracał. Bym na was zasię czekać nie musiał.

Zdążyli jednak przepić otrzymane wynagrodzenie w klasztornej karczmie u przewozu, zanim znowu się ukazał w towarzystwie niemieckiego rycerza. Opat bowiem nie chciał puścić dobroczyńcy klasztoru bez poczęstunku, a Sieciech chętnie słuchał nowin, o które cesarski poseł i kapelan Walo prosić się nie dał. Poseł widocznie ważył i dobierał słowa, kraszając je łaciną, Sieciech jednak nie przerywał mu pytaniami, patrząc spod oka na młodego rycerza Swidgera, dowódcę poselskiego orszaku, podpitego widocznie, bo zasłaniał twarz ręką tłumiąc śmiech, gdy kapelan prawił jak na kazaniu:

—• Wyczerpała się cierpliwość Opatrzności, karząca dłoń Boża dosięgła sprawców rozdwojenia w Kościele, by spełniły się słowa Pańskie, iż portae inferi nie przemogą go. Doświadczył jej nie tak wolą, jak samowolą rzymskiego motłochu na stolicę Piotrową wyniesiony samozwaniec. Nagłą śmiercią porażony, ustąpić jej musiał prawowitemu Ojcu Świętemu Klemensowi, trzeciemu tego imienia. Przywódca niegodnych tego miana biskupów, raczej kłutwą i portae inferi — bramy piekielne z chrześcijańskiej społeczności wyłączonych schizmatyków, Burhard z Halberstadu, głową swą bezecność zapłacił. Zdradził szatan sługę swego, fałszywego króla Hermana z Luksemburga, w pychę go wzbijając dwukrotnym zwycięstwem nad obrońcami jedności Kościoła, a gdy nią rozdęty wjeżdżał do zdobytego grodu, dziwnym zaiste zdarzeniem dębowa, żelazem okuta brama sama wyskoczyła z zawias i przygnieciony nią duszę oddał diabłu. Gdy drugi już an-tykról żywota zbył, nawet zbuntowani książęta sascy ujrzeni w tym digitus Dei wyraźnie wskazujący, że jedynym prawym panem chrześcijaństwa jest cesarz Henryk, i prosili o pokój. Ale bezmierna jest zatwardziałość niegodnych tego miana biskupów, a dziwić się jeno można zuchwałstwu Ottona z Ostii, który pod imieniem Urbana z ich rąk ważył się przyjąć sakrę papieską, gdy jawnie już wyczerpała się cierpliwość Opatrzności.

Gdy kapelan skończył, Sieciach wstał, dziękując mu za nowiny, a opatowi za gościnę, i dodał:

— Kolasę wam przysłał do przewozu, skoro waszej przepawić się nie da. Wy jedźcie ze mną — zwrócił się do Swidgera. —• Konie czekają na tamtym brzegu.

Od podpitego rycerza spodziewał się dowiedzieć, co przemilczał lub nie dopowiedział kapelan.

Na przewoźników nie musieli czekać i gdy się przepawili, Sieciech kazał pachołkowi pieszo wracać do Mora-wicy; dosiedli koni i ruszyli.

— Wesoły z was, widzę, człek — zaczął Sieciech. — Rad bym się i ja poweselił, jeno pomiarkować nie mogę, z czego się śmiejecie. Zali to nieprawda, co prawił Walo?

Swidger znowu parsknął śmiechem, omal z siodła nie spadł, bo niezbyt pewnie w nim siedział, a mimo woli żgnął konia ostrogą. Opanował go jednak, jak również śmiech, i odparł:

1 digitus Dei — palec Boży — I prawda, i nieprawda. Śmiałem się, bo wiem, że nie Opatrzność miłościwemu cesarzowi, jeno on Opatrzności pomagał jedność przywrócić w chrześcijaństwie. Ale słowo rycerskie, że nikomu nie powtórzycie, bo i na tym świecie, i dla zbawienia duszy niedobrze nie wierzyć •yf cuda.

— A wy nie wierzycie? •—• zapytał Sieciech. Swidger odparł:

— Chciałbym, ale nijak nie mogę. Bo jakoż wierzyć, że to Opatrzność truciznę Wiktorowi do mszalnego wina na-mieszała? Że dla wszechmocy Bożej wszystko możliwe, wierzę, jeno jakoś mi się nie widzi, by ciężka brama sama wyskoczyła z zawias właśnie wtedy, gdy Klufloch, czyli Herman z Luksemburga, pod nią przejeżdżał. Zda mi się, że gdyby Opatrzność zgubić go chciała, toby go gromem poraziła lub choćby chorobą. Ale bramę zwalić wydoli dwóch mocnych pachołków. Bogu w rękawy nie zaglądam, ale tak mniemam, że nie przystoi wszechmocy Boskiej takich cudów czynić, jakie byle pachoł potrafi.

Sieciech słuchał zamyślony. Po chwili rzekł:

— Słusznie prawicie, że źle nie wierzyć w cuda. Niedowiarstwo zawsze jest zamętu przyczyną. Widno ów Otto z Ostii także w nie nie uwierzył i nadal rozdwojenie jest w Kościele.

Swidger znowu parsknął śmiechem:

—• Łatwo mu nie wierzyć, bo się pod opiekę francuskiego króla schronił, Grzegorza świętym ogłosił, ani chybi po to, by on cuda czynił, jak świętym przystoi.

— Z was, widzę, także niedowiarek — powiedział Sieciech. Swidger zamilkł, jakby przestraszony. Po chwili odparł:

— To bez ten wasz miód. Ani człek nie pomiarkuje, kiedy mu zdrajca we łbie zakręci, pogańskie nasienie. Na trzeźwo wierzę we wszystko, co trzeba.

Podchmienie widocznie mu już przechodziło na wietrze, który ruszył się zganając mgłę, i gdy dojeżdżali do gródka, — Przekleństwo przez opar zaczęło przeświecać słońce. Oddali konie stajennym, a Sieciech kazał im zaprząć kolasę i jechać do przewozu po poselstwo.

Kapelan Wało nie potrzebował objaśniać księżnej Judycie cesarskiego pisma, ponieważ sama знаła tę trudną sztukę. Przejęła się nim widocznie, a z tego, co zechciała wyjawić Sieciechowi, domyślił się, że mimo wydatnej pomocy Opatrzność nie wszystko załadziła ku zadowoleniu cesarza. Z tego, że zamierza wyprawę na Rzym, wynikało, że Wig-bert niezbyt pewny na papieskim tronie. Zamordowanie Burharda rozjątrzyło tylko saskich biskupów i do wszystkich monarchów chrześcijańskich rozesłali pismo z przedstawieniem niegodnych cesarza sposobów walki. Kanclerz cesarstwa, biskup praski Jaromir, znowu zadarł z Wraty-sławem i zbiegł na Węgry, by jak ongiś polskiego króla; teraz węgierskiego judzić przeciw bratu, a również niezyczliwy mu Konrad morawski gotów przepuścić najazd. Król czeski, najwierniejszy sojusznik Henryka, ręce miał związane, na jego pomoc liczyć nie może, wobec czego żąda od polskiego lennika dostarczenia trzystu rycerzy na rzymską wyprawę oraz udzielenia wiernym mu książętom wsparcia przeciw buntownikom.

Sieciech słuchał w milczeniu, nie zdradzając, co myśli. Związek Włodzisława z cesarską siostrą sklecił nie po to, by przyczynić się do zwycięstwa podstępного wroga, lecz by się przed nim zabezpieczyć. Był pewny, a niewątpliwie i Judyta zdaje sobie z tego sprawę, że i ona jest tylko środkiem do celów brata i że gdyby ostatecznie wziął górę, nie zawaha się sprzedać niepotrzebного mu sprzymierzeńca. Natomiast gdyby przegrał, trzeba będzie wraz z nim za przegraną płacić. Pomagać mu to działać na własną niekorzyść, zarówno doraźną, jak i w przyszłości. Otwarcie jednak nie można było odmówić żądaniu. Postanowił grać na zwłokę.

Gdy księżna skończyła, po chwili milczenia kapelan Wało zwrócił się do Sieciecha:

— Cóż tedy donieść mam miłościwemu panu? Z udanym zdziwieniem Sieciech odparł:

— Wždy nie mnie stanowić i nie do mnie poselstwo, bym miał odpowiadać.

Kapelan spojrzawszy pytająco na Judytę, która rzekła niecierpliwie :

— Jednakowoż wiadomo, że małżonek mój we wszystkim rady waszej słucha.

— Iście tak, jeno przeto, że jej nie udzielam bez rozważenia.

Zwracając się do Walona dodał:

— Spocznicie u mnie, póki wola, a pośle społem pojedziem do Płocka, gdy sprawy, dla których przyjechałem, załadzę. Dla nas Opatrzność nie tak łaskawa jak dla miłościwego cesarza i sami o nie dbać musimy.

Walonowi jednak widocznie nie uśmiechała się podróż do Płocka, a w słowach Sieciecha wyczuł drwinę, bo odparł oschle:

— Miłościwy pan pilnie czeka na odpowiedź, bo także nie wszystko zdaje na Opatrzność.

— Mniemam, że nie wcześniej wyruszy do Rzymu, jak z wiosną, bo zimą przez góry nijak. Ja się dowiem, co zaszło w Poznaniu na pogrzebie starej księżny, bo wojewoda wrocławski wielu wywołańców chowa, którym sposobny pozór był do zjazdu.

Gdy Sieciech wyszedł, Wało zwrócił się do Judyty:

— Wasz palatyn niezbyt gorliwie cesarzowi służy. Miłościwy pan od waszej miłości czeka, by dbała o jego sprawy i po to na związek z tym książętkiem zwołał.

— Wždy wiem, że nie po to, by mnie dogodzić — odparła gniewnie. — Ale sprawy mojego brata i moimi są, a lepiej się tu niżli on w nich wyznawani. Palatyn Sieciech może iście zbyt ostrożny, bez niego jednakowoż małżonek mój niedługo utrzymałby się na książęcym stolcu. Obydwo «178»

«179»

nie brak wrogów, którzy radzi by na nim widzieli syna onego gwałtownika. Książę nieprzezornie na jego powrót się zgodził, nie bacząc, że zachęta stać się może do rokoszu.

— Zali tak trudno pozbyć się jednego człeka? A łatwiej tu, niżli gdy na Węgrzech bawił pod osłoną cesarskiego wroga. Mniemam, że książę to miał na uwadze.

— Małżonek mój zgodził się ze strachu przed swą macierzą — odparła Judyta niecierpliwie — a choć ninie zmarła, lepiej z nim o tym nie gadać, bo przeciwić się gotów. Przesądny jest jako i wszyscy tu, duchów bardziej się lękają niżli żywych.

— Nie patrzy na łatwowiernego wasz palatyn, skoro nawet z Opatrzności podrwiwać się waży.

— Iście łatwowierny nie jest. Niełacno pomiarkować, do czego zmierza, ale to pewne, że on pierwszy rad by się pozbył królewica, a chytrósci mu nie brak, skoro obalić wydolił onego króla,

któremu się zdało, że wraz z jego Grzegorzem światem będą potrząsać. Może jeno, jako rzekłam, zbyt przezorny, lęka się, że gdyby jawnym gwałtem usunął jego syna, wzburzy się pospólstwo.

— Miłościwy pan nie będzie rad, gdy mu doniosę, co tu słyszę — z niezadowoleniem powiedział Walo — a wasz palatyn iście zbyt ostrożny. Na co liczy odwołując sprawę? I cóże do niej ma prosty naród?

— Nie wiem, na co liczy, ale to wiem, że pół wieku temu pogański motłoch wszelką władzę obalił, świętego Kościoła nie wyłączając, i rodzic mój Kazimierzowi pomagać musiał, by ład przywrócić. Nie wydoliłby Sieciech zagnać z tronu onego niewdzięcznika, gdyby prosty naród nie pozostał na uboczu, obelżenia powinności spodziewając się przy zmianie, bo krakowski biskup królowi wytykał, że stanem i podwodą uciąża kmieci i przeto wielu za złe mu wzięło, że biskupa stracił. Po zmianie niejedyn próbował uchylić się od onych świadczeń, ale wrychle im to Sieciech obrzydził. Gdy im tedy chybiło, ninie w królewicu nadzieję i lżenia pokładają, bo od tego w Krakowie zaczął.

— Tym rychlej przeto usunąć go należy, a są lepsze sposoby niżli jawny gwałt.

— Wiem — przerwała księżna. — Wąguję się jeno, czy mówić o tym z Sieciechem.

— Im mniej ludzi wie, tym łatwiej rozgłosić, że to Boża sprawiedliwość dosięgła syna onego przekleńnika. Jako rzekliście, Sieciech rad będzie zbyć się wroga, a rozruch bez przywódcy potłumić łatwo. Przewłoką zasię niczego nie da. Zanim miłościwy pan do Rzymu ruszy, przynajmniej tego pewny być musi, że jego wrogowie nie znajdą tutaj oparcia, jak za Bolesława bywało. Rychło sprawę do skutku doprowadzić należy, by się wasz palatyn nie zasłaniał przed dopełnieniem lennego obowiązku.

Przyjazd komornika księżnej z zapowiedzią jej przybycia wywołał na grodzie poruszenie, a niepokój Wyszlesławy. Opróżnione przez śmierć Dobronegi pomieszczenia można było przygotować na przyjęcie Judyty, ale sąsiadowały z zajętych przez królową wraz z Eudoksją. Wyszlesława z niechęcią, niemal z odrazą myślała, że pozostając na grodzie zmuszone będą spotykać się z siostrą i małżonką wrogów zmarłego króla. Przyjazd Judyty porą do podróży uciążliwą budził w królowej niejasne podejrzenia. Od chwili gdy ciąża synowej stała się rzeczą pewną, żyła w rozterce między trwogą i nadzieją, że spełni się przepowiednia Dobronegi, iż wnuki po Mieszku będzie piastowała. W napięciu liczyła dni do rozwiązania, które dla niej oznaczało wyzwolenie od dławiącej ją od lat zmory. Przedłużająca się nieobecność Mieszka zawsze była przyczyną niepokoju, teraz pogłębiała jeszcze jej rozterkę. Sama musi postanowić, czy Pozostać w zamku, czy też na czas pobytu Judyty przenieść się na podgrodzie, gdzie trudniej było o potrzebne Eudoksją wygody.

«180»

Z synową nie mówiła o dręczących ją sprawach, najwyższym wysiłkiem starając się okazywać jej spokój i pogodę, rychło jednak stwierdziła, że to samo udawać usiłuje Eudoksją. Zbyt dobrze знаła szczerą i otwartą niewiastkę, by jej przygnębienia nie zauważyć. Sądziła jednak, że przyczyną jest lęk przed porodem i niepokój z powodu nieobecności Mieszka. Najchętniej uciekłaby gdzieś z nią, by z dala od ludzi doczekać w spokoju, rozwiązania, a jednocześnie czuła, że jej tego uczynić nie wolno. Pamiętała własny lęk przed porodem, który dla niewiast często oznacza kres życia. Wówczas świekra była dla niej podporą, teraz ona musi nią być dla synowej, a zawodzi ją rozsądek, gdy własne brzemię przekracza jej siły.

Od dnia śmierci Dobronegi nie widziała się z kanonikiem Mikołajem, dzień i noc czuwając przy słabującej synowej. Z nim może mówić o wszystkim, co ją dręczy, i on jeden ją zrozumie. Nie wiedziała jednak, że przeniósł się do swego dworku na podgrodzie, i gdy wysłana służebna wróciła z tą wiadomością, królowa nie chcąc trudzić starca sama udała się do niego.

Mikołaj przez ten krótki czas jakby jeszcze się posunął, bo głos miał wysilony i drżący, gdy rzekł:

— Wybaczenie, miłościwa pani, że was nie odwiedziłem w onej żałobie. Bratańca oto odwiedzić chciałem, któremu się dziedzic urodził, a sił mi brak nawet, by zawlec się na gród. Widno i mnie pora nadchodzi zagnać się ze światem. Tego, który znałem, już nie masz, ni ludzi, z którymi wiek przeżyłem. Z Aaronowej kapituły jam już pośledni, z nowym biskupem nowi ludzie, jeno im wadzę. Nie ma po co żyć, gdy człek nikomu niepotrzebny.

— Nie mówcie! — szepnęła Wyszlesława. — Gdy świekry mej nie stało, kromie was nie mam nikogo, kto by troskę moją rozumiał i rozsądnie doradził.

— Iście wiem, miłościwa pani, co was trwoży. Ale słyszę, że niewiastka wasza przy nadziei jest. Jawny to znak, że płoną Stanisławowa klątwa. Tedy co doradzać? Bogu dziękować i 'modlić się, by dopełniło się Jego błogosławieństwo.

Królowa westchnęła ciężko. Nie wiedziała, co rzec, by ją Mikołaj zrozumiał. Powiedziała:

— Mieszko nie wraca, a przyjeżdża Włodzisławowa małżonka.

—• To was niepokoi? Wyjechał królewic, to wróci, jak nieraz bywało. Przyjeżdża księżna, tedy cóż doradzać: przyjąć ją jak swojaczkę, która zjechała w gościnę. Pobędzie i wróci do Płocka, bo gdyby książe zamierzał tu przenieść siedzibę, dawno by to uczynił.

Widząc jednak, że Wyszelsława siedzi w milczeniu opuściwszy oczy, zapytał:

— Nie wiem, co was w tym niepokoi? Rozumiem, że pod nieobecność syna nie po myśli wam gośćmi się zajmować, ale nijak księżnej zabronić przyjazdu.

—• Ja także nie wiem. Jenó wiem, że jej widzieć nie chcę. Od wrogów mego małżonka na nic dobrego nie czekam.

— Wždy czasu onych nieszczęsnych wypadków księżnej nawet w kraju nie było. Może przeto właśnie przyjeżdża, by sprawy między książęciem a królewicem załadzić, jak między krewniakami przystało.

—• Przystało Włodzisławowi z buntownikami przeciw rodnemu bratu się łączyć, na cóż mu ninie zgoda z bratań-cem?

— By spokój był. Ani chybi nietajne książęciu, że nie brak mu niechętnych, którzy w Mieszku widza prawego następcę rodzica. Gdyby się z nim uładził, pozór im odbierze do buntu, a sposobność byłaby o dzielnicę dla Mieszka się upomnieć. Tak czy inak, dowiedzieć się warto, po co księżna przyjeżdża. A jakoż, jeśli przed nią ujdziecie? Kto się układać nie chce, jawnie wróde, zda się zapowiadać.

— Żeby choć Mieszko wrócił! —• powiedziała królowa. — Niechajby sam postanowił, bo ani wiem, co zamierza, ani «182»

«183»

O czym z Judytą mówić bym miała. Nijak mi zapomnieć, że małżonką jest wydziercy, przez którego na wygnanie iść musiałam. I od niej na nic dobrego nie czekam.

— Po cóż się uprzedzać, miłościwa pani? Jeśli do was dłoń wyciągnie, nie odmawiajcie swojej. Wždy Mieszko zapowiedział, że na stryku pomsty szukać nie zamierza. Tedy jenó księżnę jak gościa powitajcie, a wróci królewic, sam postanowi, co czynić.

— Bogdajby wrócił — szepnęła. — Jenó go z oczu stracę, zda mi się, że nie ujrzę więcej.

—• Wybaczcie, miłościwa pani, ale kto Opatrzności nie ufa, sam winien swej udręce i niegodzien Jej opieki. Wždy królewic nie sam wyjechał i jenó patrzeć, jak wróci, bo l jemu do małżonki musi być spieszno. Do Poznania szmat drogi, a z pogrzebowym orszakem pospieszać nijak. Jeśli zaś coś ważnego go zatrzymało, ani chybi wieść prześle, tedy jenó trochę cierpliwości.

Rozmowa z kanonikiem nieco uspokoiła Wyszelsławę, natomiast jej niepokój jakby się jemu udzielił. Księżna nie przyjechała bez celu, sam niezbyt wierzył, by załadzić zamierzała sprawy między stryjem a bratankiem, skoro Włodzisław nie szukał z nim zgody za życia Dobronegi, by matkę przejednać. Darńo się głowić, po co, myśl kanonika jednak z uporem wracała do tej sprawy.

Ku uldze natomiast Wyszelsławy z pierwszym śniegiem, w towarzystwie jenó koniucha Brodzika, na zegnanych koniach wpadł Mieszko na gród i jenó wodze rzuciwszy pachołkowi pobiegł do babinca. Gdy po pierwszych powitaniach dopytywał ją, co zaszło na grodzie pod jego nieobecność, matka oznajmiła mu o przyjeździe Judyty i powtórzyła swą rozmowę z kanonikiem, rada, że nie jej przyjdzie powziąć postanowienie. Tknęło ją, gdy Mieszko spochmurniał i rzekł:

— Muszę i ja naradzić się z Mikołajem. Pójdę zaraz, bo nie wiada, kiedy księżna nadjedzie.

— Cóż innego może ci rzec niżli mnie? — odparła. —

«184»

pożywiłbyś się z drogi, a potem możesz go odwiedzić. Rad cię ujrzy, bo samotny siedzi na swym dworcu. Smutna musi być starość bez nikogo bliskiego, gdy człek na śmierć jenó czeka.

— Pożywię się, gdy wrócę, długo nie zabawię — powiedział i niemal wybiegł, pozostawiając niewiasty zaniepokojone jego niezrozumiałym pośpiechem; coś przed nimi ukrywa.

Mieszko istotnie unikać chciał wypytywania, co zaszło w Poznaniu, by nie przyczyniać im niepokoju. Dotychczas nigdy nie potrzebował się przytając i wiedział, że tego nie umie. Co gorsze, nie był pewny, czy potrafi, gdy przyjdzie spotkać się z Judytą, zwłaszcza gdyby zamierzała pogodzić go ze stryjem, a zachowanie w tajemnicy powziętych w Poznaniu zamierzeń było warunkiem ich powodzenia. Żałował pośpiechu, z jakim wracał do Krakowa; gdyby teraz wyjechał, tym samym może

obudzić podejrzenia Judyty. Jedynym człowiekiem, z którym mógł szczerze i otwarcie omówić sprawę, był kanonik Mikołaj. Jeżeli nie doradzi, pomoże przynajmniej rozważyć.

Kanonik powitawszy królewicza sam zaczął:

—• Bogu chwała, iż się wrócił. Była u mnie macierz twoja radzić się, co jej poczynić, gdy przyjedzie księżna Judyta. Niepokoi ją to, a jako wiesz, lękliwa jest, a ninie jeszcze zatroskana o twoją małżonkę. Nie pora jej gościć się zaprzętać.

—• I mnie nie pora — powiedział Mieszko. — Rad bym także w spokoju potomka doczekał, ale mi nie pisane. Macierz mi powtórzyła, coście doradzali, jeno nie wiecie wszystkiego.

— Tedy rzeknij, jeśli wola, bo iście nie wiem, co by innego uczynić można, niżli księżnę jak gościa i swojaka powitać. A tobie łatwiej niżli królowej, która jej widzieć nie chce. Jeno byś stryka rozjątrzył, gdyby jego małżonki nikt nie powitał niczym zapowietrzanej. Na cóż ci tego, skoro jak rzekłeś, rad byś także w spokoju potomka doczekał.

«185»

Ani ci w tym przyjazd księżnej może przeszkodzić; przyjedzie i odjedzie.

— Powiem. Przeto i przychodzę. Wiecie, z jakiej przyczyny macierz moja zawżdy o mnie niespokojna, choć lata już minęły. Nijak mi jej rzec, co w Poznaniu uchwalono, boby i we śnie nie nalazła spokoju.

— Tedy jej nie mów, choć i nie wiem, co.

Gdy Mieszko milczał zaszepiony, kanonik westchnąwszy powiedział:

•—• Rad bym i ja w pokoju dokonał dni. Cóż zaszło, byś matce jeszcze ciężaru dodał, którego nadźwigała się zadość? Zali tobie coś grozi? Masz pismo stryka, którym ci bezpieczeństwo poręcza; zmarła stara księżna, ale to wiem, że kłutwą zagroziła Włodzisławowi, gdyby cię ukrzywdził. Może przeto właśnie ułożyć się chce z tobą, bo i jemu spokój potrzebny.

— O tym z wami mówić przychodzę •—• przerwał Mieszko. — Gdyby się ułożyć chciał, albo odmówić muszę, albo podstępnie układ złać.

•—• Wżdy nie wiem, co w Poznaniu uchwalono i co ci przeszkadza ułożyć się z książęciem.

— Grody przez Sieciechowych popleczników obsadzone ubiec i książęcia z tronu zegnać.

— I tyże się zgodzi? — zapytał Mikołaj zaskoczony. — Wżdy mówiłeś, że pokąd stryk żywie, po włość nie sięgniesz. To zaś wojna domowa! Nie zadość jedna nieszczęść przyniosła?

—• Nie z mojej to woli — powiedział Mieszko. —• Wojewoda Michał prawił, że wojny nie będzie, gdy z nagłą uderzą, a sposobność jest, bo Niemiec i Czech, własnymi sprawami zaprzętnięci, wmieścić się nie mogą. Tedy najważniejsze, by się przed czasem nie wydało, co zamierzają.

— By się nie wydało! Ale nie jeno przed księżną wydać się może. Pod boki na Okole Sieciech ma swych ludzi, w kapitule pocicktów, którzy cię mają na oku. Bez przygotowań się nie obędzie.

«186»

_ - Ja nic nie mam działać, jakbym o niczym nie wiedział. Wojewodowie Michał i Magnus sami przysposobić mają, co trzeba.

___ Nijak to do prawdy podobne, by Sieciech niczego nie poniarkował, a na twój poczet to pójdzie. Chcesz rady: ślij do wojewody Michała, niechaj zamierzeń poniecha. Młody jeś, czekać możesz.

— Ja mogę — powiedział Mieszko przygnębiony. — Ale nijak mi odzegnać się od sprawy. U wojewody Magnusa wielu takich się chowa, co przed Sieciechem uchodzić musieli, a wiedzą już, co się święci. Gdyby im chybiło, sami poczynić gotowi, na przepadłe... jak Mikołaj Strzemień-czyk...

— Cóż się z nim stało?

—• Straceńców zebrał takich jak sarn, pomsty szukać na Sieciechu. Mało który uszedł. Których Sieciech pojmał, zgładzić kazał...

Mieszko urwał i przez chwilę milczał wzburzony. Podjął:

— Nie o mnie idzie i nie o włość; o sprawiedliwość. Nie szukać jej u książęcia, pokąd Sieciech się panoszy. Tedy będzie, co Bóg da, i nie o tym radzić się przychodzę, jeno bym ja z zamysłami się nie wydał.

Mikołaj smutno się zamyślił. Po chwili rzekł:

— Jeszcze cię ludzie chytróści i podstępów nauczą. Ale skoro ninie nie umiesz, jedyna rada, by nie zełgać ni prawdy nie rzec, to milczeć. Łatwiej ci będzie, gdy księżnę powitać pójdiesz spółem z biskupem, a nijak ci jej unikać, boby snadnie podejrzenie powzięła. Biskup swoje sprawy ma, o

których z nią gadać będzie, ty możesz na uboczu pozostać, a może i wymiarkować, po co księżna przyjeżdża, by macierz swą uspokoić. Jeno nie wiem, jak przed nią ukryć wydolisz, co zamierzasz.

— Ja takż nie wiem — westchnął Mieszko. — Niechaj-by już było, co ma być, nie czekać jak z głową na pieńku. Wolejby tu nigdy nie wracał. A macierz nie chciała...

— Nie praw byle czego. Tu twoje miejsce i tu obowią-

«187»

zek. Ja wybyłem ze spraw, wojewoda Michał lepsze ma rozeznanie, nie porywałby się na przepadłe. Bądź dobrej myśli, ufność miej w Bogu i niechaj cię ma W swej opiece. Gdy jednak Mieszko wyszedł, Mikołaj zadumał się chmurnie. Sam nie był dobrej myśli. Sieciech nie pozwoli się zaskoczyć, a ma jeszcze stronników wśród możnowładców i duchowieństwa, które uznało antypapę Klemensa. Rozdwojenie rozpoczęte nieszczęsnym sporem króla z biskupem znowu pograży kraj we krwi.

W pogodny zimowy przedwieczesz Mieszko właśnie bawił u matki, gdy nadszedł strażnik donosząc, że na grobli nad Wisłą widać ciągnący orszak. Gdy królewicz wyszedł na dziedziniec, straż otwierała już bramę, nie było wątpliwości, że nadjeżdża księżna Judyta, i Mieszko skierował kroki do kapitulnego budynku.

Biskup wiedział również o przybyciu księżnej i gotował się właśnie do wyjścia, by ją powitać, gdy nadszedł królewicz. Czekając, aż Lambert skończy się przebierać, Mieszko zapytał:

— Zali wasza przewielebność pierwszy powita księżnę lubo mam to uczynić ja?

•—• Z urzędu mnie przystoi, zasię potem omówić mam z księżną kościelne sprawy. Jeżeli przeto wy swoich nie macie, możecie księżnę powitać i odejść.

•—• Iście nie wiem, o czym miałbym z nią mówić ni po co przyjeżdża.

— Rozumiem, że wam gość nie w porę, ale dopytywać nie przystoi, by nie mniemała, że niechętnie ją tu widzicie.

— Iście tak! — powtórzył królewicz i zmieszał się. I z biskupem nie może być szczery. Z rodu jest Awdańców, ale, ustanowiony przez Włodzisława i zatwierdzony przez antypapę, nie powinien wiedzieć, co zamierzają ich przeciwnicy. W kapitule ma swojaków Sieciecha, gdyby choć woli wydał się przed nimi z podejrzeniem, nie omieszkają przestrzec palatyna.

Lambert nic nie odrzekł i wyszli. Mieszko szedł zamyślony. Od dnia śmierci babki nie był w jej komnatach, których opuszczenie przypominało mu o stracie. Z niechęcią myślał, że teraz zajmie je obca kobieta. Nie wiedział, jak ją witać i co rzec, jeśli istotnie zamierza pojednać go ze stryjem. Na dobitkę przed wejściem do babinca Lambert odezwał się:

— Sposobność byłaby wam przez księżnę o rządy w jakowej dzielnicy upomnieć się. Co było, to się nie odstanie, a rozdwojenie w książęcym domu zacykiem jest rozdwojenia w kraju. Na nic chować stare, choć i słuszne urazy. Jeśli zasię wam nieporęcznie, ja mogę o tym mówić, co mi i z urzędu przystoi, bo Kościoła rzeczą jest dbać, by pokój był między chrześcijany.

— Nie! — odparł Mieszko zaskoczony, gwałtowniej, niż chciał. Opanował się i by zatrzeć odezwanie, dodał:

— Księżna Dobronega nalegała na syna, by mi rządy w dzielnicy zlecił. Odmówił!

— Może wonzas nie ufał, iż nie będziecie praw swych po rodzicu dochodzić. Ninie już trzeci god od waszego powrotu, czas miał przekonać się, że niczego przeciw niemu nie knowacie.

Królewicz nic nie odpowiedział i weszli do babinca. •Księżnę zastali w komnacie niedawno zamieszkałej przez Dobronegę. Ni jeden sprzęt nie pozostał na miejscu, służebne kończyły właśnie rozścielać i rozwieszać kobierce. Księżna odprawiła je, a gdy wyszły, biskup zaczął:

— Jam jest biskup krakowski Lambert Awdaniec. Witam miłościwą panią w swej stolicy tym radziej, że i sprawy mam, o których przez posły mówić nieporęcznie. Może jednak wasza miłość ninie wypocząć chce z podróży, przyjdę sposobniejszą porą, bo tak mniemam, że jakiś czas zabawicie w Krakowie.

— Możemy mówić choćby zaraz — odparła. — Podróż «189»

r niedaleka, bo wj^poczęłam w gościnie u palatyna Sieciecha a długo nie zabawię, bo na Gody wracać mi do Płocka. Jelio poznać się chciałam z pasterzem, który jeden z niewielu za prawowitym papieżem stoi, i katedrę waszą obejrzeć. Małżonek mój pomni, że do wykończenia przyczynić się przyrzekł, i co nieco zasobów przywiozłam, od siebie zasię sprzętu do służby Bożej potrzebnego.

Wskazała Lambertowi miejsce na ławie. Mieszka, który stał, nie wiedząc, co począć z sobą, jakby nie zauważyła, co widząc biskup rzekł:

— To jest Mieszko Bolesławie, brataniec miłościwego księcia, który także przychodzi stryjną powitać.

Na królewicu spoczęło przenikliwe spojrzenie Judyty. Drgnął, jakby niespodzianie ziać go przeniknęła, i zmieszany powiedział:

— Witajcie, miłościwa pani, i bądźcie jako u siebie.

—• Dzięki — odparła uśmiechając się drwiąco — wszędy jestem u siebie. Mniemałam, że się w Płocku poznamy, ale skoro ci droga za daleka, możemy i tutaj.

— Zechciejcie zważyć, miłościwa pani — wtrącił się biskup —• że królewic niedawno małżonkę pojął, która mu służy, a tylko co z Poznania wrócił, dokąd jeździć musiał oddać zmarłej księżnej ostatnią przysługę.

— O tym wiemy — przerwała oschle — tedy nie zatrzymuję, bo mu pewnikiem do małżonki spieszą. Chyba że prośbę ma jakąś, rada będę wypełnić.

— Nie trzeba mi niczego, a gdyby wam czego trzeba by- > ło, komornik mój jest na wasze rozkazy

— odparł sztywno; skłonił się i wyszedł, zarazem wzburzony i rad, że niczego przytając nie musiał. Lambert natomiast zachmurzył się i księżna miarkując, że jawna niechęć okazana Mieszkowi nie po myśli mu, by zatrzeć to wrażenie, powiedziała z westchnieniem:

— Wdały młodzian! Szkoda, że księżta nie mają krewniaków, jeno współzawodników.

— Źle, że się uprzędacie — pochwycił Lambert żywo. —

Rzadko spotkać junoszę, by jak on rozsądkiem i skromnością umiał jednać sobie ludzi.

— Widzę, że was sobie zjednał, wielbny panie — odparła uśmiechając się z przymusem. — Ale nijak mi za-być, że jest synem owego przekłętника, w którym każdy wróg jedności w cesarstwie i chrześcijaństwie pomoc znajdował i oparcie.

— Ostawmy Bogu sąd nad zmarłym królem — rzekł Lambert niechętnie. — Wždy nie o niego idzie, a Mieszko radziej w dziada się wdał.

— Któremu rodzic mój pomógł Kościół i państwo tu odbudować po to, by syn jego wszelki ład zburzył, świętokradczą ręką poprzednikowi waszemu męczeńską śmierć zadał, za to, że przestrzegania praw boskich i ludzkich się domagał — przerwała księżna, ale biskup ciągnął:

—• Nie syna uciążać winą rodzica. Nie zaprzeczycie, że miłościwy książę słabego jest zdrowia, w rządach wyręczać się musi ludźmi, którzy miru w kraju nie mają, syn zaś nierychło będzie go mógł wyręczyć.

— Wiem, do czego zmierzacie — odparła Judyta — tedy wam rzekę, co myślę: wdał się Mieszko w dziada lubo nie, małżonek mój nieprzezornie na jego powrót do kraju przyzwolił. Nie zaprzeczycie, że nie brak księżciu wrogów, którzy by radziej Mieszka widzieli na księżym stolcu. Gdyby go do rządów dopuścić, jeno by im narzędzie dał do ręki. A jedno pewne, że właśc ludzi zmienia. Gdyby zaś coś złego mu się przygodziło, o co w zamęcie nietrudno, małżonka mego nie omieszkała by winą uciążać, by pospółstwo przeciw niemu podburzyć. Zali jednak to są sprawy, o których ze mną mówić chcieliście?

— Nie, miłościwa pani. Nikomu na dobre nie wyszło, że poprzednik mój do spraw państwa się mieszał. Mnie kościelne na sercu leżą, choć jedno od drugich oddzielić trudno, gdy Kościół z ludzi się składa, którzy z krajem i rodami związani.

— I to wiem —• odparła Judyta. —• Stryk wasz i głowa rodu po dziś dzień małżonkowi memu przysięgi posłuszeństwa nie złożył.

Biskup zmarszczył się nieznacznie i odparł:

— Tedy sami rozumiecie, miłościwa pani, że nie jeno jako pasterzowi na jedności i spokoju mi zależy.

— Rozumiem. Mówmy przeto o kościelnych sprawach. Pokąd wszyscy nie uznają prawowitego Ojca Świętego, wybranego przez większość biskupów i zatwierdzonego przez cesarza, nie będzie jedności, bo wszędy znajdują się tacy, co przez wrogłość dla cesarstwa za nieprawym, z wyboru chwiejnego i przedajnego rzymskiego motłochu, stać będą. Skończy się i tu rozdwojenie, gdy jeden będzie biskup rzymski.

— Gdy będzie! Ale od lat już ów zamęt. Zmarł Grzegorz, Wiktora osadzono na Piotrowej stolicy, zmarł Wiktor, słyszę, Urbana wybrano, który pod opiekę francuskiego króla się schronił, a w samych Niemczech nie brak mu stronników. Moja troska o jedność w polskim Kościele, a może nie wiecie, miłościwa pani, że nie wymarli jeszcze wszyscy, co po śmierci dziada waszego małżonka Kościół w Polsce obalili, by do pogaństwa wrócić. Poprzednik mój na krakowskiej stolicy prosty naród poruszył,

domagając się od króla zniesienia stanu i podwoy, do których od wieka nawykli, i od posłuchu ich zwolnił. Tym radziej zrzuciliby ciężary na rzecz Kościoła, które wraz z wiarą nastały.

— Palatyn Sieciech z nieposłusznymi poradzić sobie wy-dolił — rzekła księżna — a mniemani, że duchowieństwo dla, własnego dobra pomagać mu w tym winno, za jedno nawet, zali papieżem uznaje Klemensa lubo Urbana.

— Radzi sobie — powiedział biskup niechętnie — pokąd zbuntowani nie najdą przywódcy. A nie jest rzeczą Kościoła na poły pogański jeszcze naród postrachem jeno do prawdziwej wiary przymuszać.

— Ja wiem, że gdzie posłuchu nie ma, tam go wymusić należy. Gdy cesarz sprawy w Rzymie załadzi, sam do tego nakłoni nie jeno pospółstwo, ale i oporne duchowieństwo.

Lamberta ogarniało gniewne zniecierpliwienie. Zamierzał poruszyć sprawę ustanowienia metropolii w Krakowie, co •raz z odbudowa katedry uważał za cel i zadanie swego życia, a księżna, jakby domyślając się, z góry już wysuwa przeciw temu zarzuty. Postanowił mówić otwarcie:

— Zanim jedność nastanie w całym chrześcijaństwie, daj Bóg, by u nas była. A jakoż ma być, gdy od lat już Kościół polski głowy pozbawiony? Metropolita Bogumił zaginął bez wieści, a gnieźnieński Pietrek starzec zgrzybiały, niezdały już do niczego, i paliusza nie ma. Synodu nie ma kto zwołać.

Księżna zrozumiała, że Lambert nie pozwoli się zbyć, i rzekła niechętnie:

— Jeśli o to jeno idzie, odnieście się do magdeburgskiego arcybiskupa, do którego prowincji od zarania wszystkie diecezje za Salą i Albą przynależą i przywileje na to posiada, zatwierdzone przez Jana XIX i Leona IX.

Lambertowi żyły nabrzmiały na skroniach. Ledwo hamując rozdrażnienie zapytał:

— Do którego, bo słyse, że dwóch jest magdeburgskicB arcybiskupów, a jednego imienia, tedy pomylić się łatwo? Polska zasię od stu lat bez mała prowincję stanowi kościelną i arcybiskup Aaron stąd rządził polskim Kościołem.

Judytę również ogarniał gniew, nie chciała jednak do reszty zniechęcać niezbyt pewnego stronnika i odparła:

— Nie wyznawam się, zali prawnie prowincję tu ustanowiono. Wiem jednak, że nawet patrona swego nie macie, jeno Czechów, a paliusz tylko papież Klemens mógłby wam dać. Nie wiem takóž, czyby to uczynić zechciał bez zgody mego brata, skoro Polska lennem jest cesarstwa. Tedy jedno wam przyrzec mogę, że u brata za tym orędownać będę. Łacniej byłoby, gdyby katedra wasza była wykończona i gdyby jakoweś ważne relikwie dla niej pozyskać, bo to powagi miejscu dodaje, a z odpustów zasobów przysparza. Rada ujrę, czego jeszcze brak, i małzonka mego nakłaniać 13 — Przekleństwo przyrzekam, by do rychłego ukończenia w miarę możności się przyczynił.

Po odejściu biskupa księżna zamyśliła się. Nieprzezornie zdradziła swą niechęć do Mieszka, w Lambercie nie znajdzie poplecznika swych zamierzeń. Niezbyt też widocznie wierzył w powodzenie cesarskich, skoro mówi o przywróceniu jedności tylko w polskim Kościele, by sobie zapewnić pierwsze w nim miejsce. Słabą jego stroną jest duma, nie należy jej drażnić, raczej ludzi półobietnłcami. Jeżeli trzeba będzie ustanowić metropolitę, miała już upatrzonogo w osobie proboszcza płockiej katedry, Marcina Zabawy. Człowiek stary już i ograniczony, łatwo nim będzie powodować. Niemniej i w Krakowie chciała mieć swoich ludzi. Obecność królewicza w kraju stanowiła groźbę, wzrastającą w miarę, jak dojrzewał. Jeżeli palatyn zamierza go usunąć, dlaczego z tym zwleka? W księżnej wstawało niejasne jeszcze podejrzenie, że z kolei zdradzić chce Włodzisława, by się od cesarstwa uniezależnić. Już teraz obawą zamieszek wykręca się od udzielenia należnych od lennika posiłków. Może liczy, że za pomoc w odzyskaniu dziedzictwa Mieszko wybaczyłyby mu bunt. Zbyt wielu jednak ma wrogów, nawet między tymi, którzy mu pomogli wygnąć Bolesława.

Długo w noc rozważania te nie pozwoliły usnąć Judycie. Obudziła się późno i zbierała pospiesznie, pomna, że przyrzekła Lambertowi, iż będzie na odprawianym przez niego nabożeństwie, po czym obejrzy katedrę.

W towarzystwie dworek, które niosły przywieziony przez nią sprzęt liturgiczny, przez mostek na rozpadlinie oddzielającej zamkową część wzgórze od kościelnej skierowała się do kościółka pod wezwaniem Sw. Michała. Choć przysiadły i poczerniały ze starości, teraz znowu służył za katedrę, zanim nie stanie nowa, rozpoczęta jeszcze przez Kazimierza. Gdy śmierć jego przerwała prace, Bolesław łożył wpierw na odbudowę gnieźnieńskiej, w której zamierzał się koronować. Zajęty ustawicznymi wyprawami, odkładał odbudowę z roku na rok, a w końcu na skutek zatargów z biprzestał na nią łożyć i zgromadzony materiał zdążył zarosnąć chwastami, zanim po wieloletniej przerwie podjął pracę Lambert. Wzniesiono już mury, dachy pokryto blachą ołowianą, a hełmy wież

miedzianą, ale wyczerpało to wciąż jeszcze szczupłe zasoby biskupa, a księżę mimo przyrzeczenia niewiele mógł się przyczynić, zwłaszcza wobec budowy kościółka Sw. Idziego.

Księżna z lekceważącym politowaniem patrzyła na Lamberta, stojącego w szatach pontyfikalnych przy wejściu do kościoła, w otoczeniu kanoników. Biskup diecezji, której latami nie stać na godną tej nazwy katedrę, zamyśla o ustanowieniu tu metropolii. W dawnej ojczyźnie Judyty w samej archidiecezji mogunckiej blisko dwadzieścia katedr, jedna wspanialsza od drugiej, głosi zarazem chwałę Bożą i potęgę pana chrześcijaństwa. A nadęty pychą władca tego półdzikiego kraju ośmielił mu się przeciwstawić. Ale męczeńską śmiercią biskupa dopełnił miary swej nieprawości i dosięgła go sprawiedliwość Boża.

— Wybaczy wasza przewielebność, że czekać dałam — rzekła księżna przystępując do Lamberta.

— Zechciejcie mnie z waszymi kanonikami poznać. Rada poznam mężów, którzy wiernie przy prawowitym Ojcu Świętym stoją.

— Może po nabożeństwie —• odparł Lambert. — W kościele czeka na nie królowa. Zapewne zechcecie i z nią się poznać.

— Królowa! — z udanym zdziwieniem powtórzyła Judyta. — Mówicie o Wyszlesławie; nie słyszałam, by była koronowana, a gdyby poznać się chciała, jej przystało mnie powitać. W tym jeno równe jesteśmy, że i mój pierwszy małżonek na wygnaniu zbył żywota.

Lambert nic nie odrzekł i przepuszczając księżnę wszedł do kościoła, niepewny, czy Wyszlesława nie zajęła miejsca na podwyższeniu naprzeciw biskupiego tronu. Uspokoił się jednak ujrawszy ją na klęczniku przed ołtarzem. W prostej szacie, bez żadnych ozdób, klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach, spod wdowiego czepca wymykały się jej jasne włosy.

«195»

Gdy księżna z orszakiem weszła do kościoła, tłum wypełniający szczupłe wnętrze rozstał się, a siedzący powstali. Tylko Wyszlesława nie poruszyła się i nie podniosła nawet głowy, choć słyszeć musiała kroki i szelest jedwabi, gdy Judyta przeszedłszy koło niej zajęła miejsce na podwyższeniu, a biskup przystąpił do ołtarza i rozpoczął ofiarę.

Judyte drażniło zachowanie się Wyszlesławy. Wpatrywała się w jej pochyloną głowę, by się zmierzyć oczyma. Ale królowa nie podniosła swoich, a po ostatnim błogosławieństwie dźwignęła się z klęczek i nie rzuciwszy okiem na Judytę wyszła z kościoła przez rozstępujący się przed nią tłum, który również wylewać się zaczął na dziedziniec. Judyta pozostała w opustoszałym kościele ze swymi dwórkami, czekając na biskupa, który wszedł do zakrystii, by się przebrać. Rozdrażnienie Judyty przeszło w złość. Przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Królowa!

—• Co mówi wasza miłość? — zapytała dworka.

— Żeś głupia — sarknęła Judyta, zła na samą siebie, że nie potrafi udawać życzliwości dla krewniaków swego małżonka. Może tym obudzić ich czujność, a w przyszłości podejrzenia. Skoro musi pozostać w kraju, zadość jej niechęci, okazywanej Niemce i cesarskiej siostrze. Zawołaniu Siecie-cha nic już bardziej nie może zaszkodzić, ale rola jego w buncie przeciw Bolesławowi wskazywała, że i on woli swoje sprawy załatwiać cudzymi rękami. Tak czy inaczej, należy się z nim naradzić, choćby po to, by wymiarkować jego zamiary. O naradzeniu się z małżonkiem nie myślała. Obawia się nawet cienia swej matki.

Rozważania przerwało wyjście Lamberta z zakrystii i cały orszak zatrzymał się przed bramą. Biskup z kolei, wedle godności, przedstawiał członków swej kapituły, zarazem usprawiedliwiając nieobecność jej dziekana podeszłym wiekiem i chorobą. Księżna obojętnie skinęła głową i po niemiecku zwróciła się do scholastyka Gotarda. Wskazując na «196»

zaniedbany widocznie kościółek Sw. Jerzego, który zasłaniał widok ku południowi, zapytała:

— Po cóż było stawiać tak blisko drugi kościół, skoro, -jak widać, nie odprawia się w nim służby Bożej?

— Nie drugi, jeno, jak prawią, pierwszy, bo jeszcze za Mieszkowych czasów, gdy chrześcijaństwo zaprowadzał w tym kraju. Ongiś pono pogański chram stał na tym miejscu.

— Jakie chrześcijaństwo, taki kościół — rzekła księżna i urwała, zwracając się do Lamberta:

—• Wybaczenie, wasza przewielebność, że mówię po niemiecku, ale choć waszej mowy już się przyuczyłam, snadnie bym własnej zabyła, gdy nieczęsto mi się trafia sposobność mówić w ojczystej.

Skinęła na dworke, która niosła przywiezione szaty liturgiczne, i biorąc od niej ornat rozwinęła go. Bogato haftowany, na głównym polu wyobrażoną miał scenę ścięcia świętego Jana Chrzciciela. Wręczając go biskupowi Judyta rzekła:

— Skoro nie masz polskiego świętego, kazałam przedstawić wizerunek pierwszego męczennika, który jak wasz poprzednik żywot oddał, by tamę położyć Herodowej nieprawości króla. Który też ze świętych patronem ma być waszej katedry?

Lambert pominął uwagę o śmierci Stanisława, jakby jej nie słyszał, i odparł:

— Święty Waclaw, który za wiarę śmierć męczeńską poniósł.

— Wiem — rzekła Judyta. — Czeski król rad będzie, że przodek jego patronować ma katedrze na stołecznym grodzie. Szkoda jeno, że relikwii nie macie męczennika.

— Czas o tym myśleć, miłościwa pani, skoro daleko jeszcze do konsekracji. Zechciejcie sama obejrzeć.

Dość sztywno podziękował za otrzymany sprzęt i wręczając go kustoszowi Ramboldowi dodał:

— Pójdźmy, jeśli wola.

«197»

Przez bramę w murze okalającym cmentarz katedralny orszak skierował się do kościoła. We wnętrzu panował wil, gotny chłód, nogi grzęzły w warstwie wapiennego gruzu tylko w prezbiterium położona już była posadzka z barwnych kafli. Księżna rozglądała się w półmroku i rzekła:

— Magister operae zapewne z Niemiec był, ze wszystkim kościół wasz podobny do naumburskiej bazyliki, jeno mniejszy. Iście widzę, że wiele jeszcze brak do wykończenia.

— Wedle stanu grobla — odparł biskup z pewnym zniecierpliwieniem. W uwagach Judyty wyczuwał uszczypliwość. Dodał:

— Na skale miejsca brak na większą, a i mnie, i miłościwemu małżonkowi waszemu zasobów.

— Co niebądź przywiozłam — odparła — ale iście niebogaty tu kraj.

— Bywał bogaty i mniemam, że jeszcze będzie. Wtóry już raz od podwalin budować trzeba.

Judyta nic nie odrzekła i skierowała się do wyjścia. Zrozumiała, że Lamberta nie kupi, a Sieciech pomylił się sądząc, że za biskupi pierścień przez niego pozyska Awdań-ców. Polskim dostojnikom nie może zaufać, a i samemu pa-łatynowi tak długo, jak długo cel mają wspólny. Chciała jednak mieć własnych zauszników. Zwróciła się do kanoników :

— Który z waszych wielebności zechce mi towarzyszyć do Świętego Andrzeja?

Rozmyślnie powiedziała to po niemiecku. Gdy Rambold i Gotard zgłosili gotowość, pożegnała biskupa i wraz z nimi przez północną bramę skierowała się na Okół. Przez mostek na strudze ciekącej od Żabiego Kruka między Wawelem a kościołem Sw. Idziego wyszli na gościniec wiodący od targowej osady do przewozu na Wiśle i za chwilę oznajmili się przy bramie strażnikowi, od którego dowiedzieli się, że Sieciech nie przybył, a benedyktyńscy mnisi, sprawujący pieczę nad kościołem, bawią jeszcze na nabożeństwie.

ICsiężna w zamyśleniu usiadła na kamiennej ławie przy ^ejściu. Palatyn mimo zapowiedzi nie przyjechał. Rozważała, czy wiążąc się z nim własnych i cesarskich celów nie naraża na niebezpieczeństwo. Zbyt już się rozrósł, stać go samego na budowę kościoła nie mniejszego niż katedralny. Wie, że jest niezbędny, i daje to odczuć. Pozostawia ją sa-mą w Krakowie wiedząc, że bez niego nic nie działa, na każdym kroku spotykając się z niechęcią. Wskazując kanonikom miejsce obok siebie zapytała:

— Dawno wasze wielebności bawią w Krakowie?

— Przybyliśmy wraz z panem biskupem — odparł Gotard. — Jako i niemal cała kapituła, bo z dawnej pozostał jeno dziekan Mikołaj. Ale stary już i choruje, rzadko nawet na zebrania przychodzi.

— To i lepiej — dodał Rambold — bo uparty staruch po dziś dzień uznać nie chce papieżem Ojca Świętego Klemensa, pan biskup zasię nie usunął go, bo za nim stała księżna wdowa, z którą się liczył. Może się to ninie odmieni, gdy zmarła.

— Może się nie jeno to odmieni — powiedziała księżna. — Jej to dziękować, że mój małżonek na powrót onego młokosa przyzwolił, nie bacząc, że wilka wpuszcza do owczarni, hołdu nawet i przysięgi wierności od niego nie żądając.

Rozmowa się urwała, gdy po skończonym nabożeństwie z kościoła wysypał się tłum wiernych, a po dłuższej chwili wyszło kilku benedyktyńskich mnichów. Księżna powstała, mnisi na jej widok zatrzymali się, a najstarszy, skłoniwszy się przed nią, rzekł:

— Witam was, miłościwa pani. Zapewne obejrząc zechcecie zbożne dzieło naszego dobroczyńcy, palatyna Sieciecha. Słać nawet miałem do waszej miłości, bo uwiadomić was niechał, że nie przybędzie i pilnie czeka na was w swej Morawicy, by się naradzić nad wieściami, jakie otrzymał. Judyta z lekka zmarszczyła brwi. Naradzić się mogli również w Krakowie. Morawica nie za morzem, nie o czas przeto chodziło. Z roztargnieniem słuchała pochwał szczodrobli«199»

Li wości Sieciecha, których nie szczędził benedyktyński proboszcz kościoła, oprowadzając ją po już wykończonym wnętrzu.

Księżna była jednak roztargniona. Myślała o otrzymanym wezwaniu i ogarniało ją gniewne zniecierpliwienie. Nie po to, na stan swój nie bacząc, zimową porą podjęła daleką podróż, by wracać nie rozejrzawszy się nawet w Krakowie. Pomyślała jednak, że Sieciech nie ważyłby się trudzić jej bez ważnej przyczyny, a z Morawicy, odległej zaledwie o dwie mile, może wrócić nawet tego samego dnia. Postano wiła jechać zaraz, łaskawie pożegnała mnichów, przyrzekając przyczynić się do uposażenia kościoła, i pogodne, grudniowe słońce stało dopiero na południu, gdy w towarzystwie jednej tylko dworki i dwóch konnych pachołków wyjeżdżała z Wawelu. Szczupły orszak skierował się na zachód, wąską groblą oddzielającą Żabi Kruk od rzeki. Z naprzeciwka nadjeżdżała gromadka konnych i w jednym z nich na czele księżna poznała Mieszka. I on poznał ją widocznie, z grobli bowiem skręcił na zamaznięty staw, dalej niż trzeba było, by ustąpić z drogi, i minął orszak Judyty nie rzuciwszy okiem. Szepnęła ze złością:

— Jeszcze mnie poznasz!

Gdy orszak księżny przebył mostek na Rudawie, konie pomknęły szparko drogą wiodącą u stóp lesistych wzgórz, które już rzucały błękitnawy cień na białą płachtę zamazniętych rozlewisk Rudawy. Śnieżną ciszę mącił tylko skrzyp płóz i głuchy tętent kopyt.

Pod zachód mróz przybierał i Judyta otuliwszy się niedźwiedzią skórą ułożyła się w saniach. Po nie dospanej nocy brała ją senność i zadrzemywała chwilami. Orzeźwiała jed-; nak, gdy stok wzgórza pochylił się ku zachodowi, a konie ruszyły ostrym klusem drogą schodzącą na zamaznięte moczary Sanki, zaróżowione odbłaskami zorzy zachodzącego słońca. Gródek był już na oczach i tam widocznie dostrzeżono nadjeżdżających, z bramy bowiem wypadło dwóch jeźdźców i puściwszy konie w cwał za chwile zdarli je przy saniach, a palatyn Sieciech, powitawszy księżnę, ciągnął*:

— Rad jeśm, że miłościwa pani nie dała czekać na siebie, bo pilnie naradzić się trzeba.

— Skoro tak pilno, raniej mogliście być w Krakowie, niżli ja w Morawicy — odparła sztywno, ale Sieciech nie zmieszany rzekł:

— Iście tak. Sprawię się po wieczery, a ninie pospieszajmy, bo mróz.

Za chwilę wjeżdżali na dziedziniec gródka, a Sieciech powiódł księżnę do świetlicy, gdzie przed płonącym na kominie ogniem zastali posłańców cesarskich, i wszyscy razem zasiedli do wieczery. Gdy skończyli się pożywiać i wzięli do kubków, Sieciech kazał wyjść służbie i zaczął:

— Są wieści z Poznania: pogrzeb księżnej wdowy za pozór posłużył do zjazdu naszych wrogów, a wojewoda Michał niemal bez ogródek Mieszka do buntu nakłaniał. Co na tajnej naradzie postanowiono, nie wiem, ale starczy, że brał w niej udział Magnus Zaręba, u którego schronienie znajduje każdy, kto głowy niepewny. Ja ruszam zaraz uprzedzić, kogo należy, a wy, miłościwa pani, nie mieszkając wracajcie do Płocka, by was bunt w Krakowie nie zaskoczył, a książęcia takż uwiadomić trzeba, nie przez posłańca, by się nie rozniosło, że wiemy, co się gotuje.

Judyta gniewnie zmarszczyła brwi. Wracać ma niczego nie wskórawszy prócz stwierdzenia, że biskup nie jest pewnym sprzymierzeńcem. Mieszko oczekuje potomka, nie pora mu na bunt. Sieciech zapewne przesadza, nie wierzyła, by troska o nią była przyczyną, że radzi jej wyjazd z Krakowa. Rzekła opryskliwie:

— Wielcem wdzięczna, że dbacie o moje bezpieczeństwo. Nie byłoby potrzeby, gdyby on młokos, który nie bez waszej zgody tu powrócił.

— Gorzej byłoby, gdyby bez przyzwolenia wrócił z węgierską pomocą. Księżna Dobronega poręczyła, że spokojnie siedzieć będzie, mnie zasię łatniej było mieć go na oku «200» tu niżli na Węgrzech. Z buntownikami bez obcej pomocy uradzę sam.

Judyta jednak po doświadczeniu na Węgrzech nie była pewna wyniku walki, a w razie przegranej nie liczyła na wspaniałomyślność Mieszka. Powiedziała ze złością:

— Skończyła się poręka Dobronegi, a nie byłoby Mieszka, nie trzeba by mieć go na oku. Ani buntu by nie było.

— Iście tak — obojętnie przyznał Sieciech. — Ale za to sposobność będzie skończyć z wszystkimi wrogami.

— Zali aż buntu trzeba, by skończyć z jednym człkiem? — wtrącił się Walo. On również nie dowierzał pa-latynowi, podejrzewał nawet, że zmyślił gotujący się bunt, by upozorować odmowę posiłków na rzymską wyprawę cesarza. Księżna poparła go mówiąc:

— Mieszko nieprzezorny jest. Dziś widziałam, jak skądś wracał samotrzeć.

—• Jenó że gdyby go jawnym gwałtem usunąć, ruszyć się gotowe pospólstwo, bo w nim nadzieję pokłada powrotu do dawnych wolności — przerwał Sieciech. — Łacno w wielmożach nalazłoby przywódców, a wónczas nie do-stoimy. Gdy tych wraz z nim wygubię, nie będzie komu ludowi przywodzić. Widzę, że czcigodny Walo mi nie ufa, ale miłościwa pani wie, że mnie pierwszemu Mieszko wrogiem i moja głowa w tym, by właści nie posięgnął.

— To prawda — niechętnie potwierdziła Judyta. — Zali trzeba jednak jawnego gwałtu? Wszem wiadomo, że biskup Stanisław zgubę przepowiedział Bolesławowemu pokoleniu.

—' Jenó że od tego czasu dziesięć godów minęło, a miast tego Mieszko potomka oczekuje — zauważył Sieciech, ale Walo odparł:

— Boże młyny mielą pomału. Skoro nawet książeta Rzeszy uwierzyli, że z ręki Bożej zginął antykról, tym łacniej uwierzą prostacy, że dopełniło się prorocstwo świątobliwego biskupa, o którego cudach nawet do nas dochodziły wieści.

— Wasza wielebność jako duchowny lepiej się na cudach wyznawa niżli ja — odparł Sieciech. — Prawdę rzec, nawet oślady nie widziałem, która pod Solcem na Wiśle po-zostać miała, gdzie biskup, jak Chrystus Pan, po wodzie ją rzekomo przeszedł. Może przeto, iżem grzeszny, ale niedowiarków u nas nie brak i o innych cudach też różnie gadano. Pono i u was nie wszyscy wierzą, że to Opatrzność usunęła cesarskich wrogów.

Patrzył z drwiną na rycerza Swidgera, który jednak uciekł z oczyma, a Walo rzekł ze złością:

— Wierzą lubo nie, ale wrogów nie ma. Zda mi się, że nad tym radzić mieliśmy, jak głowę buntu urwać, zanim się rozpęta.

— Tedy słucham waszej rady, bo swoje już rzekłem. Wždy nie o to idzie, bym ja w cuda uwierzył, jenó by wroga zbyć tak, by inni uwierzyć mogli. Tedy możecie mówić otwarcie, Opatrzność ostawiając na boku.

— Bo i cudów na to nie trzeba — powiedział kapelan — jenó paru obrotnych i zaufanych ludzi, którzy dostęp mają do królewica.

— Takich mam na Okolę i na samym grodzie, w stajniach, kuchniach, piwnicach, a nawet w kapitule. Zechce wasza wielebność pielgrzymkę odbyć do Świętego Andrzeja, dam zlecenie do mego wódarza, on zasię wskaże, kogo trzeba. Ja wyjeżdżam swoje przygotowania poczynić, bo gdyby wam chybiło lubo wydało się, to jenó rokosz może przyspieszyć. — Zwracając się do Judyty dodał:

— Ostawiam tu wszystkich na wasze rozkazy, ale jeśli radzić wolno, wracajcie nie mieszkając do Płocka. Uda się, gadanie może powstać, boście też nie taili, że Mieszka nie miłujecie, a nie uda się, zgoła nieprzezpiecznie tu ostawać.

Księżna zmarszczyła brwi: skąd Sieciech wie o jej rozmowie z Mieszkiem? Przy niej tylko Lambert był obecny, z którym nie żyli w przyjaźni. Nieprzezorna była, a teraz Sieciech wyjeżdża, by od siebie odsunąć podejrzenia. Nie to jednak najważniejsze: Mieszko spodziewa się potomka; w przyszłości i to wróg jej własnego. Powiedziała gniewnie:

«202»

«203»

— Bolesławowe pokolenie to nie jenó Mieszko, ale i syn jego. Zadość mojemu jednego współzawodnika.

— Jeszcze ni jednego, ni drugiego na świecie nie masz i nie wiada, zali będą — odparł Sieciech obojętnie. —

Z ciężarnymi niewiastami nie wojuję.

— Ale łacniej ludzie uwierzą, że to przekleństwo biskupa zgubiło Bolesławowe nasienie, i łatwiej zgubić nie urodzonego — wtrącił Walo, ale Sieciech odparł:

— Na białogłowskich sprawach ja się nie wyznawam. Wiem jenó, że Wysesława obawia się poronienia, jako kwoka na gnieździe nad Eudoksją siedzi i kromie zaufanych niewiast nikogo

do niej nie dopuszcza. Tedy lubo zdajcie sprawę na Opatrzność, lubo działajcie, co wam się zda, ale o tym nic wiedzieć nie chcę. Nie zwykłem ryb łowić przed niewodem.

Zwracając się do Judyty dodał:

—• Zwólcie się pożegnać, miłościwa pani. O świcie wyruszam, tedy czas mi spocząć. Na Gody ściągnę do Płocka, mniemam, że i was tam zastanę wraz z cesarskim poselstwem i wiedzieć będziem, jakiej odpowiedzi mu udzielić.

Po wyjściu Sieciecha księżna i kapelan patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili przerwał je Walo:

— Niezbyt pewnego sprzymierzeńca zyskał miłościwy pan, na wasz związek przyzwalając.

— Nie ja o to prosiłam. Ale skoro tu już jeśm, nie będę wtóry raz małżonką wygnańca ni potomstwa nie wydam, na tułaczkę.

— Ufacie pani palatynowi, nie wierzycie, że miast zbyć się wroga, was jemu przędą?

— Rozwazałam i to. Ale wie on, że Mieszko mu nigdy nie przebaczy. A nie będzie Mieszka, nie będzie komu przędąc, choćby i chciał. Liczę na waszą pomoc, brat mój nie zapomni przysługi i ja takoz.

— Rad bym, miłościwa pani, ale sam nie wydołę, mowy tutejszej nie znając.

— Spółem pojedziem do Krakowa — odparła. — Pokąd «204»

5/[ieszko żywię, nigdy tu pewna nie będę. Chcę w spokoju urodzić dziedzica, nie czekać zawždy na to, co uczyni Sieciech.

Wyjazd Judyty Mieszko odczuł jak ulgę. Na grodzie trudno było unikać z nią spotkania, a wiedząc, że nie umie się przytając, obawiał się, że z jego zachowania doświadczona niewiasta powziąć może jakieś podejrzenia. Trudniej jednak przychodziła mu nieszczerłość wobec matki i żony, a tych unikać nie mógł i nie chciał. Od powrotu z pogrzebu babki skazany na bezczynność w sprawie, która przynieść miała całkowitą odmianę w jego życiu, nie był w stanie myśli oderwać od nadchodzących wypadków. Na zewnątrz nie zmienił przyzwyczajzeń, jak dawniej ze swą drużyną wyjeżdżał na łowy czy w odwiedziny, brał udział w ćwiczeniach i biesiadach. Ponechał jedynie dalszych wyjazdów, by codziennie wieczorem zająć do babinca wiedząc, że matka i żona niecierpliwie na niego czekają. Zdrowie Eudoksji poprawiło się ostatnio, znachorka, która miała ją w opiece, pozwoliła jej wstawać, a nawet radziła przejażdżkę, by słońce i powietrze przywróciło jej przygaszone rumieńce.

Mieszko jednak nie zdał się ucieszony pomysłem nowiną. Myślał o tym, że na przedwiośniu, gdy żona oczekuje rozwiązania, rozpęta się zawierucha.

Wyszesława zbyt dobrze znała swego syna, by nie zmiarkować, że coś przed nią ukrywa. Dotychczas nie bywało między nimi żadnych tajemnic, niepokój o żonę nie mógł być przyczyną, że czasem zamyślał się tak, iż nie słyszał pytania, a nawet gdy jak dawniej opowiadał swe przeżycia i wrażenia, wyczuwała, że się do tego zmusza. Pytać jednak nie chciała; albo po raz pierwszy nie powie jej prawdy, albo powie coś, czego mówić nie chce czy nie może.

Mieszkowi również ciążyła nieszczerłość, rozumiał jednak, że gdyby przed matką zdradził tajemnicę, jeno by przyczynił jej niepokoju. Jedynym człowiekiem, z którym po«205»

dzielić mógł gniotące go brzemie, był starszek Mikołaj. Z nim mówić mógł przynajmniej, o czym myśli, gdy z matką i żoną gadali tylko o sprawach obojętnych, byle nie siedzieć w milczeniu.

Wieczorem po wyjeździe Judyty przez chwilę rozmawiali o tym snując domysły, dokąd i po co pojechała i kiedy wróci, większość jej dworu bowiem pozostała na grodzie. Ale i ta rozmowa urwała się wkrótce i zaległo kłopotliwe milczenie. Mieszko wstał mówiąc:

— Pójdę jeszcze odwiedzić kanonika Mikołaja. Cni mu się w samotności.

— Późno już — powiedziała Wyszesława. I ty byś spoczął, widzę, iżeś zmęczony.

— Wywczasuję się zadość — odparł — a sędziwy Mikołaj mało już sypia i zawždy rad, gdy go odwiedzę.

Gdy Mieszko wyszedł, Eudoksja, która dotychczas nie dała po sobie poznać, że w jego zachowaniu zauważyła zmianę, zapytała cicho:

—• Nie miarkujecie, pani matko, co Mieszkowi dolega? Zmienił się od powrotu z Poznania. Coś ci tam zająć musiało, co go trapi.

Wyszesława drgnęła. Nie tylko ona to zauważyła, za nic jednak nie chciała, by jej niepokój udzielił się ciężarnej niewiastce. Siłac się, by głos jej nie zdradził, odparła:

— Cóż zająć mogło? Smęci się, bo przywiązany był do babki. I mnie jej brak, bo jako macierz mi była, przed którą serce mogłam otworzyć. Ale taka już ludzka dola, że jedni odchodzą, a drudzy

przychodzą. Ty o tym myśl, którego masz witać. Wiem, że i tobie Dobronega bliska była, ale gdy młodzi starych żegnają, to jeno smutek, który przemija...

Umilkła, nie chcąc zdradzać swego lęku o Mieszka, ilekroć straciła go z oczu. Młoda niewiasta patrzyła na świekrę ze współczuciem i powiedziała cicho:

— Ja nie zabyłam, coście mi rzekli, zanim Mieszko mnie pojął. Nie ukrywajcie przede mną, co wam dolega. Zła lub dobra dola nas czeka, z własnej woli ją obrałam i z własnej woli podzielę.

— Złe uczyniłam — przerwała Wyszesaława — nie myśl o tym, bo jeno zaszkodzić sobie możesz, a w tobie ostatnia nadzieja. Gdy ujrzę wnęka, będę mogła odejść nie przeklinając dnia, w którym macierz mnie na świat wydała.

— Wždy to już rychło — powiedziała Eudoksja obejmując świekrę. — Raniej wnęka usłyszycie niżli skowronki.

— Nigdy jeszcze z takowym utęsknieniem nie czekałam na one ptaszyny, które zwiastują wiosnę — odparła Wyszesaława oddając synowej uścisk. — Bardziej się dłuży na radość czekać niżli na nieszczęście.

— Po cóż na nie czekać, pani matko? Babka prawila, że człek jeno lichu budzi, gdy się go lęka. Ma przyjść, to samo przyjdzie, nikto się mu nie wybiega.

Mieszko patrzył ze stołbu na zgromadzony pod bramą orszak Judyty, którą żegnał biskup Lambert w otoczeniu swej kapituły, zadowolony, że po grodzie przestaną się kręcić obcy ludzie. Żegnać jednak stryjny nie wyszedł. Nie dbał już, co księżna o tym pomyśli, głowił się natomiast, po co wybrała się w daleką drogę, by wracać po kilku dniach. Sprzęt i zasoby na wykończenie katedry mógł książe przekazać przez posłańca. I to niepilne, skoro zimową porą roboty stanęły, a podróż uciążliwa była dla ciężarnej niewiasty.

Gdy orszak zjechał ze wzgórza i połączywszy się na gościńcu z cesarskim poselstwem zniknął mu z oczu, Mieszko zszedł na dziedziniec, by udać się do stajen. Od bramy ku zabudowaniom kapitulnym wracał biskup i ujrawszy królewicza skierował się ku niemu. Mieszko domyślał się, o czym Lambert chce z nim mówić, skłonił się i czekał:

— Żle się stało, żeście stryjny pożegnać nie wyszli — zaczął biskup. — Książe za obrazę może wam to poczytać.

— Wasza wielbność wie, jak mnie księżna powitała —

«206»

«207»

odparł Mieszko wymijająco. — Skoro nie gościem tu była, jam nie gospodzin i nie moja powinność ją żegnać.

— Nie o powinność sprawa — powiedział Lambert w zamyśleniu — ani mi nie dziw, że po takowym powitaniu nie po sercu wam żegnać. Ale należało się przemóc dla ludzkich oczu. Księżna mi rzekła, żeście się jej udali i żal, że książe nie mają krewniaków, jeno współzawodników. O czym myśli, nie rzekła, ale i wam wiadomo, że nie brak takich, co radzi by znowu burze rozpętać, i zadra między wami a strykiem to jeno woda na ich młyn.

Królewicz zmieszał się. Lambert coś wie lub się domyśla. Ale nie był pewny i wołał milczeć, a biskup ciągnął:

— Nawet wielu z tych, co. ręki przyłożyli do odmiany, ninie widzą, że odmieniło się na gorsze. Ale nie odstanie się, co się stało, a nowa zawierucha to jeno wrogom korzyść, a dla kraju upadek, z którego się nie dźwignie.

Mieszko przybladł, ale zapytał wymijająco: •—• Cóż się jednakowoż ma do tego, zali ja księżnę żegnałem lubo nie?

— Bo na was patrzę. Niewiele trzeba, by pochop dać do buntu, gdy krajowi spokój potrzebny, a wam nie w ostatku, skoro na potomka czekacie. A prosty naród, żadnej włości nierad, zamęt może wykorzystać, jak raz już było, by się z wszelkich powinności zrzucić.

To, co mówił Lambert, samemu Mieszkowi na myśl przychodziło, ale bezradny się czuł. Odparł popędliwie:

— Wždy nie będę ściagał stryjny, by ją pożegnać. I nie ja zadry szukałem. Ona mi rzekła, że u siebie tu jest, za-być mam, że to stołeczny gród mego rodzica, z którego przed zdrajcami uchodzić musiał!

— Nie wiem, co wam czynić — powiedział Lambert, widocznie zaniepokojony. — Jeno nie zwólcie, by z was kość niezgody czyniono. Psy, co się o nią pożrą, mogą się wylizać...

Nie dokończył, skłonił się i odszedł. Jasne było, że czy wie coś, czy nie, przeciwny jest poczynaniom, które zBu-rzą spokój, a wraz z nim ład, jaki nie żałując trudu wprowadzić zdołał w swej diecezji. A może nie tylko żał mu owoców swej pracy. Rodem związany jest z Awdańcami, księżęciu składał przysięgę wierności i posłuszeństwa, bunt postawiłby go przed trudnym wyborem, choć nie jest przyjacielem Sieciecha. A nie brak palatynowi i przyjaciół, zwłaszcza wśród niższego duchowieństwa, które uznało papieża Klemensa, bo mu gregoriańskie nowinki nie w smak były.

Przyszedłszy do stajen Mieszko kazał Brodzikowi osiodłać konia, ale choć ten się wpraszał, nie pozwolił mu jechać. Chciał pozostać sam i rozważyć, co mu czynić wypada.

Czy chce, czy nie chce, jest kością niezgody. Mógł to przewidzieć, nim wrócił do kraju, a nietrudno było odgadnąć, czego nie dopowiedział Lambert. Ogarnęło Mieszka poczucie nieznanego niebezpieczeństwa, a zarazem winy wobec matki. Czy przesąd nią kierował, czy przecucie, nie chciała wracać. Cóż osiągnął kosztem jej spokoju? Babka niedługo wnukiem się cieszyła, starzy towarzysze zawiedli się, a krajowi grozi znowu wojna domowa, to, czego chciał mu oszczędzić, odmawiając przyjęcia pomocy węgierskiego krewniaka. Teraz pozostaje już tylko czekać beczynn timer na wypadki, które rozstrzygnąć mają nie tylko o jego losie. Jedno, co może i powinien uczynić, to mieć się na baczności. Poniechać musi samotnych wędrowek, w których uciekał przed druhami, by się nie wydać z tym, co go gnębi. Może w beztroskim gwarze łowów i biesiad zdoła choć na chwilę od myśli tych się oderwać. Zawrócił konia i ruszył z powrotem.

Po nocnej śnieżycy wstawał ospale późny grudniowy dzień. Ciemno było jeszcze, błony w oknach komory, w której spał Mieszko, dopiero przesiewać zaczynały pierwsze «208»

14 — Przekleństwo blaski zorzy, gdy obudził go pacholek z wiadomością, że w świetlicy już się gromadzi łowiecka drużyna.

Królewicz polecił nie czekać z podaniem rannej polewki i zbierał się pospiesznie. Zimowy dzień jest krótki, w najbliższej okolicy lasy już wytrzebione, grubego zwierza trzeba szukać w puszczy nie tkniętej jeszcze siekierą osadnika.

Gdy przybrany w futrzaną szubę wyszedł na dziedziniec, na nieboskłonie ukazał się właśnie rąbek wstającego słońca, różowym blaskiem rozżarząc martwą biel świeżo spadłego śniegu. Z świetlicy dochodził wesoły gwar, od stajen rzenie koni i niecierpliwe ujadanie psów, rwących się, by dać upust łowieckiej namiętności. Niebo było bez chmurki, najłżejszy powiew nie strącał z drzew obfitej okiści. Ponowa, ślad zwierza czytać można jak w księdze. W ciemności dusznej komory zostały nocne myśli, w Mieszku wstawała ochota do łowów. Gdy pęd zagwiżdże w uszach, na żadne inne nie ma miejsca, jak tylko by dognać uchodzący łup, a gdy wieczorem zajdzie do matki i żony, nie będzie musiał głowić się, o czym mówić, by się z troską nie wydać. Żona ongiś prosiła go, by ją zabrał na łowy, dotychczas nie mógł spełnić jej życzenia, ale Eudoksja chętnie o nich słucha. Może następnej zimy będą mogli jechać razem. Beztroska rozochoczonej gromady była zaraźliwa, po raz pierwszy od powrotu z Poznania Mieszko jaśniej pomyślał o przyszłości.

Wśród śmiechów i przekomarzań łowcy wysypali się na dziedziniec, dosiedli koni i zjehawszy ze wzgórza puścili się w cwał, tak że szczwacze z psiarnią zostali daleko w tyle. Dopiero gdy konie dymić zaczęły w mroźnym powietrzu, królewicz powściągnął swego i jechali stępą, póki nie dociągnęła zdyszana sfora, i razem już zmierzali ku wyłaniającej się na nieboskłonie poszarpanej linii borów. Dotarłszy zatrzymali się na skraju, a spuszczone ze smyczy psy z miejsca pognały i mimo że las był nie podszyty, zaraz stracili je z oczu. Przez dłuższą chwilę w napiętej ciszy nasłuchiwali. Wprawne ogary winny naprowadzić zwierza na łowców, ale gdy wreszcie gdzieś w oddali zagłosił pies, jak na «210»

hasło ruszyli w bór. Po pierwszym odezwały się inne, psi jazgot zbliżał się ł zwielokrotnionym echem zdał się wypełniać cały las, ale utknął w miejscu. Widno psy osaczyły zwierza.

Teraz łowcy ruszyli w skok, na ile pozwalały wiatrołomy i wykroty. Ani chybi psy trzymają odyńca, trzeba go skłuć co prędzej, by ich nie pokaleczył.

Zanim jednak wypadli na łysinkę i ujrzeli zwierza, ponad ujadanie psiej czeredy wybił się przeraźliwy skowyt. Na czarnym cielsku ogromnego dzika kłębiły się rozżarte ogary. Dwa uczeły się uszu zwierza i miotał nimi, daremnie usiłując otrząsnąć się z napastników. Jednego natomiast dosięgły widocznie potężne kły, przetrącając mu kręgosłup, bo skowycząc coraz ciszej dźwigał się i przewracał, wlokąc za sobą tylne bezwładne łapy.

Pierwszy dopadł zwierza Przybysław i zeskoczywszy z konia szedł ku niemu z oszczepem. Na widok łowcy ody-niec fuknął groźnie i próbował ruszyć ku niemu, ale unieruchomiły go ogary, a tymczasem

nadbiegł jeden z psiar-ków i stracił czepiające się uszu zwierza psy. Przybysław z rozmachem pchnął oszczepem pod łopatkę. Dzik przysiadł, jeszcze usiłował wstać, ale psy znowu rzuciły się na niego i obaliły. Przez chwilę kopał racicami śnieg, tocząc z pyska krwawą pianę, ale wkrótce uspokoił się, a tymczasem dociągnęli towarzysze i oglądali łup.

Psiarkowie wzięli sforę na smycz, psi harmider ucichł, łowcy jęli patroszyć dzika i sporządzać płozy, zbyt ciężki bowiem był, by można go załadować na konia.

Mieszko jednak nie patrzył na dzika, ale na jego ofiarę. Pies był stracony i jeden z psiarków szedł ku niemu z nożem, by skrócić jego cierpienia. W oczach biednego zwierzęcia widniało przerażenie. Mieszko odwrócił się i odszedł na bok czekając, kiedy towarzysze skończą swe zajęcia. Łowy na dzika nie były bezpieczne, psy często padały ich ofiarą, ale Mieszko myślał o tym, że wieczorem, opowiadając małżonce swe przygody, zmuszony będzie zataić ten wypadek.

Doszka znała i lubiła psy, wiadomość byłaby jej przykra, a przestrzegano go, by ciężarnej niewieście oszczędzać nie miłych wrażeń. I jemu przeszła ochota do łowów, natomiast towarzysze zgola nie przejęli się stratą, a mniej jeszcze psy. Jeni łowcy ruszyli z miejsca i puszczone je ze smyczy, ochotnie pognęły w las za nowym przewodnikiem.

Mimo że dzień był krótki, Mieszkowi dłużył się, nie chciał jednak psuć towarzyszom rozrywki. Psy znowu zagłosiły zwierza, ale gon oddalał się. Widno ruszyły jelenia, którego nie tak łatwo osaczyć jak dzika. Łowcy popędzili przeto konie, Mieszko jednak bez pośpiechu nadażał za nimi po śladach, aż odgłosy łowów ucichły w oddali. Pozostał sam i ciszę leśną mącił tylko chrzęst zmarzłego śniegu pod kopytami jego konia. Jechał dość długo, nasłuchując, ale dzień miał się już ku schyłkowi, przeświecające przez bezlistne gałęzie blade niebo poróżowiło od zorzy zachodzącego słońca. Wkrótce zapadnie zmrok, czy łowcy dopadli zwierza, czy nie, będą musieli skończyć łowy. Mieszko zawrócił konia i z wolna zdążył z powrotem, czekając na towarzyszy. W lesie zapanował już szary półmrok, na niebie wyroiły się gwiazdy, gdy wreszcie posłyszał głosy wracających. Doszli go, zanim wyjechał na łęgi nadwiślane, i gromadą już wracali na gród. Brał siarczysty mróz, para oddechów osiadała na odzieży i sierści zegnanych koni, zziębnięte i głodne psy, które niewiele pożywiły się wnętrznościami dzika, wlekły się noga za nogą, łowcy również myśleli o wieczery w cieplej izbie i milkli w miarę, jak ziąb przenikać zaczął zgrzane ciała. Gdy wreszcie konie, poczuwszy bliskość stajni, ruszyły raźniej, Mieszko polecił jednemu z psiarków pozostać ze sforą, drugiego zaś pchnął przodem z poleceniem zawiadomienia królowej, że wraca i po wieczery zajdzie do babinca.

Tylko z konia zsiadłszy szedł do świetlicy wraz z Przybysławem Sreniawitą, nie czekając na pozostałych towarzyszy. Przemarznięty był i głodny, ale przede wszystkim odczuwał pragnienie. Na kominie płonęły smolne szczapy, sto«212»

ły zastawione były naczyniem, dzbanami z piwem i kamionkami z miodem. Zrzucili futrzane szuby i gdy Przybysław rozcierał przed kominem zgrabiałe ręce, Mieszko usiadł przy swym nakryciu i nalewał piwa w kubek.

— Nie pij na czczo — odezwał się Przybysław — a chcesz się rozgrzać, radziej miodu się napij, nie zimnego piwka na pusty żywot. Najlepiej zasię poczekaj, wraz przyniosą wieczere.

— Kiedy pić mi się chce, a na jadło czekać trzeba — odparł Mieszko. — Wychylił kubek, raz jeszcze nalał i wypił, a tymczasem wchodzili już towarzysze rozsiadając się na zwyczajnych miejscach. Zaraz za nimi zjawili się podku-cheiini, niosąc kosze z chlebem i misy z mięsiwem.

Piwo istotnie było zimne, aż dreszcz przeszedł królewicza. Może dlatego zdało mu się, że ma dziwny smak, ale pragnienie ugasił i wziął się do potraw. Zgłodniała gromada również pożywiła się chciwie, rozmawiając z ożywieniem, Mieszka natomiast, choć przed chwilą odczuwał głód, odrzuciło od jadła. Zrazu ledwo wyczuwalny we wnętrznościach ból wzmagął się, przechodząc w mdłości. Przestał jeść i zwrócił się do siedzącego obok Przybysława, mówiąc cicho:

— Coś ci mi niedobrze. Pójdę spocząć.

— Wždy mówiłem, byś nie pił zimnego piwka, póki się nie pożywisz — odparł Przybysław. — Może cię odprowadzić?

— Nie trzeba. Sam znajdę, a ty ostań, by nie myśleli, że coś się stało. Gdyby pytali, rzeknij, iżem poszedł do niewiast.

Aie nie myślał o tym, że czekają na niego. Zaraz za drzwiami zrzucił wszystko, co zjadł; w głowie miał zamęt, czarne i czerwone platy latały mu przed oczyma, serce tłukło się, jakby wyskoczyć chciało z piersi, a ból stał się tak nieznośny, że zgięty wpół, czepiając się ścian, resztką świadomości dotarł do swej komory, jak stał rzucił się na łożo i stracił przytomność.

«213»

Powrót łowieckiej drużyny zmaćcił senną już ciszę grodu. Wyszesała z ulgą słuchała dochodzących z dziedzińca odgłosów. Pomna przestróg świekry, nie chciała Mieszka krępować, tym razem jednak z trudem powstrzymywała się, by go nie prosić o poniechanie łowów. Wiedziała, że na łowcę czyha. niejedno niebezpieczeństwo. Niejasne jego przeczucie dręczyło ją od rana, a niepokój musiała ukrywać przed synową, która znowu poczuła się gorzej. Ale Mieszko wraca, zgłodniały musi być i przemarznięty. Doszły ją odgłosy z świetlicy, teraz biesiaduje z towarzyszami, ale długo wieczerzać nie będą. Po dniu spędzonym na mrozie wszyscy znużeni muszą być i senni.

Pora uczyniła się późna, Eudoksja zasnęła już, Wyszesała jednak czekała na syna. Nasłuchiwała, aż znowu zapanowała cisza. Zapowiedział, że przyjdzie po wieczerzy, powinien nadejść każdej chwili.

Ale nie nadchodził. Wyszesała znowu ogarniała niepokój. Zrazu starała się go opanować, może Mieszko zbyt znużony był i odwiedziny odłożył do rana lub sądzi, że matka i żona śpią już. Królowa czuła jednak, że nie zaśnie, póki nie zobaczy syna. Jeżeli śpi, nie będzie go budziła, rzuci tylko okiem, a potem może już spocząć. Ujęła oliwny kaganek i wyszła.

Przez długą i ciemną sień zmierzała do męskiej części zamku. Choć w świetlicy dawno już ucichło, zajrzała do niej po drodze. Nie było w niej nikogo, widno nawet służba spać poszła, bo na stołach stały jeszcze naczynia z resztkami biesiady. Ruszyła dalej i zatrzymała się przed drzwiami komory, w której sypiał Mieszko. Uchylone były, wewnątrz panowała ciemność. Lękała się, że światło obudzi śpiącego i przez chwilę stała nasłuchując. W głuchej ciszy powinna usłyszeć jego oddech, ale nie słyszała nic. Otworzyła drzwi i weszła.

Mieszko leżał w odzieży niemal w poprzek łoża, tak że jedna noga zwisała na podłogę. Królowa postawiła kaganek na ziemi i ostrożnie usiłowała ułożyć syna wygodniej.

Zauważyła przy tym, że nie zdjął nawet cizem, i zaniepokoiła się znowu. Coś złego musiało mu się przytrafić na łowach, dlatego nie przyszedł. Podjęła kaganek i ze zdziwieniem ujrzała, że oczy ma półotwarte, bo w czarnych niemal zrenicach odbił się blask światła.

— Mieszku — szepnęła myśląc, że się budzi, ale gdy się nie odezwał, poświeciła na twarz. Szara była, poźółkły nos wyciągnięty, a nie widzące oczy patrzyły poprzez nią w nieskończoność.

— Mieszku! — krzyknęła potrząsając bezwładnym ciałem. Jeszcze nie chciała uwierzyć w straszną prawdę i powtarzała wołanie coraz głośniejsze, jakby go dojść mogło tam, skąd się nie wraca.

W ciszy nocej rozpaczliwy głos Wyszesały rozległ się po całym zamku, wyrывая wszystkich ze snu. Szklane gomółki i błony w oknach rozjaśniały się światłem, gwar zmieszanych głosów zwrócił uwagę straży i wkrótce cały gród był na nogach, a przy mostku koło bramy gromadził się tłum, niespokojnie dopytując, co zaszło.

Ruch obudził również biskupa Lamberta. Przez chwilę nasłuchiwał, gdy rozległo się pukanie i służebny kleryk me czekając na przyzwolenie wpadł do izby, wołając w podnieceniu :

— Coś ci się stało na zamku. Pono królewic zachorzał. Lambert zerwał się zaniepokojony:

— Biegaj po wilebnego kanonika Waclawa — rzucił — niechaj nie. mieszkając tam przychodzi, może trzeba będzie jego pomocy.

Sam rozgrzebał żar na kominie i przy jego świetle ubierał się pospiesznie. Nie mógł zrozumieć, skąd to nagłe zasłabnięcie tego, dwudziestoletniego młodziana. Wiedział, że rankiem wyruszył na łowy, zdrów przeto być musiał, słyszał wieczorem wesoły gwar powracających łowców, przeto i na łowach nie mogło się nic złego przydarzyć.

Pod bramą zamkową podniecony tłum czekał na wieści. Gdy biskup dotarł do niej, zastał już kanonika Waclawa «215»

Toporczyka i razem przepychali się ku wejściu. Mroczna sień również zatłoczona była, tylko na jej krańcu widniało światło. Rozpaczliwe wołanie Wyszesały już ucichło, słyhać było tylko szmer tłumy i szlochanie niewiast. Gdy biskup z kanonikiem z trudem docisnęli się do sypialnej komory, przez otwarte drzwi w świetle płonących w kunach głów i kaganków ujrzeli kilka dworskich niewiast, bezradnie stojących koło królowej. Klęczała przy łożu, rękoma obejmując leżącego, z twarzą ukrytą na jego piersi. Kanonik odsunął zapłakane dworki gestem nakazując im, by pomogły wstać królowej, sam jednak pomagać musiał, bo nie mogły dźwignąć bezwładnej. Ujawszy kaganek pochylił się nad leżącym i rozumiał, że wszelka pomoc jest już spóźniona. Przyłożył jednak ucho do piersi Mieszka, ale głucha była; szepcząc pacierze przeżegnał się i zamknął mu półotwarte powieki.

Na ten widok niewiasty wszczęły głośny lament, ale biskup surowym gestem palec położył na ustach, wskazując na królową, która siedziała z zamkniętymi oczyma, i powiedział półgłosem:

— Jedna niechaj czuwa przy miłościwej pani. Gdyby trzeba było, będziemy w sąsiedniej izbie. Wyszedłszy zwrócił się do obecnych, którzy czekali na wieści:

— Królewic nie żywie. Nic tu po was. Módlcie się o zbawienie jego duszy, a rano odprawię msze na tę intencję.

Tłum rozchodził się z wolna, zamek zaległa cisza, ale biskup wiedział, że tej nocy nikt na grodzie spać nie będzie. Sam również czuł, że nie zaśnie. Nieszczęście zbyt było nagłe, by ogarnąć wszystkie jego skutki. Siedzieli wraz z kanonikiem Waławem w milczeniu, zajęci własnymi myślami. Lambert, sam wstrząśnięty, rozumiał, czym dla Wyszesławy jest śmierć Mieszka; zgasł jedyny jasny promyk w jej nieszczęśliwym życiu, nie ma słów, które mogłyby ją pocieszyć. Na myśl przyszło mu jednak, że królowa oczekuje wnuka. Jeżeli urodzi się szczęśliwie, może choć w części «216» wypełni pustkę powstałą po stracie jej jedyne go syna. Byle przeżyła tych kilka miesięcy do rozwiązania Eudoksji.

Na myśl o tym zaniepokoił się znowu. Jak zawiadomić ciężarną niewiastę, że została wdową, by nagły wstrząs jej nie zaszkodził. I dla niej jest to grom, który zburzył jej życie.

Jeszcze głowił się nad tym, gdy z zadumy wyrwał go krzyk. Zrazu sądził, że to królowa znowu głośno rozpaczać zaczyna, ale w tej chwili posłyszał tupot szybkich kroków i do izby wpadła piastunka Eudoksji, Mścislawa, wołając:

— Młoda pani zleżała!

Lambert zerwał się. Zaszło to, czego się obawiał, ale trudno było przypuścić, że Eudoksja jeszcze nie wie o śmierci małżonka. Zwrócił się do kanonika:

— Pójdź, bracie, do niej. Może wydolisz coś pomóc.

— To niewieścia sprawa — odparł Waław, ale wyszedł, a biskup zatroskany chodzić jął po izbie czekając, co jeszcze zajdzie tej strasznej nocy.

Zdała się nie mieć końca, jakby słońce już nigdy wzejść nie miało. Błony w oknach wreszcie poszarzały, gdy do izby wszedł kanonik Waław i nie czekając na zapytanie rzekł:

— Bóg karze zbrodnie do czwartego pokolenia J. Ale takowego nie będzie. Eudoksja poroniła. Spełniło się proroctwo świątobliwego Stanisława, szczęło Bolesławowe potomstwo.

Rozdrażnienie Lamberta przeszło w gniew. Odparł ostro:

— Nie wierę, by to Boża sprawiedliwość posięgła niczemu niewinne niewiasty.

Nagła śmierć tegie go młodzieńca, który nigdy nie chorował, budziła w nim podejrzenie. Jakby mimo woli dodał:

— Hic fecit, cui prodest.

1 Jana Długosza Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego 2 Hic fecit, cui prodest — ten uczynił, komu korzyść «217»

Kanonik zrozumiał, co Lambert ma na myśli, i sam widocznie miał wątpliwości, bo patrząc znacząco na biskupa odparł:

— Jeśli i tak, lepiej o tym nie prawić. Pospółstwo miłowało królewica, niechaj wierzy, że to palec Boży go poraził, inaczej wzburzyć się może. Bywają i gęsta Dei per dia-bolum t.

Biskup zadumał się chmurnie. Kanonik Waław jest ro-dowcem Sieciecha. Dla palatyna iście lepiej, by uwierzono, że to Stanisławowe przekleństwo zgładziło pokolenie jego zabójcy. Ale tego, co się stało, nic już nie odmieni, zamęt w kraju nikomu nie wyjdzie na dobro. Jeśli popełniono zbrodnię, niechaj Boża sprawiedliwość domierzy kary. Wstał i powiedział:

— Pójdźmy! Nic tu po nas. Ofiarę odprawię za skrócenie męk czyścicowych nieszczęsne go królewica, bo bez sakramentów śmierć go pościgła. A potem czas spocząć.

— Miłościwego pana uwiadomić by należało o tym, co zaszło — powiedział kanonik, ale Lambert odparł niechętnie:

— Nie nasza sprawa. Dowie się bez nas.

Myślał o tym, że jeśli Mieszko istotnie został otruty, nie mogło się to stać bez wiedzy, jeżeli nie bez przyzwolenia księcia. Dla niego śmierć Mieszka była usunięciem niebezpiecznego współzawodnika, nie czekać, by ukarał sprawców.

Podejrzenie zamieniłoby się w pewność, gdyby wiedział, że w nocy z Okołu wyruszył goniec i pognął do Morawicy z wieścią o wypadkach. Ale jeszcze nie był ich kres. Gdy wraz z kanonikiem zmierzali do kapitulne go budynku, do Waława przypadł pacholek wołając:

••• Zechciejcie, wielebny panie, zająć do drużynników na podgrodzie.

— Co się stało? — zapytał kanonik, a pacholek mówił podniecony:

1 gęsta Dei per diabolum — dzieła Boże przez diabła — Nie wiem. Urok lubo zaraza. Z wieczora przyszli, zdało mi się, że spici, jako już nieraz bywało, i w przy-odziewie spać się pokładli. Gdyśmy ich z rana budzić chcieli, by uwiadomić, że królewic zmarł, mało który oczy ozwarł i śpią dalej, a pan Przybysław zda się dochodzi, bo jakoby już stygnął.

Kanonik szybko odszedł z pachołkiem. Lambert zatroskany czekał w swej izbie na jego powrót. Jeżeli śmierć skosi dalsze ofiary, nikt nie uwierzy, że to kara Boża za zabójstwo Stanisława. Mieszkowi druzynnicy nie przyłożyli do niego ręki; synowie możnych, a nieprzyjaznych palaty-nowi rodów, które pomsty szukać będą za ich skrytobójczą zagładę. Jeżeli dołączy się do nich pospólstwo, wszelki ład zostanie zburzony. Nie ma Mieszka, by objąć mógł władzę, a bezrząd to ostateczny upadek; Odnowiciel nie zjawi się po raz wtóry. Od bram dochodziły odgłosy gromadzących się z osad i podgrodzi wzburzonych tłumów, którym straż wzbraniała dostępu na gród. Wieść o wypadkach niewątpliwie rozlewa się już po kraju, rozruch wszczęty tu stać się może iskrą, która rozplomień! tlejący i bez tego żar.

Po nie przespanej nocy Lambert wyczerpany był, niezdolny zebrać myśli, jak zapobiec skutkom opłakanych wypadków. Postanowił naradzić się z kapitułą i wysłał kleroika, by polecił kanonikom zebrać się w refektarzu, sam jednak czekał na powrót Waclawa. Wiele zależy od tego, czy uda mu się utrzymać chorych przy życiu.

O to uczuł się spokojniejszy, gdy Waclaw nadszedłszy oznajmił:

— Poniektórzy budzą się już. Zleciłem poić ich podma-ślem, by zrzucili, co pożyli szkodliwego. Jeno Przybysław cienko przedzie, a nijak mu co zadać, bo nie przełknie. Ale serce jeszcze bije, choć utyka. Jeśli go zrazu jady nie zmogły, może przetrzyma, bo młody jest i tęgi. Ninie gorącym piaskiem go okładają, a reszta w Bożych rękach.

— Pójdźmy uradzić z braćmi nad Mieszkowym pogrzebieniem — powiedział Lambert, Waclaw jednak odparł:

— Raniej zaradzić trzeba z pospólstwem. Burzy się, że go na gród puszczać nie chcą. Poniektórzy poduszczają, by bramę łamać, bo się tu coś nieszczerego dzieje. Gdy się raz zacznie, nie wiada, na czym skończy.

— Tedy znajdę ku nim, a ty zaczekaj, bracie, w refektarzu.

Poruszenie było i na grodzie, nikt nie brał się do zwyczajnych zajęć. Pod bramą szumiał wzburzony tłum, ale gdy na wyżce ukazał się biskup i podniósł rękę na znak, że chce przemówić, gwar przygasł, a on zaczął:

— Śmierć zabrała królewica. Miły był Bogu i ludziom, ale najmilszy swej nieszczęsnej macierzy. Bolejemy wszyscy nad tym, co się stało, ale nasza boleść niczym wobec jej boleści. Uszanujcie ją, skoro niczym obelżyć jej nie można. Nam łacniej podtulić się przed wolą Bożą, bez której włos z głowy człeka nie spadnie. Widno nie było jej, by królewic ziemską koroną skronie swe ozdobił, módlmy się, by Bóg niebieską zacny jego, choć krótki żywot nagroził. Wraz ofiarę odprawię za duszy jego zbawienie, wszystkich was wzywam, byście w spokoju i powadze modły swe do moich dołączyli. Bramy niecham otworzyć, by każdemu dane było wziąć udział w żalobnym nabożeństwie, pośle zasię rozejdźcie się, byście nieprzemyślnym poczynaniem żaloby miłościwej pani nie zakłócili. Każden też ostatnia cześć będzie mógł oddać nieodżałowanemu królewicowi, gdy zrok pogrzebienia ustalony zostanie.

Skinął na dziesiątnika i przez otwartą bramę ponury tłum wlewać się jął na dziedziniec i tylko szlochanie niewiast słycać było.

Narada kapituły trwała krótko, bo Lambert spieszył się do kościoła, a nie można było ustalić dnia pogrzebowych obrzędów bez porozumienia z królową. Gdy biskup zaczął o tym, proboszcz Bogufał Poraj wtrącił:

—• Nijak nam na nie czekać. Byłem u miłościwej pani, ni słowa z niej nie wydobędzie. Obląpiła synowe zwłoki, oderwać się od nich nie zwała. Wždy ich społem na marach nie ułożym. Dworki ani wiedzą, co poczynać.

«220»

— Tedy niechaj panią ostawią w pokoju — rzekł biskup. — Osłabnie lubo zaśnie, będzie można królewica przenieść do kościoła. Ninie pójdźmy tam ofiarę odprawić, by się pospólstwo znowu burzyć nie poczęło. Jeden z braci niechaj do dziekana Mikołaja poskoczy, widno nie wie jeszcze, co zaszło, skoro nie przybył. Spowiednikiem był królowej, ufność żywi do niego. Może wydoli ją nakłonić, by się poddała woli Bożej.

Sędziwy kanonik istotnie nie wiedział jeszcze o wypadkach. Po bezsennej nocy, usnąwszy nad ranem, obudził się późno i daremnie wołał służebnego kłeryka, by pomógł mu przyodziać się. Dotychczas nie zdarzyło się nigdy, by ten z gotowym śniadaniem nie czekał na wezwanie. Kanonik z trudem dźwignął się z łoża i pokręconymi przez gościec rękoma odział się i wyszedł do świetlicy. Kłeryk dawno musiał odejść, bo w izbie panował ziąb, żar na kominie ledwo już przeświecał spod popiołu. Mikołaj usiadł przed nim zmęczony i grzejąc zziębnięte dłonie zatopił się w gorzkiej zadumie. Sam sobie jest ciężarem, do którego dźwignania brak mu sił. Nikomu już niepotrzebny, biskup nie wzywa go na zebrania kapituły, wiedząc, że starcowi trudno się piąć na gród. Obcy świat, nowi ludzie, rzadko kto odwiedzi samotnika, najczęściej jeszcze królewic, ale i on od powrotu z pogrzebu Dobronegi dwa razy jeno pokazał się. Trzeba nawyknąć do ostatecznej samotności grobu.

Z smutnej zadumy wyrwał Mikołaja odgłos szybkich kroków, ale miast spodziewanego kłeryka do izby wszedł najmłodszy z kapituły kanonik Dersław Turzymą ze Szczepa-nowa. Podniecony musiał być, bo nie pozdrowiwszy nawet starca powiedział:

— Pan biskup prosi waszą wielbność, byście do królowej Wyszesaławy zająć zechcieli.

Widząc, że Mikołaj zaskoczony jest niespodziewanym wezwaniem, zapytał:

— Zali wam jeszcze nie wiadomo, co w nocy zaszło na grodzie? Ziściło się proroctwo świątobliwego Stanisława. Królewic zmarł, małżonka jego poroniła. Królowa jakoby bez zmysłów, nijak się z nią dogadać, a o pogrzebieniu Mieszka postanowić trzeba.

Patrzył ze zdziwieniem na Mikołaja, który tylko oczy przymknął i siedział nieporuszony, jakby nie słyszał lub nie rozumiał. Dersław powtórzył:

— Królewic nie żywie. Zajdźcie do miłościwej pani. Może was posłuchnie i zwoli zwłoki zabrać do kościoła.

Mikołaj jednak rozumiał, bo przez chwilę bezgłośnie poruszał wargami, jakby się modlił, po czym dźwignął się z trudem i rzekł:

— Pójdźmy!

Ujął kostur i wyszli. Gromady ludzi ciągnęły na Wawel, dziedziniec .głowa przy głowie wypełniała cizba, której ni części pomieścić nie mogło szczupłe wnętrze kościoła Sw. Michała, w którym biskup odprawiał żałobne nabożeństwo.

Zamek natomiast jakby zaraza, wymiotła. W długiej, półmroczonej sieni nie było widać nikogo. Tylko na jej krańcu słaby odbłask płomienia zdradzał czyjąś obecność. Światło padało przez otwarte drzwi komory, w której zwykł sypiać Mieszko. Podeszedszy, Mikołaj ujrzał zapłakane niewiasty stojące koło królowej. Współleżała przy zwłokach, obejmując je ramieniem. Twarzy jej widać nie było, jeno jasny włos bez czepca, rozrzucony na piersi Mieszka. Mikołaj skinieniem wskazał dworkom drzwi, a gdy wyszły, zamknął je i półgłosem rozpoczął modlitwę za zmarłych. Wyszesaława nie poruszyła się nawet, gdy skończywszy rękę położył na jej głowie. Nie był pewny, czy pograżona w rozpacz zdaje sobie sprawę, co się dokoła niej dzieje, ale po chwili zaczął:

— Posłuchaj mnie! Chrystus zmarłych grześć przykazał. Niechaj ta ziemia, którą syn twój umiłował, matczynym łonem go przytuli, jako i każdego z nas, gdy spodoba się «222»

Bogu powołać go do siebie. Darmo przeciw ościeniowi wierząć.

Czekał przez dłuższą chwilę, ale Wyszesaława nie podniosła głowy, jeno ręka jej obejmująca zwłoki przygarnęła je silniej. Ledwo widoczny ten ruch aż nazbyt był wymowny. Świadczył też jednak, że królowa słyszy i rozumie, ale nie chce oddać tego, co jeszcze pozostało z jej miłości.

Mikołaj usiadł i zadumał się bezradnie. Nie ma słów, które mogłyby pogodzić zrozpaczoną matkę ze stratą. Latami żyła w trwodze o syna, od chwili gdy Stanisław przeklął Bolesławowe pokolenie. Mikołaj karcił jej przesadną wiarę w uroki, a teraz nijak ją przekonać, że nie pomsta z za grobu ni Boża sprawiedliwość, ale złość ludzka wtrąciła ją na dno nieszczęścia. Jedno pewne, że to pycha obydwu przeciwników, którą sami życiem przypłacili, rozpętała zło, które szerzy się jak zaraza i nie widać jej kresu. Nie ostatnią ofiarą jest królowa.

— Pomyśl o swej niewiastce, moja córko — powiedział cicho. — Ją w zaraniu żywota pościgo równe twemu nieszczęście, łącniej wam we dwie udźwignąć pospólne brzemie. Pomóż jej, póki cię Bóg od tego nie zwolni. Gdy ty odejdziesz, sama je dźwigać będzie musiała.

Wyszesaława podniosła głowę, ale opuściła ją znowu, a Mikołaj dodał: —• Pomnij też, że była większa niżli wasza boleść...

— Nie! — wysilonym szeptem przerwała królowa, ale Mikołaj ciągnął:

— Bożej Matki, gdy patrzeć musiała na długie konanie w męce swego Syna.

Królowa znowu uniosła głowę, puściła zwłoki i twarz ukryła w dłoniach. Mikołaj sądził, że znajdzie ulgę we łzach, ale miast tego usłyszał szept:

— Ale Jej Syn zmartwychwstał.

— Wszystkim nam Chrystus ofiarą swego żywota zapewnił zmartwychwstanie. I ty odnajdziesz syna swego w wieczystej szczęśliwości, gdzie nie sięga złość ludzka, niena«223»
wiść i zdrada. A ninie oddaj zewłok jego /tej ziemi, która wraz z tobą nad nim płacze.

Ale królowa nie płakała. Usiłowała wstać i bezsilnie opadła na kolana. Mikołaj otworzył drzwi i do czekających pod nimi niewiast powiedział cicho:

— Zabierzcie panią i na sen jej dać. Jedna zajdzie do pana biskupa, niechaj świątników przyśle, by obmyli i przybrali królewica na poślednią drogę.

Kanoniczek pozostał sam przy zwłokach. Z trudem opuścił się na kolana i zatopił w modlitwie. Modlił się o rychłą śmierć Wyszesaławy i własną.

Biskup Lambert odetchnął z ulgą, gdy przysłana przez Mikołaja niewiasta zawiadomiła go, że królowa zezwoliła zabrać Mieszkowe zwłoki. Póki nie spoczną w grobie, przygotowanym pod południową ścianą nowej katedry, nikt nie zdoła przywrócić zakłóconego ładu na grodzie ni opanować przelewających się przezeń tłumów. Po żałobnym nabożeństwie miast rzędnać, jeszcze gęstniały. Wieść o śmierci królewicza rozlewała się już po kraju, do Krakowa mimo zimowej pory i nadchodzących Godów ścigały wzburzone i rozżalone gromady z coraz dalszych stron. Takiego poruszenia nie wywołała nawet śmierć umiłowanego Odnowiciela. Mieszko lubiany był powszechnie, ale rozgoryczenie, jakie odczuć się dało zwłaszcza wśród pospólstwa, świadczyło, że wiązało ono z nim nadzieję, a zawiedzione, skłonne będzie szukać winowajców jego nagłej śmierci. Przy wystawionych w rzeźnię oświetlonym kościele zwłokach bezustannie przepływał zrozpaczony tłum, nie pozwalając zamknąć świątyni, mimo że noc już zapadła, a strażników, którzy próbowali powstrzymać napływającą nieustannie falę ludzką, omal nie pobito. Drugą już noc trudno było na grodzie zmrużyć oczy, nie było spokoju w przepelnionych nad wszelką miarę podgrodziu i podmiejskich osadach, mimo mrozu obozowano pod namiotami przy ogniskach, ni«224»

czym obłąkane wojska. Trudno było przewidzieć, co poczną rozżalone gromady, zwłaszcza że nagła śmierć zdrowego młodzieńca musiała budzić podejrzenia, a jego pogrzeb może stać się iskrą, która roznieci tlejący już bunt.

Sam Lambert nie miał wątpliwości, że Mieszko został otruty. Świadczyła o tym nie tylko jego śmierć, ale i ciężka choroba kilku jego towarzyszy, którzy po powrocie z łowów wraz z nim ucztowali. Łacno też było domyśleć się, kto był właściwym sprawcą, ale nie było ani dowodów, ani sądu, który mógłby wymierzyć sprawiedliwość. Niczego by to zresztą nie odmieniło, natomiast gdyby wzburzony tłum na własną rękę zaczął 'dochodzić sprawiedliwości, będzie szukał ofiar, a nie dowodów, a raz wyszedłszy z karności, zrzucić zechce wszelką władzę.

Teraz jednak przeważał żal za Mieszkiem i współczucie dla jego nieszczęsnej matki, niemniej sama obecność wciąż rosnących tłumów, nad którymi już nikt nie panował, stanowiła niebezpieczeństwo i biskup ponaglał przygotowania do pogrzebu, by przynajmniej z Krakowa pozbyć się gromad, zakłócających życie w grodzie.

Wyznaczony na żałobne uroczystości dzień wstał mroczny, mróz zelzał i prószył wilgotny śnieg. Dostępu na gród nie broniono nikomu, ale bez tego uniemożliwiała go ciżba, wypełniająca dziedziniec, obwarowania, a nawet dachy budynków. Ci, którzy nie zdołali się docisnąć, oblepiali głowa przy głowie dostępnejsze stoki wzgórza. Długo też trwało, zanim Lambert w asyście kapitulnego duchowieństwa zdołał się przedostać do kościoła Świętego Michała i zatrzymał się przy wejściu, czekając na przybycie królowej. Z niepokojem myślał, jak zbolą niewiasta zdoła przedrzeć się przez zwartą ciżbę, która zagradzała drogę.

Gdy jednak przy mostku na fosie ukazał się niewieści orszak, tłum zakotłosał się, czyniąc miejsce. Rozległo się kilka stłumionych okrzyków ludzi gniecionych w ścisku, ale idąca na czele Wyszesaława nawet nie podniosła opuszczonych powiek. Dwie dworki wiodły ją pod ramiona, omal 15 —
Przekleństwo «225»-

włokąc, jak skazańca na kaźń. Bliżej stojące niewiasty na jej widok podniosły lament, ale ona szła jak we śnie, nie widząc i nie słysząc, co się dookoła niej dzieje. Przeszła nie rzuciwszy spojrzenia na Lamberta, który przepuścił ją przed sobą, a doszedłszy do mar opuściła się na klęcznik, pochyloną głowę oparła o pulpit i trwała w bezruchu, podczas gdy biskup rozpoczął żałobne nabożeństwo. Dopiero gdy skończył i świątnicy przystąpili, by zabrać z mar zwłoki Mieszka, dźwignęła się z

klęczek przy pomocy swych niewiast i żałobny orszak z biskupem na czele ruszył do wyjścia. Gdy świątnicy ze zwłokami ukazali się przed kościołem, a za nimi z opuszczoną głową idąca Wyszelsława, podtrzymywana przez dworki, zdać się mogło, iż rozplakało się całe wzgórze, tylko królowa nie uroniła ani jednej łzy, jej sinoblada twarz z zapadniętymi głęboko oczyma • zdała się martwa. Orszak przez bramę w murze odgradzającym dziedziniec od katedralnego cmentarza dotarł do południowego wejścia, koło którego grobowiec z kamiennych płyt czekał na zwłoki, duchowieństwo znowu rozpoczęło żałobne pienia, królowa uklękała. Lambert obawiał się wybuchu jej rozpacz, gdy zwłoki będą składali do grobu, ale nawet wargi jej nie poruszyły się, gdy skończywszy śpiewy biskup wezwał obecnych do modlitwy za dusze zmarłego. Gdy jednak po złożeniu zwłok do grobu rozległ się zgrzyt zasuwanej nad nim kamiennej płyty, Wyszelsława wyciągnęła ramiona i nagle upadła na twarz.

Wszczął się zamęt, niewiasty z płaczem rzuciły się podnosić królową, ale jak martwa leciała im przez ręce. Lambert skinał na świątników, którzy dzwignawszy ją ponieśli do zamku, głośno wołając o miejsce do przerażonego widokiem niesionej tłumy, a za nimi, nie zdjawszy nawet szat pontyfikalnych, z kanonikiem Waclawem, niespokojny i przygnębiony, spieszył biskup. Gdy bezwładną złożono na łożu, sądził, że czeka go następny pogrzeb. Czoło królowej pokryte było zimnym potem, wyciągnięty w wychudłej twarzy nos pozołkły, ramiona, którymi poruszał kanonik Waclaw, by jej przywrócić oddech, opadały bezwładnie. Gdy zapłakanym niewiastom polecił zapalić świecę, sądziły, że to gromnica dla konającej, i uderzyły w głośny lament, ale niecierpliwym ruchem uciszył je i przybliżył płomień do półotwartych ust Wyszelsławy. Gdy płomyk zachybotał lekko, zwrócił się półgłosem do biskupa:

— Jeszcze żywię!

Zgnębiony i wyczerpany Lambert szeptem polecił jednej z niewiast sprowadzić któregoś z kanoników z chryzmatem, by udzielić Wyszelsławie ostatniego namaszczenia, a sam rozpoczął modlitwę za konających. Niewiasty znowu zaczęły szlochać, ale Waclaw skarcił je ostro:

— Za nic wasze ślęzy. Miał płakać, zdejmijcie ciężmy miłościwej pani i rozcierajcie jej nogi.

Sam zaczął rozcierać twarz i skronie królowej, a po dłuższej chwili przyłożył ucho do jej piersi i rzekł:

— Serce już słyhać.

Istotnie, pierś Wyszelsławy poruszyła się lekko. Po chwili odetchnęła głębiej, szare jej wargi poróżowiały i wolno otworzyła powieki. Patrzyła na stojącego nad nią Lamberta, jakby myśli zbierając, po czym znowu przymknęła oczy, a z ust jej wyszedł ledwo dosłyszalny szept:

— Po coście mnie obudzili?! Niechby się i na mnie dokonało Stanisławowe przekleństwo.

Biskup poczuł w gardle ucisk, ale rzekł poważnie:

— Bóg cię zawoła, kiedy Jego wola, ale iinine potrzebna jeś. Pomnij na swą niewiastkę, której nie dane było nawet pożegnać małżonka. Ty jedna jej ostałaś.

— Doszka! — szepnęła królowa i spod jej zmrużonych powiek wypłynęły dwie łzy. Dla siebie już ich nie miała.

W martwej ciszy, jaka zapanowała na grodzie, gdy rozpląły się tłumy zgromadzone na pogrzebie Mieszka, zdało się czaić coś złowróbnego. Mówiono szeptem, jakby lękając się ją zakłócić. Opustoszały też gospody drużyny na podgrodzie, Mieszkowi towarzysze odjechali do swych domów, nawet chorzy, w miarę jak tylko zdadni byli do drogi. Pozostał jedynie Przybysław wraz z bratem, który nie chciał go opuścić, choć widoczne było, że nierychło będzie mógł go zabrać. Niebezpieczeństwo śmierci, zda się, już minęło, ale słaby był tak, że nie mógł nawet mówić. W ciszy też upłynęły święta, nabożeństwa odbyły się w na poły pustym kościele, ale Lambert nie łudził się, by cisza oznaczała uspokojenie. Wstrząs, jaki tu się zaczął, teraz rozchodzi się po kraju, jak fala wodna od ciśniętego kamienia. Srogie mrozy i zawieje, jakie nastały po Godach, hamują tymczasem wszelkie poczynania, ale biskup z troską myślał, co będzie z wiosną. Jeżeli rokosz za życia Mieszka mógł przynieść odmianę, choć kosztem nowych ofiar, to po jego śmierci nic prócz zniszczenia. Czas może ukoić żal za Mieszkim, ale zawiedzione nadzieje mogą też zamienić się w gniew, który nie zwykł kierować się rozsądkiem.

By naradzić się nad położeniem, Lambert zwołał po Godach zebranie kapituły. Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem wzburzonych tłumów i niespokojni o skutki, jakie śmierć Mieszka może wywołać. Lambert nie był przyjacielem Sieciecha, sam podejrzewał go, że do niej ręki przyłożył, ale ni dla kraju, ni dla Kościoła nie było pożądane, by sprawiedliwości domierzało rozpasane pospólstwo.

Gdy zrazu nikt się nie kwapił, by zabrać głos, Lambert wezwał do tego kanonika Waclawa. Jako krewniakowi Sieciecha jemu najbardziej zależeć musiało, by głos powszechny nie obciążał palatyna. On stwierdził śmierć Mieszka i leczył jego towarzyszy, z jego zdaniem będą się inni liczyli.

Biskup trafnie przewidywał, Waclaw bowiem zaczął: — Nietajne nam, że judził ktoś pospółstwo poszeptami, iż królewic trucizną zgładzony ostał. Łacnie posłuch mógł na-leżć, bo żal szukać zwykłą winowajcy. Wyznam, że i mnie to na myśl przychodziło, nagła bowiem śmierć człeka najłac-niej w truciznie znajduje wytłumaczenie. Ale spokojniej «228»

sprawę rozważywszy, a z dawna trudniąc się leczeniem, pomnę takowe wypadki, gdy nikomu winy przypisać nie można, jeno zrządzeniu Opatrzności, która choróbskami ludzi karze, a sztuka nasza wbrew woli Bożej bezsilna jest. W tym mniemaniu utwierdza mnie, iż żaden z druhów królewica nie uległ tej chorobie, choć społem ucztowali, a bardziej jeszcze, iż jakoby cudem przywróciliśmy do żywota miłościwą królową, choć od śmierci syna niczego nie pożywała, i sama ona wierzy, iż to palec Boży go poraził. Jeśli przeto o radę chodzi, jak zapobiec oszczerczym posądzeniom, to, co rzekłem, przekazać należy plebanom z poleceniem, by lud swój w tej mierze objaśnili, burzycieli spokoju karami kościelnymi okładali, a opornych świeckiej władzy zdawali do ukarania.

Większość zebranych jęła potakiwać, gdy jednak uciszyło się, Bogufał Poraj podjął:

— Słusznie radzi brat Waclaw, jeno nie zda mi się, by karami można stłumić wrzenie, bo od tego się zaczęło, że ich bez umiaru nie szczędził palatyn i choćby przeto w nim upatrywać będą winowajcę. Plebani niechaj lud oświecają, ale bez nijakiej kaźni, by skutek nie był przeciwny zamierzeniu. Wiary nie wymusi.

Teraz zdania były podzielone, ale gdy biskup wezwał, by rządnie głos zabierano, wstał Dersław Turzyma i zwrócił się wprost do Lamberta:

— Iście nie trzeba kar, skoro najłacniej cuda wywołują wiarę. Zali to nie cud, iż Opatrzność sama zgładziła pokolenie świętokradcy, dopełniając prococtwa waszego błogosławionej pamięci poprzednika? Żywię także jeszcze pamięć cudów, jakich za żywota swego dokonał, niczym Chrystus Pan, Pietrka wskrzeszając. A oto mija dziesięć godów, jak święte jego relikwie w mogile spoczywają, omal zapomnianej, gdyby nie nabożność kilku niewiast, które orędownictwu świętego niejedną łaskę zawdzięczają. Zali to nie wasza powinność wynieść go na ołtarze, a zarazem korzyść, nie jeno dla duszy, bo ukoją się umysły, gdy powszechnie wia«229»

donie się stanie, że zatrata Bolesławowego pokolenia to kara Boża za męczeńską śmierć świętego.

— A dla Turzymów zaszczyt i korzyść świętego mieć w rodzie, skoro innych mu brak — wtrącił Bogufał, ale Lambert uciął:

— Zbyt to ważna i zawila sprawa, byśmy ją tu rozstrzygnąć mogli i nie nad tym radzić mamy. W tym — mniemam — jedni jeśmy, że umysły od szukania winnych Mieszkowej śmierci odwrócić należy, do kar nie sięgając, bo nie wątpić, że palatyn dla własnego bezpieczeństwa sam to uczyni, popleczników znajdując w tych rodach, które przez srogość królewską swojaków potraciły.

W tym, co mówił Dersław, widział Lambert inne jeszcze korzyści, niemniej jednak i niejedna wątpliwość, i dodał:

— Póki żywię królowa, nie dopuszcze, by świętym głoszone człeka, którego ona uważa za sprawcę swej niedoli. Za naigrawanę by to wzięła ze swej boleści. Po omdleniu jeszcze nie odzyskała sił, niedługi żywot ścięła się przed nią, niechaj go dokona w spokoju.

Wyszesława istotnie nie zbierała się do życia. Jakby chcąc uciec od świadomości tego, co się stało, przesyiała całe dni, tak że strapione niewiasty budzić ją musiały, by z trudem nakłonić do pożywienia. Martwa cisza panowała w zamku, męska część stała pustką, w babińcu zakłócały ją tylko niespokojne szepty niewiast krzątających się koło królowej oraz przy położnicy, która również nie opuściła jeszcze łoża. Jednego dnia Wyszesława obudziła się sama. Spojrzenie miała przytomniejsze i wodziła wzrokiem po stojących przy łożu niewiastach, jakby kogoś szukając. W oczach jej zjawił się wyraz niepokoju i zapytała:

— Gdzie Eudoksja?

— Jeszcze się nie dźwiga po przedwczesnym połogu — odparła jedna z niewiast. Wyszesława usiadła z wysiłkiem i rzekła:

— Pomóście mi wstać.

Mimo sprzeciwu dworek zebrała się, by pójść do syno«230»-

wej. Nie widziała jej od dnia śmierci Mieszka, zatopiona w swym bólu zapomniała, że nie ją tylko dotknął cios. Usiadła przy łożu Eudoksji i długo wzajem patrzyły na siebie. Trudno było znaleźć

pierwsze słowa. Zdało się Wy-szesławie, że w ciemnych oczach niewiastki, jeszcze większych w wychudzonej twarzy, prócz żalu dostrzega wyrzut. W niej samej wstał żal do zmarłej świekry, że kazała jej zapomnieć o kłatwie, która ściga każdego, kto się zwiąże z przeklętym. Ostrzegając dziewczynę, ale przed sobą nie mogła zaprzeczyć, że jeno o szczęście syna jej chodziło. Pokochała synową widząc, że je dała Mieszkowi, ale właśnie dlatego nie wolno zatrzymywać jej dla siebie. Życie niewiastki dopiero się zaczęło, może jeszcze znajdzie szczęście gdzie indziej. Powiedziała cicho:

— Uchodź stąd. Tu pleni się jeno zło.

Jakby cień żalostnego uśmiechu zjawił się na wybladłej twarzy Eudoksy, gdy odparła:

— Wždy i kroku o swej sile nie zrobię. Zmora wraz z płodem wysłała ze mnie krew. Cóż mnie jeszcze gorszego spotkać może?

— Pozdrowiejesz. Młoda jeś, żywot przed tobą. Tu miejsce przeklęte i jam przeklęta. To ja rzekłam małżonkowi, że biskup Stanisław zelżył i wygnał jego miłośnicę. Ale musiałam bronić swojej czci niewieściej, by mnie król z Mieszkiem nie rozdzielił. Uchodź, byś i ty mnie kiedyś nie przeklinała.

— Nie, matko! Świadomie przystałam dzielić waszą dole.

Ujęła wychudłą dłoń Wyseslawy i ucałowała ją położyła na swej głowie mówiąc:

— Jedno nam było miłowanie, jedna nam po nim boleść ostała, jeno śmierć nas rozdzieli.

Po powrocie do Płocka Judyta niecierpliwie czekała na wiadomości od Sieciecha. Podróż zimową porą znużyła ją, «231»

na przedwiośniu oczekiwała rozwiązania, chciała być spokojną o los swego potomka. Gdyby przedsięwzięcie chybiło, jego przyszłość będzie niepewna, a niemiły związek z Włodzisławem skończyć się może gorzej jeszcze niż jej pierwsze małżeństwo. Prócz Sieciecha w nikim tu nie ma poparcia, a najmniej w małżonku. Jego niedołęstwu zawdzięcza, że sama troszczyć się musi o przyszłość, nawet przed nim zdradzić nie mogąc przyczyny swego niepokoju. Rozdrażniona i opryskliwa, pod pozorem słabości nie wzięła udziału w świątecznych uroczystościach, z dnia na dzień czekając na wieść.

Traciła już nadzieję, gdy wreszcie przybył posłaniec z wiadomością o wypadkach w Krakowie. Najpoważniejsza groźba została usunięta. Złość jej na męża zmieniła się w pogardliwe lekceważenie, zarazem ciekawa była, jak przyjmie pomyślną wiadomość.

Książę siedział przed kominem grzejąc obolałe nogi, gdy dworka zapowiedziała przybycie Judyty. Włodzisław niezbyt się ucieszył na spotkanie z małżonką. Ostatnio stała się szczególnie uszczypliwa, nie tylko nie współczując jego chorobie, ale drwiąc z jego słabości. Przypisywał to jej stanowi i zmęczeniu podróżą. Do rozwiązania jeszcze z górą dwa miesiące, trzeba je przetrzymać, ale i nowego potomka oczekiwał bez radości. Jeżeli Judyta urodzi syna, Bolkowi przybędzie jeszcze jeden wróg. Zdziwił się ujrawszy małżonkę uśmiechniętą, z oczyma świecącymi podnieceniem. Odetchnął i powiedział:

— Widzę, iżście już odpoczęli po onej nieopatrznej podróży. Wždy mówiłem, że ciężarnym niewiastom doma siedzieć.

—• Iście tak — odparła. — Ale gdy mężowie wylegają się niczym położnice, ciężarne niewiasty muszą za nich za-ladzić, co trzeba.

Przytyk był wyraźny, książę zmarszczył się niechętnie:

— Wždy nie z opieszłości się wyleguję, jeno że nogi mi nie służą. Ani to ważne, ani pilne było zasoby i sprzęt za«232»

wieź Lambertowi, by własną osobą ruszać, gdy załadzić to można przez byle posłańca.

— Ale nie wszystko załadzić można przez byle posłańca — rzekła księżna, a gdy patrzył na nią pytająco, nie •wiedząc, co Judyta ma na myśli, rzuciła niespodzianie:

— Mieszko nie żywię.

Przez dłuższą chwilę książę milczał zaskoczony. Nie trzeba było wyjaśnień, by zrozumieć. Szepnął jak do siebie:

— Miał mój list żelazny, którym mu bezpieczeństwo poręczyłem. Macierz kłatwą mi zagroziła, jeśli go krzywda spotka. Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem.

— Po cóż się Bogiem świadczyć — powiedziała drwiąco — gdy kaźden wie, że sami nigdy i niczego nie zdziałacie. Żeby nie palatyn Sieciech i biskup Stanisław, po dziś dzień na książęcym stolcu ów gwałtownik by siedział. Bardziej wam Bogu i świątobliwemu mężowi dziękować, bo jego to

przekleństwo pościgo Bolesławowe pokolenie. Dopełniło się proctwo i nikto was o to winić nie będzie.

— Jeno czy ludzie uwierzą — powiedział książę niespokojnie. Odparła ze złością:

— Uwierzą lubo nie, nie ma współzawodnika. By uwierzyli, zadba też kto inny, wy zasię możecie sto mszy zakupić za zbawienie duszy Mieszkowej i żałobę ogłosić po umiłowanym bratańcu.

Powszechnej żałoby nie trzeba było nakazywać. Gdzie tylko dotarła wieść o śmierci Mieszka, powszednie życie uległo zakłóceniu. Opłakiwali go nawet ci, którzy znali królewicza tylko ze słyszenia, niewiasty rozżalały się nad nieszczęsnym losem jego matki, a wszyscy nad utratą nadziei, że jak ongiś dziad jego, przywróci świetność kraju, ład i sprawiedliwość, a każdy ochronę znajdzie przed uciskiem i bezprawiem Sieciechowych rządców.

Gdy jednak na poły jeszcze pogański prosty naród, nawykły wierzyć we wróżby i uroki, z łatwością dawał wiarę szerzonym wieściom, że nagła śmierć królewicza była przepowiedzianą przez biskupa Stanisława karą Bożą za «233»

jego krew, możne rody, odsunięte przez palatyna od wpływów i korzyści na rzecz ludzi niskiego stanu, nieskłonne były uwierzyć, że to palec Boży poraził młodzieńca w kwiecie jego lat.

Zawrzało zwłaszcza wśród wywołańców, którzy przed prześladowaniem znaleźli schronienie u wojewody Magnusa Zareby. Śmierć królewicza przekreśliła ich nadzieję rychłego powrotu do swych rodzin i majątności i odwetu na znieawidzonym palatynie. Nikt nie wątpił, że to on ręki przyłożył do śmierci królewicza, uprzedzając zamiar wprowadzenia go na tron. Cel zamierzonego rokoszu został udaremniony, ale w rozjuszeniu gotowi byli poczynać, byle dać upust swej wściekłości.

Wojewoda jednak, choć sam najzawziętszy wróg Sieciecha, rozumiał, że bunt rozpętany bez udziału wielkopolskich możnowładców musi skończyć się klęską. Wiele zależało od tego, co poczną Awdające, i Magnus natychmiast wyruszył do Poznania, by porozumieć się z głową ich rodu, i sędziwym wojewodą Michałem.

Pogłoski o śmierci Mieszka uprzedziły jego przybycie. Wielu nie chciało im dać wiary, niemniej wzbudziły niepokój. Jak na zjazd, z bliższych i dalszych okolic do Poznania przybywało rycerstwo, spodziewając się tu znaleźć ich potwierdzenie lub zaprzeczenie. Wojewoda Michał podejrzewał, że rozpущsza je sam Sieciech, by zamęt wprowadzić w przygotowaniach do rokoszu, o których widocznie mu doniesiono. I w tym wypadku jednak osiągnięcie zamierzonego celu byłoby wątpliwe. Jeżeli zaskoczenie chybi, bunt zamieni się w wojnę domową, której jedynie pewnym wynikiem będzie wyniszczenie i osłabienie kraju.

Gdy Magnus przybył do Poznania, w dworcu wojewody Michała zastał licznie zgromadzonych możnowładców, którzy bezradnie czekali na wieści. Przywiezione przez niego wywołały burzę, posypały się groźby i przekleństwa, ale gdy wojewoda Michał zdołał ją wreszcie uciszyć i wezwał, by się naradzić nad powstałym położeniem, zaległo przynębione milczenie. Jasne było, że cel buntu jest już chybiony. Gdy nikt głosu nie zabierał, wstał Magnus i zaczął rozsierzony:

— Radzić! Ja radziłem, by poczynać nie czekając. Przestrzegałem, że Sieciech zaskoczy się nie da, gdy mu czas ostawić. W ostatku chciałem, by królewic u mnie się schronił, nie pod boki Sieciecha jako w smoczej jamie siedział. I tego odradzono. Nie królewic chciał walkę o władzę poczynać, myśmy go do tego naklonili. Tedy i my winniśmy jego śmierci i pytam, co uczynim, by ją choć pomścić?

Wojewoda Michał słuchał zaniepokojony, zarówno otwartym przypisaniem mu winy zwłoki, jak i wezwaniem do poczynań, które nic dobrego nie wróżyły. Zawód i gniew łatwo mogą do nich popchnąć ludzi, którzy nic nie mają do stracenia, niebacznych, że nie siebie tylko narażą na zgubę. Gdy nikt się do głosu nie kwapił, sam zaczął:

— Wojewoda Magnus rzekł, że dłużniśmy królewicowi pomstę, jako że nie od niego, lecz od nas wyszło, by go na książęcym stolcu osadzić. Alić jego to po rodzicu było dziedzictwo i jego powinność, naszą zasię jeno porę obrać pomyślną. Nie byliśmy w tym jedni, prawda, iż Magnus doradzał poczynać nie mieszkając, i prawda że królewicowi u siebie schronienie ofiarował. Każdy jednakowoż rozumie, że pomyślny wynik byłby pewniejszy z pomocą węgierskiego króla, której on nie wcześniej niż z wiosną mógł udzielić, zasię sarn królewic schronienia się w Wrocławiu odmówił, bo ciężarnej małżonki opuścić nie chciał. Myśmy jeno przytaknęli, bo jawną przestroga byłoby dla palatyna, że coś się sposobi. Tedy nikto Mieszkowej śmierci nie winien, kromie tego, co ją spowodował. Ninie, gdy królewic nie żywie, na węgierską pomoc nam nie liczyć, bo i żadna korzyść węgierskiemu królowi z naszych domowych zamieszek, ni krewniaka zganiać ze stolca, gdy nie ma kogo na nim osadzić. Pomsta królewica nie wskrzesi, macierzy jego ni wdowie łez nie obetrze, ci

zasię, co słuszny swój gniew i żal chcą nasycić, niechaj rozważą, zali nie staną się jeno wodą na Sieciechowy młyn. Sposobność mu będzie i pozór z wrogami się policzyć, mienie ich zagarnąć, a samych wygnać . lub zgubić. Ja ni ród mój tedy do poczynań, które jeno nowych nieszczęść stać się mogą zacznem, ręki nie przyłożym.

Z milczenia, jakie zaległo po przemówieniu Michała, Magnus zmiarkował, że niewielu znalazłby chętnych do natychmiastowych poczynań. Nie chciał też zadzierać z Aw-dańcami, na których udział w sprzyjających okolicznościach liczył. Pohamował rozdrażnienie i zaczął spokojniej:

—• Nikogo nie winuję Mieszkowej śmierci, kromie tego, co ją spowodował, i nie o pomstę jeno idzie. Ślepym być trzeba, by nie miarkować, do czego ów lestek zmierza, sam w cieniu ostając. Onże króla wygnał i ani chybi do jego śmierci ręki przyłożył, cudzej, jako to on zawždy, jak i ni-nie do Mieszkowej. Za Włodzisława się chowa, którego osiodłał, Henrykową siostrzycę mu zaswatał, by sobie cesarskie poparcie zapewnić, i z nią się zwąchał. Z zagrabionego wywołańcom mienia duchowieństwo sobie kupuje, kościoły i klasztory fundując, by głosiło, że Mieszkowa śmierć to kara Boża za krew Stanisława. Ninie, jak wiemy, Judyta oczekuje potomka. Jeśli męskiego urodzi, jemu zechce zapewnić dziedzictwo, Włodzisław nie będzie im już potrzebny, a jego pacholę jeno przeszkodą, którą łatniej usunąć niżli Mieszka. Z Piastowego rodu, z którym los kraju związany, ostanie jeno cesarski pociotek, nie wiada, zali i z kroplą krwi Piastowej, bo nie słynie z cnoty Judyta jako i Włodzisław z męskości, skoro aże cudu było potrzeba, by się Bolko urodził. Wówczas Sieciech imieniem onego pomiotu wszystko już ujmie w garść, może i po to, by sposobną porą w swoim już władzę zagarnąć imieniu.

Ponura przyszłość, jaką przepowiadał Magnus, wzmożła jeszcze uczucie smutku i przygnębienia. Czamkowski Gnie-womir jednak, który w swyrn długim życiu niejednego doświadczył i z widoczną niechęcią słuchał przemówienia, teraz zabrał głos:

«236»

— Radzić mieliśmy, co ninie poczynać, gdy brakło Mieszka. Z tego, co rzekł wojewoda Magnus, zda się, jeno wybór nam służy obiesić się lubo z powrozem na szyi iść do kolan Sieciechowych. Jeśli innej rady nie widzi, niechaj innym serca nie odbiera, zadość uciśnionego. Przyszłości nikt nie zna, ani wie kto, kiedy i gdzie kości złoży, jeno pewne, że naród dłużej żywię niżli człek.

Magnus jednak nie zmieszany odparł:

— Nie do niewiast mówię, co jeno ręce łamiąc czekają Bożego zmiłowania, jeno do mężów, którzy w oczy patrzeć niebezpieczeństwu nawykli, a rozum mają od tego, by je przewidzieć i zapobiec. Mieszka nie wskresim, tedy lutać darmo, ale żywię żrały już Zbygniew...

— Wždy niewzdany 1 jest — rzucił ktoś, ale Magnus ciągnął:

— Każden nam lepszy niżli Sieciech lubo cesarski pociotek. A uzna go Włodzisław, to prawy będzie.

— Ale w mnichy postrzyżony i u Sasów w klasztorze siedzi — wtrącił Dobrogost Nałęcz. Magnus ramionami wzruszył:

— Tym ci lepiej. Nie z dobrej woli mnichem ostał, jeno Sieciech postrzyć go niechał i z kraju wyświecił. Nie będzie on go za to miłował.

Nastrój bezradności pierzchnął, zaczął się pomruk, wojewoda Michał jednak uciszył go, mówiąc:

— Ma kto inną radę, niechaj rządnie wypowie, a nie, to rozważmy, co rzekł wojewoda Magnus. Prawda, że każden wróg Sieciecha naszym sprzymierzeńcem. Przez Zbygniewa można by na Mazowszu i Kujawach, gdzie Sieciech najmocniejszy, i innych pozyskać. Jeno że go w kraju nie masz, a nawet znieść się z nim niełacno, bez książęcego zasię przyzwolenia, a prawdę rzec, Sieciechowego, z klasztoru go nie zwolnią. Nie wiem przeto, zali nie o kozy² niedźwiedzia prawim, jen po lesie chodzi.

1 niewzdany — nieślubny 2 o kozy — o skórze Wojewoda Michał obudził wątpliwości, ale wszyscy z napięciem czekali, co powie Magnus, który odparł:

— Ani mi w myśli książęcia lubo Sieciecha o to prosić, Skoro radzę, to i pomyślałem, jak radę wykonać. Nie brak wywołańców, co przed Sieciechem do Czech uszli, z którymi ja się znoszę. Niech im jeno nadzieja powrotu zaświta, uczynią wszystko, co im przykażę, a u Sasów i łotrów nie brak, co za pieniądze klasztor z ziemią zrównać gotowi, by Zbygniewa wydostać. Tedy mojej trosce to ostawcie, byłem pewny był, że gdy wróci, wszystkich was zyszcze poparcie.

Nie trzeba było głosowania, by poznać, że uchwycono się tej nadziei, ale rozważny Dobrogost znowu zabrał głos:

— Wasza sprawa, że się na kłatwę wystawiacie — zwrócił się do wrocławskiego wojewody. — Łacno się wyda, że to z waszej poręki łotrzy klasztor naszli. Ale by mnicha od ślubów zwolnić, kanonicznego przyzwolenia trzeba, a jakże je zyszcze cię?

Magnus uśmiechnął się beztrasko:

— Każdemu wiadomo, że wielki Mieszko mniszkę z klasztoru porwać niechał, przy czym niejedna ślubowaną czystość straciła. W małżeństwo ją pojął z kościelnym błogosławieństwem, tyle że winę nadaniami odkupić musiał. Stać i mnie, tyle że wedle stawu grobla, bo księżciem nie jeśm. Jedna ma być sprawiedliwość dla wszystkich, a nie, to lekce ją ważyć.

Magnus rozproszył niemrawy nastrój i zebrani jęli się" rozchodzić. Gdy pozostał już tylko sędziwy Gniewomir, wojewoda Michał powiedział w zamyśleniu:

— Mieszko prosty naród miał za sobą. Nie stanie Zbyg-niew za niego, choćby go Magnus wydostał.

— Ale praw jest, że dobry i on, gdy lepszego nie masz — odparł Gniewomir — a lepiej coś działać, niżli ręce łamać.

— Jeno że i Sieciech czekać nie będzie z założonymi rękoma. Jeśli Judyta męskiego potomka urodzi, gotowi zb.yć się i Włodzisława, i jego pacholęcia.

— Ale jeszcze nie urodziła i nie wiada, zali urodzi. Pokąd go nie ma, Włodzisław jest im potrzebny, a Sieciech w działaniu przezorny i niespieszny. Wždy i Mieszka raniej zgładzić mogli, a między sobą możemy rzec, że gdybyśmy go do pochwycenia właści nie nakłonili, może by żył jeszcze. Ale darmo lutać, tego, co się stało, nie odmieni, nawet po Chrobrym skończyła się żałoba. Jeno dla Wyszestławy skończy się wraz z żywotem.

Przewidywania doświadczonego starca sprawdziły się. Sroga i śnieżna zima, a potem wczesny i ciężki przednówek zmuszały o życiu myśleć, a nie o śmierci. Marcowe roztopy zamieniły zwały i zasy śniegu w grząską maź, bagna rozkisły, potoki wystąpiły 2 brzegów, drogi stały się nieprzebyte. Bez koniecznej potrzeby nikt nie ruszył z domu, nieprędko też rozchodziły się wieści i nie było tłumów na pogrzebie Wyszestławy.

Od dnia śmierci Mieszka królowa gasła widocznie. Często zdała się nie słyszeć i nie dostrzegać, co się dokoła niej dzieje, jakby już żyła w innym świecie. Przygnębione i wystraszone dworki słyszały, jak nocą rozmawia ze zmarłym synem, a dni całe spędzała na jego grobie, nieczuła na mróz czy sotę.

Jedenastego marca przyroda szczególnie znęcała się nad światem. Porywisty wichur północny pędził zwały ciemnych i niskich chmur, które raz za razem siekły smugami zimnej zlewy, pomieszanej ze śniegowymi płatami. Życie na grodzie i podgrodziach jakby zamarło, strażę na wałach kuliły się pod ociekającymi wodą płachtami, nie wałęsały się nawet psy, wszystko, co żyło, szukało zacisznych miejsc. Niewiele z południa chmury zgęstniały jeszcze, ponury dzień wcześniej ustępował nadciągającej nocy. Błony w oknach i serca okiennic wyskakiwały z mroku i światło ich nasilało się w miarę, jak ciemność ogarniała świat.

Ku uldze niewiast udało się im powstrzymać królową od <238>*

zwyczajnego udania się na grób syna. Wyczerpana zdała się do cna, bo niezbyt się nawet bronila, ale była jakby przytomniejsza. Odwiedziła synową, która wciąż jeszcze po-legiwała, posiedziła przy niej w milczeniu, tylko odchodząc uściskała ją i ucałowała. Potem odeszła do swej izby, nie żądając światła, mimo że zmrok już zapadał. Uspokojone nieco niewiasty sądziły, że Wyszestława zasnęła po nie przespanej znowu nocy. I one wyczerpane były czuwaniem na zmianę przy królowej i położnicy, czekały tylko na wieczorny posiłek, by również udać się na spoczynek. Czas dłużył się, gwarzyć nie było o czym, jeno słuchały, jak wichur wyje w kominie, a bryzgi ulewy bębnią w okiennice. Gdy wreszcie ociekający wodą pacholek przyniósł wieczerzę, jedna z nich wstała mówiąc:

— Pójdę zjrzeć do miłościwej pani. Jeżeli nie śpi, może da się nakłonić, by coś przejadła.

Pozostałe zasiadły do wieczerzy, ale po chwili rozległ się odgłos szybkich kroków i do świetlicy wpadła niewiasta, wołając:

— Królowej nie ma!

Zerwały się pospiesznie, nie wąpiły, gdzie jej szukać należy. Które pierwsze zdołały narzucić zwierzchnią odzież, wybiegły w mrok, zmiierzając ku bramie cmentarnej. Mimo ciemności i ulewy dostrzegły zarys postaci leżącej na grobowej płycie. Wyszestława leżała z rozrzuconymi rękoma, jakby obejmując jedyne, co jej pozostało na tej ziemi. Próbowwały ją podnieść, ale przelewała się przez ręce. Sądziły, że omdlała, i krzykiem jęły wzywać pomocy.

Z położonej przy bramie zamkowej strażnicy usłyszano je widocznie, bo po chwili nadbiegło kilku ludzi ze straży i pomogli przenieść królową do babinca. Ale jeno światło padło na jej twarz, nie było wątpliwe, że królowa nie żyje.

Więć o śmierci Wyszesaławy dotarła do Płocka z falą wiosennej powodzi, nie budząc większego echa. dwór cały bowiem przejęty był oczekiwaniem opóźniającego się porodu księżnej. Niewiasty obawiały się, że będzie ciężki u czterdzieści trzy lata liczącej pierwiastki. Urodziła jednak nadspodziewanie łatwo, ale gdy okazano jej dziewczynkę, na spotniałej jeszcze z wysiłku twarzy Judyty zjawił się wyraz zawodu i niechęci. Ledwo rzuciła okiem na niemowlę i rzekła:

— Wyszukajcie dla niej mleczną matkę. Nie będę jej karmiła.

Książę natomiast, zawiadomiony o urodzeniu córki, odetchnął z ulgą i udał się do położnicy. Radość jego jednak przygasła, gdy dowiedział się o postanowieniu małżonki. Gdy zapytał o przyczynę, Judyta odparła oschle:

—• Bo gdybym karmiła, nie znajdę. Obojeśmy nie młodzi, a chcę dać wam syna.

Włodzisław zachmurzył się. Zgoła tego nie pragnął. Trzeci syn, znowu z innej matki, to jeno źródło troski. By zapewnić Bolkowi spokojne objęcie dziedzictwa, z ciężkim sercem zgodził się usunąć Zbygniewa, w zamian uzyskując jego niechęć, jeśli nie wrogość. Gdyby Judyta urodziła syna, ani chybi jemu zechce zapewnić dziedzictwo. Musiałby albo usunąć Bolka, albo, co gorsze, usunęłaby go Judyta; śmierć Mieszka była groźną przestrożą. Od chwili, gdy się o niej dowiedział, nie mógł się pozbyć przeczucia, że spełni się macierzyńskie przekleństwo. Darmo usprawiedliwiał się przed sobą, że do śmierci Mieszka nie przyłożył ręki. Nie mógł jednak zaprzeczyć, co w oczy mu rzekła Judyta, że sam nigdy nie uczynił niczego, by osiągnąć tron czy, jak* ninie, by się przy nim utrzymać. Ale pozwalał to innym czynić za siebie, jak i teraz, ani nie może, ani nie chce ukarać sprawców. Nie czekać mu pociechy z potomstwa, a tą, której spodziewał się po córce, zatrała mu Judyta. Jak osierocony Bolko, dziewczeczka nigdy nie zazna matczynej czułości, odepchnięta przez nią. gdy jeno ujrzała światło dzienne.

Posel cesarski również nie miał powodów do zadowolenia.

«240*

16 •

Przekleństwo «241»

r Jedynym pomyślnym skutkiem poselstwa, o jakim mógł donieść cesarzowi, było udaremnienie przewrotu na skutek zgonu Mieszka. Ale poruszenie, jakie śmierć ta wywołała, stanowiło dogodny pozór, by odkładać załatwienie głównego celu poselstwa: dostarczenie posiłków na rzymską wyprawę Henryka. Włodzisław wykręcał się, że bez Sieciecha nie może powziąć postanowienia, ten zaś był nieuchwytny. a gdy wreszcie zjawił się w Płocku z wieścią o śmierci Wyszesaławy, na naleganie Walona odparł:

— Słuchy mnie doszły, że zasię coś się knowa. Ciepłsza porą ruszyć się może pospółstwo, które zimą przysiadło, najłacniej w Krakowskim, gdzie Mieszko największy mir pozyskał. Tedy jadę tam, a wy, jak wola wasza, albo czekajcie w Płocku, albo u mnie, gdzie wieści raniej można otrzymać. Mniemam, że do lata sprawy się wyjaśnią.

— Dzięki wam — odparł Walo. — Zadość już użyłem waszej gościny, a miłościwy cesarz czeka na odpowiedź. Nie będzie z niej rad.

Henryk istotnie nie mógł mieć powodów do zadowolenia. W Niemczech nadal trwał zamęt, polski lennik okazał się niepewny, w lecie jego posiłki nie będą już potrzebne, skoro wyprawa na Rzym musi wyruszyć, gdy tylko przejście przez Alpy stanie się możliwe. Czeskich również nie otrzyma, Jaromir znowu zadarł z bratem i uszedł na Węgry, by skłonić króla do wystąpienia przeciw Wratysławowi, morawski Konrad niechętnie widział Wratysławowe zwierzchnictwo, gotów również przeciw niemu wystąpić. Urodzenie przez Judytę córy także nie było zdarzeniem pomyślnym. Zniechęcony Walo nie czekał już na powrót pa-latyna. Gdy tylko drogi podeschły, ruszył z powrotem.

Na powrót Sieciecha długo mógłby czekać, palatyn bowiem istotnie otrzymał wieści o zjeździe w Poznaniu, a udział w nim wrocławskiego Magnusa nie pozwalał wątpić, że zechce wykorzystać poruszenie, jakie wywołała śmierć Mieszka. W Krakowie Sieciech prędzej otrzymać mógł wieści, a sama jego obecność przytłumi wrzenie. Nie zamierzał przeto opuszczać swego województwa, póki się położenie nie wyjaśni. Z objazdu wrócił zadowolony, początkowe wrzenie wśród prostego ludu przygasło, pozostał jeno żal i zawód. Do uspokojenia, jak stwierdził, walnie przyczyniło się

duchowieństwo. Współpraca z biskupem Lambertem dotychczas nie układała się, teraz mieli wspólny cel, bo i jemu na spokoju zależy.

Toteż ściągnawszy wraz ze swym dworem na gród, Sieciech bezzwłocznie skierował się do kapitulnego budynku. Powitanie przez biskupa nie było zachęcające, przyjął pa-latyna stojąc i nawet siadać nie prosił. Sieciech jednak udał, że tego nie zauważył, zajął miejsce na ławie i powiedział:

—• Wybaczcie, że siadam. Zdrożony jeśćm, ale pierwsze moje kroki do waszej wielebności. Siadajcież i wy, bo są sprawy, o których pilnie pogadać trzeba, nijak to czynić stojący.

Lambert usiadł, ale odparł chmurnie:

—• Są i takie, o których lepiej nie mówić.

— Ja mogę mówić o wszystkim — odparł nie zmieszany palatyn — tedy możecie i wy. Mniemam, że Mieszkową śmierć macie na myśli.

Biskup, zaskoczony i gniewny, rzekł ostro:

— Tedy mówcie, co macie rzec w onej haniebnej sprawie.

— Pirwe, że nie ja jemu, jeno on mnie wróždę zapowiedział. A może wam i to nietajne, że bunt podnieść umyślono, by książęcia zegnać, a jego na ojeowym stolcu osadzić? Zali czekać miałem, czyja głowa raniej spadnie, jego czy moja? Wždy wyście, jako i ja, wierność ślubili Włodzi-sławowi.

Lambert zmieszał się i odparł niepewnie:

— Gdy mąż męża w walce zglądzi, nie ma hańby. Ale podstępnie, jadem, to nie męża sprawa, jeno...

— Niewieścia •— podchwycił palatyn. — Lubo duchowna —• dodał uśmiechając się złośliwie. — Każden taką bronią walczy, do jakiej sposobny.

— Ale nijak to się stać nie mogło bez waszej wiedzy albo i pomocy — rzucił Lambert wzburzony, Sieciech jednak odparł obojętnie:

— Ja to z pomocy skorzystałem, bo jeden człek wszystkiego nie zdziała.

— Zawždy to umieliście, choćby i cudzą głowę stawić.

— Każden swoją głowę chroni, a z pomocy korzysta, jeśli jeno umie, tedy mi niewstydno. Ale gadajmy o tym, co jest, a nie, co było. Ninie z waszej pomocy skorzystałem, by prosty naród uspokoić, i za to podziękować przychodzę.

—• Nie dla was to czynię, jeno dla pospólnego dobra — rzekł Lambert szorstko, ale Słeciech podchwycił:

— Dla pospólnego! Jak ongiś wam rzekłem, od družby pewniejsza pospólna korzyść.

—• Pomnę nie jeno to. Katedra po dziś dzień nie wykończona, metropolii w Krakowie nie masz. Któż mi w oczy świecił, że będę pierwszy w polskim Kościele? Cóżście zdziałali, bym paliusz otrzymał? Stać was było na budowę kościoła na Okole, na katedrę jeszczem waszego denara nie uświadczył.

— Tedy widzę, że jest o czym uradzać. Nikto rzec nie może, bym dla Kościoła szcudroblivy nie był lubo słowa rzucał na wiatr.

Gdy Lambert patrzył pytająco, nie wiedząc, do czego palatyn zmierza, ten ciągnął:

—• Cóżście wy uczynili, by w Krakowie metropolię ustanowiono? Radziłem zabiegać o zatwierdzenie onej bulli na arcybiskupstwo...

— Nie będę zabiegał o zatwierdzenie fałszerstwa — przerwał Lambert gniewnie, ale Sieciech ciągnął spokojnie:

•— Może i słusnie, gdy wasz Święty Michał, dobry dla plebana, nijakiej powagi nie ma. Czym powaga gnieźnińskiego tumu stała, jeśli nie grobem Wojciecha? Ninie zgoła to niepewne, zali się tam jeszczé najduje, bo gdy ją Brze-tysław złupił, zabrać miał Wojciechowe zwłoki, jako Czecha i praskiego biskupa, a wraz z nim złote tablice, którymi Chrobry grób ozdobił. Pietrek Bróg, zgrzybiały, nigdy 0 pierwszeństwo nie zabiegał i nie on paliusz otrzymał, jeno Bogumił. Ninie nie macie współzawodnika, jeno nie umiecie sposobności wykorzystać. Nie miała Polska swego świętego, czegoż brak waszemu poprzednikowi, by nim ostał? Ni cudów, ni męczeńskiej śmierci lub choćby spełnienia jego prorocstwa, że kara Boża poścignie Bolesławowe pokolenie, za jedno, jak to się stało. Waszą rzeczą świętym go ogłosić, w nowej katedrze godnie pochować, ja zasię grób jego ozdobię nie gorzej niżli Chrobry Wojciechowy.

Lambert milczał zaskoczony. Po dłuższej chwili zapytał podejrzliwie:

— Co wy macie w tym, by Stanisława Turzymę świętym głosić?

— Ja nic. Możecie wierzyć lubo nie. Może was chcę sobie zjednać, a może jemu spłacić, com dłużny. Umierać każdemu pisane, za jedno, jak, jeno sława trwalsza, tedy 1 cenniejsza od żywota. Rozważcie swoje, a nie moje korzyści.

Sieciech skłonił się i wyszedł, pozostawiając Lamberta w głębokim zamyśleniu. Wyniesienie Stanisława na ołtarze istotnie miałooby znaczenie nie mniejsze niż ongiś Wojciechowe. Księżna już napomknęła o tym, poparcia przeto książęcej pary można być pewnym. Ale zbyt wiele było wątpliwości. Wojciech dla całego chrześcijaństwa był wzorem nabożności, pokory, posłuszeństwa, łagodności, ukoronowanych ofiarą życia za wiarę. O Stanisławie różnie mówiono 1, Lambert przebywając z dala od wypadków znalazł tylko ze słyszenia, trudno mu rozsądzić, co prawdą jest, a co oszczerstwem, jakich nie szczędzili sobie wzajem przeciwnicy rozjuszeni walką.

Myśl, którą narzucił biskupowi Sieciech, stała się zmorą, która dręczyła go nawet we śnie. Lambert wahał się. Bezinteresowności, a zwłaszcza szczerości Sieciecha nie dowierzał, może nie darmo szeptano, że to on judził Stanisława 1 Mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem Kronika polska, Wyd. A. Przeździecki, Kraków 1862, s. przeciw królowi, świadomy, czym to grozi, wobec znanej porywczosci Bolesława. A to pewne, że śmierć biskupa w całej pełni wykorzystał, by obalić króla. Dlatego zapewne mówił, że dłużny jest coś Stanisławowi.

Rozterka Lamberta stała się nieznośna. Na myśl mu przyszło, że żyje jeszcze naoczny a bezstronny świadek wypadków. Kanonika Mikołaja Bończy nie widział od pogrzebu Wyszesławy, złamany zaszył się w swej samotni, czekając już jeno na śmierć. Zanim go zabierze, u niego może dowiedzieć się prawdy. Lambert nie chciał trudzić starca i sam udał się do niego. Gdy powtórzył mu swą rozmowę z pa-latynem i prosił o radę, Mikołaj odparł wymijająco:

— Nie jeśm biegły w prawie kanonicznym. Scholastyk Gotard doktorem jest dekretów, lepiej was objaśni.

— Nie o prawo idzie, jeno o prawdę — rzekł Lambert. — Znaliście zarówno króla, jak i Stanisława, na waszych oczach rozegrały się wypadki, wiecie o nich więcej niżli ktokolwiek, wiecie, że mi całą prawdę rzekniecie, na żadną stronę nie naginając.

— Całą prawdę zna tylko Bóg. Przed Jego sądem nie masz króla ni biskupa, jeno grzeszni ludzie. Niechaj im będzie miłosierny. Każdy zaśię zbawiony święty jest, ni bliżej, ni dalej Boga, bo złączony z tym, jen Wszechobecny. I Bóg jeno wie, kto zbawiony, a kto potępiony.

Lamberta niecierpliwiła niemożność dogadania się ze starcem, który patrzy na sprawy jakby już z drugiego świata. Powiedział:

— Chrystus Pan rzekł Piotrowi: „Tobie dam klucze królestwa niebieskiego”. Od zaczątków zaśię chrześcijaństwa cześć oddawano świętym męczennikom...

— Często nawet imienia ich nie znając —• przerwał Mikołaj — bo nie człeku ją oddawano, jeno enocie męstwa i stałości w wierze. Ninie omal bożyszczą z nich poczyniono, z ujmą dla Bożej chwały1, lubo baraśników2, co za piel Por. Posłowie 2 baraśników pośredników niądze przed Bogiem orędują. Chrystus umarłych grześć przykazał, by poczywali w pokoju ażę do dnia Sądu. Ninie kości ich rozwłóczą po świecie, zgoła przedmiot bałwochwalstwa z nich czyniąc, lub — wstydno rzec — kupię 1. Do tego doszło, że z ubitych w pijackiej bójce męczenników czyniono, i przeto Ojciec Święty Jan, piętnasty tego imienia, zabronił biskupom świętych mianować, papieskiemu orzeczeniu to zastrzegając. Ale i papież w tym mylić się może, bo jako słusznie rzekł Sylwester II, Duch Święty w tym obiera siedzibę, jen cnotą i mądrością wszystkich przewyższa. Zali tam ma obrać, gdzie mu cesarz wskaże, jako ninie? Lubo w świetokupcy, jak niesławnej pamięci Benedykt IX, jen klucze Piotrowe przedał?

Lambert hamował jeszcze gniewne zniecierpliwienie. Sprawa zbyt ważna była, by ją poniechać. Odparł:

— O tym iście z bratem scholastykiem mówić będę. Od was jeno dowiedzieć się chciałem o wypadkach, których byliście świadkiem od zaczątku, bo więcej wiecie niżli ktokolwiek inny.

— Iście wiem, jeno nie wszystko mówić mi wolno.

— Tedy mówcie, co wam wolno, a pirwe o onym pio-trawińskim cudzie.

— Na rokach2 nie byłem, tyle wiem, co od innych słyszałem. I to, że dla majątności Boga kusić o cud to grzech. Król za szalbierstwo go uznał i Stanisława od mienia odsądził.

— A wy co o tym mniemacie?

—• Że Chrystus ni apostołowie dla majątności cudów nie czynili — wymijająco odparł Mikołaj. — I to, że raniej już, jako rzekłem, zadra była między królem a biskupem, choć zrazu Bolesław uznanie

żywił dla niego, gdy zaniedbania Suły usunął i ład zaprowadził w krakowskim Kościele. W mojej przytomności Stanisław Turzyma z ręki króla pastorał i pierścień biskupi otrzymał i przysięgę mu złożył I k u p i ę — towar 8 Na rokach — na sądach «247»

wierności i posłuszeństwa, jak od zarania chrześcijaństwa u nas bywało, I w mojej przytomności Stanisław je złamał, naród od posłuchu królowi zwalnając i do buntu dając zachętę.

— Zali to nie jeno prawo, ale i obowiązek pasterza w obronie stawać czystości obyczajów, ucisk i okrucieństwo potępiać, które królowi zarzucał?

— Gdy człek człeku danego słowa nie zdzierzy, bez czci jest. A danego Bogu? Nie moja rzecz mówić wam, co prawem i obowiązkiem pasterza, jeno co wiem. I Stanisławowi niejedno zarzucano. Metropolita Bogumił przed swój sąd go wezwał, a gdy stawiennictwa odmówił, w zaczości go zasądził.

— Za co?

— Nie wiem. Może przeto, że z kościelnej karności wyszedł, Grzegorzowym zarządzeniom posłuchu nie dał, a sobie metropolitalną władzę przypisywał.

— Król Stanisławowi zdradę zarzucił — powiedział Lambert w zamyśleniu. — Prawdali to lubo nie?

— Nie wiem. Jeno że dziś wszem wiadomo, kto iście przeciw królowi z wrogiem się znosił. To jeno pewne, że nie Stanisław wroga na kraj naprowadził, bo na god przed śmiercią przed pomstą króla uchodzić musiał i w boru się ukrywał.

Lambert nie dopytywał więcej. Mikołaj mówił niechętnie i powściągliwie, wszystkiego, co wie, nie powiedział. Starczyło jednak, by zamiast rozwiać wątpliwości, jeszcze je pomnożyć, choć biskupa nie przekonał. Cały świat chrześcijański cześć oddaje świętym, królowi i książęta nie szczędzą zabiegów i kosztów, by pozyskać dla swych narodów orędowników, a liczne cuda potwierdzają ich znaczenie u Boga. Jak Chrobry zwłoki Wojciecha, na wagę złota zakupują ich relikwie, oprawione w złoto i klejnoty stano1 Por. R. Gródecki, Polska piastowska, Warszawa 1969, s. 49 i Jana Długosza Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego wią największa ozdobę budowanych ku ich czci świątyń, ściągają pielgrzymki wiernych, przyczyniając się do umocnienia ich w wierze. Mikołaj zapomina, że czasy pierwszych apostołów minęły.

Lambert chciał być jednak w sumieniu spokojny, że nie jeno z tych względów podjął podsuniętą mu przez Sieciecha myśl wyniesienia na ołtarze swego poprzednika. Nową była wątpliwość, czy służy mu do tego prawo, ale to pomoże rozwiązać scholastyk Gotard. Na zabiegi w kurii Lambert nie miał środków, tam zresztą sprawa wlec się będzie latami, a wynik niepewny, Rzym ma zadość relikwii męczenników, by je mnożyć bez pożytku dla siebie.

Postanowił wezwać scholastyka, gdy jednak zaczął o sprawie, Gotard przerwał:

— Muszę rzec waszej dostojności, że dziwiają się ludzie, a nawet za złe mają wam poniekąd, iż zezwalacie, by szewłok świątobliwego poprzednika waszego poniewierał się niczym jakowego przestępcy, gdy w katedrze należne mu miejsce.

— Nie o to pytam — uciął biskup marszcząc się — jeno jestli takowa bulla lubo dekret, że świętym jeno ten, kogo papież na ołtarze wynieść zwoli?

Z obudzoną nieufnością czekał odpowiedzi. Sieciech widocznie nie tylko wobec niego samego zabiegał koło sprawy. Jakoż Gotard zaczął:

— Bulla jest. Jeszcze i wiek nie minął, jak wedle niej pirwy augsburski biskup Udalryk świętym był ogłoszony. A przed nim świętych, że i policzyć trudno. I pierwsi ro-clziciele, i patriarcha Abraham, i apostołowie, gdy rzymskiego biskupa jeszcze nie było. Świętymi są, bo ich vox po-pulil za takowych głosi, przez który Bóg zwykł przemawiać. Ninie, gdy chrześcijaństwo rozszerzyło się po świecie, papież ani wiedzieć nie może, kto zmarł in odore sancti-taiis2, powinnością zasię biskupów wiedzieć, co się w ich l v o x populi — głos ludu 2 i n odore sanctitatis — w zawołaniu świętości «249»

diecezji dzieje. Wždy błogosławionej pamięci poprzednik wasz cuda działał za żywota, męczeńską śmierć poniósł, wielu, choć i bez waszego przyzwolenia, cześć mu należną oddaje i przez niego łaski zyskało. O uznanie przez kurię zawždy czas zabiegać, a tym pewniejsze, gdy powszechną czcią będzie otoczony.

Lambert zamyślił się. Korzyści z uznania świętym krakowskiego biskupa były niewątpliwe: podniesie to powagę stolicy, pielgrzymki i odpusty dostarczą środków na wystrojenie katedry, bez starań i kosztów zyska relikwie pierwszego w polskim narodzie świętego, a palatyn Sieciech zadba o godną ich oprawę. Mimo to Lambert wahał się. Uznanie śmierci Stanisława za męczeństwo oznaczałoby

potępienie króla wobec potomności. Jeśli ma to wziąć na swoje sumienie, musi uzyskać pewność. Powiedział zasepiony:

— Dziekan Mikołaj prawi, a wierę mu, że biskup Stanisław przez metropolitę Bogumiła na sąd był wezwany, a gdy stawiennictwa odmówił, w zaoczności zasądzony. Jeżeli przeto król jeno *bracchium secularae* * był Kościoła...

— Wszem wiadomo, o co król złość żywił do biskupa, tedy nie wyrok kościelny wykonał, jeno pomstę. A nie Bogumił, jeno Stanisław głową był polskiego Kościoła jako prawowity następca Aarona, tedy Bogumiłowi posłuchu nie dłużny i na jego sąd stawać nie obowiązany.

— Paliusz miał Bogumił, nie Stanisław — chmurnie wtrącił Lambert, Gotard jednak odparł:

— Wy to pierwszeństwo krakowskiego Kościoła podajecie w wątpliwość? Wiadomo, że Bogumiłowi Bolesław pa-liusz wyjednał, bo krewniakiem był jego miłośnicy. Zali to nie gorzej nłzli świętokupstwo?!

Na twarzy Lamberta zjawił się gniew. Bogumiła poznał, gdy był jeszcze opatem Mogilna. Wiedział, że niechętnie opuścił swój klasztor, nie po to, by sięgać po dostojęstwa dla siebie. Dzięki jego staraniom papież Grzegorz zezwolił i *bracchium secularae* — ramię świeckie «250»

na koronację Bolesława i jemu zalecił przeprowadzenie swych reform w polskim Kościele. Teraz, gdy zaginał bez wieści, pokrewieństwo Bogumiła z Krystyną wrogowie wy-krzystać chcą by zniesławić jego pamięć.

Gotard zauważył jednak wzburzenie biskupa, bo dodał prędko:

— Nieważne, był lubo nie był Bogumił metropolitą i jako nim ostał. *Sine papali conscientia* i nie miał prawa sądzić biskupa.

— Dziękuję ci, bracie — oschle powiedział Lambert. — Wiedzieć chcę, zali miał przyczynę.

Vox populi! Wszystko było niejasne w tej sprawie prócz nieszczęsnego wyniku. Zarówno król, jak i biskup mieli wrogów, od których nie dowiedzieć się prawdy. Jedyny człowiek, który ją zna, a po żadnej nie stoi stronie, Mikołaj Bończa, mówić nie chce. Od nieszczęsnych wypadków mija dziesięć lat, świadków ubywa, przyczyny zacierają się w pamięci, tylko skutki trwają. Jedni uważają biskupa za sprawcę buntu, który podał kraj w obcą zależność, inni, a zwłaszcza niewiasty, które potraciły mężów, ojców czy braci, czczą jego pamięć jako obrońcy zbuntowanych, który śmiałość swą życiem przypłacił. Gdyby Lambert cześć tę pasterską powagą zatwierdził, podniósłby nie tylko znaczenie własne i krakowskiej stolicy, kładąc kres roszczeniu Magdeburga. Nieudolny i słaby książę Włodzisław nie będzie się sprzeciwiał, gotów nawet poprzeć sprawę w kurii. Przyznając słusność Stanisławowi w zatargu z królem, tym samym usprawiedliwi własne włarołomstwo, a zarazem uzna niezależność władzy kościelnej. Skończy się samowolne panowanie książąt. Taka okoliczność może nie powtórzyć się nigdy.

Lambertowi zaciężyła odpowiedzialność. Sprawę, która przez dziesięć lat spoczywała, sam poruszył, polecając plebanom śmierć Mieszka głosić jako karę Bożą za zabójstwo '*Sine papali conscientia* — bez wiedzy papieża «251»

biskupa. Ze względu na królową i Eudoksję postanowienie odkładał. Teraz Wyszesaława nie żyje, Eudoksja wróciła do Kijowa, odpadła przyczyna odwlekania rozstrzygnięcia.

Lambert wolałby odpowiedzialnością się podzielić i zrazu zamyślał przedłożyć sprawę zebraniu kapituły. Po namyśle jednak poniechał zamiaru. Nie można będzie pominąć kwestii kanonicznego wyroku, a w związku z tym uprawnień metropolity Bogumiła. Jeśli ktoś powtórzy oszczerstwo, porywczy Bogufał Poraj nie omieszka stanąć w obronie czci krewniaka. Raz już omal nie wywołał zajścia z Dersławem. Turzymą. Zamiast wyjaśnienia sprawy powstać może rozdwojenie i zgorzenie.

Nadchodzące Święta Wielkanocne i związane z tym przygotowania do uroczystości odwróciły na razie umysł Lamberta od sprawy. W tym roku święta przypadały wcześniej i wcześniej też nastąpiła ciepła i pogodna wiosna. Wezbrane wody spłynęły, słońce wysało wilgoć z bagien i rozlewisk, świat nabierał barw. Drogi podeschły i zaroily się ciągnącym zewsząd, ludem. Zjazd zapowiadał się liczniejszy niż zazwyczaj, zwłaszcza że i Sieciech, osiadłszy na zamku, tutaj zwołał rycerstwo na roki. Toteż kościoły na Wawelu nie mogły pomieścić tłumów pobożnych i nabożeństwa wielkopostne celebrowano także we wszystkich innych, u Sw. Andrzeja, Sw. Trójcy, Sw. Salwatora, Sw. Wojciecha, a nawet w odległym Sw. Benedykta na Górze Lasoty. Szczególnie liczne jednak tłumy oblegały kościółek Sw. Michała na Skałce, a niemal zapomniana dotychczas mogiła biskupa Stanisława stała umajona była wiosennym kwieciami.

Ku uldze Lamberta nabożeństwa i uroczystości skończyły się, tłumy zrzędy, powszedni dzień pozwolił na podjęcie pracy w katedrze. Sieciech nie zapomniał o przyrzeczeniu. Przysłani przez niego rzemieślnicy zaczęli kłaść posadzkę w głównej nawie. Palatyn przyrzekł też ozdobić grób Stanisława w katedrze. Biskup postanowił tymczasem odbyć z dawną zamierzoną wizytację swej ogromnej diecezji, a po powrocie powziąć postanowienie.

«252»-

Pora sprzyjała podróży, drugi z kolei nocleg wypadł już w Brzeźnicy. Tu ongiś biskup Stanisław, wygnany przez rycerza Jana Gryfitę, zmuszony był spędzić słotną noc na łące nad strumykiem. Teraz w miejscu tym stała ufundowana przez jego dziedziców kapliczka, również umajona kwieciami, a biskupa podejmowano w dworcu jak miłego i dostojnego gościa.

Dworzec w Szczepanowie, rodzinny dom Stanisława, szeroko otworzył podwoje orszakowi biskupa. Prawem bliźszości siedzieli w nim stryjeczni Stanisława, nie tając swej dumy z pokrewieństwa, a starszy kapelan przy kościółku Sw. Małgorzaty, ufundowanym przez jego rodziców z wdzięczności za urodzenie syna po trzydziestu latach małżeństwa, pamiętał młodocianego wówczas Stanisława, zanim wyruszył w świat, by więcej nie wrócić. Lambert słuchał wspomnień starca, jakby mówił o kimś innym: miłosierny, prosty w obejściu, skromny, a nawet lękliwy. — Czy siedem lat pobytu na obczyźnie, oderwanie od ziemi i ludzi, wśród których się wyrosło, może do niepoznania odmienić człowieka? Który jest prawdziwy? Co może wiedzieć jeden o drugim?

Lambert często nad tym rozmyślał w dalszej drodze. W Piotrawinie u grobu Pietrka Leliwy pielgrzymki pobożnych zносиły modły, a pleban pokazywał stojącą właśnie w kwieciu lipę, którą korzeniami do góry posadził Stanisław. W miejscu, gdzie przejść miał przez Wisłę pod Solcem, stał krzyż, ale myto u przewozu ściągał książęcy ławnik. Nie pierwsza, ale i nie ostatnia była to przyczyna zatargu między królem a biskupem. Jeśli słuszność była po stronie Stanisława, sposobność będzie upomnieć się o kościelne dobro. Sam dochód z przewozu starczyłby na wykończenie katedry.

Skwarne lato miało się ku schyłkowi, gdy Lambert wracał do Krakowa. Ranki i wieczory zaczynały być chłodne i mgliste, nie trzeba było przeczekiwać upalnych godzin południowych i przyspieszał podróż, by zając się zaległymi «253»

pod jego nieobecność sprawami. Z wyników wizytacji był zadowolony, wstrząs wywołany śmiercią Mieszka uspokoił się, prosty naród wyraźnie przyjął ją jako dopust Boży, korzyść zarówno dla kraju, jak i dla Kościoła była niewątpliwa. Lękał się jednak, że postanowienie, które ma powziąć, rozjątrzy może na nowo przygasłą sprawę. Nie brak jeszcze królewskich stronników, przyczynę wszystkich nieszczęść, jakie kraj i ich samych spotkały, upatrujących w Stanisławie. Własnego zdania nie mógł podjąć w tej ciemnej sprawie.

Gdy jednak w pogodny przedwieczerz wjeżdżał na Wawel, witany przez kapitułę z proboszczem na czele, w wyległych gromadach widoczne było poruszenie, a zapytany o przyczynę Rambold odparł:

— Wszyscy czekają na waszą dostojność. U Sw. Michała na Skałce wydarzył się cud.

Gdy Lambert zaskoczony patrzył pytająco na kanonika, ten dodał:

— Święty poprzednik wasz objawił się jednej pobożnej niewieście. Prawi, że zlecenie do was jej przekazał.

— Słać do niej, niechaj się stawi po rannym nabożeństwie — rzekł biskup. — Zechciejcie się zebrać w refektarzu, społem sprawę rozważym. Uwiadomić też brata Mikołaja, rad bym i jego zdania wysłuchał.

— Dziekan Mikołaj nie opuszcza już łoża — odparł Rambold, a Radosław wtrącił:

— Na Bożą rolę patrzy, ze spraw wybył i jakoż mu zdanie powziąć, gdy onej niewiasty nie wysłucha?

— Kto zacz ona niewiasta? — zapytał biskup.

— Świętosława, wdowa po Stefanie z Rawie. Znają ją świątnicy od Sw. Michała, bo z dawną Stanisławową mogiłą się opiekuje. Widno przeto jej się objawił — odparł Rambold.

Mimo że znużony podróżą, Lambert długo nie mógł usnąć. Dzień jutrzejszy winien skończyć jego rozterkę. Kult Stanisława rozpowszechnia się, jeśli objawienie okaże się wiarygodne, rzeczą biskupa uczynić pierwszy krok wyniesienia na ołtarze swego poprzednika. Poparcie pary książęcej, którego był pewny, rozpowszechni go w całym kraju, sposobną porą można będzie zacząć starania o zatwierdzenie go przez kurię. Jeżeli mimo to Lambert nie był wolny od niepokoju, to wzbudzała go myśl o rozmowie z dziekanem Mikołajem. Niemocnego przystało odwiedzić, a Lambert nie byłby w sumieniu spokojny, że uczynił wszystko, by sprawę wyjaśnić, gdyby ją przed nim zataił.

Usnąwszy późno Lambert obudził się o dobrym już dniu, a świątnik, który czekał na to z rannym posiłkiem, zawiadomił go, że w refektarzu już się zebrała kapituła.

Zasiadłszy na podwyższeniu w gronie swych kanoników, Lambert polecił wprowadzić Świętosławę. Był doświadczonego kapłanem, znał ludzi i wiedział, że zwłaszcza niewiasty potrafią zmyślać cudowne wydarzenia, by podnieść swe znaczenie, a nawet dla zysku.

Ta, która się zjawiała, wyglądem budziła zaufanie. Niestara jeszcze, ze śladami przedwcześnie zwiędłej urody, w ciemnej szacie i wdowim czepcu, spod czółka na biskupa patrzyły wielkie, błękitne oczy z wyrazem ufnym i jednocześnie żalonym, niczym u pokrzywdzonego dziecka. Lambert znał takie sponiewierane przez życie niewiasty, które jedyną ucieczkę przed swym losem znajdowały w nabożeństwie. Mimo to głos starał się uczynić surowym, gdy zaczął:

— Pomnij, moja córko, że to, co masz rzec, wielkiej jest wagi. Tedy, jako na świętej spowiedzi, mów szczerą prawdę.

— Na zbawienie duszy mojej! — odparła. Głos miała wysoki i miękki. — To jeno rzekę, co mi święty męczennik przykazał.

•— Tedy praw, jako było.

— Zamodliłam się u jego mogiły i noc mnie naszła. Może i zadrzemałam, ale ocknęła mnie światłość. Przez otwarte wrota widzę, u ołtarza ofiarę ktoś odprawia w biskupich szatach. Mniemałam, że to wasza dostojność, aliści gdy skończył i odwrócił się ku mnie, struchlałam. Święty wasz poprzednik patrzy na mnie i rzecze: „Obrazą to jest wszechmocnego Boga i zelżywością w oczach Jego majestatu, że nie wyrządzono mi czci należnej i kości moje już od dzie-sięci lat walają się zapomniane w nikczemnym prochu. Powstań tedy, córko, Bogu i mnie pobożnie służąca, idź śmiało do Lamberta, biskupa krakowskiego, a opowiedziawszy mu wiernie, coś tu widziała, zaleć, by niezwłocznie ciało moje przeniesiono do głównego kościoła” x. Przeżegnał mnie i światłość zgasła. Niechaj tak mi będzie przy skonaniu, jako szczerą prawdę rzekłam.

— Wierę ci, córko moja — odparł Lambert. — Odejdź w pokoju.

Narada trwała krótko, nikt nie wąpił w szczerotę Świętosławy, przeniesienie zwłok Stanisława należało jednak odłożyć. Księżna Judyta pierwsza poruszyła tę sprawę, zapewne zechce udział wziąć w uroczystości, może wraz z małżonkiem, zawiadomić ich przystoi. Przede wszystkim jednak należy porozumieć się z palatynem Sieciechem, by zgodnie z przyrzeczeniem polecił zbudować w katedrze godne pomieszczenie relikwii.

Postanowienie zapadło, mimo to biskup Lambert czuł, że nie odzyska zupełnego spokoju, póki się nie rozmówi z kanonikiem Mikołajem. Jeżeli dowiedziawszy się o cudownym zdarzeniu nie odmieni swego zdania, winien rzec, dlaczego przeciwny jest wyniesieniu Stanisława na ołtarze.

W dworku nad stawem była cisza letniego popołudnia, tylko z sitowia dochodziło czasami pokwakiwanie kaczek lub odezwał się trzciniak. W cieniu rozłożystej jabłoni na wyścielanej ławie leżał kanonik Mikołaj z utkwionymi w zielonym sklepieniu oczyma, mrużąc je chwilami, gdy I Jana Długosza Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego «256»

lekki powiew poruszył siecią listowia, przepuszczając promyk pochylonego już słońca.

Z sennej zadumy obudził go służebny kleryk, który przypadłszy w podnieceniu powiedział:

— Jego dostojność pan biskup tu idą.

Jakoż w tej chwili ukazał się zapowiedziany, a widząc, że Mikołaj dźwignąć się zamierza na powitanie, skinieniem ręki powstrzymał go i pochwaliwszy Boga ciągnął:

— Poczywajcie. Przychodzę jeno o zdrowiu waszym, się dowiedzieć, bo mówiono mi, że was niemoc w łożu trzyma. Rad widzę, iżęście się pozbierali. Zapytać takż chciałem, zali wam czego nie trzeba?

— Dzięki wam — odparł Mikołaj w zamyśleniu. — Wszystko, co żywię, garnie się do światła i ciepła. I mnie już niczego więcej nie trzeba. Gdy człeku z żywotem żegnać się przychodzi, dopiero jasno widzi, co w nim ważne. — Po chwili dodał:

• Do czegoś serce przywiązać się musi. Bez tego człek jako liść na wietrze. Jeśli prosić można, ślijcie do bratańca mego do Sulikowic. Rad bym go pożegnał i synaczka jego pobłogosławił. Na postrzyżyny jechać sił mi nie stało. Po dziadzie imię otrzymał Bogusław, ac się ziści. I daj Bóg, by lepszych doczekał czasów.

— Nie omieszkać ślać — odparł Lambert — bo i niezbyt z drogi posłańcowi będzie, gdyż książęcia uwiadomić muszę, iżę błogosławionej pamięci poprzednika mego zwłok uroczyste do katedry będzie przeniesiony.

Czekał, co na to powie Mikołaj, ale gdy ten milczał zamyślony, wprost zapytał:

— Słyszeliście, jako Stanisław ze Szczepanowa jednej nabożnej niewieście się objawił?

— Prawił mi braciszek, jen o mnie ma staranie — odparł Mikołaj.

Biskup zmiarkował, że starzec rozmyślnie o sprawie mówić nie chce, ciągnął jednak:

17 — Przekleństwo «2"i7».

— Niewiasta boży się 1, że prawdę rzekła, a dobrze jej z oczu patrzy. Co myślicie o tym objawieniu.

— Prawdę dla człeka to, w co sam wierzy. Jeno nie za-wżdy senną marę od jawy odróżnić wydoli.

— Mniemacie tedy, że jej się przyśniło? — zapytał Lambert zmieszany, a gdy Mikołaj milczeniem zdał się potwierdzać, ciągnął:

— T przez sen Bóg człeku wolę swą oznajmiać zwykł i wykład snów takż darem jest Bożym. Jakubowi we śnie przyrzekł, iże rozmnoży jego pokolenie i dopełniło się. Józef towarzysom swym w ciemnicy ze snów los ich przepowiedział, faraonowi zasię onych siedem lat tłustych i siedem chudych. Zali i w to nie wierzycie?

— Wierę. Jeno nie wierę, by zbawione dusze w wieczystej szczęśliwości żądne były doczesnej chwały. Pycha zgubiła nawet aniołów...

Starzec urwał i zamilkł. Gdy milczenie się przedłużało, Lambert rzekł z prośbą:

— Nie ostawiajcie mnie w zwątpieniu. Wy wiecie coś, co na sprawie zaważyć może. Nie Iza światła chować pod korzec. Ecclesia veritatem non veretur. z — Nie Iza wydać, co pod tajemnicą spowiedzi zawierzono — odparł cicho Mikołaj.

—• Tedy rzeknijcie choć, co sami wiecie: król był praw lubo Stanisław?

— Każden mniemał, że jego prawo lepsze. Ambo melio-ress. Bóg już ich rozsądził, za nic ludzkie sądy. chyba po to, by rozdwojenie podtrzymać w narodzie. Chcecie ode mnie rady? Quia non movere4.

Biskup długo milczał zachmurzony. Powiedział wreszcie:

— Stało się. Wielu w Stanisławie świętego męczennika 1 boży się — zaklina się 2 Ecclesia veritatem non veretur — Kościół nie lęka się prawdy 3 Ambo meliores — obydwaj lepsi 4 Q u i e t a non movere — nie poruszać spraw spoczywających «258»-widzi, który cuda czynił, naród bronił przed srogością króla i za to żywot położył. Iście nic zbawionej duszy po ziemskiej chwale, ale korzyścią to dla wiary i Kościoła.

— Korzyścią czy prawdą? — zapytał Mikołaj.

— Sami rzekliście, że prawdą jest to, w co człek wierzy — odparł biskup. Wstał i pożegnał kanonika. Żałował, że tu przyszedł, nie dowiedział się niczego, wątpliwości swych nie rozproszył, a sprawa zaszła za daleko, by można jej było poniechać. Przysłani przez Sieciecha kamieniarze murowali już pośrodku głównej nawy katedry grób z kamiennych ciosów, złotnikom zlecił wykucie złotych blach, którymi miał być ozdobiony. Wieść o cudownym objawieniu i przygotowaniach do przeniesienia zwłok Stanisława rozchodziła się po kraju. Prace postępowały szybko, dzień świętych Kośmy i Damiana wyznaczono na uroczystość, ale już wcześniej ściągac jęły do Krakowa pielgrzymki prowadzone przez plebanów oraz luźne gromadki pobożnych lub tylko ciekawych, niewiele natomiast rycerstwa i można-władców. Większego ich zjazdu spodziewano się wraz z księciem i jego małżonką, którzy zapowiedzieli swe przybycie, a wraz z nimi biskup Stefan płocki. Z pozostałych jednak żaden nawet nie odpowiedział na zaproszenie. Sam tylko sędziwy Płetrek Bróg gnieźnieński, który nie zwykł ukrywać, co myśli, polecił odpowiedzieć Lambertowi, by nie do Stanisława, lecz za niego modlić się niechał. Biskup zrozumiał, co to oznacza: poruszył sprawę, która już okrywać się zaczynała pyłem niepamięci. Żadna to korzyść dla Kościoła, gdy jedni Stanisława czcić będą jako świętego męczennika, inni potępiać jako sprawiedliwie pokaranego zdrajcę, a prawdy nie dojdzie nikt. Słusznie radził Mikołaj, by Bogu sąd zostawić.

Nie czas był jednak na jałowe rozmyślenia, dzień wyznaczony na uroczystość zbliżał się szybko. W wigilię nadciągnął książę Włodzisław z małżonką i biskupem Stefanem, wraz z nimi dwór, gromady kujawskiego i mazowieckiego rycerstwa i duchowieństwa. Zamek stojący pustką «259»

zaroił się ludźmi, błonia nad Rudawą i Niecieczą pobielały od namiotów, a gdy zapadł pogodny wieczór, zwierciadła Żabiego Kruka i Sw. Sebastiana odbijały blaski setek ognisk obozującego pod gołym, wyiskrzonym niebem prostego ludu. Nad ranem przygasiła je wstająca ze stawów i rozlewisk mgła. Siadała jednak, ale zanim nasycac się jęła pierwszymi blaskami wstającego dnia, wszczął się ruch. Kto żył spieszył na Skałkę, by zająć miejsce u stóp kościółka Świętego Michała, nad sadzawką u

zlewiska Młynówki z wodami Wilgi, "zanim straż zagrozi dostęp ze Stradomia na most. by zabezpieczyć przejście procesji. Kto nie zdążył, rozkładał się wzdłuż drogi na Wawel, na który wszystkie oczy były skierowane. Wynurzył się z mgły, gdy słońce wzbijając się jęło ją przygniatać, aż lekki poranny powiew ze wschodu rozproszył jej resztki i w przejrzystym powietrzu ujrano zstępujący ze wzgórza spory zastęp pieszej straży, która rozstawiała się wzdłuż drogi, drzewcami oszczepów zastawiając do niej dostęp gapiom, jacy cisnąć się jęli, by nasycić oczy niecodziennym widowiskiem.

W tłumie, złożonym w znacznej części z niewiast i wyrostków, zachowaniem, strojem i postawą wyróżniało się dwóch mężów w sile wieku. Gdy inni w podnieceniu wymieniali swe uwagi i spostrzeżenia, oni milczeli, nie odpowiadając na zagadywanie sąsiadów, mimo że górując wzrostem nad ciżbą i stojąc w pierwszych szeregach lepiej mogli widzieć, co się dzieje. Z rzadka jedynie półgłosem rzucali wzajem jakieś słowo, gdy na skłonie wzgórza ukazała się procesja z krucyferem na czele. Za nim w szatach pontyfi-kalnych, z oznakami swych dostojęństw, kroczyli obydwaj biskupi oraz opat tyniecki, dalej w dwu rzędach świeckie i klasztorne duchowieństwo z zapalonymi świecami, osłaniając dłońmi ledwo widoczne w jaskrawym świetle słonecznym płomyki przed powiewem, jaki pociągał od rzeki.

Z kolei poczet dworskich i ziemskich dostojników otwierała para książęca. Włodzisław szedł z trudem, przygarbiony, z pochyloną głową, w długiej do pól goleni szacie i płaszczu podbitym sobolami, spiętym na prawym ramieniu wielką złotą zapinką. Spod czapki z purpurowego aksamitu, z otokiem haftowanym złotem i zdobnym kamieniami, wymykały się rzadkie, siwiejące już włosy. Mimo że równie niemłoda, Judyta wyglądem i postawą podkreślała jeszcze jego charłactwo. Szła wyprostowana, wzrostem przynosząc małżonka, w obcisłej sukni uwydatniającej jej smukłą postać, spod czółka haftowanego perłami obojętnym spojrzeniem ogarniając tłum.

O kilka kroków za parą książęcą postępował palatyn Sie-ciech w lśniącym łuskowym pancerzu, ze złotym łańcuchem na piersi i gołym mieczem w ręku, którego pochwa na pasie z kutych klamer lśniła od klejnotów. Na głowie miał hełm z siatką, spod której przebijał bujny ciemny włos, z lekką przyprószoną siwizną, jedyną oznaką, że młodość ma już za sobą. Kroczył samotnie, jakby dla podkreślenia swego nadrzędnego dostojęństwa, choć i bez. tego wzrostem i potężnymi barami wyróżniał się; w gromadzie postępujących za nim dworzaków i rycerstwa. Wiedział, że budzi nienawiść i strach, i pogardliwe spojrzenia, jakimi obrzucał tłum, który uciekał z oczyma, gdy palatyn przechodził, zdawali się mówić, że tego właśnie chce.

Ku zdziwieniu gapiów dwaj nieznajomi, na których spoglądano z nieprzychylnym zaciekawieniem, w chwili gdy mijają ich czoło procesji jęli się wycofywać w głąb tłumy, rozpychając ludzi tłoczących się, by z bliska obejrzeć rzadko widywanych dostojników. Wydostawszy się z ciżby, skierowali się ku zamkowi. Po chwili milczenia Przedślaw mruknął:

— Mniemałby kto, że ciągną na koronację. Żegota parsknął śmiechem:

— Czyją? Bo Włodzisławowi książęca czapka ledwo na pochylonym łbie się trzyma. Ani go widać przy Sieciechu. Było po co wracać, by to obejrzeć!

— Gdy zgładzili Mieszka, nie było na co czekać, Po śmierć swoją wrócił.

«260»

«261»

— A my? Ni Sieciech, ni rodowcy nie zabędą, iześmy trzymali z tym, co przegrał.

Przedślaw obojętnie ramionami wzruszył:

— Umiera się wszędy. Pono swoja ziemia lżejsza, jeno spieszyć się nie ma do czego. Przecz się pchasz w oczy? Łacno nas kto poznać może.

— Na grodzie ninie chyba psy jeno ostały. Te, co nas znały, już musiały wyzdychać — odparł Żegota. — Pospieszajmy, póki procesja nie wróci.

— I po co ci to?

— Warto ujrzyć, jak Stanisław niczym król na stolicę wraca, tam skąd Strzemieńczykowie jego ścierwo za wał wykinęli. Że zdrajcy ziemia przytulic nie chce, przeto go na ołtarz wynoszą.

— Ostaw — mruknął Przedślaw. — Karę poniósł, nie żywię. Wolejby Sieciechowe wypłuła. Onże to z biskupa kłodę uczynił, przez którą król się obalił, a ninie na ołtarz ją wynosi, by własne bezeceństwo uprawnić. Włodzisław zasię mniema, że swoją hańbę na brata tym przerzuci. Ani to nie do wiary, że takowy gad z Bolkiem jednych rodzi-cieli syny.

— Nie gad, jeno glista — pogardliwie mruknął Żegota. — Zdeptać go, jeno by ciżmy pokalał.

Przez chwilę szli w milczeniu. Przedślaw zapytał: —• Jakoże na gród wejdziem, straży się nie opowiadając?

— Jeszcze nie zabyłem, jakeśmy za młodu do dziewczek na podgrodzie chadzali — odparł Żegota i skierował się ku wschodniej stronie wzgórza, gdzie urwisty stok wawelskiej skały schodził do strugi sączącej się od Żabiego Kruka ku Wiśle.

Najtrudniej dostępne wschodnie zbocze najmniej było strzeżone i gdy wzajem sobie pomagając wspięli się i przesadziwszy częstokół stanęli na chodniku biegnącym wzdłuż wałów, rozglądali się przez chwilę łapiąc oddech. Żegota mruknął:

«262»

— Drzewiej i o ćmie bez nijakiej pomocy tędy chadzałem. Zdałoby się, że skała urosła, a to jeno sił ubył. Zmarnowane dziesięć godów żywota!

— Cały żywot, nie jeno nasz! Wszystko, co działali ojce i dziady, zaprzepaścił on wyrodek, wolej mu było Niemcom się kłaniać niżli bratu.

— Ale katedrę odbudował, by w niej godne pomieszczenie nalazł Stanisław za to, że mu króla obalić pomógł —

odparł Żegota drwiąco, wskazując na wznoszące się przed nimi mury. — Pono ze złota grób mu przysposobiono, niczym królewski tron. Zda się i to obejrzyć.

— Po to mnie tu ciągniesz? Nie ciekawym.

— Chcę być na Mieszkowym grobie. Przy wejściu do katedry ma być pochowany, a takowej jak ninie sposobności nie będzie, gdy gród jakoby zaraza wymiotła.

Jakoż, wyrzawszy zza węgła, na cmentarzu nie dostrzegli nikogo, zewnętrzny dziedziniec również był opustoszały, tylko przy stajniach na zachodnim krańcu paru ludzi poiło konie. Nie ukrywając się podeszli do południowej bramy katedry i stanęli nad grobową płytą. Przedślaw powiedział cicho:

—• To tu!. Przyrzekłem królewicowi, że wrócę, gdy będę potrzebny. Ninie nie trzeba mu już niczego i jam nikomu niepotrzebny. Ty takż. Po co wracaliśmy?

— Nie chciał było Mieszko pomsty na przeniwiercach, żywotem to przyplacił — odparł Żegota. — Ja pomsty nie poniecham, póki się we mnie dech kołace, to ślubie na jego mogile. Pójdźmy obaczyć, jak zdrajcy święcą swoje zwycięstwo ; ale nie zawżdy tak będzie.

Skierowali się do wnętrza. Zabite deskami otwory okienne niewiele przepuszczały światła. Nie nawykłymi do mroku oczyma nie od razu dostrzegli duchownego, widocznie nadzorującego świątników, którzy na podwyższeniach ustawiali siedzenia dla książęcej pary i biskupów, zwłaszcza że-spojrzenia przyciągał umieszczony na środku głównej nawy grobowiec, który zdał się jarzyć własnym światłem. Podeszli i oglądali polerowane złote tablice z wyrytym na cokole napisem.

Duchowny, zauważywszy ich, zbliżył się i widocznie ze stroju biorąc ich za obcych, zagadnął po łacinie, Żegota jednak odparł:

—• Jeszcześmy własnej mowy nie zabyli, choć przez dziesięć godów można było. Wiele się pod ten czas zmieniło, katedra, widzę, stoi, i on grobowiec, jaki jeno Chrobry świętemu Wojciechowi w Gnieźnie wystawił.

— Gnieźnieńskiego już nie masz, bo go Czech złupił — odparł kanonik — a ten hojności dostojnego palatyna Sie-ciecha zawdzięczamy, by godnie uczcić nie mniejszego niżli święty Wojciech męczennika.

—• Iście, tak Stanisławowi do Wojciecha, jak Sieciechowi do Chobrego — mruknął Żegota. Przedślaw za ramię go ścisnął ostrzegawczo, ale kanonik nie zauważył widocznie drwiny, bo wskazując napis wyryty na złotej płycie ciągnął, widocznie dumny ze swego dzieła:

— To zasię ja ułożyłem, ku wiecznej chwale świętego. — Nie proszony odczytał:

Tumba Stanislai, cineres tegit ista beati Regis Boleslai, quia. non favet impietati Martirio meritis, coeli migravit ad sedes Felix cui deitas merces, cui sidera sedes.

— Pięknie to brzmi — powiedział Żegota — jeno czemu po łacinie, gdy ni słowa nie zrozumieć?

— Bo jeno w łacińskiej mowie, uświęconej napisem na krzyżu Chrystusa, godnie uczcić można męczennika wstępującego w Jego ślady — odpowiedział kanonik. — W polskiej zasię wyklada się to tak: „Ten grób Stanisława prochy kryje błogosławionego, bo nie pobłażał beceństwu króla Bolesława. Zasługą męczeństwa odszedł na niebieskie podwoje. Szczęśliwy, czyją nagrodą bóstwo, czyją siedzibą gwiazdy”.

Kanonic, wpatrzony w napis nie zauważył, że twarz Żegoty poczerwieniała i żyły wyskoczyły mu na skroniach. Przedślaw znowu za ramię go uchwycił. Żegota jednak sam się opanował widocznie, choć głos miał ochrypli, gdy odpowiedział:

— Wasza wielbność jako duchowny lepiej się wyznawa, zali to nie bluźnierstwo byle biskupa równać ze Zbawicielem. Choć i jest podobieństwo: Chrystusa Pana Piłat zasądził, Stanisława zasię metropolita. Ale króla znieważać, bo lękać się go już nie trzeba, to nikczemność. Tfu!

Splunął pod nogi osłupiałego kanonika, odwrócił się i wyszli w samą porę, bo czoło procesji ze zwłokami Stanisława w ozdobnej skrzyni zbliżało się już do Wawelu. Gdy tą samą drogą zeszli do stóp skały, Żegota jeszcze wzburzony powiedział:

— Wyzuli Bolka z własci, wyzuli z ojczyzny, struli mu syna, a ninie jeszcze czci go chcą pozbawić na wieki.

— Bądź pokojny — odparł Przedślaw. — Złoto raniej czy później ktoś ukradnie, a prawda ostanie.

POSŁOWIE

W dziejach polskiego średniowiecza nie ma drugiej sprawy, która jak konflikt między królem Bolesławem Śmiałym a biskupem Stanisławem ze Szczepanowa byłaby przedmiotem nią kończących się sporów. Dojściu do prawdy nie sprzyja nie tylko szczupłość źródeł, ale i poziom dyskusji.

Czytelnikowi zainteresowanemu historyczną problematyką chcę dać możliwość samodzielnego skontrolowania źródeł, którymi się posługiwałem, i prawidłowości ich wykorzystania, a zarazem wyjaśnić, dlaczego w spornej sprawie dotyczącej tragicznego konfliktu między królem Bolesławem Śmiałym a biskupem Stanisławem ze Szczepanowa, zakończonego nie tylko śmiercią obydwu przeciwników, ale uzależnieniem Polski od obcych i klęską papieża Grzegorza w jego walce z cesarzem Henrykiem IV, poszedłem za zdaniem takich znawców polskiego średniowiecza jak prof. T. Wojciechowski, prof. R. Gródecki, ks. prof. Fiałek, pomijając demagogiczne chwytły spotykane w publikacjach niektórych innych autorów.

Nie ulega wątpliwości, że Bolesław Śmiały wskrzesił potęgę państwa oraz położył duże zasługi w odbudowie organizacji kościelnej, zburzonej w czasie reakcji pogańskiej. Był też głównym sprzymierzeńcem papieża Grzegorza VII w jego walce z cesarzem Henrykiem IV. Bunt, który obalił króla, zniszczył jego dorobek, Polskę podał w obcą zależność i był przyczyną klęski papieża w walce ze schizmą, w dużej mierze powiódł się dzięki klątwie rzuconej na Bolesława przez biskupa. Piszący o tych wypadkach w trzydzieści kilka lat później, na dworze Bolesława Krzywoustego, kronikarz Gali sam ich świadkiem nie był, informacje jednak czerpał od naocznych świadków, 1 to «266»-ze sfer kościelnych, co wyraźnie stwierdza we wstępie do Ks, I swej Kroniki. Prof. M. Plezia w pracy Kronika Galia na tle historiografii XII wieku podaje, że Gali otrzymał informacje od biskupa Michała z rodu Awdańców, którzy byli stronnikami króla, i wyciąga stąd wniosek, że były to wiadomości tendencyjne. Sąd dość pochopny, jeśli chodzi o uzasadnienie zarzutu oszczerstwa, zwłaszcza gdy się zważy, że biskup Lambert, który zainicjował kult biskupa Stanisława przeniesieniem jego zwłok do katedry, również był Awdańcem».

Jak wiadomo, Gali nazwał biskupa Stanisława zdrajcą, który skazany został na karę obcięcia członków, ale nie podał konkretnych faktów, na których zarzut ten był oparty. Ówczesne pojęcie zdrady było znacznie obszerniejsze niż zdrada stanu w rozumieniu nowoczesnych kodeksów i mogło oznaczać również bunt, rewolucję, nie zawsze godne moralnego potępienia, bo zależne od motywów, czy w końcu — wiarołomstwo. To ostatnie w każdym razie miało miejsce, bo w tym czasie biskup, przyjmując inwestyturę z rąk króla, musiał mu składać przysięgę wierności i posłuszeństwa, Stanisław przeto, okładając króla klątwą i zwalniając poddanych od posłuszeństwa, przysięgę tę złamał.

W sto siedemdziesiąt cztery lata później biskup zaliczony został w poczet świętych jako męczennik, który pełniąc swe obowiązki naraził się królowi i został przez niego zamordowany w czasie nabożeństwa przy ołtarzu.

Te dwa oblicza tej samej postaci nie mogły się obok siebie utrzymać, jedno z nich należało zamazać, 1 już Łętowski w swym Katalogu biskupów... (Kraków 1852) przystąpił do tej akcji metodą, która znalazła licznych kontynuatorów. W szczególności Kronikę Galia nazwał „byle szpargałem wywleczonym z kąta”, a samego kronikarza „skrybą ignoti nomłnis”, „włóką” i „zakupionym dworakiem”. O ile dwa pierwsze określenia są po prostu zwykłymi obelgami, trzecie jest insynuacją,

że dla przypochlebiania się panującemu Gali za pieniądze oczernił biskupa. Pominąwszy moralną wartość tego argumentu, jest on nielogiczny, bowiem Włodzisław Herman zawdzięczał dojsie do władzy właśnie buntowi wywołanemu m. in. przez biskupa, i Bolesławowi Krzywoustemu mogło raczej zależeć na usprawiedliwieniu Stanisława, a tym samym wiarołomstwa swego ojca.

Analogiczne argumenty stosowano w dyskusji, jaka rozpętała się, gdy śp. prof. T. Wojciechowski w swych Szkicach historycznych jedenastego wieku po bezbłędym metodycznie uzasadnieniu wyraził konkluzję, że „sprawa św. Stanisława jest przegrana”. Dr Krotoski-Szkaradek nazwał tę pracę „propagandą żydowską i antykościelną”. Że ta sprawa Żydów nic nie obchodzi, to oczywiste; chyba wychrzczonych. Istotnie w „Tygodniku Powszechnym” z 13 I 1963 r. zabrał głos prof. L. Ehrlich, dezawuuując sąd prof. Wojciechowskiego. W mojej odpowiedzi, zamieszczonej w „Życiu Literackim” 1963, nr 9, wykazałem, że jest błędem metodycznym porównywanie stosunków rozwiniętego systemu feudalnego w Anglii ze stosunkami w Polsce z okresu prawa książęcego. Natomiast błędem już po prostu logicznym jest stwierdzanie z naciskiem, że król zemścił się na biskupie, jeśli równocześnie stwierdza się, iż określenie vindi-care może oznaczać zarówno zemstę, jak i karę. Że była to jednak kara, o tym niżej.

Nazwanie pracy naukowej propagandą należy do tej samej kategorii argumentów, jakie zainicjował Łętowski. Czy można ją jednak nazwać antykościelną? Świętość nie jest dogmatem ani artykułem wiary. Święty może być nawet z martyrologium skreślony². Kult świętych w ogóle jest dziedzictwem pogaństwa, co już w XV w. stwierdził kardynał Mikołaj de Cusa. Z ujmą dla czci Boga święci zastąpili bożków, a ich relikwie — amulety. Kult świętych często prowadzi do bałwochwalstwa i fetyszyzmu³.

Orzeczenie kanonizacyjne jest aktem formalnym, merytoryczne znaczenie mają fakty, na których się ono opiera. Jak wiadomo, Kościół wychodził nieraz z założenia, że większa radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika niż z dziesięciu sprawiedliwych, i na tej podstawie zaliczył w poczet świętych np. Marię Magdalenę czy św. Augustyna. W dyskusji na ten temat („Tygodnik Powszechny” 1951, nr 11) prof. Plezia nie podaje, na jakiej podstawie zapadło orzeczenie o kanonizacji biskupa Stanisława, rzuca natomiast retoryczne pytanie: „na czym miałby Kościół oprzeć swe orzeczenie, jeśli nie na faktach”, sugerując w ten sposób, że Kościół zawsze, tak jak dzisiaj, z dużą ostrożnością przystępował do kanonizacji, jak również że obecne pojęcie świętości nie zmieniło się od średniowiecza⁴. Jest to o tyle ciekawe, że tenże autor w swym wstępie do Złotej legendy pisze: „przeciętna mentalność średniowieczna była w wielu dziedzinach nader prymitywna i na wpół jeszcze barbarzyńska. Fascynowało ją przede wszystkim to (...) co brutalnie działało na wyobraźnię”. A więc zwłaszcza cuda: święty musiał je robić, a jeżeli nie robił, to robiono je za niego lub, jeszcze prościej, zmyślano, Oszustów żerujących na łatwowierności nigdy nie brakło (por. Mat. XXIV, 24 i Dzieje apostołskie VIII, 9). Sugestia, że przy kanonizacji zawsze stosowano daleko idącą ostrożność, jest sprzeczna z faktami. Aż do końca X w. o świętości decydowała communis opinio, a praktycznie, lokalny biskup, co prowadziło do gorszących nadużyć, handlu relikwiami i odpustami, tak że papież Jan XV zastrzegł to orzeczenie Stolicy Apostolskiej i pierwszym kanonizowanym przez Rzym był dopiero w r. 993 biskup Udalryk. Mimo zakazu praktyki te nie ustały i takim nadużyciem z punktu widzenia kościelnych przepisów było wszczęcie przez biskupa Lamberta kultu biskupa Stanisława przeniesieniem jego zwłok do katedry. Wobec nieprzestrzegania zakazu wydanego przez Jana X.V papież Aleksander III dekretem z r. 1170 zarządził, iż „sine papae licentia non licet aliquem venerari pro sancto” („bez zezwolenia papieża nie wolno nikogo czcić jako świętego”). Ten zakaz był już przez polskie władze kościelne przestrzegany i do Kroniki Kadłubka (koniec XII w.) nie ma żadnych śladów kultu biskupa Stanisława⁷.

Gdy za panowania Kazimierza Sprawiedliwego czyniono starania o patrona dla Polski, został nim św. Florian (1184). Zarządzenie papieskie złamał dopiero Kadłubek, który ustanowił dziesięcinę na wieczyste światło przy grobie biskupa Stanisława⁸, a zarazem zaczął propagować jego świętość, kopiując bez ceremonii sprawę św. Tomasza Becketa, by przygotować podstawy do żądania kanonizacji. Wystąpił z nim jednak dopiero biskup Prandota Odrowąż za czasów Bolesława Wstydlwego, ale sprawa szła opornie na skutek zdecydowanego sprzeciwu kardynała Reginalda, biskupa Ostii. Podstawy sprzeciwu musiały być poważne, skoro groziły udaremnieniem starań. Jak twierdzi Długosz, Reginald zmienił stanowisko na skutek interwencji samego Stanisława, który w zamian uzdrowił go ze śmiertelnej choroby.

Rozpatrzmy, jakie fakty i na jakiej podstawie ustalono w procesie kanonizacyjnym. Ze Stanisław nawet nie umarł in odore sanctitatis, wiemy choćby od jego wielbiciela Kadłubka. Orzeczenie oparto na zeznaniach niejakiego Gedki, rzekomo stuletniego starca, który, jak podaje Łętowski, „zaznał był ludzi współczesnych Stanisławowi”⁹. Proces odbywał się w 174 lata po śmierci biskupa, świadek więc zeznawał ex auditu, co zawsze jest dowodem wątpliwym. Jeśli nawet miał 100 lat, to urodził się w 74 lata po wypadkach. Jako noworodek nie mógł otrzymać żadnych informacji, lecz mając co najmniej kilkanaście lat, a więc dopiero około r. 1165, gdy ludzie urodzeni w r. 1079 mieliby już po 86 lat, a że jako noworodki także nie mogli uzyskać wiadomości, musieli mieć również co najmniej po 100 lat. Mało prawdopodobny taki zespół Matuzalemów w czasie, gdy przeciętna wieku mężczyzny wynosiła około 40 lat. Poza tym Gedko nie zeznał niczego istotnego.

By ocenić, czy biskup Stanisław, okładając króla klątwą i zwalniając poddanych od posłuszeństwa, działał w dobrej wierze, rozważyć należy zarzuty, jakie wysuwano przeciw Bolesławowi. Zarzuty te mniej więcej znamy: ucisk poddanych stanem i podwodą, okrucieństwo wobec nierządnych niewiast, którym kazał karmić szczenięta, rozwiąże życie w pozamałżeńskim stosunku z Krystyną z Bużenina. Stanu i podwody jednak nie wprowadził Bolesław Śmiały, ciążyły na poddanych na długo przed nim (por. H. Łowmiański, Zagadnienia gospodarcze państwa polskiego) i na długo po nim, jak wiemy choćby z Pamiętników Paska, jeszcze w XVII w. Czy według ówczesnych pojęć karmienie szczeniąt można nazwać karą okrutną? Wystarczy ją porównać ze stosowaną przez Chrobrego, którą Ditmar nazywa „surową, ale chwalebna”: „a jeśli kędy nierządnica się znalazła, tedy szpetną i okrutną karę na niej przez obcięcie części wstydlivej wymierzano, a ten wycinek na drzwiach domu był zawieszany” (Ditmar, Ks. VII, ust. 2). Jeśli chodzi o rozwiązłość, to nawet za pamięci mego pokolenia arcykatolicki cesarz Franciszek Józef miał stałą kochankę p. Schratt, i nie mąciło to jego najlepszych stosunków z Kościołem. W średniowieczu kochanki miewali nie tylko królowie, ale i biskupi (np. w Polsce bp Paweł z Przemysłowa i in.), i nikt ich za to nie wyklinał. Motywy klątwy musiały być przeto inne. Niestety możemy się ich tylko domyślać. Te, które znamy, stanowiły zapewne pretekst.

Prof. Kętrzyński¹⁰ przypuszcza, że scysja między królem a biskupem powstała na tle zamierzonej przez króla odbudowy zniszczonej przez reakcję pogańską metropolii. Przydzielone tymczasowo do Krakowa obszary wschodnich diecezji biskup Stanisław chciał zatrzymać na stałe, uniemożliwiając przez to restytuowanie tych diecezji.

Należy również rozpatrzeć, jakie zarzuty podnoszono przeciw biskupowi, zaczynając od tego, który można by w pewnej mierze nazwać udokumentowanym faktem. A. Bielowski w Pamiątkach dziejowych Polski cytuje „List Wratysława xięcia czeskiego do Bolesława Śmiałego ok. r. 1074” ». Treść tego listu wskazywałaby na jakieś konszachty biskupa Stanisława z Wratysławem, głównym, stronnikiem Henryka IV i antypapy Klemensa, skierowane przeto nie tylko przeciw królowi, ale i papieżowi. Słabą stroną listu jest, że Bielowski znał go tylko z wyd. Peza, a ponadto zwyczajem ówczesnym imiona zarówno autora, jak i adresata zaznaczone są tylko inicjałami. Bielowski stwierdza jednak: „Wiadomo jest (...) z kroniki Dubraw-skiego, że między tym biskupem (Stanisławem) a Wratysławem czeskim było porozumienie i jednomyślność przeciw Bolesławowi” “. Tej kroniki nie miałem w ręku, ale trudno przypuścić, że Bielowski ją zmyślił.

W sumie dla obrońców świętości Stanisława sprawa stała się kłopotliwa: święty podejrzany był nie tylko o zdradę, ale i o schizmę.

Bozprawy z tymi zarzutami podjął się prof. M. Plezia, twierdząc, że autorem listu był arcybiskup moguncki Wezilo, do którego prowincji kościelnej należały Czechy, adresatem natomiast — Wratysław, i że chodziło tu o zajścia między nim a jego bratem Jaromirem, biskupem ołomunieckim. Za taką interpretacją przemawiać miały przede wszystkim pewne wyrażenia charakterystyczne dla arcybiskupa Wezilona. Argument ten jest sam przez się słaby, ponieważ pewne wyrażenia w korespondencji dyplomatycznej stanowiły szablon, istniały nawet księgi formularzy, np. w Polsce Liber cancellariae Stanisława Ciołka. Gorzej, że mamy tu z miejsca błąd historyczny, diecezji ołomunieckiej bowiem w ogóle jeszcze nie było, sprawa jej wydzielenia i uposażenia stała się przedmiotem skandalicznego zajścia, gdy Jaromir, biskup praski, mianowanego przez Wratysława biskupem ołomunieckim Jana naszedł, zbił i wygnał ls. Podobnych zajść od początku panowania Wratysława (1061) do śmierci Jaromira (1089) było mnóstwo, wieśai o nich i skargi dochodziły do papieża i cesarza, i trudno przypuścić, by właśnie metropolicie były tak nie znane, że określił je „quedam dissensionis macula” („jakaś plama niezgody”). By zaznaczyć, że Wezilo miał na myśli coś bardzo poważnego, prof. Plezia stawia znak równości między tym wyrażeniem a macula generalis

(grzech śmiertelny). Macula oznacza jednak po prostu fizyczną plamę, a wszystkie inne znaczenia są metaforyczne, zależne od kontekstu. Z treści listu zresztą również wynika, że adresatem nie mógł być Wratysław, stał on bowiem zawsze po stronie cesarza i antypapy, biskup? sascy zaś po stronie papieża Grzegorza, i nie mogło być między nimi żadnego porozumienia. Pominąwszy jednak nawet to, jeżeli datowanie listu jest trafne, co jest sporne, jak wszystko w tej sprawie, Wezilo nie mógł być autorem listu, ponieważ w tym czasie, w latach 1060—1084, arcybiskupem mogunckim nie był on, lecz Zygfryd (por. Hauck, Kirchengeschichte DeutschH-lands). Prof. Płezia datuje list na r. 1088, nie trudząc się uzasadnieniem. W tym roku Wezilo zmarł.

Z Długosza, który twierdzi, że biskup Stanisław karmił króla z tytułu swego pierwszeństwa w polskim Kościele, można wnioskować, że istotnie przypisywał sobie to pierwszeństwo, choć przecież mu ono nie przysługiwało, metropolitą był bowiem mianowany przez Grzegorza arcybiskup Bogumił, którego władzy, a w konsekwencji i prawowitego papieża biskup Stanisław nie uznawał, co z kolei znajduje potwierdzenie w fakcie, że został przez metropolitę zasądzony. Argumenty na to przedstawia prof. R. Gródecki w artykule Sprawa św. Stanisława, pomieszczonym w wydanej w r. 1969 książce pt. Polska piastowska. Prof. R. Gródecki opiera się na bulli papieża Paschalisa II, skierowanej do następcy Bogumiła, arcybiskupa Marcina, w której Paschalis stwierdza, że poprzednik Marcina bez wiedzy papieża zasądził biskupa. Jeżeli nawet Bogumiłowi nie przysługiwało takie prawo, to jednak fakt pozostaje faktem, przy czym trudno przypuszczać, że metropolita zasądził biskupa nie mając do tego poważnych podstaw.

Zarzuty moralnej natury, jakie stawiano biskupowi Stanisławowi, przytacza w swej Kronice Kadłubek, oczywiście gorąco im zaprzeczając i twierdząc, że to „chytry król tak umiał z siebie zrzucić wszelkie podejrzenie świętokradztwa, że nie tylko nie za świętokradcę, ale za najstraszniejszego mściciela świętokradztwa u wielu uchodził” (podkr. moje — K. B.). Ze wszystkiego, co wiemy o Bolesławie, wynika, że był gwałtowny i nieopanowany, a tacy ludzie nie bywają chytry. Poza tym współczesnych, którzy byli świadkami wypadków, nie tak łatwo było w błąd wprowadzić, jak żyjących niemal dwa wieki później, gdy propaganda zrobiła swoje. Ze cuda, które były głównymi argumentami za świętością biskupa, zmyślano, świadczy choćby fakt, iż tzw. piotrawińskiego cudu nie zna nawet Kadłubek, nie wspominają o nim Miracula s. Stanisłai ani bulla kanonizacyjna, lecz dopiero Vita minor s. Stanisłai. A ten właśnie „cud”, dzięki propagandzie zarówno słownej, jak i plastycznej, stał się zasadniczym elementem legendy świętości biskupa Stanisława.